MOC CZYTANIA NA DNI ZADUSZNE

# TYGODNIK POWSZECHNY

Augustyn | Boniecki | Butenko | Flis
Franczak | Hołownia | Joker | Kącka
Matyja | Mikołejko | Napiórkowski
Olech | Oszajca | Skotnicki | Woś

Kraków 3 listopada 2019 nr 44 (3669)
cena 10 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

# Jak żyć z umarłymi

DODATEK
WIELKIE PYTANIA
NA NOWO

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
44
9 770041 480901

REKLAMA

XXVIII FESTIWAL ARS CAMERALIS

# KRZYK

**9–24 listopada 2019**
**www.arscameralisfestiwal.pl**

## SZTUKI WIZUALNE:

ROMAN CIEŚLEWICZ
CHANTALPETIT (FR)
DAMIEN DEROUBAIX (FR)
MONIKA GRZYMALA (PL/DE)
MISCHA KUBALL (DE)
KAROLINA HAŁATEK

## MUZYKA:

DONNY MCCASLIN (US)
WEYES BLOOD (US)
LAURA GIBSON (US)
JESSICA PRATT (US)
DILLON (BR/DE)
SOFIE BIRCH (DK)
PERNILLE KJÆR (DK)
TRYP
KIRSZENBAUM

## PERFORMANCE

JENNY HVAL (NO) – THE PRACTICE OF LOVE

## LITERATURA / DYSKUSJE:

ADONIS (SY)W
HATIF JANABI (IQ)
MICHAEL KRÜGER (DE)
GÁBOR LANCZKOR (HU)
CHULUD SZARAF (SY)
JERZY JARNIEWICZ
RYSZARD KOZIOŁEK
LESZEK LIBERA
TOMASZ RÓŻYCKI
TADEUSZ SŁAWEK
DANIEL WYSZOGRODZKI
I INNI...

ORGANIZATORZY:

Ars Cameralis Silesiae Superioris
ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO
Śląskie.

PARTNERZY:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY
TYGODNIK POWSZECHNY
HOTEL MONOPOL

PATRONI MEDIALNI:

Trójka POLSKIE RADIO

BILETY DOSTĘPNE NA:

dwójka POLSKIE RADIO
POLSKIE RADIO KATOWICE
ams
dramarama
onet
BILETOMAT.PL
ticketmaster
ticketportal

**POZNAJ NASZ FESTIWAL!**

KS. ADAM

# Boniecki: *Niech nas Bóg chroni od rutyny*

W kaplicy cmentarnej jednego z dużych miast Polski zobaczyłem dyskretnie umieszczony na ołtarzu napis informujący, że miejscowa kuria zabrania księżom odprawiać mszę św. krócej niż 15 minut. Niewidoczna dla wiernych instrukcja była ewidentnie adresowana do księży celebrujących tam pogrzeby. Choć było to ponad 50 lat temu, dobrze pamiętam moje – młodego wówczas księdza – zakłopotanie, bo z napisu niedwuznacznie wynikało coś dla mnie nieprawdopodobnego: że są księża, którzy msze, a pewnie i pogrzeby odprawiają w ekspresowym tempie.

W ciągu blisko 60 lat bycia księdzem nigdy nie piastowałem urzędu proboszcza ani nawet wikarego, nie byłem też kapelanem cmentarza, a więc moja wiedza o tym, co to znaczy odprawiać dwa czy trzy pogrzeby dziennie, jak to księżom w dużych miastach się zdarza, pochodzi wyłącznie z obserwacji konfratrów. Nie jest łatwo. W Paryżu np. przyjęto zasadę, że ksiądz liturgię pogrzebu odprawia wyłącznie w kościele i na cmentarz nie idzie. Kiedyś, chowając tam znajomą osobę, upierałem się, że na cmentarz pójdę. Wtedy miejscowy ksiądz mi wytłumaczył, że gdyby w Paryżu księża chodzili na cmentarze, pochłonęłoby im to cały czas, którego już by nie mieli dla żyjących. W Rio de Janeiro, gdzie obsłużenie wszystkich pogrzebów również przekracza możliwości księży, problem rozwiązano wprowadzając nowy kościelny urząd „ministra pogrzebu". Liturgii na cmentarzu przewodniczą przygotowani do tego świeccy: tak mężczyźni, jak i kobiety.

Wielu ludzi w życiu odprowadzałem na „wieczny spoczynek", ale zawsze były to osoby mi bliskie, znajome albo bliskie moich znajomych. Wiem, jak na pogrzebie ważna jest homilia. Kościelne przepisy polecają, żeby naprawdę była homilią opartą na Ewangelii, nie zaś mową pogrzebową, panegirykiem zmarłego. Ale czytania liturgiczne można wybrać stosownie do okoliczności, a jest oczywiste, że żegnając kogoś bliskiego, znajomego – w kontekście homilii – mówi się i o nim.

Dla bliskich zmarłego pogrzeb jest momentem dramatycznie ważnym: każdy gest, każde słowo jest odbierane z uwagą i wrażliwością. Jeśli dla księdza jest to jeden z wielu podobnych do siebie pogrzebów, to nie można zapominać, że niemal zawsze wśród obecnych są osoby, dla których ten właśnie pogrzeb jest przeżyciem niepowtarzalnym, straszliwie trudnym, a dla wierzącego może także niełatwą próbą wiary.

To dlatego tak często opowiadam, że ksiądz (potem biskup i kardynał) Wojtyła nigdy nie przyjął obyczaju księży, którzy po zakończeniu obrzędowych czynności, nie czekając już na zasypanie czy zamknięcie grobu, zdejmują liturgiczne szaty i idą do domu. Wojtyła, zatopiony w modlitwie, z różańcem w ręku, zawsze stał z innymi uczestnikami do samego końca.

Każdy pogrzeb jest dla księdza godziną łaski, bo jak mało kiedy może doświadczyć tego, że jest potrzebny. Nawet w ludziach, zdawałoby się, dość odległych od wiary w zderzeniu ze śmiercią kogoś bliskiego rodzą się pytania, których zwykle sobie nie stawiali. Jak sądzę, towarzyszy temu oczekiwanie, że ksiądz będzie z nimi jako człowiek (świadek) nadziei, iż „życie się nie kończy, ale zmienia", jako człowiek wiary w „świętych obcowanie", „żywot wieczny" i „ciała zmartwychwstanie".

Niech nas, księży, Bóg broni przed rutyną pracowników zakładów pogrzebowych, niech nas powstrzymuje przed powtarzaniem banałów, niech nas uczy dyskretnej, dobrej obecności przy cierpiących. Amen. ©℗

„Tygodnik Powszechny" i Nowy Teatr zapraszają na kolejne spotkanie z cyklu TrzePak w Nowym

KONIEC ERY CZŁOWIEKA

Katastrofa klimatyczna nie będzie długotrwałym procesem. Los naszego świata decyduje się teraz. Naukowcy nie mają wątpliwości: mamy bardzo mało czasu, aby ograniczyć zatruwanie atmosfery i wyhamować globalne ocieplenie. A jeśli nie zdążymy? Czy to koniec ery człowieka?

W dyskusji wokół tematów poruszanych w wydaniu specjalnym „Halo, tu Ziemia" udział wezmą Ewa Bińczyk, Agata Kasprolewicz i Łukasz Lamża.

Do zobaczenia w **czwartek 14 listopada o godz. 18.30** w Nowym Teatrze przy ul. Madalińskiego 10/16 w Warszawie.

NOWY TEATR

Wydanie specjalne do nabycia tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na **powszech.net/ziemia**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

## WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

**14 Alma znaczy dusza**
Z ANJĄ FRANCZAK ROZMAWIA PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
*Żałoba to nie tylko ból. Po czterech latach doszłam do punktu, w którym więcej we mnie miłości niż rozpaczy.*

**20 Gdy ciało staje się słowem**
MAREK RABIJ
*Dla żyjących śmierć jest abstrakcją. Jedyny konkret to zwłoki, przed którymi najwygodniej skryć się za kordonem oferty przemysłu pogrzebowego.*

**40 Siostra śmierć**
ROZMOWA ARTURA SPORNIAKA
O. WACŁAW OSZAJCA, JEZUITA:
*Są momenty, w których człowiek chce umrzeć, na przykład kiedy przeżywa się coś pięknego.*
ZBIGNIEW MIKOŁEJKO, RELIGIOZNAWCA:
*Kiedy myślę o śmierci, jestem przerażony!*

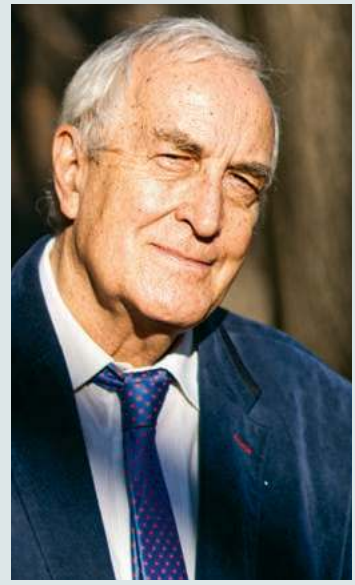

**64 Wizytówka życia**
ROZMOWA Z ALEKSANDREM B. SKOTNICKIM, HEMATOLOGIEM:
*Jeśli z pięćdziesięciu członków jednej rodziny przeżyło pięciu, a pozostali zginęli w strasznych okolicznościach, to trzeba dotrzeć do ich imion i nazwisk. Zachować ich tożsamość.*

**68 Samara**
ANDRZEJ STASIUK
*Powinno grzebać się nas jak dawnych władców Wschodu: na stosach rzeczy, które żuliśmy przez całe życie. Na tych wszystkich pralkach, samochodach, meblach, ubraniach i smartfonach.*

**70 Cmentarnik**
STANISŁAW ZASADA
*Trzeba to uporządkować, bo w ziemi jest dużo rozbitych tablic nagrobnych – mówi Piotr Marczenia. Ma 16 lat, cmentarz w Podłej Górze ratuje od czterech.*

AGATA GRZYBOWSKA DLA „TP" // PRZEMYSŁAW POKRYCKI // GRAŻYNA MAKARA // STANISŁAW ZASADA // SIMON DUBREUIL / DATAICHI / GETTY IMAGES // PATRICIA DE MELO MOREIRA / AFP / EAST NEWS

**6 Synod i co dalej**
EDWARD AUGUSTYN

**7-13 Wiadomości / Komentarze**

**24-25 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

**KRAJ**

**26 W sidłach superkontroli**
RAFAŁ MATYJA: *Co zostanie po PiS?*

**30 Głos głosowi nierówny**
JAROSŁAW FLIS: *W tle próby podważenia przez PiS wyniku wyborów czai się szerszy problem*

**32 Polska na przystanku**
RAFAŁ WOŚ: *Czas na odbudowę publicznej komunikacji zbiorowej*

**REPORTAŻ**

**36 Cegłę da się zmonetyzować**
BARTOSZ JÓZEFIAK: *Łódź uczy się kochać pofabryczne zabytki*

**WIARA**

**40 Siostra śmierć** ROZMOWA Z O. WACŁAWEM OSZAJCĄ I ZBIGNIEWEM MIKOŁEJKO

**44 Kościół z twarzą Amazonii**
EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU: *Katolicyzm ma także takie oblicze. Zobacz je, Europejczyku*

**48 Katecheza wbrew ewolucji**
ARTUR SPORNIAK

**49 Wojowniczki w habitach**
EWELINA BURDA *o książce „Wojenne siostry”*

**ŚWIAT**

**52 Katolicy pod specjalnym nadzorem** WOJCIECH KONOŃCZUK: *Kościół na Białorusi jest pod ciągłą presją władz*

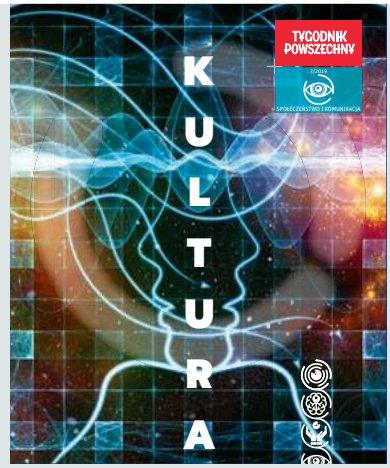


MATEUSZ KANIEWSKI

**97 WIELKIE PYTANIA NA NOWO**
Czy neandertalczyk szył ubrania i jak je przyozdabiał?
Jak ucztowali władcy wymarłego starożytnego ludu Nabatejczyków?
W jaki sposób budowa geologiczna ziem polskich wpłynęła na architekturę naszych katedr?
Jak zmienia się nasz umysł, gdy nauczymy się korzystać z liczydła?
Czy to dobrze, gdy rdzenni mieszkańcy Puszczy Amazońskiej piją coca-colę?
W jakiej kolejności do rodziny ludzkiej dołączyły psy, koty, kozy, lamy i świnki morskie?

**FELIETONY**
**50** SZYMON HOŁOWNIA
**68** ANDRZEJ STASIUK **90** JAN KLATA
**91** PAWEŁ BRAVO **96** STANISŁAW MANCEWICZ
**96** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: WALDEK SOSNOWSKI / FORUM
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

**56 Pierwsza kolonia Słowacji**
DARIUSZ KAŁAN

**59 Ameryka i Izrael umacniają sojusz** INGA ROGG

**60 Troje na podium i cała reszta**
PIOTR TARCZYŃSKI: *Kto będzie rywalem Trumpa w 2020 r.?*

**ROZMOWA**

**64 Wizytówka życia**
ROZMOWA Z ALEKSANDREM B. SKOTNICKIM

**HISTORIA**

**70 Cmentarnik**
STANISŁAW ZASADA

**KULTURA**

**74 Przymus uśmiechu**
JOKER (MARCIN NAPIÓRKOWSKI): *Nie tylko powinieneś oddać życie za ojczyznę. Zrób to z radością!*

**78 Wirus w systemie**
PIOTR KOSIEWSKI: *Łódź Kaliska kpi z tradycyjnych ról artysty*

**81 W Niebylii i gdzie indziej**
ELIZA KĄCKA: *Na świat składają się miejsca istniejące i nieistniejące*

**84 Na koniec świata**
BARTOSZ HLEBOWICZ *o poszukiwaniu granic Ameryki*

**88 Herbata w okopach**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „I młodzi pozostaną”*

**90 Na krawędzi** LEKTOR *o książce „Kroniki ukrytej prawdy” Pere Caldersa*

**POŻEGNANIE**

**92 Butenko pinxit**
JOANNA OLECH: *Odszedł wraz z nim wielki kęs naszego dzieciństwa*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

**Magurski Park na łowy**
Nowy dyrektor Magurskiego Parku Narodowego Norbert Kieć, prywatnie myśliwy, strzelał do zwierząt również na jego terenie. Czy ten cenny przyrodniczo obszar jest zagrożony? – *o sprawie pisze* **ADAM ROBIŃSKI** **powszech.net/magurski-park**

**Na co choruje ochrona zdrowia**
Że jest chora, to wiadomo. Ale co właściwie jej dolega? I jak to leczyć? – *polską ochronę zdrowia diagnozuje* **MACIEJ MÜLLER** *w nowym odcinku Podkastu Powszechnego. Weź, słuchaj!*
**powszech.net/ochrona-zdrowia**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

AFP / EAST NEWS

# INDIAŃSKIE LATO

Rewolucji w Kościele nie będzie. Na razie.

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

Zakończony w niedzielę w Rzymie synod biskupów poświęcony Amazonii budził wiele emocji. O wiele więcej niż dziesięć poprzednich synodów specjalnych, które również dotyczyły konkretnych regionów świata w kluczowych momentach ich historii (np. Europy po upadku muru berlińskiego czy Afryki pogrążonej w wojnach). Dlaczego?

Po pierwsze, Amazonia to olbrzymie terytorium, leżące na terenie dziewięciu państw i bogate w zasoby naturalne – miejsce krzyżowania się interesów politycznych, narodowych i gospodarczych. Papież i biskupi, apelujący o umiar oraz rozwagę w korzystaniu z bogactw tego regionu i ujmujący się za jego rdzennymi mieszkańcami, mogli pokrzyżować plany niejednej korporacji.

Po drugie, decyzje podjęte na amazońskim synodzie tylko z pozoru odnosić się miały do tego terytorium – tak naprawdę chodziło o przetestowanie zmian, które można będzie wprowadzić w całym Kościele. Podtytuł dokumentu roboczego – „Nowe drogi dla Kościoła i ekologii integralnej" – dawał do takiego myślenia podstawy.

Po trzecie, wszyscy wciąż mają w pamięci pierwszy zwołany przez papieża Franciszka synod, poświęcony rodzinie i małżeństwu, którego skutki – dopuszczenie do sakramentów osób rozwiedzionych – do dziś budzą wiele kontrowersji.

Jednak, wbrew nakręcanej medialnie spirali oczekiwań, rewolucji w Kościele nie będzie.

Tak, to prawda – wychodząc naprzeciw potrzebom mieszkańców Amazonii, często po-

*Spotkanie papieża Franciszka i sekretarza generalnego synodu, kard. Lorenzo Baldisseriego, z przedstawicielami rdzennej ludności Amazonii, Watykan, 17 października 2019 r.*

zbawionych dostępu do sakramentów, biskupi poprosili papieża, by zgodził się wyświęcać na kapłanów żonatych mężczyzn – wypróbowanych, zaufanych, którzy wcześniej pełnili w parafii posługę diakonów.

Tak, to prawda – biorąc pod uwagę odmienność kulturową tamtych społeczeństw, hierarchowie zwrócili się do papieża z prośbą, by ustanowił specjalny „ryt amazoński", który włączy do kościelnej liturgii elementy lokalnych zwyczajów i tradycji.

Tak, to też prawda – widząc, że wspólnoty parafialne w Amazonii opierają się w dużej mierze na pracy kobiet (sióstr zakonnych i misjonarek), synod zapytał papieża o możliwość udzielania im święceń diakonatu, oczekując dokładnego zbadania jego zgodności z doktryną i tradycją Kościoła.

Ale to wszystko nie od razu i nie teraz.

Wprowadzeniem zmian zajmą się specjalne komisje. W skład jednej, postsynodalnej, wejdą wybrani biskupi krajów amazońskich i – po raz pierwszy w historii Kościoła, na specjalne życzenie papieża – także dwie kobiety. Drugą, do zbadania historycznych podstaw do ustanowienia diakonatu kobiet, papież powołał już wcześniej, teraz zapowiedziano modyfikację jej składu.

Ci, którzy obawiali się odejścia od celibatu i innych doktrynalnych rozstrzygnięć – odetchnęli z ulgą. Ci, którzy żywili nadzieję na zmiany, nie zostali tej nadziei pozbawieni. To rozwiązanie nie tylko ostrożne, ale też najbardziej przez papieża cenione: zainicjować procesy i dać im szansę dojrzeć. Reformę Kościoła Franciszek mierzy miarą dłuższą niż swój pontyfikat.

Ale bez względu na dalsze losy zawartych w dokumencie końcowym propozycji, synod osiągnął inny, ważniejszy cel: pokazał światu, że Amazonia to nie tylko „zielone płuca Ziemi", jak się często i nie do końca poprawnie mówi. To przede wszystkim ludzie, których dzięki synodowi świat mógł dostrzec i poznać. Piszemy o tym więcej w środku numeru. Bogactwo ich kultur, języków i tradycji jest również bogactwem Kościoła.

Przełom października i listopada, z zazwyczaj ładną, słoneczną pogodą, Włosi nazywają „indiańskim latem". Ostatnie trzy tygodnie w Rzymie były właśnie takim czasem. ©℗

▪ Więcej o Synodzie dla Amazonii w specjalnym serwisie na stronie internetowej „TP" **powszech.net/amazonia**

# *Reprywatyzacja: hasła i prowizorka*

**PAWEŁ BRAVO**

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił decyzję komisji weryfikacyjnej w sprawie stołecznej kamienicy przy ul. Nabielaka. W tym roku stwierdzono już nieważność decyzji dotyczących 10 innych nieruchomości, jednak ten przypadek ściągnął na siebie uwagę, bowiem to tam właśnie mieszkała zamordowana osiem lat temu działaczka lokatorska Jolanta Brzeska. Wady prawne postępowania komisji, wskazywane w uzasadnieniach wyroków, są częściowo pochodną jej nadzwyczajnego statusu. Zwracaliśmy nań uwagę na łamach „TP", pisząc, że stanowi ona czysto polityczny zabieg pójścia na skróty – hasła rozliczenia niesprawiedliwości III RP podkreślał nieraz pierwszy przewodniczący komisji, obecny europoseł PiS Patryk Jaki. Teraz też zareagował na Twitterze w typowy dla siebie sposób: „każdy wie, że był przekręt", „sędziokracja", i zapowiedział złożenie wniosku o postępowanie dyscyplinarne dla sędziów WSA.

Reprywatyzacja w Warszawie wiązała się z niewątpliwymi nadużyciami i krzywdą licznych mieszkańców. Przez pierwsze cztery lata jednak PiS nie potrafił wyjść poza prowizorkę prawną (łatwą, jak się okazuje, do obalenia) i krzykliwe hasła. Obecne reakcje polityków tej partii nie rokują, by byli w stanie stworzyć rozwiązania trwałe, nieobliczone jedynie na krótki efekt propagandowy. ©℗

## Tusk wraca, nawet bez Tuska

**BYŁY PREMIER** na pewno wróci do polskiej polityki, nie wiadomo tylko, w jakiej roli. Na początku grudnia zostanie szefem EPP, międzynarodówki chadeckich partii Unii. I będzie mógł zrzucić maskę apolitycznego szefa Rady Europejskiej, która uwierała go przez ostatnie pięć lat.

Dlatego już teraz Tusk zaczął ingerować w polską politykę. Po wyborach parlamentarnych spotkał się z Grzegorzem Schetyną i wybił mu z głowy ogłoszenie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej kandydatką PO na prezydenta.

Czy Tusk wystartuje sam? Decyzję poznamy zapewne na początku przyszłego roku. Jak sugerują jego stronnicy, już w listopadzie mógłby zacząć podróże po kraju, by wysondować, czy jest szansa na wywołanie fali entuzjazmu, która dawałaby szansę na pokonanie Andrzeja Dudy.

Nie wykluczając startu, Tusk wysyła też sygnały, że kandydatem opozycji mógłby zostać lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. – Donald chce mieć różne opcje i długo będzie podejmował decyzję. To dla niego poważna rozgrywka – mówi wpływowy polityk opozycji.

Ta kampania – opowiada inny polityk, bliski Tuskowi – miałaby być odwróceniem ról z 2015 r. Wówczas Bronisława Komorowskiego PiS prezentowało jako polityka niesamodzielnego i opowiadającego

ADAM WARŻAWA / PAP

głupie dowcipy. Teraz Komorowskim miałby być Duda, atakującym – Platforma.

Po wyborach europejskich, w których PiS zmiotło opozycję, stronnicy Tuska byli pewni, że zrezygnuje on z zaangażowania w polską politykę. Wyglądało na to, że Kaczyński jest wszechmocny. Po wyborach sejmowych Tusk poczuł się pewniej. Choć wygrał PiS, to wyniki są niekorzystne dla Kaczyńskiego: ma kruchą większość, rozbrykanych koalicjantów, stracił monopol na prawicy, nie ma większości w Senacie.

Kłopoty władzy to dla Tuska szansa. Dlatego czy wróci jako kandydat na prezydenta, czy też główny strateg opozycji antypisowskiej – to w sumie bez znaczenia. Bo wróci. W każdej z ról mocno namiesza w Platformie. Jego ludzie już montują bunt przeciwko Grzegorzowi Schetynie.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

*Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP".*

# *Tęczowy piątek, czarny PR*

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Nasza szkoła nie włączyła się w akcję, mimo że wśród uczniów są chętni. W zeszłym roku była afera: pojawiły się publikacje na nasz temat w prawicowej prasie i ruszyły kontrole z kuratoriów, więc dyrekcja się wycofała – mówi „Tygodnikowi" uczeń jednego z warszawskich liceów.

To niejedyny taki przykład: szkół, które „dla świętego spokoju" odstąpiły od uczestnictwa w akcji Kampanii Przeciw Homofobii, jest więcej.

– W Krakowie wypowiedzi kurator Barbary Nowak podziałały na dyrektorów odstraszająco. Szkoda, że trafiają rykoszetem w młodzież – mówi Cecylia Jakubczak z KPH, która nie prowadzi w tym roku rejestru szkół przystępujących do akcji, nie są więc znane jej ogólnopolskie statystyki.

Tegoroczną edycję „Tęczowego Piątku" poprzedziła retoryczna wojna na górze. Lokalna i ogólnopolska. W Gdańsku radni PiS wystosowali do władz „Sprzeciw wobec promocji środowisk LGBTQ+ w szkołach". W Toruniu Solidarność przestrzegła nauczycieli nie tylko przed „Piątkiem", ale też przed ideą „swobodnego wyboru tzw. orientacji seksualnej". „Jako pedagodzy jesteśmy szczególnie odpowiedzialni nie tylko za edukację i wychowanie, ale także zbawienie młodego pokolenia" – pisali związkowcy. Przeciw akcji protestowali też politycy PiS i Rzecznik Praw Dziecka.

Z napędzającego się histerycznego zgiełku dało się wyciągnąć jeden refren: „Tęczowy Piątek" godzi w prawo rodziców do decydowania o edukacji dzieci. Tyle że prawo oświatowe nie mówi nic o rodzicielskim prawie weta – gdyby istniało, dałoby się z jego pomocą storpedować wszystkie szkolne zajęcia dodatkowe. O tym, czego szkoła może uczyć poza lekcjami, decyduje – przynajmniej teoretycznie – dyrektor i rada rodziców.

Problem w tym, że główna rozgrywka o „Tęczowy Piątek" odbywa się poza paragrafami. To wojna nerwów: MEN i kuratorzy naciskają na dyrektorów. Dyrektorzy na uczniów. Rodzice – choć pozornie to o ich prawa toczy się spór – mają najmniej do powiedzenia. Także dlatego, że rzadko chcą ze swoich praw korzystać.

Tylko jedno prawo ma się w polskiej edukacji coraz lepiej: prawo urzędników do meblowania szkoły wedle własnego gustu. ©℗

WALDEMAR WYLEGALSKI / / POLSKA PRESSE / EAST NEWS

## Zmarł twórca polskiej opieki paliatywnej

**PROF. JACEK ŁUCZAK,** założyciel Hospicjum Palium w Poznaniu, a także pierwszej w kraju poradni leczenia bólu, w grudniu skończyłby 85 lat. Specjalista w zakresie chorób wewnętrznych, anestezjologii, intensywnej terapii i medycyny paliatywnej, stworzył hospicjum, które jest dziś największą tego typu placówką w Polsce. Pionier, bez którego niemożliwy byłby rozwój ruchu hospicyjnego – mówi o nim środowisko. Empatyczny lekarz, który zawsze znajdował czas dla ludzi – wspominają rodziny pacjentów.

„Był niestrudzonym propagatorem opieki hospicyjnej, (...) co doprowadziło do utworzenia w latach 90. kilkudziesięciu jednostek opieki paliatywnej w niemal całym kraju, a następnie w Europie Środkowo-Wschodniej i w Azji – napisano na stronie Polskiego Towarzystwa Opieki Paliatywnej, założonego trzy dekady temu przez prof. Łuczaka. – Był Autorem pierwszego w Polsce i jednego z pierwszych w Europie programu nauczania opieki paliatywnej".

Pogrzeb prof. Łuczaka odbędzie się 31 października w Poznaniu. ©℗ PW

### LICZBA TYGODNIA

**45 000**

**Tylu pacjentów umiera w Polsce rocznie, nie kwalifikując się – mimo terminalnego stanu – do opieki hospicyjnej. Choć system działa sprawnie w przypadku chorych na nowotwory, dostęp jest niemal niemożliwy dla cierpiących na inne schorzenia.**

### KRAJ W SKRÓCIE

**NIEMILE WIDZIANY**
Ze zorganizowanego m.in. przez TVP i Polskie Radio konkursu Książka Historyczna Roku nagle wycofano książkę Piotra Zychowicza „Wołyń zdradzony", powołując się na punkt regulaminu, w którym mowa o... uchybieniach wobec tegoż regulaminu. Wywołany tym skandal doprowadził do unieważnienia konkursu.

**NIEZAPROSZONY**
Z kolei w TVP Kultura nie odbył się program „Niedziela z...", w którym miał wziąć udział Andrzej Seweryn i zaproszeni przezeń goście. Gdy aktor usłyszał, że telewizja nie życzy sobie, by wśród tych ostatnich znalazł się Aleksander Smolar, sam odmówił udziału w programie.

**NIEODWOŁALNY**
„Rzeczpospolita" pisze, że jeden ze współpracowników Mariana Banasia z czasów jego pracy w resorcie finansów brał udział w kierowaniu mafią VAT-owską. Kłopotliwy dla PiS prezes NIK wciąż nie myśli rezygnować ze stanowiska.

**NIEDOPYTANY**
W tej ostatniej kwestii Banaś przypomina Andrzeja Dudę: „Czuję się młodym człowiekiem, nie wyobrażam sobie siebie na emeryturze" – odpowiedział prezydent na pytanie Radia Maryja, czy będzie ubiegał się o reelekcję.

**NIEPRAWDZIWY**
„Całkowicie nieprawdziwe oraz zniesławiające są pojawiające się ostatnio w przestrzeni publicznej plotki dotyczące rzekomej przyczyny urlopu ks. Tymoteusza Szydło. W szczególności całkowicie nieprawdziwa jest informacja, że ks. Tymoteusz został ojcem" – napisał prawnik kapłana. Dodał, że przeciwko rozpowszechniającym te kłamstwa kierował będzie sprawy do sądu, a my nie możemy się uwolnić od myśli, że jego oświadczenie rozpowszechniło je najskuteczniej.

SAEED KHAN / AFP / EAST NEWS

**KOLEJKA NA ŚWIĘTĄ GÓRĘ**
Tłumy turystów z całego świata, liczone codziennie w tysiącach, przybywały w ostatnich dniach października pod górę Uluru –monolityczny masyw skalny w kolorze czerwonobrunatnym, wznoszący się kilkaset metrów nad pustynię w Parku Narodowym Uluru-Kata Tjuta w Australii – aby wspiąć się na nią jeszcze przed jej zamknięciem. Od minionej soboty Uluru, dotąd jedna z głównych atrakcji kraju, jest bowiem niedostępna dla turystów; taką decyzję, na prośbę rdzennych mieszkańców, podjęły władze parku. Położona na terenie plemienia Anangu, Uluru ma dla Aborygenów duże znaczenie religijne i kulturowe. Termin zamknięcia szlaku na szczyt ustalono dwa lata temu. Efekt? Gwałtownie wzrosła liczba turystów: od czerwca 2018 r. do czerwca 2019 r. przybyło ich prawie 400 tys. (o jedną piątą więcej niż rok wcześniej). Od teraz mogą oglądać Uluru z bliska, lecz nie wolno im się na nią wspinać. ©℗ WP / DPA, AFP

## Brytyjski premier ciągle przegrywa? To tylko pozory

**Z MINIONEGO TYGODNIA,** który miał być przełomem w brytyjsko-unijnych konwulsjach zwanych brexitem, zostały wyłącznie konwulsje. Wciąż nie wiadomo, kiedy brexit nastąpi. Wygląda jednak na to, że premier Boris Johnson przemieszcza się z politycznego piekła do nieba ruchem konika szachowego – i że te przedziwne manewry zaczynają przynosić skutek.

Na razie jest w czyśćcu. Po pierwsze, wynegocjowaną przez niego umowę z Unią przyjęła Izba Gmin, co jest jego wielkim osiągnięciem. Posłowie przegłosowali również procedury uniemożliwiające brexit 31 października, jednak fakt, że premier zdołał znaleźć większość dla umowy, jest znaczący. Po zgodzie Unii na przełożenie brexitu Johnson będzie dążył do rozpisania wyborów jeszcze przed świętami licząc, że uzyska w nich mandat do wyprowadzenia kraju z Unii na swoich warunkach. Wybory prawdopodobnie wygra – i po nich z Izbą Gmin w nowym składzie będzie miał więcej swobody.

Jeśli plan się powiedzie, Johnson urósłby do rangi politycznego Houdiniego, któremu udało się umknąć spod topora parlamentarzystów i okiełznać brexit – zjawisko wymykające się najtęższym umysłom na Wyspach i wszędzie indziej.

Rzecz w tym, że Partia Pracy i Szkocka Partia Narodowa już zapowiedziały, że nie poprą rozwiązania parlamentu, zanim ostatecznie nie zostanie pogrzebana możliwość wyjścia Londynu z Unii bez umowy. Jeśli Johnsonowi nie uda się rozpisać wyborów w tym roku, zapewne zawiesi debatę nad umową, za opóźnienie obwiniając – słusznie – parlament. Tak czy inaczej, to on będzie politycznym zwycięzcą tej rundy brexitu. © DARIUSZ ROSIAK

## *Jak Kreml na nowo urządza Syrię*

KRZYSZTOF STRACHOTA

Zaskoczenia nie było, gdy na spotkaniu w Soczi prezydenci Rosji i Turcji porozumieli się w sprawie przedłużenia rozejmu w Syrii, a w dalszej perspektywie – współpracy. Tym samym Putin i Erdoğan stworzyli najpoważniejsze jak dotąd ramy do uporządkowania sytuacji w regionie po ewakuacji sił USA i po tureckiej ofensywie „Źródło Pokoju".

W Soczi ustalono, że Turcja zachowa (czasowo) swój stan posiadania, a Moskwa (i Asad) przejmą kontrolę nad kurdyjskim parapaństwem oraz zadbają o oczyszczenie pogranicza z sił kurdyjskich. Docelowo wszystko ma wrócić do stanu sprzed wojny syryjskiej (nienaruszalność granic, odnowiona umowa syryjsko-turecka z 1998 r., która pozwalała Turkom zwalczać Kurdów w pasie granicznym).

Rosja i Turcja naszkicowały najprostszy z możliwych scenariuszy zakończenia wojny: reżim Asada, działający pod patronatem Rosji, ma odzyskać bez walki jedną trzecią kraju, dotąd zajętą przez Kurdów; Kurdowie (nieobecni) zapłacą za to porozumienie swoją pozycją i terytorium, ale przetrwają; uchodźców i prawa człowieka milcząco wpisano w koszty.

Czy jest to scenariusz wykonalny? Raczej tak, bo ani osamotnieni Kurdowie, ani Irańczycy (nieobecni w Soczi) nie mogą go otwarcie i od razu torpedować, USA zaś zrezygnowały z walki o kształt Syrii. Dla Turcji porozumienie to relatywny sukces: „legitymizuje" ich syryjskie zdobycze, pozwala liczyć na eliminację zagrożenia kurdyjskiego cudzymi rękoma i świadczy, że Ankara może realizować swe interesy nawet wbrew sojusznikom z NATO.

Równocześnie jednak i Turcja, i Kurdowie, i wszyscy zainteresowani tym konfliktem stają się zależni od Moskwy. Ona ustala warunki, dzieli i obdziela, umiejętnie zarządzając swymi skromnymi środkami militarnymi i potężnym doświadczeniem politycznym. Bezradny wobec spraw syryjskich pozostaje Zachód. Co gorsza, musi szybko znaleźć sposób na Turcję, która przeżywa swój sukces na miarę zajęcia przez Polskę Zaolzia w 1938 r. – tylko jeszcze mocniej niż ówczesna Polska jest uwodzona przez rewizjonistyczne (tu: rosyjskie) mocarstwo, dla którego jest celem, a nie partnerem. ©

## Donbas: więzienie dla dziennikarza

**STANISŁAW ASIEJEW**, niezależny dziennikarz z Doniecka, został skazany przez sąd separatystycznej „Donieckiej Republiki Ludowej" (DRL) na 15 lat kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Choć wyrok zapadł w sierpniu, informację opublikowano dopiero w minionym tygodniu na stronie internetowej prokuratury generalnej w Doniecku, stolicy tego parapaństwa na wschodniej Ukrainie.

Asiejew, urodzony w 1989 r. w Doniecku, studiował religioznawstwo, opublikował wiersze i powieść. Po tym, jak w 2014 r. siły rosyjskie i prorosyjskie proklamowały w Donbasie separatystyczne „republiki", donieckią i ługańską, Asiejew pisał korespondencję dla ukraińskich mediów, w tym dla opiniotwórczego tygodnika „Dzerkało Tyżnia" i dla Radia Swoboda. O życiu w okupowanym Donbasie pisał też na swoim blogu.

Choć publikował pod pseudonimem „Stanisław Wasin", rosyjskie służby wpadły na jego ślad: w 2017 r. Asiejew zniknął. Po wielu tygodniach okazało się, że jest w areszcie. W 2018 r. rosyjska telewizja państwowa emitowała jego „samokrytykę", utrzymaną w starym sowieckim stylu, podczas której „przyznał się" do szpiegostwa na rzecz Ukrainy. Ministerstwo Bezpieczeństwa DRL zarzuciło mu też „członkostwo w organizacji ekstremistycznej" (to zarzut formułowany często także wobec aktywistów tatarskich na Krymie). Prokuratura DRL twierdzi, że Asiejew wysyłał mailem członkom „organizacji" swoje artykuły, które „przedstawiają negatywnie działalność organów władzy, wymiaru sprawiedliwości i sił zbrojnych DRL".

RADIO SVOBODA

Dawny nauczyciel Asiejewa na uczelni Ihor Kozłowski (który też był więziony w Doniecku i został wymieniony) ma nadzieję, że skoro dziennikarz został formalnie skazany, to być może zostanie włączony do kolejnej wymiany więźniów i jeńców. Według danych władz w Kijowie, w więzieniach obu „republik" przebywa bezprawnie 227 Ukraińców, a kolejnych 110 jest więzionych w Rosji. Dalszych co najmniej 258 Ukraińców zaginęło bez wieści na terenie obu parapaństw. © GERHARD GNAUCK

*Autor jest korespondentem niemieckiego dziennika „FAZ" na Polskę i Ukrainę.*

PATRICK BAZ / AFP / EAST NEWS

*Tak protestujący w miejscowości Dżal-al-Dib niedaleko Bejrutu reagowali na transmisję orędzia prezydenta Libanu, 24 października 2019 r.*

**DALIA AL-MOKDAD, DZIAŁACZKA SPOŁECZNA:**

## *Prawdziwe zjednoczenie*

**ANNA WILCZYŃSKA: Libańczycy masowo demonstrują, domagając się ustąpienia władz oraz reform gospodarczych. Dlaczego wyszli na ulice teraz?**

**DALIA AL-MOKDAD:** Politycy ostatecznie udowodnili swój brak kompetencji w rządzeniu krajem. W ostatnim czasie wzrosły podatki, drastycznie spadła jakość usług publicznych, mamy tzw. kryzys śmieciowy i coraz większe bezrobocie. Dwa dni przed pierwszą demonstracją trwały pożary lasów. Sytuacja wymknęła się spod kontroli władz i pożar zniszczył większość terenów zielonych. Systematycznie odbiera się nam wolność słowa – kroplą, która przelała czarę goryczy, była decyzja o wprowadzeniu podatku od połączeń na WhatsAppie. Ludzie – zwłaszcza młodzi – mają dość.

**Kto kieruje protestami?**

Trudno w to uwierzyć – ale nikt. Organizacje pozarządowe prowadzą na ulicach grupy dyskusyjne, abyśmy mogli otwarcie rozmawiać o tym, czego chcemy. To my, Libańczycy, jesteśmy przywódcami tej rewolucji.

**Co chcecie osiągnąć?**

Zmusić rząd do dymisji. Pozostaniemy na ulicach, dopóki tak się nie stanie. Następnie chcemy wprowadzenia technokratycznych, niezależnych rządów, które przełamią panujący w kraju konfesjonalizm. Bo w Libanie o wszystkim decyduje się w oparciu o prywatny interes polityków i ich grup religijnych. Oprócz codziennego sprzątania ulic, moim wkładem w rewolucję jest wykorzystywanie kontaktów medialnych, aby pomóc demonstrantom w różnych częściach kraju w komunikacji. Precedensowe jest to, że ludzie ze stolicy, z północy i z południa w końcu się zjednoczyli. Pomimo różnic religijnych, wspólnie kierujemy protestami i nawzajem się wspieramy. Dzięki tej rewolucji zakończyliśmy wojnę domową, która rozrywała kraj od 1975 r. Teraz wspólnie – tak sądzimy – tworzymy historię. ©

ARCH. PRYWATNE

**DALIA AL-MOKDAD**
*pracuje w fundacji Adyan, zajmującej się różnorodnością religijną, solidarnością społeczną i prawami człowieka w Libanie. Mieszka w Bejrucie.*

## KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

**PRYMAS**
**Beatyfikacja kard. Stefana Wyszyńskiego odbędzie się 7 czerwca 2020 r. na placu Piłsudskiego w Warszawie – ogłosił kard. Kazimierz Nycz. W 2017 r. Franciszek podpisał dekret o heroiczności cnót prymasa, w październiku br. ogłoszono dekret o cudzie. Dotyczy kobiety uzdrowionej w 1989 r. z nowotworu tarczycy.**

**MOSTY**
**„Nagroda nie jest klamrą zwieńczającą dorobek całego życia, ale jest uznaniem dla pani dotychczasowej postawy i działań" – powiedział Andrzej Wielowieyski do prezydent Gdańska Aleksandry Dulkiewicz podczas wręczenia nagrody „Pontifici – Budowniczemu Mostów", przyznawanej przez warszawski Klub Inteligencji Katolickiej „za zasługi w szerzeniu wartości dobra wspólnego, dialogu i poświęcenia na rzecz bliźnich".**

**BAZYLIKA**
**Archeolodzy ogłosili wyniki trzyletnich badań w Bet Szemesz niedaleko Jerozolimy: odkryto wielką bizantyjską bazylikę z czasów Justyniana Wielkiego (527–565), poświęconą niezidentyfikowanemu męczennikowi. Kościół składał się z trzech naw, zdobiły go mozaiki przedstawiające rośliny, zwierzęta i wzory geometryczne. W drugiej poł. VI wieku został rozbudowany dzięki darowiznom cesarza Tyberiusza II, co uwiecznia mozaika z bizantyjskim orłem cesarskim.**

RDC POLSKIE RADIO

**ELIZA KĄCKA**, autorka tekstu o „Słowniku miejsc wyobrażonych" (s. 81) będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 30 października o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia. | Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie

# Czy Watykanowi grozi bankructwo?

**TAK UWAŻA GIANLUIGI NUZZI,** dziennikarz od lat usiłujący rozwikłać finansowy labirynt Stolicy Apostolskiej. Do księgarń trafiła jego nowa książka „Giudizio Universale" (Sąd Ostateczny). Autor podarował egzemplarz Gianowi Piero Milano, prokuratorowi watykańskiego Trybunału. To samo uczynił dwa lata wcześniej: wtedy jego książka „Peccato originale" (Grzech pierworodny) przyczyniła się do uruchomienia śledztwa ws. wykorzystywania kleryków w rzymskim proseminarium św. Piusa X.

Nuzzi zebrał ponad 3 tys. dokumentów i wywiadów z kościelnymi urzędnikami i dostojnikami, będących zapisem postępującego rozkładu finansów Watykanu. Oto np. konto Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej, czyli watykańskiego banku centralnego, jest wyczyszczone niemal do cna. Operacje finansowe tego urzędu przynoszą straty od 20 do 60 proc. Pięciu kardynałów ma tam tajne konta, np. kard. Giovanni Lajolo posiada prawie 3 mln euro w obligacjach i ponad 200 tys. euro w gotówce. Kolejne tajemnicze konta przypisane są osobom występującym pod pseudonimami, kryjącymi zapewne polityków i biznesmenów prowadzących z Watykanem nielegalne interesy.

PANOS LYKOURGIOTIS / ADOBE STOCK

Nuzzi wykazuje, że cztery lata temu tylko jedną piątą świętopietrza Watykan przekazywał potrzebującym. „Dziś jest jeszcze gorzej: dla biednych idzie połowa tej i tak okrojonej sumy. Cała reszta służy wyrównywaniu deficytu na kontach Stolicy Apostolskiej". Same datki od wiernych w ciągu 12 lat zmalały o połowę (ze 101 mln euro w 2006 r. do 51 mln w 2018). Nietrudno znaleźć przyczynę: skandale pedofilskie.

W tym kontekście musi dziwić komentarz bp. Nunzia Galantino, przewodniczącego APSA, dla dziennika „Avvenire": „Stolicy Apostolskiej nie grozi żaden krach, a opisy dziennikarskie przypominają raczej powieści sensacyjne". Książka Nuzziego dowodzi, że bankructwo jest realnym zagrożeniem, a jeszcze bardziej Watykan powinien martwić się upadkiem moralnym swych urzędników. © BARTOSZ HLEBOWICZ z Florencji

# *Maryja nie potrzebuje dogmatu*

PIOTR SIKORA

W OSTATNICH DNIACH GŁOŚNO ZROBIŁO SIĘ o liście otwartym, który do Franciszka skierowało sześciu biskupów (w tym dwóch kardynałów), z prośbą, by ogłosił dogmat, iż Maryja jest współodkupicielką i pośredniczką wszelkich łask. Nie jest to inicjatywa nowa – w ostatnich stu latach podobnych było kilkanaście – a listy do papieży w tej sprawie podpisało łącznie kilkuset biskupów i co najmniej kilka milionów wiernych. Sygnatariusze poprzednich listów pochodzili ze wszystkich kontynentów, tak jest i tym razem: są to biskupi z Indii, obu Ameryk, Afryki i Europy.

Wizja Matki Bożej, o której zdogmatyzowanie proszono papieży, wyraża szeroko rozpowszechnioną pobożność, jest jednak teologicznie bardzo kontrowersyjna, stawia bowiem Maryję niemal na równi z Jezusem. Więcej ma wspólnego z kultami bogini pośredniczącej między ludźmi a groźnym i odległym najwyższym bóstwem niż z przesłaniem Ewangelii. Dlatego właśnie papieże jak dotąd odnosili się do podobnych próśb z daleko idącą rezerwą. Po Soborze Watykańskim II doszły do tego względy ekumeniczne: ogłoszenie takiego dogmatu bardzo oddaliłoby katolików od protestantów.

Ostatni list zawiera też wątpliwe teologicznie uzasadnienie – jego autorzy rysują wizję szczególnego natężenia walki dobra ze złem, które jakoby właśnie dzisiaj ma miejsce i w którym musimy liczyć na pomoc Maryi. Twierdzą przy tym, że nie tylko „my jej potrzebujemy", ale także „ona potrzebuje nas", i przekonują, że „jeśli uczcimy Naszą Panią w pełni wielkości, którą obdarzył ją nasz Pan, wtedy będzie mogła w pełni sprawować swe macierzyńskie pośrednictwo na naszą korzyść", a Jezus odpowie „nowym historycznie wylaniem Ducha Świętego".

Mamy tu do czynienia z nieco magiczną koncepcją, wedle której istnieje jakaś konieczna zależność pomiędzy ludzkimi, uroczystymi religijnymi deklaracjami na temat Matki Bożej a jej możliwościami (mocą) w duchowej walce i działaniem Boga w świecie. ©℗

# *Śmierć w promocji*

MAREK RABIJ

Produkty ponad 50 fabryk w Bangladeszu, które skreślono z listy dostawców dla dużych koncernów odzieżowych z powodu złych warunków pracy, można nadal kupić w Amazonie – ustalili dziennikarze amerykańskiej gazety „The Wall Street Journal".

W kwietniu 2013 r. na przedmieściach Dhaki zawalił się budynek Rana Plaza, w którym mieściło się pięć fabryk odzieży. Pod gruzami zginęło ponad 1,1 tys. pracowników. Opinia publiczna zmusiła wtedy największe firmy odzieżowe do rewizji warunków pracy w bangladeskich fabrykach, którym giganci zlecają produkcję. Porozumienie Accord on Fire and Building Safety in Bangladesh, do którego przystąpiło blisko 200 producentów, sprawdziło dotąd 1,5 tys. z około 5 tysięcy zakładów szyjących odzież w Bangladeszu. Tych, którzy nie dostosowali się do zaleceń, koncerny skreśliły z listy potencjalnych dostawców.

„Spełnienie wymogów technicznych to kwestia płynności finansowej" – mówi tymczasem dziennikarzom WSJ menedżer jednej z firm, która po 2013 r. straciła prawo dostaw dla zachodnich kontrahentów. I daje do zrozumienia, że jego firmy na to nie stać, bo klienci z Zachodu nadal żądają towaru jak najtaniej, wykorzystując fakt, że producent znalazł się na czarnej liście. Fabryka zaopatruje dziś sklepy w USA, które sprzedają także w serwisie Amazon. A gigant e-handlu ma do powiedzenia tylko tyle, że wymaga od swoich kontrahentów przestrzegania prawa (dopiero po publikacji materiału Amazon wycofał trefne produkty).

Warto więc wyjaśnić, o jakich wyśrubowanych wymogach mowa. To m.in. wymiana kraty zamykanej na kłódkę na drzwi przeciwpożarowe. Tuż po katastrofie Rana Plaza zwiedzałem w Bangladeszu zgliszcza pobliskiej fabryki Tazreen Fashion, w której pożar zabił ponad 120 pracowników. Gdy zauważono ogień, menedżerowie zamknęli na klucz personel na górnych piętrach, żeby najpierw ewakuować magazyn.

Proszę o tym pamiętać, kiedy następnym razem rzuci się Państwu w oczy okazyjna oferta ubrań w internecie. Takie promocje zazwyczaj kogoś drogo kosztują. ©℗

## Igrzyska są kobietą!

**JEDNYM PRZYPOMINA SZYLD** zakładu fryzjerskiego, drugim logotyp Tindera, jeszcze inni widzą w nim postać Rachel z serialu „Przyjaciele". A Marine Le Pen, przywódczyni francuskiej skrajnej prawicy, z satysfakcją oświadcza, że wygląda jak symbol jej partii. Jednak przedstawiony w minionym tygodniu logotyp igrzysk olimpijskich Paryż 2024 inspirowany jest złotym medalem, płomieniem olimpijskim i wizerunkiem francuskiej Marianny. Jego twórcom, czerpiącym ze stylistyki art déco, której szczyt popularności przypadł podczas innych paryskich igrzysk, dokładnie przed wiekiem, udało się skonstruować symbol elegancki i czytelny. We francuskim projekcie, po raz pierwszy w historii igrzysk, użyto wizerunku twarzy; po raz pierwszy znak ten będzie wspólny dla igrzysk olimpijskich i paraolimpijskich, by podkreślić wspólną wizję – sportu, który zmienia życie.

Tak jak zmienił życie belgijskiej mistrzyni paraolimpijskiej Marieke Vervoort, zdobywczyni złota w Londynie oraz srebra i brązu w Rio de Janeiro, przez 40 lat cierpiącej na nieuleczalną chorobę zwyrodnieniową mięśni i kręgosłupa. Wielokrotnie podkreślała w wywiadach, że sport jest dla niej sposobem na walkę z niewyobrażalnym bólem, jaki niesie ze sobą choroba. Marieke poddała się eutanazji w swoim rodzinnym mieście, dzień po oficjalnej prezentacji nowego symbolu olimpijskiego. Który jest kobietą.

©℗ MARTA FILIPIUK-MICHNIEWICZ

ZINYANGE AUNTONY / AFP / EAST NEWS

*Wzmożona obecność policji na ulicach Harare to m.in. efekt zamieszek z sierpnia 2019 r.*

## Zimbabwe na skraju zapaści

**CO NAJMNIEJ 55 SŁONI** zmarło z głodu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy w Parku Narodowym Hwange w Zimbabwe. To konsekwencja suszy, a także faktu, że w parku, gdzie zwykle żyje 15 tys. osobników, teraz jest ich aż 53 tys. W poszukiwaniu wody i jedzenia słonie i lwy coraz częściej zapuszczają się w pobliże siedzib ludzkich.

Ta wiadomość przebiła się do mediów. Mniej mówi się o kryzysie, który w tym 18-milionowym państwie może zagrozić także życiu ludzi. W minionym tygodniu w Harare, stolicy kraju, ustawiały się kolejki po benzynę, niektóre sklepy zamknięto. Bezpośrednią przyczyną zapaści było opodatkowanie transakcji elektronicznych (w Zimbabwe popularny jest system drobnych płatności przez SMS, tzw. *mobile money*), ale gospodarka stacza się po równi pochyłej głównie za sprawą wieloletnich zaniedbań z czasów 37-letnich, zakończonych dwa lata temu, rządów Roberta Mugabego (który zmarł we wrześniu).

Na czele państwa stoi teraz Emmerson Mnangagwa, który namawia zagranicę do inwestycji i apeluje o pomoc w spłacie 18 mld dolarów długu. Zachód jest jednak ostrożny, tym bardziej że po wygranych w lipcu przez Mnangagwę wyborach powróciły represje polityczne.

©℗ MARCIN ŻYŁA

## KULTURA W SKRÓCIE

**GERALT W MIŃSKU**
Dostępne od kilku dni białoruskie tłumaczenie „Wiedźmina" Andrzeja Sapkowskiego w całości sfinansowali czytelnicy. Na platformie crowdfundingowej zamówiło ją pięć razy więcej chętnych niż zakładał cel zbiórki. Przekładu książki, czytanej dotąd na Białorusi tylko w języku rosyjskim, podjęła się Kaciaryna Macijeuskaja. A jeszcze w tym roku Netflix pokaże pierwszą serię „Wiedźmina" z Henrym Cavillem w roli Geralta.

**„ZIMNA WOJNA" W BERLINIE**
Widzowie z całej Europy jeszcze do 31 października mogą zagłosować na Europejski Film Roku. Wśród kandydatów w tej kategorii znajduje się również „Zimna wojna" Pawła Pawlikowskiego. Spośród głosujących rozlosowane zostaną bilety na galę wręczenia Europejskich Nagród Filmowych w Berlinie.

**SENCOW W TORUNIU**
Polska Akademia Filmowa przyznała ukraińskiemu reżyserowi Olegowi Sencowowi Orła Specjalnego za „odwagę i niezłomność". Podczas pobytu w Polsce został on także wyróżniony „Złotym Aniołem" Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Tofifest w Toruniu za „twórczą niepokorność". Pytany o swoje plany Sencow przyznał, że chce dokończyć film „Nosorożec", nad którym pracę przerwało jego aresztowanie.

**KNAUSGÅRD W PRZYSZŁOŚCI**
Autor „Mojej walki" Karl Ove Knausgård dołączył m.in. do Margaret Atwood, Davida Mitchella i Elif Şafak jako szósty autor, który przekaże swoje najnowsze dzieło na rzecz Biblioteki Przyszłości. Projekt ten gromadzi utwory napisane przez znanych współczesnych pisarzy, które ukażą się w formie antologii dopiero w 2114 r. Do tego czasu manuskrypty będą przechowywane w bibliotece w Oslo.

EDYTA DUFAJ / KBF

*Olga Tokarczuk z Michałem P. Markowskim na Conrad Festival 2019, ICE Kraków, 26 października 2019 r.*

## Conrad: festiwal wielu rzeczywistości

**PYTANIE O ZWIĄZEK LITERATURY** z rzeczywistością jest stare jak świat, ale nie było jeszcze epoki, która nie udzieliłaby na nie własnej odpowiedzi. Więcej: nie było takiej pisarki, która nie szukałaby nowej formuły, nowego pomostu między tymi sferami. Festiwal Conrada powstał z przeświadczenia, że literatura jest częścią naszej formy życia. Zawdzięczamy jej jeden z najlepszych języków, za pomocą których możemy myśleć, rozmawiać i pisać o tym, co składa się na rzeczywistość w jej najprzeróżniejszych wymiarach.

Podczas tegorocznej edycji zastanawialiśmy się nad strukturą dzisiejszego świata, przyglądaliśmy się jego przestrzeniom, próbowaliśmy uchwycić jego zmienne pasma: emocjonalne, egzystencjalne, duchowe, polityczne i ideologiczne. W języku polskim „rzeczywistość" to wistość rzeczy, czyli to, co nam się jawi, co postrzegamy zmysłami. Ale np. w angielszczyźnie o rzeczywistości mówimy za pomocą słowa *actuality*, którego źródłosłów wskazuje na działanie. Literatura ukazuje nam różne światy i wpływa na nie, pozwala nam w pojedynkę i wspólnie te światy kształtować. W tym roku przekonaliśmy się, że wspólnie z nami działają nie tylko pisarki i pisarze, ale i nasza publiczność. Wszystkim, którzy nas odwiedzili, należą się podziękowania, ale szczególne wyrazy wdzięczności kierujemy pod adresem tych, którzy wsparli nas finansowo (803 darczyńców przekazało nam 77 777,77 zł!). Festiwal, organizowany przez Miasto Kraków, Fundację Tygodnika Powszechnego i Krakowskie Biuro Festiwalowe, jest wspólną rzeczą ludzi, dla których rzeczywistość bez literatury jest niepełna.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

## Moc kwantów

**3 MINUTY I 30 SEKUND** – tyle zajęły komputerowi kwantowemu stworzonemu przez Google'a obliczenia, na które – według oszacowań – nawet gigantyczny klasyczny superkomputer wyposażony w milion jednostek obliczeniowych musiałby poświęcić... 10 tys. lat. O osiągnięciu „kwantowej supremacji" i narodzinach nowej epoki w informatyce zespół kierowany przez Johna Martinisa z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara i pracownika Google'a poinformował w „Nature".

Klasyczne komputery dokonują obliczeń na bitach, które mogą przyjąć tylko jeden z dwóch stanów (tradycyjnie 1 lub 0), „bit" kwantowy (tzw. kubit) może przyjmować również stany pośrednie. To trochę tak, jak gdyby zastąpić proste przełączniki pokrętłami. Ta dodatkowa swoboda oznacza możliwość wykonywania obliczeń, które w świecie bitów są niewyobrażalnie żmudne.

Na razie urządzenie Google'a nie rozwiązało żadnego istotnego problemu matematycznego – badaczom chodziło o pokazanie, jakie możliwości w nim drzemią, i udowodnienie, że kwantowe komputery mogą występować w fizycznej rzeczywistości – a nie tylko na kartce papieru.

Inżynierowie z firmy IBM, także pracującej nad komputerem kwantowym, twierdzą w artykule, który nie został jeszcze opublikowany w recenzowanym czasopiśmie naukowym, że problem wybrany do testów mógłby zostać rozwiązany przez klasyczne komputery znacznie szybciej – w czasie 2,5 dni – gdyby zastosowano w nich inny algorytm. To wciąż oznaczałoby jednak, że komputery kwantowe znacznie przeważają nad klasycznymi – zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że powstał dopiero pierwszy prototyp.

© ŁK / NATURE.COM

TEMAT TYGODNIKA

# ALMA ZNACZY DUSZA

ANJA FRANCZAK:

Żałoba to nie tylko ból. Po czterech latach doszłam do punktu, w którym więcej we mnie miłości niż rozpaczy.

**PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Zacznijmy od końca. Od spaceru.**

**ANJA FRANCZAK:** W sierpniu tego roku byłam w Karlsruhe na cmentarzu, wielkim jak niejedna dzielnica. Innym niż w Polsce: na grobach rosną kwiaty i krzaki, nie ma betonu, za to jest dużo natury. Trawa, drzewa, rośliny.

W środku cmentarza znajduje się wydzielona przestrzeń.

**„Ogród życia" według projektu pedagożki specjalnej Barbary Kieferle-Stotz. Symboliczne odwzorowanie procesu żałoby.**

Tu nie ma już grobów. Na teren instalacji wchodzimy wąską ścieżką, po bokach roślinność: kwiaty, drzewa. Zapachy, słychać śpiew ptaków. Życie.

**O życiu – nowym życiu – dowiedziała się Pani ponad cztery lata temu.**

Podczas najzwyklejszego badania u ginekologa. Wtedy moje życie pozornie wyglądało na ustabilizowane: od kilku lat ta sama praca, związek.

A równocześnie wspominam tamten okres jako czas napięcia. Dużo się wtedy martwiłam, wielu rzeczy się bałam. I byłam niepewna siebie: pochodzę z niemiecko-chorwackiej rodziny, ale poznałam Polaka, więc zamieszkałam w obcym dla siebie wówczas miejscu. Mimo że osiągnęłam różne sukcesy, cały czas myślałam, że muszę być lepsza, że niewiele potrafię.

Po tym, jak dowiedziałam się o dziecku, wpadłam w wir paradoksalnych emocji: wiele radości, trochę lęku. Dominowało jednak szczęście.

**Jak by je Pani opisała?**

Jak na początkowym etapie „Ogrodu życia": czujesz wszystkimi zmysłami życie. „Coś" we mnie rośnie, rozkwita. Coś, co jest już częścią mnie, a równocześnie w dużym stopniu poza moją kontrolą. Trudno tę więź ubrać w słowa: to coś pierwotnego, bardzo biologicznego i jednocześnie duchowego. Moje dziecko było tak małe, że nie czułam nawet jeszcze jego ruchów. Widziałam tylko kropkę na ekranie podczas badania.

**Rozmawialiście.**

„Zrobię wszystko, żeby ci było na tym świecie dobrze" – mówiłam. Albo: „To niesamowite, że jesteś, że będziemy się poznawać". W relacji dziecka z matką miłość jest od początku. Kobieta jest matką od tego momentu, kiedy dowiaduje się o ciąży. Widzi po sobie zmianę: pojawia się koktajl hormonów, który nie pozwala zapomnieć, że jest inaczej, niż było. Budzisz się rano z myślą: „Wow, jestem w ciąży!". Zmieniają się priorytety. Odwołałam udział w konferencji, bo słabo się czułam. Wcześniej bym tego nie zrobiła.

**Idziemy tą ścieżką życia, ale w oddali widzimy bramę.**

Symbolizuje ona moment straty. Po jej przekroczeniu wszystko się zmieni, ale na razie tego nie widać. Albo inaczej: nie widać tego ze ścieżki, którą opisałam na początku. Bo można też wybrać inną, prowadzącą wzdłuż muru, i chyba lepiej oddającą moją historię. W tym murze są okienka. Widać przez nie zupełnie inny krajobraz: ciemno, ponuro, na ziemi porozrzucane kamienie. To jakby wgląd w powierzchnię innej planety.

Ta ścieżka opowiada o doświadczeniu wielu osób, którzy np. opiekują się chorą osobą w rodzinie: wiesz albo przeczuwasz, że niedługo wszystko się zmieni. Że przyjdzie śmierć.

**U Pani była kolejna wizyta u ginekologa.**

Podczas której lekarka, badając mnie, zamilkła. Wtedy już czułam, że coś jest nie tak. Pojawiły się niepewność i lęk. Tak jakbym zaglądała przez te okna. Choć wówczas jeszcze o tym nie wiedziałam. Może dlatego, że u nas w ogóle nie mówi się o czymś, co jest doświadczeniem nawet co czwartej kobiety w ciąży! Myślałam wcześniej, że to się dzieje raz na tysiąc.

Gdy pani doktor wreszcie przemówiła, powiedziała, że „to nie jest idealny obraz" i że „nie może znaleźć bicia serca". Ale ↦

AGATA GRZYBOWSKA DLA „TP"

↦ dodała, że to jeszcze nic nie znaczy. Zaleciła dodatkowe badania. Wyszłam. Pojawiły się niepewność i lęk. Tak jakbym zaglądała przez te okna.

Następne dni były najgorszymi w moim życiu. Najpierw był SMS od lekarki po tym, jak dostała wyniki kolejnych badań. Jakkolwiek to brzmi, taka jest prawda: informację, że moje dziecko nie żyje, dostałam SMS-em.

**Co w nim było?**

„Niestety, wyniki nie są w normie, ciąża nie rozwija się prawidłowo. Bardzo mi przykro. Proszę przyjść na konsultację w czwartek".

Była niedziela.

**Brak empatii? Lęk?**

Chyba i jedno, i drugie. Lęk wynikający z braku edukacji, ćwiczenia, doświadczenia. Czy na studiach medycyny nie uczy się tego, jak przekazać złe wiadomości w sposób empatyczny? Jest to przecież jedno z największych wyzwań i najtrudniejszych zadań lekarzy.

Odpisałam, że nie chcę czekać, że muszę przyjść nazajutrz. W poniedziałek pojechałam do innej przychodni. Siedzę w poczekalni. I nagle mija mnie moja pani ginekolog. Okazało się, że pracuje i tutaj. Przeszła obok. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że tylko udała, że mnie nie widzi...

Weszliśmy z moim partnerem do gabinetu. Za stołem starsza lekarka, wzięła wyniki, zaczęła je wertować. Powiedziała: „A, no to trzeba TO wyskrobać". Mój partner potem stwierdził: „Nie wierzę, że użyła takich słów"...

Dostałam skierowanie do szpitala. Bez jednej choćby informacji. Co się stało? Dlaczego? Co mi będą robić?

**Potem noc. I kolejne dni.**

Szukałam miejsca w szpitalu. Codziennie jechałam do innego, i po kilku godzinach czekania okazywało się, że nic z tego. Nie było wolnych miejsc. Dopiero później się dowiedziałam, że w Warszawie codziennie dziesiątki kobiet tracą dzieci.

W każdym z tych szpitali próbowałam się czegoś dowiedzieć. „To pani ginekolog niczego nie mówiła?" – pytali. A przecież lekarka powiedziała: „Wszystkiego dowie się pani w szpitalu". Raz złapałam jakiegoś młodego, totalnie zestresowanego lekarza, i wymusiłam na nim informacje. Przekazywał je na korytarzu, wśród tłumu ludzi.

Przez te kilka dni oczekiwania w nocy budził mnie mój własny płacz. Moje ciało przejęło nade mną kontrolę. Byłam odrętwiała. Przerażenie było tym większe, że ktoś z rodziny mnie nastraszył: gdzieś słyszał, że noszenie zmarłego płodu zagraża matce. Później się okazało, że to bzdura, ale wtedy uwierzyłam i siedziałam sparaliżowana lękiem.

Po trzech dniach przyszła informacja: jest wolne miejsce. Dopiero w tym szpitalu poczułam ulgę: wreszcie miejsce, w którym ktoś się mną zajmie.

Pamiętam, że leżąc na tym oddziale odruchowo sama siebie obejmowałam rękami.

**Sama siebie Pani przytulała?**

Robiłam podświadomie coś, czego nie zrobił nikt naokoło. Jakbym chciała w zastępstwie tych ludzi powiedzieć: „Tak, wiem, że stało się coś strasznego, zmarł ktoś dla ciebie najbliższy. Nie mogę nic konkretnego zrobić, ale będę z tobą". W tym szpitalu zdałam sobie sprawę, że jestem kompletnie sama.

**Potem zabieg. I wypis.**

Kiedy w Karlsruhe przekracza się próg wspomnianej bramy i wkracza w nową przestrzeń, najbardziej wstrząsający jest kontrast. Przecież przed chwilą była bujna roślinność, intensywne zapachy, kolory. Nagle pojawia się to, co było widać przez okna: czerń, szarość, na sporej przestrzeni same kamienie. Nie rozpoznajesz tego świata, nie wiesz, gdzie jesteś. Żałoba jest jak obcy kraj. Nie masz mapy, nie wiesz, dokąd pójść.

**Pani też wtedy nie wiedziała.**

Więcej: nie miałam dostępu do swoich emocji. Czułam się strasznie, ale więcej w tym było pustki, odrętwienia i fizycznego bólu niż świadomego poczucia straty, do którego nie dałam sobie prawa. W tym sensie weszłam w jakiś rodzaj między-przestrzeni, której w ogóle w tej instalacji w Karlsruhe nie ma.

Ta przestrzeń to narracja: „Nic się nie stało". Nieraz słyszałam takie zdania jak: „Wkrótce będziesz miała kolejne dziecko" albo „Przynajmniej teraz wiesz, że możesz zajść w ciążę". Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy, ale takie przekazy w pewnym sensie bagatelizują to, co się stało.

Dopiero później uzmysłowiłam sobie pewien kulturowy paradoks: w Polsce bardzo dużo się mówi o złu aborcji, są głośne ruchy *pro-life*, które podkreślają, że życie jest ważne od poczęcia. A równocześnie gdy kobieta poroni, nie traktuje się tego jak śmierci. Nikt już nie mówi: „Tak, to był twój syn albo twoja córka, masz prawo do rozpaczy".

Ten stan pustki u mnie trwał kilka tygodni. A potem się kompletnie załamałam. Odezwała się nie tylko moja psychika, ale też ciało. Problemy zdrowotne, które miałam, coraz bardziej się nasilały. Np. moja alergia wybuchła z taką mocą, że nie dało się jej kontrolować.

**Pracowała Pani?**

Tak, ale zdarzało mi się, będąc w biurze, zamykać się na pół godziny w toalecie, by płakać. Potem wracałam i udawałam, że wszystko jest w porządku. To musiało pęknąć.

**Co się wydarzyło?**

Zaprosiła mnie sąsiadka, która dopiero co urodziła. Poszłam. Patrzyłam na nich, wmawiając sobie, że ten widok nie ma nic wspólnego ze mną. Stałyśmy w łazience, ona myła dziecko. Podała mi w którymś momencie do potrzymania sweterek. Pamiętam smak tej sceny, dotyk tego ubranka. Wtedy coś we mnie pękło. Poczułam, że muszę wyjść.

W domu zaczęłam płakać i nie mogłam przestać. Nie wiem, jak długo to trwało, na pewno kilka godzin. A potem – z przerwami – kilka kolejnych dni. Być może dopiero w tym momencie wkroczyłam do wspomnianej przestrzeni z kamieniami w Karlsruhe, dopiero od tego momentu rozpoczęła się moja żałoba.

Ta rozpacz, ale też towarzyszące jej choroby, dolegliwości, przerwy w pracy – to wszystko trwało prawie rok. W tym czasie byłam raz w szpitalu w Niemczech, który leczy choroby skóry w sposób holistyczny, bez użycia sterydów. Po raz pierwszy rozmawiałam tam z psycholożką o mojej stracie. Zyskałam dostęp do własnych emocji. I świadomie przeżyłam ten najcięższy etap: mrok, szarość, samotność.

**W „Ogrodzie życia" z tej otoczonej płotem przestrzeni przechodzi się do kolejnej.**

Ale – co ważne – to nie jest wędrówka „linearna". Bo też żałoba, wbrew wielu

mitom i stereotypom, nie ma takiego charakteru. Model sukcesywnych faz żałoby już od dłuższego czasu uważany jest za przestarzały. Za mało ma wspólnego z rzeczywistością.

**Wraca życie: znowu drzewa, trawa, kwiaty. Są ścieżki, a przy nich kolejne elementy instalacji. Zwykle odnoszące się do emocji.**

Zaraz po wyjściu ze strefy kamienistej natrafiamy na drewnianą rzeźbę wyglądającą jak ściana. W ścianie jest dziura w kształcie ludzkiego ciała. Chodzi moim zdaniem o bycie i niebycie – ktoś w tym obrazie jest obecny poprzez brak. Szczególnie na początku żałoby wszystko przypomina kochaną, utraconą osobę. Dosłownie wszystko może wyzwalać emocje, nie tylko biegające w parku dzieci albo kobiety w ciąży. To może być piękna przestrzeń ze wspaniałą pogodą – widzisz ten krajobraz i myślisz, że twoje dziecko tego nigdy z tobą nie zobaczy.

**W „Ogrodzie życia" leżą głazy. Do czego się odnoszą?**

Można ich obecność interpretować dowolnie, ale na tablicach jest napisane, że odsyłają do poczucia winy. „Zrobiłem coś nie tak", „za mało"...

**Pani też tak myślała?**

Może to ta gorąca kąpiel? Ten jeden papieros zapalony, gdy jeszcze nie wiedziałam, że jestem w ciąży? Leki? Przez jakiś czas byłam wręcz przekonana, że zabiłam swoje dziecko. A gdy dzieliłam się tą myślą z innymi, natrafiałam na ostre reakcje. „Bullshit", „głupota", „chore" – słyszałam. Nie da się powiedzieć osobie po stracie gorszej rzeczy: do poczucia winy dodajemy w ten sposób informację: „Coś jest z tobą nie tak".

Doznałam ogromnej ulgi, dowiadując się później, że poczucie winy to wszechobecna emocja przy stracie. I że ona coś nam daje. W konfrontacji ze śmiercią doświadczamy bezradności, całkowitej utraty kontroli. Paradoksalnie łatwiej konfrontować się z wyimaginowaną winą niż z bezradnością. Dlatego trzeba po prostu uznać, że to poczucie winy jest. A potem przyglądać się temu, co jest jego treścią, i rozbrajać na poziomie racjonalnych argumentów.

Rozmawiałam z wieloma ludźmi po stracie. Może to pana zdziwi, ale pytanie, które słyszę najczęściej, brzmi: „Czy to jest normalne?". „Czy to normalne, że codziennie chodzę na cmentarz?" – zapytał ktoś, prawdopodobnie dlatego, że tę „nienormalność" zasugerował jego bliski. „Czy to normalne, że minęło pół roku, a ja nie ruszyłam jego pokoju?".

Tak, to normalne!

AGATA GRZYBOWSKA DLA „TP"

**Wszystko może wyzwalać emocje,** nie tylko biegające w parku dzieci albo kobiety w ciąży. To może być piękna przestrzeń ze wspaniałą pogodą – patrzysz i myślisz, że twoje dziecko nigdy tego z tobą nie zobaczy.

**Kolejna stacja „Ogrodu życia": ogromne drzewo z opadającymi niemal do ziemi liśćmi. Pod nim duży kawał drewna z wyciętym napisem: „wut" („złość").**

Przed nim sterczą z ziemi trzy grube rury, przypominające kawałki rynien. W te „rynny" każdy przechodzący może wrzasnąć, co chce. One nie tłumią krzyku, tylko go przejmują.

**Co ma złość do żałoby?**

To może być złość z powodu straty, złość na Boga albo na ludzi, którzy nie dostrzegają mojego cierpienia.

We mnie też była złość. Znalazłam do niej dostęp po spotkaniu ze znajomą z czasów studenckich w Niemczech. Opowiedziała mi o swojej stracie dziecka. Tylko że jej historia różniła się od mojej: ona została przez ludzi będących częścią całego systemu ochrony zdrowia poprowadzona za rękę. Od początku ją o wszystkim informowano, wspierano, także psychologicznie. Opowiedziała mi też, że została jej przydzielona „towarzyszka w żałobie": osoba również doświadczona stratą, która pomagała jej w organizacji pogrzebu, wspierała psychologicznie, uczyła rozmawiać, także z kilkuletnim synkiem – o stracie. Gdy mi to opowiadała, pojawiła się złość – na to, jak ja zostałam potraktowana przez tych, którzy kazali mi „iść do przodu".

W Karlsruhe jest jeszcze inna drewniana rzeźba. Tłum gdzieś biegnących osób – widzimy tylko ich nogi. Pod spodem napis: „Zatrzymaj się". To nie jest łatwe: bliscy i przyjaciele kogoś, kto doświadczył straty, często nie wiedzą, jak zareagować. Więc często się wycofują. Od pewnej wdowy usłyszałam, że jak szła po śmierci męża ulicą, to niektórzy przechodzili na drugą stronę.

Najlepszym sposobem na ten lęk jest najprostsze zdanie pod słońcem: „Nie wiem, co powiedzieć". Można wyrazić swoją niepewność. Wtedy zbliżamy się do drugiego człowieka.

**Pani udało się zaprosić wielu bliskich do swojego świata żałoby.**

Od kiedy zaczęłam świadomie przepracowywać swoją stratę, jestem w stanie wyrazić lepiej to, czego potrzebuję. Więc zaprosiłam też swoich najbliższych do uczestnictwa w zadaniach – bo w żałobie musimy zmierzyć się z różnymi zadaniami. Jednym z nich jest ustalenie, kim zmarła osoba była dla nas i kim była w systemie rodzinnym. Dzisiaj jestem w nowym związku, w którym historia mojego dziecka też ma swoje miejsce. Pewnego dnia spytałam męża, czy nie chciałby mojego dziecka „zaadoptować". Przecież gdyby nie zmarło, pewnie dzisiaj żyłoby razem z nami. Zgodził się, był wzruszony.

To ustalenie miejsca w rodzinie jest szczególnie trudne w przypadku nienarodzonych dzieci. One przecież jeszcze tego miejsca nie miały. Trzeba je im nadać.

**Kolejne zadanie: rytuał pożegnania.**

W moim przypadku to kolejna opowieść o walce, także z systemem. Ta historia zaczyna się już w szpitalu. Po poronieniu podsunięto mi formularz. Wśród medycznych pytań pojawiło się takie, które mnie zaskoczyło: czy chcę pochować swoje dziecko?

↦

W ogóle o tym wcześniej nie myślałam. Byłam w szoku.

To pytanie w zasadzie przeczytała mi pielęgniarka, odhaczając kolejne odpowiedzi. Kiedy pytałam, z czym to się wiąże, usłyszałam: „Oj, to będzie bardzo skomplikowane. Musiałaby się pani ubiegać o kolejne dokumenty". Dodała, że nie mogę „tego" – bo nie padło, o ile pamiętam, słowo „dziecko" – sama transportować. Muszę zamówić karetkę albo karawan.

Obrazy, które uruchomiła w mojej głowie, były przerażające: duża trumna dla kilkugramowego stworzenia. A nie miałam świadomości, jakie to ważne, i nikt wokół mnie jej nie miał. Nie dałam sobie prawa do posłuchania samej siebie.

**A potem to do Pani wróciło.**

Dopiero w tym roku. Poszłam do szpitala i spytałam, co robią z dziećmi takimi jak moje. Okazało się, że zbierają płody w chłodni, a dwa razy w roku są one odbierane przez zakład pogrzebowy i zbiorczo chowane. Po wielu próbach uzyskania jakichkolwiek informacji na temat miejsca pochówku, w końcu dowiedziałam się czegoś od proboszcza parafii. Udało mi się dotrzeć w to miejsce. Znalazłam zbiorczy grób dzieci nienarodzonych na cmentarzu.

**Jak Pani zareagowała?**

Niewiele mi to dało. Widać było, że może od czasu do czasu ktoś tu bywa, ale ogólnie jest to miejsce niezadbane. Wokół dużo śmieci, plastikowych butelek, opuszczonych grobów. Z jednej strony czułam ulgę, że tu dotarłam, a z drugiej myślałam: „To tutaj leży moje dziecko?". Byłam smutna. Powiedziałam: „Przykro mi, że tutaj jesteś". Była też jakaś część mnie, ta podejrzliwa, która myślała: skoro cała ta procedura pochówku jest taka skomplikowana i w dodatku tajna – bo o terminie nie informuje się rodziców – to kto da mi gwarancję, że moje dziecko naprawdę tu jest?

Miałam ze sobą słoik, wypełniłam go ziemią. Potem poszliśmy razem z mężem na spacer nad Wisłę. Znaleźliśmy kamień, zaniosłam do kamieniarza, który wygrawerował na nim imię: Alma.

**Brzmi jak imię dziewczynki.**

Moje dziecko umarło, zanim ktokolwiek był w stanie ustalić jego płeć. Po tej śmierci zdarzało mi się mówić albo myśleć, że to „mała dusza", która mnie tu – na świecie – na chwilę odwiedziła. Odkryłam, że w hiszpańskim dusza to właśnie „alma". W kilku krajach jest to imię żeńskie, a z kolei w Bośni – męskie. „Alma – 2015" – taki napis został wygrawerowany na kamieniu.

Wzięliśmy tę ziemię, ten kamień, i pojechaliśmy do mojej rodzinnej miejscowości w Niemczech. Razem z moimi rodzicami pojechaliśmy na cmentarz. Tata wykopał niewielki dołek, wsypałam do niego ziemię ze słoika. Wszystko odbyło się – choć nie było tak planowane – w Wielkanoc. Miałam w oczach łzy: to było piękne domknięcie.

**Choć nie koniec wędrówki przez żałobę.**

To tak jak w „Ogrodzie życia", gdzie droga nie wiedzie z punktu A do B. Spacerujemy, zatrzymujemy się, idziemy dalej, czasem wracamy.

Jest tam most, który po wejściu nań okazuje się wyjątkowo niestabilny, chwiejny. Żałoba to stan, w którym musimy się na nowo uczyć życia, emocji, rozmawiania z ludźmi.

W ogrodzie jest mała górka, na której można usiąść i odpocząć od żałoby. Spojrzeć na drogę, którą się już pokonało. Zobaczyć, ile udało się przetrwać.

**Nieopodal cmentarza jest Centrum Żałoby.**

Stworzone także przez Barbarę Kieferle-Stotz. Lokalizacja Centrum jest nietypowa: zwykle tego rodzaju placówki są oddalone od miejsca, z którym kojarzy się cierpienie. Ta instytucja oferuje różne rodzaje wsparcia. Są grupy podzielone na kategorie: starsi, którzy stracili partnerów bądź współmałżonków; młodzi wdowcy i wdowy; rodzice po stracie dzieci. Centrum oferuje oprowadzanie po „Ogrodzie życia" również ludziom, którzy jeszcze nie doświadczyli straty. Oferuje im obraz, symbol, by lepiej sobie wyobrazili, jak się czuje osoba w żałobie.

Centrum w Karlsruhe zyskało z czasem takie uznanie, że miasto stworzyło specjalne stanowisko pracy: towarzysza w żałobie.

**Którym i Pani postanowiła zostać.**

Najpierw dużo czytałam. Później zgłosiłam się do instytutu w Heidelbergu, który prowadzi podwójny kurs: na duszpasterza i na towarzysza w żałobie. Postanowiłam się zapisać. Kurs trwa rok, jeżdżę tam z Warszawy raz na sześć tygodni.

Ale gdy się tam zgłosiłam, nie wiedziałam jeszcze, że zajmę się tym zawodowo. Chodziłam w Polsce jako wolontariuszka

ULI DECK / DPA / PAP

do hospicjum, i na podstawie spotkań z pacjentami doszłam do wniosku, że nie jestem do podobnych rozmów przygotowana.

Rozpoczęłam kurs, a równocześnie otworzyłam bloga „Sprawy ostateczne". Zaczęli do mnie pisać ludzie z całej Polski. Coraz częściej rozmawiałam z ludźmi po stracie.

**W Niemczech towarzysz w żałobie to już część systemu wsparcia.**

Zatrudniają go nawet zakłady pogrzebowe. Ale też hospicja. Bywa finansowany – jak w Karlsruhe – z lokalnych budżetów.

**W Polsce to instytucja nieznana.**

W ogóle brakuje miejsc, do których ludzie po stracie mogliby się zwracać. W Warszawie istnieje wspaniała fundacja, „Nagle sami". Ale na miasto, w którym mieszkają dwa miliony ludzi, mogłoby istnieć dwadzieścia takich miejsc.

**Są terapeuci, działają – np. przy hospicjach – grupy wsparcia. Czym na ich tle jest towarzysz żałoby?**

Po angielsku brzmi to nie do końca ciekawie: *grief counselor*, czyli „doradca". Wolę niemieckie *Begleiter*, a więc właśnie „towarzysz".

Towarzysz to ktoś, kto nie pokazuje drogi – on idzie obok ciebie na twojej drodze. Jako towarzyszka dysponuję wiedzą, ale kiedy wchodzę w relację z drugą osobą, staram się zapomnieć o tej wiedzy. Nie myślę o teoriach, modelach i etapach żałoby, bo mogą nie pasować do emocji człowieka, który siada naprzeciwko.

Poza tym towarzyszenie w żałobie to jednak ścisła specjalizacja – terapeuta zwykle zajmuje się szerszym wachlarzem ludzkich problemów. Idąc dalej: terapia ma sformułowany na początku cel – co chce osiągnąć. Ja nic nie chcę osiągnąć: stwarzam przestrzeń do tego, by ta osoba mogła być taka, jaka w danej chwili jest. Wszystkie myśli i emocje mogą być wyrażone. Nie oceniam.

**Pani na to nie pozwolono.**

Nie tylko mnie. Jesteśmy jako społeczeństwo bardzo niecierpliwi. Istnieje presja, by jak najszybciej wrócić: do zdrowia, do radości, do „normalnego" stanu. Irytują mnie oczekiwania, jakie do osób w żałobie miewają ich bliscy. „Ludzie, wy na serio uważacie – myślę sobie wtedy – że jak ktoś po trzech miesiącach nie posprzątał szafy po żonie, to jest z nim coś nie tak?!".

I tu wracamy do roli towarzysza: przy nim smutek może sobie trwać tyle, ile po prostu trwa. A człowiek może odnajdywać we własnym tempie źródła swojej siły. Tych momentów – czasem w codzienności, czasem w pamięci – dzięki którym może być z dnia na dzień trochę lepiej, mimo że generalnie, przynajmniej na razie, jest strasznie.

**Wróćmy na moment do „Ogrodu życia". Jest tam jeszcze inny przystanek. Z trzykrotnie powtórzonym napisem: „liebe" – „miłość".**

Wiąże się to z osobą Rolanda Kachlera, psychologa, który prowadził zajęcia na moim kursie. Instruował, by wyobrazić sobie, że niesiemy swoją żałobę na dwóch dłoniach. Na jednej jest rozpacz, ból – na drugiej miłość i poczucie więzi. Żałoba to splot obu dłoni.

Kachler jest w Niemczech znaną postacią, wydał kilka książek o stracie. To pionier nowego myślenia o niej. Jeszcze w latach 80. głównym założeniem było uznanie żałoby za coś, co kończy się swoistym oddzieleniem od osoby, którą straciliśmy, „pójściem dalej". Kachler sam tak uważał, dopóki nie stracił w wypadku 16-letniego syna. Trafił na nurt badań żałoby w Stanach Zjednoczonych, którym zajmował się Dennis Klass, autor książki „Continuing bonds", co można przełożyć jako „Nieprzerwane więzi".

To się wiąże z napisem „miłość", o którym pan wspomniał. Przychodzą w żałobie momenty, w których ból przestaje być doznaniem nie do zniesienia, i wtedy możesz znowu poczuć miłość do tego, kogo straciłeś.

**Pani nadal jest w żałobie?**

Jeśli definiujemy ją tylko jako okres bólu i rozpaczy – to już nie. Pozbyłam się też poczucia winy i poczucia bycia ofiarą. Pewnie, że pojawia się smutek. Ale to już nie jest ten smutek jak z koszmarów. Raczej znany mi i oswojony gość, którego – może bez większego entuzjazmu, ale też bez wielkiego lęku – wpuszcza się do domu. Bo wiem, że on nie zostanie.

Ale żałoba to nie tylko ból. Po czterech latach doszłam do punktu, w którym więcej we mnie miłości niż rozpaczy. Zbudowałam ze swoim dzieckiem bardzo silną więź. Nadal rozmawiamy. To w mojej wyobraźni bardzo mądra, kochająca istota. Często proszę ją nawet o poradę. Ona jest częścią mojej historii. I pozostanie nią do końca mojego życia.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ANJA FRANCZAK

**OGRÓD ŻYCIA** to znajdująca się na terenie cmentarza komunalnego w niemieckim Karlsruhe instalacja symbolicznie odwzorowująca proces żałoby. Zbudowany został według przygotowanego w 2007 r. projektu pedagożki specjalnej, psychiatry i towarzyszki w żałobie – Barbary Kieferle-Stotz. Poszczególne części Ogrodu odsyłają do różnych faz życia osób, które tracą kogoś bliskiego: mierzenia się z odchodzeniem, szoku straty, a następnie żałoby. Kilkanaście stacji Ogrodu (po prawej jedna z nich – symbolizująca złość; niem. WUT) obrazuje różne stany i emocje, jakie towarzyszą stracie.

# Gdy ciało staje się słowem

MAREK RABIJ

**Dla żyjących śmierć jest abstrakcją. Jedyny konkret to zwłoki, przed którymi najwygodniej skryć się za kordonem oferty przemysłu pogrzebowego – tak samo, jak niegdyś za zasłoną zwyczajów.**

Trumna nie może być lakierowana. Najlepsze są tekturowe, ewentualnie zbite z cienkich sosnowych desek. Komputer dobierze czas trwania kremacji i temperaturę do wagi ciała. Zazwyczaj wystarczają dwie-trzy godziny w piecu rozgrzanym do 800-900 stopni. Nie trzeba polewać ciała łatwopalnymi substancjami, o czym można wyczytać w sensacyjnych i oczywiście wyssanych z palca historyjkach z internetu. W atmosferze bogatej w tlen już po półtorej godzinie zostaną jedynie najgrubsze kości, na które kieruje się dodatkowy mocny palnik. Pracownicy z pewnością nie pomylą też ciał; kolejne wolno przecież przywieźć do krematorium dopiero po zakończeniu poprzedniej kremacji.

Po przestudzeniu, zawartość pieca przejdzie przez elektromagnes, który oddzieli od materii organicznej gwoździe użyte do zbicia trumny, sprzączkę paska, kolczyki, aglety sznurówek i inne metalowe fragmenty ubioru. Prochy trafią następnie do młynka, który rozdrobni ostatnie większe kawałki. Przesypane pieczołowicie do worka, zostaną umieszczone w urnie wraz z danymi indentyfikacyjnymi zmarłego oraz przedmiotami, w które bliscy zechcą go zaopatrzyć w ostatnią drogę. Niektórzy wkładają papierosy. Inni szalik ukochanego klubu, trafiają się też tomiki wierszy. Najczęściej będzie to jednak po prostu różaniec i książeczka do nabożeństwa, tradycyjnie z wyrwaną ostatnią stroną ze słowem „amen", aby dusza nie przerywała modlitwy i nie miała dzięki temu czasu na straszenie żywych.

Tradycyjna treść w nowej formie. Polski pogrzeb.

### Z prochu powstaniesz

Papież Paweł VI uznał kremację za rytuał katolickiego pochówku już w 1963 r., ale polscy biskupi potrzebowali kolejnych 48 lat, by wydać w tej sprawie stosowne rozporządzenia. Nawet dziś w małych miejscowościach zdarza się, że proboszcz na wzmiankę o urnie kręci nosem, przekonany, że „ciała zmartwychwstanie" wymaga czegoś więcej niż popiołu.

W dużych miastach kremacja na dobre dołączyła jednak do katalogu polskich zwyczajów funeralnych. Nikt wprawdzie nie prowadzi dokładnych statystyk, ale pewne wyobrażenie o skali zjawiska dają fragmentaryczne dane z krematoriów komunalnych. Krzysztof Wolicki, prezes Polskiego Stowarzyszenia Pogrzebowego, izby zrzeszającej przedsiębiorców tej branży, szacuje na ich podstawie, że w Warszawie spopiela się 32-35 proc. zmarłych, a we Wrocławiu, Poznaniu czy Szczecinie nawet do 40 proc.

Moda? Niekoniecznie. Kremacja to po prostu wygodniejszy rodzaj pochówku. W jednej mogile można pochować kilku członków rodu, do tego w krótkich odstępach czasowych. W grobach ziemnych z ciałem w trumnie od ostatniego pochówku musi minąć co najmniej 20 lat, by zarząd cmentarza mógł pozwolić na pogłębienie mogiły.

Pogrzeb bez zwłok dobrze wpisuje się także w konwencję współczesnego, pośpiesznego pożegnania ze zmarłym, które w tradycyjnym polskim rytuale pogrzebowym trwało przecież trzy doby. „Puste noce", w rzeczywistości brzmiące pieśniami żałobnymi, wiejskimi przyśpiewkami, a nawet żartami ze zmarłego, są dziś jedynie wpisem do etnograficznego sztambucha.

Co roku w Polsce umiera około 400 tys. osób. Większość odchodzi w szpitalu, a i ci, którym dane było wydać ostatnie tchnienie do domowej poduszki, zgodnie z przepisami i tak trafiają do kostnicy. Nawet w popegeerowskich blokowiskach – gdzie jeszcze kilka lat temu płaczki zawodziły nad trumną ze zmarłym wniesioną na trzecie piętro, a cała klatka schodowa na ten czas zmieniała się w sień dużej chaty – służby sanitarne nie pozwalają już na obecność zwłok.

Bo zanim ciało zniknie w grobie, musi urzędowo zniknąć na mniej więcej trzy dni; tu procedury administracyjne przypadkowo parodiują narrację Ewangelii. Formalności w urzędzie stanu cywilnego i zakładzie pogrzebowym oraz zawiadomienie bliskich – jeden dzień. Rozwieszenie klepsydr i umówienie pochówku z proboszczem – drugi. Dopiero trzeciego dnia zmarły może wrócić na chwilę do rodziny z kostnicy niczym plutarchowski Tespezjos z zaświatów – z opowieścią o tym, na ile oczekiwania bliskich co do przygotowania ciała pokryły się z tym, czego dopilnowali pracownicy zakładu.

*Przemysław Pokrycki, fotografia z cyklu „Rytuały przejścia", Pogrzeb nr 5 / 2011*

Rodzina do ostatniej chwili będzie drżeć z niepewności: włożyli czy nie włożyli zmarłemu w dłonie różaniec po babci? Zmienili buty? Zgolili kilkunastodniowy zarost, o który nie było czasu zadbać w ostatnich dniach życia? A jeśli tak – to czy przypadkiem nie zgolili także wąsów, które zmarły nosił całe życie?

W rytuale domowego pożegnania z ciałem nie było miejsca na pomyłki, ale ich cena w zamian za uwolnienie od widoku zwłok najwyraźniej nie wydaje się nam wygórowana.

### Zdrowaśki spod cylindra

Obecność księdza i katolicki pochówek to nadal reguła. Ale coraz częściej i od niej zdarzają się wyjątki. W dużych miastach co miesiąc odbywa się ok. 20-25 świeckich pogrzebów, prowadzonych przez mistrzów ceremonii. W Małopolsce poprowadzeniem takiej ceremonii zajmują się aktualnie trzy osoby, ale rynek, jak mówią, w zasadzie ogranicza się do Krakowa i okolic. W Tarnowskiem, Nowosądeckiem czy na Podhalu obecność księdza przy pogrzebie to świętość.

– W trakcie świeckich ceremonii na życzenie rodziny modlimy się czasem za zmarłych. Tak, nie przesłyszał się pan. Nie zawsze są to pogrzeby ateistów. Powiedziałbym nawet, że częściej wyruszają w ten sposób w ostatnią drogę ci, którzy patrzyli na Kościół przez pryzmat postępowania niektórych księży, niż ci, którzy całkowicie zwątpili w Boga – zapewnia Marcin Kruk, jeden z krakowskich mistrzów ceremonii pogrzebowych.

Scenariusz pożegnania zależy od rodziny, bo przecież brak tu czegoś stanowiącego odpowiednik liturgii. Nie chodzi także o jej udawanie. Mistrz ceremonii podczas pożegnania ma na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i rękawiczki, czasem cylinder i pelerynę, rzadziej togę. Żadnych pastorałów, tiar czy innych odwołań do kościelnej symboliki. Na samą ceremonię najczęściej składają się wystąpienia bliskich i znajomych zmarłego, przeplatane jego ulubionymi utworami muzycznymi lub poezją. Niektórzy decydują się na pośmiertną laudację, która przypomina zasługi i osiągnięcia żegnanego, ale tak pompatyczne momenty trafiają się, jak podkreśla Kruk, stosunkowo rzadko: – Zaletą świeckiej ceremonii, jeśli mogę tak powiedzieć, jest jej elastyczność, ↦

↦ która pozwala nadać pożegnaniu niemal intymny, indywidualny wymiar.

W pamięć zapadł mu pogrzeb 38-latka, który chorował na glejaka: – Czytałem listy do zmarłego, jakie przygotowali jego najbliżsi. W końcu przyszła kolej na 12-letniego syna. Pamiętam moc jego słów: chłopiec nie tyle opłakiwał zmarłego, ile zamykał etap swojego życia, w którym towarzyszył mu ojciec. Pomyślałem wtedy, że koncentracja katolickiej liturgii na relacji zmarłego z Bogiem może rodzinie i bliskim wydać się trudna, nawet okrutna, bo symbolicznie zabiera im bliskiego w chwili, kiedy będą go najbardziej potrzebować.

### Prowadząc umarłych

– Wydawało mi się, że przewiezienie ciała z Lublina do Opola będzie kosztowne i skomplikowane, że trzeba będzie biegać po sanepidach i meldować się policji – uśmiecha się Kamila Grzymkowska. – Okazało się, że ci od pogrzebów robią to dziś rutynowo. Pani w zakładzie w Lublinie nie była zdziwiona, spytała jedynie o adres w Opolu, dokąd mają zawieźć mamę. Trzy złote za kilometr, powiedziała. Poczułam wręcz ulgę, bo początkowo miałam poczucie, że robię coś niestosownego.

Mama miała 77 lat. Na nic nie chorowała. Zmarła nagle w Lublinie, dokąd pojechała na Wielkanoc do niedawno owdowiałej cioci. Lekarze powiedzieli, że to tętniak.

– Nie zostawiła wskazówek odnośnie pogrzebu. Była z tych emerytek, które planują, dokąd na wakacje zabrać wnuczkę, a nie w co kazać się ubrać do trumny, więc pewnie nie miałaby też nic przeciwko pochówkowi na drugim końcu Polski – wspomina z czułością Kamila. – To ja chciałam mieć ją blisko siebie, móc zajrzeć na cmentarz w wolnej chwili, nie raz w roku. Z ojcem, który wyjechał do Niemiec i już do nas nie wrócił, łączy mnie tylko nazwisko panieńskie.

Ostatnia droga coraz częściej wydłuża się więc do kilkudziesięciu, a nawet kilkuset kilometrów. Na cmentarz w rodzinnej wsi, z której dekady temu wyruszyło się na studia. W pobliże zmarłej w dzieciństwie siostry bliźniaczki. Albo w przeciwnym kierunku – bliżej żywych, którym coraz trudniej pogodzić pieczę nad grobem z codziennymi obowiązkami.

Ks. Paweł Żarkowski od pięciu lat jest proboszczem parafii Podwyższenia Krzyża w Grochowalsku. Niewielka wieś koło Włocławka według stanu na 2011 r. liczy raptem 424 dusze. Drewniany kościół poświęcono już w XIV wieku. Do Warszawy i Gdańska daleko stąd jednakowo, dwie i pół godziny samochodem. Nawet do pobliskiego Płocka zejdzie ze 40 minut. Miejscowość, jak twierdzi proboszcz, spokojna, a w kwestiach obyczajowych raczej konserwatywna.

– Dosłownie tydzień temu mieliśmy przenosiny z cmentarza parafialnego – mówi. – Dwóch zmarłych, jednego nieżyjącego od 25 lat i drugiego pochowanego w 2003 r., rodzina postanowiła przenieść pod Kutno, bliżej swojego miejsca zamieszkania.

Przepisy sanitarne dopuszczają ekshumacje od połowy października do połowy kwietnia. Z danych powiatowych stacji sanitarno-epidemiologicznych, które monitorują ich przebieg, trudno na razie wyczytać skokowy wzrost zainteresowania przenoszeniem zwłok bliżej miejsca zamieszkania żyjących krewnych, ale sam trend wygląda na wzrostowy. W Małopolsce od kwietnia 2017 do kwietnia 2018 r. sanepid asystował przy 824 ekshumacjach zwłok, wliczając w to także te zlecone przez sądy i prokuratury. W podobnym okresie rok później – już w 996.

– Ja bym nawet powiedziała, że w takich miejscowościach jak nasza, gdzie mieszkańców coraz mniej, przenosiny ciała z cmentarza na cmentarz mogą być za kilkanaście lat częstsze od zwykłych pogrzebów – mówi pani Zofia, właścicielka małego zakładu pogrzebowego tuż przy granicy z Białorusią.

Wieś, o której mowa, liczy niespełna cztery tysiące mieszkańców, dlatego pani Zofia prosi, by nie wymieniać nazwy: – Rocznie chowamy tu po sześć osób, nie więcej. A przez pięć lat zrobiłam już trzy ekshumacje. Dwa ciała wysyłaliśmy do Ameryki. Klient w imieniu swoich bliskich kazał zostawić na sąsiednich grobach po zniczu oraz kwiaty, jeśli to była kobieta, i pół litra, jeśli obok leżał chłop. Pierwszy raz się zetknęłam z czymś takim. Może tak robią w Ameryce? – zastanawia się pani Zofia.

### Śmierć jak z ekranu

Raczej nie. Ameryka, której kultura masowa stała się matrycą dla globalnych przemian obyczajowych, zwłok boi się pragmatycznie, jako czegoś, co może stanowić źródło zarazków i fetoru. A zarazem trzęsie się ze strachu na ich widok, traktując zmarłego jak błąd systemu, który stawia na wieczną młodość i beztroskę. Nic dziwnego, że i amerykańska szkoła tanatokosmetyki nie chce mieć, jak mówią znawcy tematu, nic wspólnego z delikatną nonszalancją francuskich mistrzów, którzy dyskretnie przykrywają pudrem i tuszami plamy opadowe. Tanatopraktorzy zza Atlantyku po prostu walczą z czasem, balsamują zwłoki, usuwają najszybciej gnijące narządy, odciągają gazy i wodę zbierającą się pod skórą, a jej samej próbują dodać ciepłych żywych barw. W ostatniej drodze także trup może być przecież konsumentem.

W Polsce balsamowanie zwłok nie weszło w modę głównie ze względu na dość wysokie koszty, ale właściwie w każdym większym zakładzie pogrzebowym można zamówić pakiet delikatnej kosmetyki pośmiertnej. Coraz częściej rodziny nie chcą także otwartej trumny podczas ceremonii pogrzebowej, by nie narażać żałobników na widok zwłok. Nawet proboszczowie w niektórych miejskich parafiach nie chcą już słyszeć o mszy z trumną

POŻEGNANIE

25 października 2019 r. zmarła w Wiśle

Ś.† P.

Wanda Pilch

Drogiemu Jurkowi i bliskim

składamy wyrazy głębokiego współczucia

„Tygodnik Powszechny”

w kościele. Eucharystia nad ciałem odbywa się w kaplicy cmentarnej. Ze względów sanitarnych. Zmarły nadal pozostaje w centrum uwagi, tyle że coraz bardziej jako źródło potencjalnych problemów.

Pracownik krakowskiego zakładu pogrzebowego: – Jak jeszcze byłem dzieciakiem, pamiętam, że mój ojciec przed zamknięciem wieka trumny z szacunkiem całował dłoń swojej zmarłej matki. Wujek i ciotka tak samo, i wszystkim wydawało się to oczywiste. Teraz na pogrzebach coraz rzadziej widzę, że ktoś decyduje się podejść do trumny, żeby choć z bliska spojrzeć na zmarłego.

W polskiej kulturze ludowej zmarły zawsze stanowił źródło zagrożenia, i to bardziej w wymiarze duchowym niż epidemiologicznym. Dusza w ludowych wierzeniach długo kręci się wokół ciała, próbując odzyskać z nim połączenie. Stąd cały wachlarz zwyczajów okołopogrzebowych, jak przewracanie krzeseł, aby dusza się nie „zasiedziała" w domu, zatrzymywanie zegara, żeby utrudnić jej ocenę upływu czasu, zasłanianie luster, w których mogłaby się przejrzeć, lub sypanie maku do trumny, by zająć ją liczeniem ziarenek. Rozstrojona oderwaniem od ciała dusza może być groźna. Ważne, by poszła sobie jak najszybciej.

Sęk w tym, że – jak pisze prof. Anna Kubiak, socjolożka badająca zwyczaje pogrzebowe – trzy dekady wolnego rynku wystarczyły, by do szczętu zniszczyć fundament, na którym opierała się kultura ludowa. Kapitalizm uderzył w jej najczulszy punkt, wspólnotowość: to, co do tej pory było rytuałem przejścia, nagle stało się jeszcze jednym narzędziem ekspresji statusu społecznego i majątkowego.

Polski pogrzeb z obrzędu zmienił się w spektakl. Żałobnik – w klienta zakładu pogrzebowego. Kopiący grób sąsiedzi, którzy w ten sposób dawali kiedyś wyraz solidarności z rodziną zmarłego, ustąpili miejsca ekipie profesjonalistów, którzy wykopaną ziemię maskują teraz sztuczną trawą, a nad mogiłą ustawiają sterowany pilotem dźwig hydrauliczny, którym zmarły zostanie opuszczony w dół bez nieprzyjemnych dla ucha uderzeń w ścianki wykopu czy zgrzytów liny na ściankach trumny. W małych miejscowościach jeszcze kultywuje się zwyczaj stypy, ale w dużych miastach pogrzeb coraz częściej kończy się w bramie cmentarnej, w której żałobnicy mówią sobie do widzenia, by smutek po stracie przepracować indywidualnie w domu.

Pracownik zakładu pogrzebowego: – Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby ktoś miał pretensje, że się guzdrzemy z pochówkiem, ale kilka razy miałem wrażenie, że gdyby nie rodzina, takie słowa by padły. Ja myślę, że to nie pośpiech. Ludzie po prostu chcą jak najszybciej dać nogę z cmentarza i przestać myśleć o śmierci.

Jeśli tak rzeczywiście jest, to znaczy, że współczesna wersja *ars moriendi* przypomina sztuczki prestidigitatora: klaszczemy na widok królika, który znika w kapeluszu, choć w gruncie rzeczy wiemy, że straciliśmy go z oczu tylko na chwilę.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP

*Nasza Autorka i nasi Autorzy nominowani!*

Z radością dzielimy się informacją o nominacjach dla Autorki i Autorów „Tygodnika Powszechnego".
Krytyczka literacka, moderatorka facebookowej grupy dyskusyjnej o książkach „Book's not dead" **MONIKA OCHĘDOWSKA** otrzymała nominację do nagrody **PIK-owy Laur**, przyznawanej przez Polską Izbę Książki za „promocję książek i czytania".
Trzech naszych Autorów otrzymało nominacje do nagród **MediaTORy**, przyznawanych przez studentów dziennikarstwa polskich uczelni. W kategorii **NawigaTOR** konkurować będą **PAWEŁ PIENIĄŻEK** za reportaże z Syrii oraz **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI** za publikacje poświęcone reformie edukacji i strajkowi nauczycieli. Współpracujący z „Tygodnikiem" dziennikarz Onetu **ANDRZEJ STANKIEWICZ** otrzymał natomiast nominację w kategorii **DetonaTOR** za opublikowany w macierzystej redakcji artykuł o podejrzanych wydatkach Polskiej Fundacji Narodowej.
W tym samym tygodniu poznaliśmy nominowanych do **Nagrody Radia ZET im. Janusza Woyciechowskiego**. W kategorii dziennikarz dekady wśród nominowanych znaleźli się **ANDRZEJ STANKIEWICZ** oraz publikujący w „Tygodniku" **O. LUDWIK WIŚNIEWSKI.** Autorce i Autorom gratulujemy i dziękujemy!

**TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl**

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
**Kraj:** Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
**TP Typografia:** Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne:** Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
**Redaktor wydań specjalnych** Michał Okoński
**Felietoniści:** Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
**Adres wydawcy i redakcji:** 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
**Reklama, promocja:** tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
**Prenumerata:** tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

# Śpiewak:
## *Przekład Koheleta*

Niemal 30 lat po śmierci poetki Anny Kamieńskiej ukazał się wydobyty z rękopisów jej przekład Księgi Koheleta (dzięki prof. Wojciechowi Kruszyńskiemu). Jest to przekład z oryginału, dokonany wiele lat po tym, jak napisała esej o Eklezjastesie, pt. „Kohelet, czyli prorok zwątpienia". Tytuł paradoksalny, bo gdy czytamy słowa proroków, słowa potępienia czy nadziei, to zawsze niosą w sobie pewność i przekonanie. Nie ma tu miejsca na sceptycyzm czy poczucie absurdu.

Przekład Koheleta uderza zwięzłością. Nie ma tu ozdobników, uzupełniających wtrętów. Tylko proste, surowe zdania, które bez osłony oznajmiają najtrudniejsze nawet prawdy. Poezja to dyscyplina słowa. Kohelet to w tym sensie dzieło mędrca i poety, i chyba poeta może ten poemat tłumaczyć.

Piotr Matywiecki, jeden z autorów przedmowy do tego wydania, pisał o tłumaczce: „Potrafiła ona zachować coś najtrudniej uchwytnego: samą melodię tekstu. Nie chodzi o to, że zasłuchała się w brzmienie hebrajskiego oryginału, bo to język dla polszczyzny egzotyczny. Raczej podchwyciła melodię innego rzędu, melodię myśli i przejmującą muzykę człowieczego losu. Melodyczny temat Koheleta jest nieomal pozajęzykowy, bo egzystencjalny. W narkotycznych powtórzeniach i refrenach przejawiają się nie tyle prostackie, rozwichrzone odruchy sceptycyzmu, ile jego ścisła melodia, jego »sylogizmy rozpaczy« (wyrażenie Émile'a Ciorana). Anna Kamieńska podchwyciła muzyczne przeciwieństwo sceptycyzmu: nie tyle histeryczny upadek ducha, co bagnistą, grzęznącą, monotonną melodię melancholii".

We wstęp Matywieckiego wpisana jest radość odczytywania Księgi, choć ona sama w sobie boli i niepokoi. „Te mądrości są jak ziarna – osobne i dla każdego z osobna przeznaczone. Sentencje tak samo samotne dla każdego człowieka, ale dla każdego osobno. Te ziarna tkwią w osamotnionym »ja« i jednocześnie dają pewność istnienia i braterstwa innych osamotnionych. To są ziarna życia wewnętrznego, które nie rozwijają się na zewnątrz »ja«. One rozwijają się w samo »ja«, w osobę, w osobowość. Ziarnistość Koheletowych sentencji jest ziarnistością egzystencji".

Wprowadzenie Piotra Pazińskiego jest wyważone, wyrosłe z solidnej wiedzy. W centrum analizy stawia pytanie o to, czym jest mądrość Koheleta, który upomina się o mądrość, aby wyjaśnić sobie dwie sprawy: trapiące go od jakiegoś czasu poczucie niespełnienia oraz niesprawiedliwość i ludzkie cierpienie. Badawczy namysł Eklezjasty nie zamienia się w odruch mesjański, w nadzieję ulepszenia ludzkiej kondycji. Jest to więc księga, która nakazuje pogodzenie się z losem, co nie znaczy, że jest to księga mroku czy klęski. Jakże wspaniała jest ta skromna książka wokół słów Koheleta. ©

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *Winogrona na cierniach*

Na cmentarzach nie dogasły jeszcze znicze i kwiaty nie zwiędły, a w nas wspomnienia. Jak kto mógł, tak ożywiał zmarłych. Nie tylko ludzi, ale i przedmioty, zwierzęta, krajobrazy, książki, melodie, rzeźby i obrazy, kościoły i pałace, wiejskie chaty – słowem wszystko, co kiedykolwiek zaistniało przy nas i w nas, a co jakimś cudem nam się przypomina.

Dla jednych te wspomnienia to tylko kwestia pamięci; zniknie pamięć, znikną też zmarli i wszystko, co łączyło ich z rzeczywistością, w której oni żyli i my jeszcze żyjemy. Inni, zasugerowani współczesnymi naukami matematyczno-przyrodniczymi, podejrzewają, że śmierć nie musi oznaczać unicestwienia, gdyż obraz świata zamiast się upraszczać, jawi się coraz bardziej jako przepastna tajemnica. Mówią oni, że nawet jeśli Boga nie ma, życie wieczne jest możliwe.

I wreszcie ci, którzy również wierzą w nieśmiertelność człowieka, i nie tylko, ale swoje zaufanie do świata opierają na Bogu, jak choćby autor Księgi Mądrości, który mówi: „Świat cały przy Tobie [Boże] jak ziarnko na szali, kropla rosy porannej, co spadła na ziemię. Nad wszystkim masz litość, bo wszystko w Twej mocy, i oczy zamykasz na grzechy ludzi, by się nawrócili. Miłujesz bowiem wszystkie stworzenia, niczym się nie brzydzisz, co uczyniłeś, bo gdybyś miał coś w nienawiści, nie byłbyś tego uczynił. Jakżeby coś trwać mogło, gdybyś Ty tego nie chciał? Jak by się zachowało, czego byś nie wezwał? Oszczędzasz wszystko, bo to wszystko Twoje, Panie, miłośniku życia! Bo we wszystkim jest Twoje nieśmiertelne tchnienie. Dlatego nieznacznie karzesz upadających i strofujesz, przypominając, w czym grzeszą, by wyzbywszy się złości, w Ciebie, Panie, uwierzyli".

Z ostatniego zdania wynika, że wrastanie człowieka w nieśmiertelność jest trudnym, bolesnym procesem, trwającym przez całe życie. Kościół natomiast, podtrzymując wiarę w świętych obcowanie, czyściec i modlitwę za zmarłych, jak też ofiarowywanie za nich dobrych uczynków, jałmużny, nie tylko przez ten tzw. ziemski etap, ale również w śmierci i po śmierci – to ludzkie zaufanie do życia i możliwość jego spełnienia się w wieczności, jakby w innym stanie skupienia, wzmacnia. Ale żeby stać się jednym z tych, którzy żyjąc na ziemi, przebywają już w niebie, trzeba „wyzbyć się złości" i uwierzyć w Boga. To znaczy nie tylko uznać, że Bóg jest. „Wierzysz, że jest jeden Bóg? Dobrze czynisz. Lecz demony też wierzą i ze strachu drżą". Po czym poznać, że wiara jest wiarą prawdziwą, rzeczywiście łączącą człowieka z Bogiem? „Poznacie (...) po ich owocach. Czy zbiera się winogrona z ciernia albo z ostu figi?" – mówi Jezus. Okazuje się, że i owszem. Anioł Ślązak mówi: „Kto wrogów nie potępia, zawistników kocha, / Powiedz, czy tak nie jest, że z cierni zrywa grona". ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś:
## *Pascha*

„Jezus powiedział do swoich uczniów: Niech będą przepasane biodra wasze i zapalone pochodnie. A wy bądźcie podobni do ludzi oczekujących swego pana (...). Szczęśliwi owi słudzy, których pan zastanie czuwających, gdy nadejdzie" (zob. Łk 12, 35-38).

Nie pierwszy to raz ani nie ostatni, kiedy Jezus mówi do nas słowami Pisma. Słowa „niech będą przepasane biodra wasze" są cytatem z Księgi Wyjścia (zob. Wj 12, 11). Z przepasanymi biodrami Żydzi mieli w Egipcie przeżywać Noc Wyzwolenia – spożywać ucztę paschalną, oczekując nadejścia Pana, który wyprowadzi ich z niewoli i poprowadzi do ich ziemi. „Niech będą przepasane biodra wasze" znaczy więc: Bądźcie gotowi do wyjścia! Żyjecie w miejscu niewoli, ale skoro tylko przyjdzie Pan, wyprowadzi was z niewoli na wolność. Czas niewoli się kończy; czuwajcie, by być gotowymi i nie przegapić godziny wyzwolenia – porzucenia Egiptu.

Kiedy jednak Pan przychodzi, okazuje się, że nigdzie nie wyprowadza swoich sług. Przeciwnie – tam, gdzie są, każe im „zasiąść za stołem", a sam przepasuje się i zaczyna ich obsługiwać. Okazuje się, że aby doświadczyć wyzwolenia, nie potrzebują nigdzie wychodzić ani uciekać. Zmiana miejsca niewiele mogłaby przynieść, a ucieczka przed zniewalającym ich wrogiem jest raczej niemożliwa, gdyż tak naprawdę noszą go w sobie.

Prawdziwe zniewolenie nie bierze się z zewnątrz, ale rodzi się w naszym wnętrzu. Dlatego wyzwolenie przychodzi od Pana wraz z nawróceniem, przemianą człowieka, a nie ze zmianą adresu. Pan może cię wyzwolić, nawrócić, odbudować, przemienić – tutaj. I tutaj jest możliwa twoja świętość.

Na tym chyba polega intuicja św. Benedykta, który swym pierwszym braciom zalecił ślubować stałość (łac. *stabilitas*). Do dziś rozumie się ową *stabilitas* także jako wierność obranemu do życia miejscu – zapewne nie bez związku z wyczuciem Benedykta, który za najgorszy rodzaj mnichów uważał „włóczęgów". Stanowczo za często ulegamy pokusie myślenia, że żyjemy w miejscu i czasie (czytaj: z ludźmi) gdzie jakakolwiek zmiana na lepsze jest niemożliwa. Może gdzie indziej... Gdzie indziej są inne warunki, inni ludzie: mądrzejsi przełożeni, bardziej pracowici poddani. Gdzie indziej ludzie się wzajemnie szanują, nie skaczą sobie do gardeł i nie są pamiętliwi. Gdzie indziej jest mniej nerwów, bo życie jest łatwiejsze; gdzie indziej ludzie mają więcej czasu dla siebie niż tutaj.

Każdemu, kto uległ takiemu złudzeniu, św. Benedykt powtarza: „Tutaj albo nigdzie". Tutaj bądź uważny na przyjście Pana. Jego obecność wszystko zmienia. To On – tutaj – odsłoni przed tobą twoją królewską godność: każe ci zasiąść za stołem, a sam będzie ci usługiwał. To nie żadne marzenie ani odklejona od życia teoria, to rzeczywistość.

Pierwszy raz miał miejsce niemal dwa tysiące lat temu, w Wielki Czwartek. Pan kazał uczniom zająć miejsca za stołem, a „sam się przepasał i zaczął im usługiwać". Od tamtego wieczoru dzieje się to nieustannie, w każdym miejscu i w każdym czasie, wszędzie tam, gdzie sprawowana jest Eucharystia. ©

*To zdumiewające, że będąc u Ojca, nie poznali Go. I byli w stanie odejść od Niego, bo nie poznali Tego, w którym przebywali.*

**EWANGELIA PRAWDY**

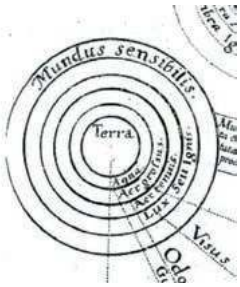


*W istocie świat ten jest niczym innym, jak stanem umysłu. Dla tych, którzy w samych sobie byt od niebytu odróżniają, niebytu nie ma.*

**ASZTAWAKRAGITA**

Wybrał PIOTR SIKORA

### CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 XI)

**31. niedziela zwykła: Mdr 11, 22 – 12, 2; Ps 145; 2 Tes 1, 11 – 2, 2; Łk 19, 1-10;**
**Poniedziałek: Rz 11, 29-36; Ps 69; Łk 14, 12-14;**
**Wtorek: Rz 12, 5-16a; Ps 131; Łk 14, 15-24;**
**Środa: Rz 13, 8-10; Ps 112; Łk 14, 25-33;**
**Czwartek: Rz 14, 7-12; Ps 27; Łk 15, 1-10;**
**Piątek: Rz 15, 14-21; Ps 98; Łk 16, 1-8;**
**Sobota: Ez 47, 1-2. 8-9. 12; Ps 46; 1 Kor 3, 9b-11. 16-17; J 2, 13-22;**
**32. niedziela zwykła: 2 Mch 7, 1-2. 9-14; Ps 17; 2 Tes 2, 16 – 3, 5; Łk 20, 27-38.**

# W SIDŁACH SUPERKONTROLI

Co zostanie po PiS? Kilka tysięcy karier, dających większy komfort życia ludziom związanym z tą partią, i kilkadziesiąt napompowanych podmiotów, stanowiących kopie firm nomenklaturowych z lat 90.

RAFAŁ MATYJA

TOMASZ RADZIK / SUPER EXPRESS / EAST NEWS

*Jarosław Kaczyński w siedzibie PiS, Warszawa, 5 września 2019 r.*

W ciągu pierwszych czterech lat rządów PiS nie uruchomiło systemowych procesów naprawy państwa, a w wielu dziedzinach wzmocniło jego wady i utrudniło jakąkolwiek naprawę w przyszłości. Skompromitowało też wiarę, że partie polityczne są w ogóle w stanie naprawić państwo.

Znaleźliśmy się w martwym punkcie, i to nawet nie ze względu na poziom konfliktu politycznego albo złe rzeczy, które PiS zrobił z Trybunałem Konstytucyjnym i wymiarem sprawiedliwości. Przede wszystkim dlatego, że nic nie zapowiada zmian w funkcjonowaniu państwa, które wzmocnią jego zdolność reagowania na poważniejszy kryzys i powstrzymają powolną utratę sterowności. PiS uwierzył w to, w co wierzyli poprzednicy: że sprawy same idą w dobrą stronę, więc państwu nic złego stać się nie może.

To, dlaczego Prawo i Sprawiedliwość poszło złą drogą, znakomicie pokazuje „reforma sądownictwa". Nie tylko w tych punktach, za które krytykowano ją najmocniej – czyli za lekceważenie konstytucji czy nadmierny pośpiech i brutalność w jej forsowaniu. Chodzi także o fakt, że jej istotą miała być wymiana kadr. Od lat – jeszcze od czasów Porozumienia Centrum – wśród liderów PiS dominowało myślenie, że błędy III RP to wynik dominacji jej elit i powiązanej z nimi części obozu solidarnościowego. Kaczyński i jego otoczenie byli przekonani, że odsunięcie „ludzi starego układu" od władzy odblokuje pozytywne procesy społeczne. Z czasem zaczęto mówić także o konieczności budowy własnej elity. Z natury rzeczy ściśle powiązanej z partią, dyspozycyjnej wobec jej bieżącej taktyki politycznej.

I choć w roku 2015 możliwe było korygowanie polityki państwa „metodą Gowina" – zastosowaną w odniesieniu do szkolnictwa wyższego – to poza wicepremierem nikt z niej nie skorzystał. Metoda ta – skoncentrowana na zmianie mechanizmów i instytucji, a nie na wymianie kadrowej, zakładała też mechanizm konsultacji i gotowość do ustępstw. Warto przy okazji zauważyć, że odbiegała nie tylko od tego, co robili Zbigniew Ziobro, Jan Szyszko czy Anna Zalewska, ale także stanowiła kontrast do działań wielu ministrów poprzednich rządów.

Metoda rządzenia bywa często równie istotna co przyjmowane lub odrzucane w jej wyniku rozwiązania merytoryczne. A wykluczanie z procesu decyzyjnego wszystkich, którzy aktualnie nie znajdują się przy władzy, jest dla państwa zawsze destrukcyjne. Czyni z niego łup rządzącej partii.

### Elity? Nie, dziękuję

Hasło tworzenia nowej elity też jest pozorem, przynajmniej jeżeli przez elitę rozumiemy jakąś grupę o względnej autonomii i niezależnym od władzy politycznej statusie. Takiej nowej elity Jarosław Kaczyński z pewnością nie chce. Natura ruchów kadrowych prowadzonych przez PiS polega na utrzymywaniu u wszystkich, którym powierzono nowe stanowiska, znaczącego stopnia zależności od centrali na Nowogrodzkiej. Wyjątki to sytuacje, w których bariery konstytucyjne uniemożliwiają odwołanie z funkcji – jak w przypadku prezydenta, prezesa NBP czy prezesa NIK.

Postulat tworzenia nowych elit ma przede wszystkim pokazać siłę zwolennikom rządu i wywołać bezradny protest przeciwników. Im większy sprzeciw dawnego establishmentu, tym większa pewność wśród swoich, że zadajemy skuteczne ciosy. Chodzi też o pobudzenie apetytów tych, którym udział w sprawowaniu władzy – choćby nikły – zaproponowano.

Zastanówmy się jednak, czy z perspektywy czterech poprzednich lat rzeczywiście uruchomiono jakieś procesy elitotwórcze, w innym niż partyjne ścieżki awansu wymiarze? Póki PiS rządzi, może być z tego chleb. Mogą być nawet jakieś luksusy. Ale czy w ten sposób da się budować jakieś trwałe pozycje? Sam mechanizm uzależniania kariery od lojalności wobec władzy blokuje taką możliwość.

Mechanizm tworzenia elit politycznych zatem się nie zmienił, jest jednak bardziej scentralizowany. Istotną różnicą jest również wprowadzenie mechanizmów utrudniających przenikanie się „nowych" ze „starymi"; swego rodzaju mur, który nie pozwoli ludziom PiS przekuć pozycji w hierarchii własnego obozu na pozycję uznawaną także przez innych, po jego odejściu od władzy.

Podobnie niemożliwe jest mieszanie się tworzonych przez PiS nowych elit dziennikarskich, intelektualnych czy opiniotwórczych ze starymi. Zdecydował o tym Kaczyński w grudniu 2015 r., kiedy dokonał ostrego podziału w sprawach Trybunału Konstytucyjnego i połączył to z retoryką pogardy dla dotychczasowych elit, uprawianą w mediach bloku PiS. W tym momencie – paradoksalnie – zakończył się jakikolwiek spór, uruchomiono dwa monologi, wybudowano symboliczne mury, po obu stronach pojawili się liczni „rzecznicy dyscypliny", pilnujący, by nie dochodziło do prób mediacji czy nawet intelektualnego symetryzowania.

Co z tego zostanie? Kilka tysięcy karier ekonomicznych, dających większy komfort życia ludziom związanym z tą partią, ↦

kilkadziesiąt napompowanych podmiotów, stanowiących kopie firm nomenklaturowych z lat 90. Część z nich być może skorzysta z renty władzy i utrzyma się potem przez lata, ale większość, odcięta od źródeł zasilania, podupadnie w pierwszym roku. To oczywiście jest ważne, tak jak ważne dla przetrwania PiS były SKOK-i i Radio Maryja. Ale to zaledwie w wymiarze rywalizacji partyjnej. W każdym innym – pozycja dziennikarzy, ekspertów, ludzi kultury czy naukowców, którzy pracowali dla PiS, może być cięższa niż przed 2015 r. To dodatkowo uzależnia od partii te elity. Odbiera im swobodę.

### Kontrolować i nie ufać

Gdzie jest zatem istota projektu PiS? Myśl ustrojowa tej formacji zakłada jeden cel: maksymalizację kontroli przez jedyny prawomocny „ośrodek dyspozycji politycznej". Nawet kosztem osłabienia funkcji organów państwa, związanych z koordynacją, nawiązywaniem współpracy z partnerami społecznymi, budowaniem zaufania. Państwo jest sukcesywnie osłabiane i wyjaławiane, w imię sterowności rozumianej jako zdolność podporządkowywania się taktycznym celom partii.

Było to widoczne nie tylko w motywowanych potrzebami wyborczymi transferach socjalnych, ogłoszonych w ramach „piątki Kaczyńskiego", ale także w momencie ogłoszenia brawurowego tempa podnoszenia płacy minimalnej. Nowogrodzka nie liczyła się ani ze zdaniem ministra finansów, ani z konsekwencjami drugiej decyzji, o których mogli jej opowiedzieć liczni członkowie rządu i posłowie, mający jakie takie pojęcie o nieprzewidzianych konsekwencjach tej zapowiedzi.

W tym modelu rządzenia prezes partii dysponuje nie tylko monopolem na podejmowanie ważnych decyzji programowych i personalnych, ale wręcz monopolem na ustanawianie agendy. Może zdjąć z porządku obrad Sejmu niewygodny dla PiS punkt, nakłonić rząd do wycofania takiego czy innego projektu ustawy, wpływać na zmianę decyzji organów państwa już w trakcie ich posiedzenia, o czym przekonaliśmy się latem 2016 r. w zawirowaniu wokół odwołania z funkcji prezesa TVP Jacka Kurskiego.

Ten model wzmocnionej kontroli miał – w zamyśle władz PiS – obejmować nie tylko to, co zwykle przejmowano wraz ze sterem rządów, a zatem kierownictwo administracji rządowej i spółki, ale także telewizję publiczną, sądy, a częściowo także samorządy.

> Nasz problem polega na tym, że **znacząca część opozycji woli straszyć PiS-em,** niż pracować nad alternatywą. Kto się o to upomni, zaraz zostanie nazwany „symetrystą".

Takiemu celowi podporządkowana była zawetowana przez prezydenta Dudę nowelizacja ustawy o Regionalnych Izbach Obrachunkowych. Tworzyła łatwy mechanizm odwoływania władz samorządowych z powodu wątpliwości dotyczących finansów kierowanych przez nie jednostek. Rentę władzy poszerzono o wyższe stanowiska w administracji państwowej, zarezerwowane dotąd dla urzędników służby cywilnej, o stanowiska prokuratorów, a częściowo także sędziów.

Nie udało się natomiast wprowadzenie jakiegoś systemu kontroli krytycznych wobec PiS prywatnych mediów. Mechanizm sterowania reklamami państwowych spółek nie działa na silniejsze podmioty. Twarde postulaty przejmowania liczących się instytucji medialnych nie zostały przekute w czyn. Oczywiście następna kadencja otwiera przed PiS pewne możliwości w tym zakresie, podobnie jak może pomóc w ograniczaniu samodzielności struktur samorządu terytorialnego czy swobody funkcjonowania uczelni, ale wynik wyborczy partii Kaczyńskiego poważnie utrudnia realizację scenariusza węgierskiego.

Wiele wskazuje na to, że zostanie on wprowadzony w jakiejś ograniczonej formie „przejęcia państwa" przez rządzącą partię. Ale ekipa PiS będzie sobie musiała zdawać sprawę, że takie przejęcie osłabia w istocie wartość tego, co zostało przejęte. Ambitne strategie państwowe można bowiem realizować tylko poszukując podmiotowych partnerów i licząc na ich zaangażowanie, a nie próbując odebrać im podmiotowość i wymuszając posłuszeństwo.

To ograniczenie wyobraźni Kaczyńskiego do jednego tylko sposobu budowania własnej siły okaże się w nowej kadencji najpoważniejszą blokadą obozu władzy. Zamiast przekuć drugie zwycięstwo w narzędzie do stabilizacji własnej pozycji i stworzenia szerszego niż w pierwszej kadencji pola kooperacji, PiS pójdzie drogą twardej kontroli i totalnego braku zaufania do podmiotów od niego niezależnych.

### Reorientacja niemożliwa

Opublikowany w 2015 r. raport pod redakcją Jerzego Hausnera i Stanisława Mazura „Osiem grzechów głównych Rzeczypospolitej" wymieniał jako grzech drugi nieumiejętność posługiwania się różnymi trybami rządzenia, a w szczególności: stosowania trybów opartych na współrządzeniu, na przenoszeniu odpowiedzialności poza obszar rządu. Otoczenie traktowane jest wrogo, a wszelkie próby presji na korektę przyjętych rozwiązań ustawowych postrzegane są jako niebezpieczny lobbing lub wroga działalność. Skutkiem tego są dziesiątki nowelizacji ustaw, przepchniętych uprzednio pospiesznie przez Sejm i Senat, irytacja lekceważonych partnerów społecznych, antagonizowanie kolejnych środowisk.

Dla PiS to sprawa, którą można zrównoważyć odpowiednią taktyką wyborczą, choć wynik z 13 października pokazuje, jak wielu środków trzeba było użyć, by zachować – na poziomie minimalnym – sejmową większość. Dla państwa sprawa jest jednak dużo poważniejsza. Straty spowodowane trwałą zmianą postaw otoczenia – z jednej strony rosnących oczekiwań społecznych, z drugiej doświadczeniem lekceważenia i jałowości negocjowania kompromisów – będą ogromne.

„Na pozór najskuteczniejszym sposobem oddziaływania państwa na przestrzeń społeczną – czytamy w dalszej części przywołanego „Raportu" – jest jej władcze opanowywanie oraz kontrolowanie i podporządkowanie sobie jej uczestników.

To jednak kosztowny i zawodny mechanizm, bo prowadzi do skrępowania i paraliżu sfery społecznej, co z kolei powoduje zastój. W konsekwencji państwo traci stopniowo swoje społeczne i materialne umocowanie". Te słowa padły je-

sienią 2015 r., kiedy sprawa strategii politycznej zwycięzców była jeszcze kwestią otwartą, kiedy można było przyjąć różne warianty relacji z otoczeniem. Dziś taka reorientacja jest już dla PiS niemożliwa. Także z tego powodu korzystniejszym wariantem byłoby objęcie władzy przez opozycję, nawet w stanie realnego nieprzygotowania do rządzenia, w jakim z różnych powodów znajduje się od kilku lat.

Co więcej: wielu ekspertów i komentatorów podkreśla, że wprowadzane przez PiS zmiany konserwują neoliberalny model kształtowania usług publicznych. Transfery łagodzą tylko jego doraźne konsekwencje. A budowanie alternatywy – czyli szeroko dostępnych i świadczonych na dobrym poziomie usług zdrowotnych, transportowych czy oświatowych, będzie wymagało czasu i sporych środków publicznych. Obu tych rzeczy następcy PiS mogą nie mieć. Prawo i Sprawiedliwość będzie zaś broniło przede wszystkim tego, co stanowi o jego podstawowej atrakcyjności, czyli pieniędzy przekazywanych bezpośrednio różnym grupom.

### Paraliż postępowy

Struktury państwa mogą słabnąć na dwa sposoby: poprzez niedofinansowanie usług publicznych i decentralizację deficytu – z budżetu centralnego do budżetów jednostek samorządu terytorialnego oraz poprzez osłabianie podmiotowości poszczególnych agend, niszczenie samodzielności i motywacji urzędników czy pracowników sektora publicznego przez nadmiernie szczegółowe wytyczne. Model rządzenia oparty na maksymalizowaniu kontroli premiuje lojalność i brak inicjatywy, która jest potraktowana jako działanie wbrew oczekiwaniom wyższego szczebla. Od lat obserwujemy skutki funkcjonowania tego modelu na poziomie polityki parlamentarnej, rządzonej przekazami dnia i rozbudowaną ponad miarę dyscypliną klubową.

> Nie nabierajmy się na każdą retoryczną zagrywkę PiS. **Postulat tworzenia nowych elit** ma pokazać swoim siłę i wywołać bezradny protest przeciwników.

Coraz częściej widoczne jest przenoszenie się takich postaw na poziom samorządów czy – zwykle bardziej merytoryczny – szczebel wiceministrów. Ale postawa bierności i działania na rozkaz lub – co gorsza – próba wpisywania się w oczekiwania zwierzchników będzie szczególnie groźna, gdy dotrze na poziom, na którym realizowane są polityki publiczne. Dziś obejmuje on przede wszystkim sferę legislacji i działania agend takich jak np. kuratoria oświaty, ale nie determinuje pracy dyrektorów szkół i nauczycieli.

Pod tym względem niezwykle ważne będą procesy dotyczące instytucji kultury zarządzanych przez samorządy województw, los uczelni po wprowadzeniu reformy czy przebieg procesów dystrybucji środków publicznych na poziom samorządów. Każdy z tych elementów wydaje się drobny, ale właśnie na tym poziomie państwo istnieje w sposób dostrzegalny – i czasami dotkliwy – dla obywatela.

Przyjęty model rządzenia państwem sprawia też, że w momencie, gdy negatywne procesy nastąpią, obecna władza nie będzie miała narzędzi, by im zaradzić, bowiem jedyny znany jej tryb będzie polegał na wzmacnianiu kontroli i wymuszaniu posłuszeństwa, co doprowadzi do pogłębiania istniejących i ukrywania kolejnych problemów.

### Alternatywy zamiast straszenia

Odpowiedzią na procesy psucia państwa pod rządami PiS nie powinno być jednak nadmierne dramatyzowanie i tak poważnej sytuacji. Od czterech lat nasz problem polega także na tym, że znacząca część opozycji woli dyskredytować PiS i straszyć nim, niż pracować nad alternatywą. Nie nad konkurencyjnymi hasłami, ale nad alternatywnym modelem rządzenia, w którym zmiana władzy nie będzie zredukowana do zmiany rządzących i retoryki.

Każde wezwanie do zrewidowania dotychczasowej postawy i podjęcia pracy według nowych schematów odrzuca się jako niebezpieczny symetryzm. Tyle że w ten sposób zakleszczamy się w wyborze między „jest super" a „było super" – bez większej nadziei na przyszłe sukcesy.

Jest po wyborach. Zwycięski obóz zaczął nowy sezon polityczny od podważenia wyników przegranych wyborów do Senatu. To znakomicie podkreśla kontynuację polityki totalnej nieufności – także wobec swoich struktur. Jak otworzy nową kadencję opozycja, pozostaje sprawą otwartą. Warto, by zajmując się wewnętrznymi konfliktami i sporem z PiS, nie zapomniała, że w chwili przejęcia władzy po obecnej ekipie każdy obroniony i dobrze funkcjonujący skrawek państwa będzie na wagę złota.

© RAFAŁ MATYJA

*Autor jest politologiem, wykładowcą Kolegium GAP Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. W wydawnictwie Karakter ukazała się jego diagnoza stanu państwa „Wyjście awaryjne". Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".*

TP

*Kluby „TP" zapraszają na spotkania*

**GLIWICE, wtorek, 5 listopada, godz. 18.00**
„Czy sztuczna inteligencja może wyręczyć lekarza?". Gościem będzie Łukasz Lamża.
Miejsce: Klub Pracowników Politechniki Śląskiej (ul. Banacha 3).

**SŁUPSK, środa, 6 listopada, godz. 17.00**
„Chrześcijańskie, europejskie, narodowe... Debata o wartościach".
Miejsce: Akademia Pomorska (ul. Boh. Westerplatte 64, aula 414).

**WARSZAWA, sobota, 9 listopada, godz. 16.00**
„Witkacy. Filozof i ekscentryk".
Gościem będzie Przemysław Pawlak.
Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ŁUKASZ KALINOWSKI / EAST NEWS

*Orzesze, 13 października 2019 r.*

# Głos głosowi nierówny

JAROSŁAW FLIS

**W tle próby podważenia przez PiS wyniku wyborów czai się szerszy problem: wskutek zaniedbań poprzednich Sejmów znacznie spadła siła głosu wyborców z wielkich miast.**

Jeszcze na początku roku stwierdzenie, że PiS uzyska samodzielną większość, wywołałoby u zwolenników opozycji depresję, a u zwolenników obozu władzy euforię. Dziś taki właśnie wynik przyjmowany jest znacznie bardziej powściągliwie. Widoczna już w wieczór wyborczy frustracja Jarosława Kaczyńskiego pogłębiała się tylko, w miarę jak obraz się dookreślał. Już to jest nagrodą pocieszenia dla zwolenników opozycji.

Warto jednak przyjrzeć się uważnie źródłom tej frustracji – to, dlaczego zwycięzca się nie cieszy, jest z reguły ważne także dla przegranego.

### Będzie trudniej

Wyjaśnienie podał od razu sam prezes – jego zdaniem „zasługujemy na więcej". Przeliczenie wyników europejskich na sejmowe dawało partii rządzącej 253 mandaty, więc w tym sensie PiS „stracił" od wiosny aż 18 miejsc w Sejmie. Na to nakłada się utrata większości w Senacie – to nie tylko spowolnienie parlamentarnych manewrów, ale i symboliczna porażka – oraz kwestia przyszłych relacji z koalicjantami. Nadzieja na silne zwycięstwo oznaczała, że przy wyniku porównywalnym do 2015 r. Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin będą skazani na łaskę Kaczyńskiego – tak to wyglądało pod koniec zeszłej kadencji, kiedy prezes miał nadwyżkę dzięki podebraniu kilku posłów z Kukiz'15.

A w następnych wyborach Prawu i Sprawiedliwości będzie jeszcze trudniej.

Opozycja z prawej strony nie jest wprawdzie aż takim problemem – w poprzedniej kadencji było tyle samo posłów z Ruchu Narodowego i nie przeszkadzało to w rządzeniu. Po wyskokach Korwina-Mikkego rządzący mogą mówić, że mają ofertę dla wyborców centrum. Widać też jednak, że samo pojawienie się zauważalnej konkurencji na twardym prawicowym skrzydle powoduje, że wyborcy zniesmaczeni aferami – takimi jak sprawa prezesa NIK – mają jak to wyrazić. Przy generalnie wyrównanej sile obozów nawet skromny odpływ głosów w tym kierunku może przeważyć szalę. Chociaż wyniki Konfederacji nie wskazują, żeby to była partia konkurencyjna w reprezentowaniu tradycjonalistycznej części społeczeństwa: wyższe poparcie zyskała w Warszawie niż w Galicji.

Mniejsze niż dotąd poparcie w Galicji ma też PSL, którego elektorat przesunął się na zachód i do miast. Ale potencjał budowy przez ludowców umiarkowanego centrum to już realne zagrożenie dla PiS. Gdy okazało się, że PSL nie jest na równi pochyłej, znów zaczęły się zmieniać układy w Polsce lokalnej. Zakłóceniu uległ proces przejmowania przez partię Kaczyńskiego tamtejszych sieci społecznych, szczególnie instytucji takich jak straże pożarne – nic z tego nie zostanie oddane przez ludowców walkowerem.

Część komentatorów uważa, że zmianą jest pojawienie się lewicy. Ale w kadencjach 2007-15 miała ona w Sejmie reprezentację o połowę większą. Jej obecność w kolejnej kadencji nie będzie wpływała na kierunek rządzenia. Zyskała natomiast okazję zacieśnienia więzi: w kampanii wyborczej kandydatom lewicy udało się zachować równowagę i nikt nie został dramatycznie pokrzywdzony. SLD i Wiosna *per saldo* wyszły trochę lepiej niż Razem, jeśli chodzi o zdobyte mandaty w stosunku do wystawionych kandydatów, ale z kolei Razem jest pierwszy raz w parlamencie. Czy uda się z tego stworzyć nową tożsamość, czy raczej wszystko skończy się jak z Nowoczesną i Ruchem Palikota? Potrzebny jest realny pomysł: mniej głoszenia idei, które w tym Sejmie nie mają szans na przeforsowanie, tylko przygotowanie do dalszej ofensywy.

### Czy jest na sali Kurz?

Radość liderów Lewicy i PSL w wieczór wyborczy nie była na miarę przejęcia władzy – to była ledwie satysfakcja. Co może ich ocalić przed popadnięciem w pychę i przekonanie, że się jest czarnym koniem, co kiedyś zgubiło Palikota. Dostali szansę: to zdrowy stan w polityce. Świadomość, że mogło pójść lepiej, ale i mogło

pójść gorzej, gwarantuje największą skuteczność działania.

Najtrudniejsza jest sytuacja obozu Grzegorza Schetyny. Patrząc na liczbę mandatów, PO i Nowoczesna mają najmniejsze przyrosty ze stałych partii opozycji. Warto też zwrócić uwagę, że koncepcja KE z wiosennych wyborów europejskich okazała się porażką, i że potwierdziła się teza, iż najbardziej niebezpieczna dla PiS jest sytuacja, w której idą przeciw niemu trzy wyraźne bloki.

Schetyna nie wziął odpowiedzialności ani za wiosenną porażkę, ani za marny wynik swojej partii jesienią. Nie wiadomo, kiedy i jak rozstrzygnie się wewnętrzna walka o władzę, lecz nowe kierownictwo będzie musiało ułożyć relacje z PSL i Lewicą. Co zrobić, jeśli te dwa ugrupowania będą chciały rozebrać między siebie Platformę – jedni odbić Arłukowicza, drudzy Kowala z Poncyliuszem? Przewagą partii centrowych jest zwykle sprawność organizacyjna, ale w tym punkcie PO jest teraz znacznie słabsza niż dwie pozostałe formacje opozycji.

Oczywiście nadal ma swoje atuty. Najważniejszym jest silna pozycja w samorządach: rzesze sprawdzonych ludzi we władzach powiatowych i miejskich. Sęk w tym, że trzeba umieć te zasoby uruchomić.

Jeśli PO ma znów się stać realną siłą i naturalnym wyborem dla sporej części społeczeństwa, musi znaleźć swojego Sebastiana Kurza – zaledwie 33-letniego odnowiciela austriackich chadeków. Kogoś, kto znajdzie równowagę między skrzydłami i odbuduje zaufanie do sprawności organizacyjnej, dramatycznie nadwyrężonej przez Schetynę i jego wiernych druhów – Sławomira Neumanna czy Roberta Tyszkiewicza.

### Puste kartki

Atmosferę powyborczego moszczenia się w nowej rzeczywistości zakłócają protesty. Maniakalna reakcja PiS jest chyba próbą wyjścia z powyborczego dołka. Opowieści o źle kwalifikowanych nieważnych głosach przypominają tę samą narrację po wyborach samorządowych roku 2014. Wtedy jednak nic nie zostało udowodnione – po prostu karta do głosowania w formie sławetnej książeczki myliła wyborców. Kwestionując fakt tak licznych głosów nieważnych, PiS ignoruje przy tym regułę dobrze znaną z innych krajów, że skoro do Senatu było mało kandydatów, to wyborcy małych partii oddawali puste kartki. Takie zjawisko widać w najprostszym zestawieniu danych na stronach PKW: zjawisko nasila się w tych okręgach, gdzie duże partie stawiały na kandydatów w ten czy inny sposób skompromitowanych. Np. w okręgu nowosądeckim, gdzie do wyboru był ścigany przez prokuraturę były senator PiS i jego były asystent. Trudno się dziwić, że wyborcy opozycji wrzucali tam puste kartki.

> Maniakalne protesty wyborcze PiS łatwo mogą się obrócić przeciwko tej partii. **Gdyby wybory powtórzono,** jej upokorzenie mogłoby się jeszcze zwiększyć.

Warto zauważyć, że operację podważania wiarygodności wyborów zaczęła opozycja, oprotestowując zbyt późny termin zgłoszenia kandydata na miejsce zmarłego Kornela Morawieckiego. Tamten protest był zgodny z prawem, ale niezgodny ze zdrowym rozsądkiem, stanowił więc raczej przejaw czepialstwa. Protesty PiS narażają partię na śmieszność – nie ma w nich choćby próby uwiarygodnienia postawionych zarzutów.

O ryzyku, jakie niesie podważanie wyborów, świadczy niedawny przykład Stambułu – prezydent Erdoğan poniósł tam bolesną porażkę. Jego partia wpierw doprowadziła do wątpliwego administracyjnego unieważnienia wyborów, a po ich powtórzeniu przegrała jeszcze wyraźniej. Wszędzie bowiem wybory organizowane w trakcie kadencji mobilizują bardziej przeciwników rządu. Starczy przypomnieć, że gdy w 2008 r. zmarł senator PiS z Podkarpacia, to pomimo ogromnego wysiłku PO, PiS bez trudu obronił tamten mandat.

Można się spodziewać, że w przypadku powtórzenia wyborów upokorzenie PiS jeszcze się zwiększy. W okręgu koszalińskim partia Kaczyńskiego zdobyła 36 proc. w wyborach do Sejmu – z takim bazowym poparciem nie była w stanie wygrać w żadnym z pozostałych okręgów senackich. Poza tym cała operacja spowoduje nasilenie oskarżeń o nadużywanie demokracji. I może się odbić negatywnie na wynikach wyborów prezydenckich w maju, bo w tych wyborach upadł także mit, że elektorat jest odporny na afery.

### Stary podział

W tle protestów podważających prawidłowość liczenia głosów w kilku okręgach czai się jednak poważniejszy problem strukturalny, którego nie rozwiążą żadne wyroki Sądu Najwyższego. Problem z równością wyborów.

Zgodnie z kodeksem wyborczym powinno się regularnie korygować liczbę mandatów do zdobycia w poszczególnych okręgach – dostosowywać ją do zmian liczby ludności. Obecny podział mandatów był ustalony przed wyborami roku 2011 na podstawie danych ludnościowych GUS za rok 2010. PKW przedstawiła w grudniu zeszłego roku wyliczenie, które sugerowało zmianę w części okręgów. W 2015 r. zresztą też takie wyliczenie przedstawiła, a Sejm zdominowany przez PO nie podjął sprawy.

O co chodzi? Liczba ludności przyrasta w wielkich miastach oraz np. w okręgu podwarszawskim. A wyludniają się takie miejsca jak Świętokrzyskie – jeden z bastionów PiS – a także Zagłębie. W efekcie głos mieszkańca Legionowa jest o 1/4 słabszy niż mieszkańca Sosnowca, bo okręg podwarszawski ma do obsadzenia mniej mandatów, niż wynikałoby to z liczby jego obecnej ludności, gdy gdzie indziej jest ich za dużo.

Dodatkowym czynnikiem wpływającym na siłę głosu jest frekwencja – im wyższa, tym wpływ pojedynczego wyborcy na obsadzenie mandatów mniejszy. W największych miastach jest ona najwyższa – bo jest m.in. funkcją wykształcenia i bogactwa. To trochę skrzywiło wynik wyborów na korzyść PiS. Procentowy udział głosów oddanych na jego listy podniósł się tam, gdzie jest niska frekwencja (np. na ziemach zachodnich), a osłabił tam, gdzie jest wyższa frekwencja.

W przypadku Warszawy dochodzi jeszcze jeden czynnik – głosy oddane za granicą, które przypadają na warszawską listę. Kiedy dawniej chodziło o garstkę dyplomatów, którzy i tak w większości mieszkali poza okresem służby w Warszawie, to było logiczne. Jeszcze w 2005 r. głosy zagranicy odpowiadały jednemu mandatowi, co po dorzuceniu ↦

do 19 mandatów warszawskich nie robiło większej różnicy. W tych wyborach jednak głosy oddane za granicą liczebnie odpowiadały ośmiu mandatom, których oczywiście nie było – zostały wszystkie „dorzucone" do podziału mandatów warszawskich i to zmniejszyło o 40 proc. wagę głosów warszawiaków.

Tak więc głosy z zagranicy i różnice we frekwencji razem z brakiem korekty demograficznej w rozdzieleniu mandatów między okręgi wpływają negatywnie na równość wyborów. Wybrnięcie z problemu, jaki stwarzają różnice we frekwencji, jest trudne. Sprawa zagranicy wymaga odważnej decyzji – powołania osobnego okręgu wyborczego, tak jak to ma miejsce we Włoszech czy Rumunii. Ale tego, że ostatnie Sejmy nie dokonały korekty demograficznej, nie da się obronić.

### Polak nie lubi orać

Kodeks wyborczy zawiera sprzeczność: nakazuje coś zrobić, ale zostawia to w rękach parlamentu. Można więc słusznie się obawiać, że następne wybory będą jeszcze bardziej skrzywione, wszak PiS nie będzie miał żadnego powodu, żeby cokolwiek korygować. Mógłby to rozstrzygnąć Trybunał Konstytucyjny, gdyby miał autorytet. Jednym z możliwych wyjść z sytuacji byłaby w przyszłości taka nowelizacja kodeksu wyborczego, żeby to sama PKW ustalała liczbę mandatów na podstawie danych z GUS.

Dziś chyba nie ma sensu podważać z powodu takich skrzywień wyniku wyborów – nawet jeśli PiS ostateczne zdobycie większości zawdzięcza splotowi ustawowych fuszerek i wątpliwych mechanizmów. Wyborcy trzech głównych sił opozycji chyba woleliby, żeby rząd nie opierał się na posłach Konfederacji, a taka tylko byłaby alternatywa.

Jest bowiem jeszcze jedno źródło frustracji rządzących i pociechy opozycji. Trudno uciec po tych wyborach od wniosku, że choćby nie wiem, jak się chciało, to się przeciwnika nie „zaora". Naród najwyraźniej nie jest skłonny do bezwarunkowego poparcia żadnej ze stron sporu. Zaś na warunkowe poparcie trzeba sobie naprawdę mocno zasłużyć. Opozycja ma do wykonania sporo pracy, lecz rządzący już dziś mogą poczuć na plecach jej oddech. Oby to ich otrzeźwiło, gdy już przetrawią sobie ten wynik wyborów.

© JAROSŁAW FLIS

# Polska na przystanku

RAFAŁ WOŚ

**Publiczna komunikacja zbiorowa została w III RP przyduszona, a na otarcie łez dostaliśmy pendolino i niskopodłogowe autobusy. Czas zabrać się serio za odbudowę.**

Teoretycznie możemy sobie opowiadać masę rzeczy. Np. że pociągów zazdroszczą nam wszyscy. Albo że Warszawa ma najlepszą sieć autobusów w Europie. Ale spójrzmy na liczby – proponuje Stanisław Biega, współzałożyciel fundacji Centrum Zrównoważonego Transportu.

Rzeczywiście, Warszawa pochwaliła się rekordową liczbą 1,2 mld pasażerów w 2018 r. Ale miejski transport zbiorowy się w Polsce raczej zwija, a w najlepszym razie nie podąża za panującą w Europie koniunkturą.

Według GUS w 1986 r. we wszystkich obszarach miejskich przewieziono ponad 9 mld pasażerów. Pod koniec lat 90. ich liczba spadła do 5 mld. Dziś mamy jakieś 4 mld przewozów rocznie. Jeżeli zestawić to ze wzrostem liczby samochodów (tylko w latach 2009-16 o 30 proc.), to sygnał jest czytelny.

A kolej? Na pierwszy rzut oka ostatnie wyniki powinny cieszyć: roczna liczba

PIOTR MAŁECKI / FORUM

*W Długosiodle koło Wyszkowa*

pasażerów zwiększyła się z 262 mln (w 2010 r.) do 310 mln w roku 2018. Stanisław Biega komentuje: – To fakt, że liczba podróżnych na kolei rośnie. Dzieje się tak w całej Europie. Jednak w 1989 r. przejazdów kolejowych było co roku prawie miliard, a w szczytowym okresie PRL nawet pięć razy więcej niż dziś.

Porównajmy obecne wyniki PKP ze statystykami z sąsiednich państw. W Niemczech mieszka dwa razy więcej ludzi niż w Polsce, ale Deutsche Bahn przewozi aż dziewięć razy więcej pasażerów niż PKP. Austriaków jest cztery razy mniej niż Polaków, ale koleją podróżuje tam co roku niemal tyle samo pasażerów, co u nas. W trzykrotnie mniej ludnych Czechach realizuje się przewozy na poziomie dwóch trzecich wyniku polskich kolei.

### Z siekierą na tory

W porównaniu z regionalną komunikacją autobusową kolej i tak miała w czasie transformacji trochę szczęścia: tu nigdy nie doszło do pełnej prywatyzacji i liberalizacji – otwarto jedynie rynek przewozów towarowych. Podobnie z cięciami: były bolesne i często krótkowzroczne, lecz przynajmniej nie przyszły natychmiast po 1989 r. Tzw. restrukturyzacja PKP i zmuszenie jej spółek-córek do rywalizacji nastąpiło dopiero w 2000 r.

Także popyt na połączenia kolejowe wygaszano stopniowo. Polegało to zazwyczaj na stałym pogarszaniu oferty. – Np. pociągi obsługujące mniejsze miejscowości nagle dostawały nowy rozkład i zaczynały docierać do stacji węzłowej o godzinie 10.05, podczas gdy te w pozostałych kierunkach odchodziły o 9.55 i 9.58. W efekcie ludzie tracili możliwość przesiadki i wybierali samochody – tłumaczy Karol Trammer, autor wydanej niedawno książki „Ostre cięcie. Jak niszczono polską kolej".

Innym wariantem zniechęcania pasażerów do podróży koleją było likwidowanie ostatnich pociągów rozwożących ludzi z większego miasta na obrzeża. Argument? Bo jeździły niemal puste. Tylko że każdy znawca transportowej logiki wie, iż w połączeniach dojazdowych rządzi zasada: ostatni pociąg podmiejski musi być pusty właśnie po to, by przedostatni mógł być pełny. W efekcie likwidując ostatni pustawy przebieg sprawiamy, że przedostatnie połączenie staje się... ostatnim. I też pustoszeje. Jeżeli tniemy dalej, wkrótce dochodzimy do sytuacji, w której na trasie, gdzie pociągi kursowały co godzinę, pozostają dwa połączenia dziennie. To z kolei skutkuje tym, że linia staje się nierentowna i można ją zlikwidować.

Często dochodziło przy tym do całkowitego demontażu linii: z 26 tys. km w 1990 r. polska sieć zmniejszyła się do 18 tys. dziś. Co jest zresztą niechlubnym europejskim rekordem: żaden inny kraj nie pozbył się w tak krótkim czasie tak dużej części kolejowej infrastruktury. Kulminacją był 3 kwietnia 2000 r., gdy za jednym zamachem zamknięto 1028 km połączeń pasażerskich. Karol Trammer nazywa te działania „siekierą Celińskiego" ↦

– od nazwiska ówczesnego prezesa PKP, sprawującego urząd w latach 1999–2002.

Wielu kolejowych decydentów cieszyło się, gdy mogli ograniczyć zakres swojej działalności. Byli przekonani, że ratują z tarapatów całą spółkę, która będzie mogła pokazać: „Patrzcie, generujemy coraz mniej strat!".

Ten obraz warto uzupełnić o załamanie na rynku przewozów towarowych. Tu kontekst był trochę inny, bo rynek cargo został w 2003 r. zliberalizowany i otwarty na innych przewoźników (dziś główny rywal PKP Cargo to niemiecka Deutsche Bahn Cargo). Wolumenu przewożonych po szynach towarów to jednak nie zwiększyło. Przeciwnie: w pierwszym roku po liberalizacji kolejami przewieziono ponad 280 mln ton towarów, w 2018 r. było to 250 mln ton. Dla porównania: po drogach wozi się co roku 1,5 mld ton. Jakieś sześć razy więcej niż koleją.

### Wolna busiarska amerykanka

A jak było z PKS-em? Jeszcze w latach 80. Zjednoczenie Państwowej Komunikacji Samochodowej podzielono na cztery odrębne przedsiębiorstwa. W roku 1990 dokonano ich dalszego rozbicia na przeszło sto podmiotów. Zaczęła się wolna busiarska amerykanka, która trwa do dziś i poprzez nieźle zorganizowany lobbing opiera się wszelkim formom regulacji.

Lokalny transport zbiorowy został uznany za zadanie własne gmin. Wiele mniejszych i słabszych samorządów postanowiło więc na nim oszczędzić. Towarzyszyło temu przeświadczenie, że przecież ludzie i tak przesiądą się do własnych (coraz przecież tańszych) samochodów.

Spadający popyt na bilety przynosił więc spadek przychodów spółek transportowych. Te reagowały likwidacją kolejnych linii, zmniejszeniem częstotliwości kursowania autobusów i podwyżkami cen biletów. Wobec czego popyt spadał jeszcze bardziej. O realizacji misji zapewnienia obywatelom mobilności nie mogło być już mowy.

Miasta jakoś sobie poradziły. Najgorzej było (i jest nadal) poza obszarami zurbanizowanymi. Eksperci szacują, że w ciągu ostatnich 15 lat liczba kursów komunikacyjnych poza obszarami miejskimi zmniejszyła się o 40 proc. W wielu przypadkach działo się to nawet po tym, jak pojawiły się już unijne pieniądze na walkę z tzw. wykluczeniem transportowym. Zjawiskiem w międzyczasie dobrze już zbadanym i opisanym jako jeden z głównych hamulców zrównoważonego rozwoju obszarów słabiej zurbanizowanych.

Aż trudno uwierzyć, ale pierwszą w III RP kompleksową próbę zajęcia się tym problemem podjął dopiero PiS, powołując w maju 2019 r. Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych. Ma on działać tak, że rząd dofinansuje (łączna kwota na ten cel to 800 mln zł rocznie) samorządy, które podejmą się przywrócenia zlikwidowanych połączeń na obszarach wiejskich.

Eksperci mówią, że na rozkręcenie połączenia komunikacyjnego potrzeba mniej więcej roku: dopiero wtedy można powiedzieć, czy się przyjęło. Czas na sensowną ocenę „PKS-ów Kaczyńskiego" przyjdzie więc dopiero za kilka miesięcy.

### Zderzenie z pociągiem

Trzeba pamiętać, że komunikacja zbiorowa to nie tylko statystyka, lecz także skomplikowany gąszcz instytucji i sprzecznych interesów, w którym muszą poruszać się ludzie próbujący dokonać jakiejkolwiek zmiany.

Michał Beim sprawia wrażenie kogoś, kto zderzył się z pociągiem. A dokładniej z instytucją, która polskimi pociągami zarządza. Między kwietniem 2016 a marcem 2017 r. był członkiem zarządu PKP SA. Dziś wraz z pozostałymi członkami ówczesnych władz spółki ma na głowie proces: jest oskarżony o nieumyślną niegospodarność przy organizacji ochrony Światowych Dni Młodzieży.

Beim do kierownictwa PKP trafił z Instytutu Sobieskiego. Ten think tank, kierowany wówczas przez Pawła Szałamachę, przygotował PiS-owi wyborczy sukces 2015 r. od strony intelektualnej.

– Czy zna pan nasz poznański „makowiec"?" – pyta na wstępie naszej rozmowy Beim. Ma na myśli Dworzec Główny, zbudowany na Euro 2012 za 160 mln euro. Obiekt uchodzi za symbol filozofii kolei dominującej przez większą część III RP. Już na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie dodatku do galerii handlowej, pasażerowie narzekają też na fatalny układ hali głównej, niewielką liczbę kas, a także spore oddalenie od peronów i przystanku tramwajowego.

To m.in. doświadczenie „makowca" sprawiło, że po wejściu do zarządu PKP Beim skupił się na przygotowaniu programu inwestycji dworcowych: – PKP ma dziś ok. 600 dworców w całej Polsce. Przy okazji Euro 2012 zmodernizowano ok. stu. Chodziło nie tylko o to, żeby ten proces dokończyć, ale także zapobiec powtórzeniu błędów z Poznania.

Ambicją Beima było przywracanie dworcom ich dawnego znaczenia dla społeczności: – Przecież to w wielu przypadkach wartościowe architektonicznie budynki, które można nie tylko urato-

OGŁOSZENIA

**Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim** zawiadamia, że pod sygnaturą INs 166/19 toczy się postępowanie z wniosku Waldemara Artura Zalewskiego i Krystyny Zalewskiej o zasiedzenie nieruchomości – działki nr 5 położonej w Sulejówku, obręb 0021, należącej do Józefa Gosławskiego, Marii Danuty Kwiatkowskiej, Heleny Józefy Miecznikowskiej, Elżbiety Marii Radzikowskiej, Zofii Wieńczysławy Staniak, Czesława Henryka Zalewskiego, Eligiusza Zalewskiego, Waldemara Zalewskiego.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności spadkobierców właścicieli, aby zgłosili się do tutejszego Sądu w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia, pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

**Sąd Rejonowy dla Łodzi-Widzewa w Łodzi** zawiadamia, iż w sprawie o sygnaturze akt II Ns 276/19 toczy się przed tutejszym Sądem postępowanie z wniosku Anny Maciejewskiej z udziałem Stefanii Przyłęckiej i Doroty Lewoc o stwierdzenie nabycia spadku po Irenie Stefanii Kwiatkowskiej z domu Tankiewicz, córce Jana i Marii z domu Cabel, urodzonej w dniu 9 września 1923 roku w miejscowości Ozorków, zmarłej w dniu 7 lutego 2019 roku w miejscowości Łódź.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców tej osoby, aby w terminie 3 (trzech) miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

wać, ale zmieścić w nich wiele ważnych instytucji dla życia wspólnoty. Czemu nie może tam być urzędu pracy, siedziby straży miejskiej albo biblioteki publicznej, do której można zajść czekając na pociąg?

Słynnym przykładem udanej rewitalizacji budynku dworca jest Stacja Kultura z Rumi. Powstała tam właśnie biblioteka publiczna, uznana w 2016 r. za najlepiej zaprojektowane wnętrze biblioteczne świata.

Zanim projekt rewitalizacji dworców rozkręcił się na dobre, Beim wraz z całym zarządem PKP został odwołany ze stanowiska w związku ze wspomnianym zarzutem niegospodarności. Nagłą zmianę na kolei tłumaczono rozmaicie. Najczęściej walkami frakcyjnymi wewnątrz obozu władzy. Co ciekawe, nowy zarząd PKP mentalnie uchodzi raczej za „stary", przynajmniej gdy chodzi o filozofię kolei. Obecny prezes narodowego przewoźnika, Krzysztof Mamiński, pracę w PKP rozpoczął w 1980 r. Krytycy nie podważają jego fachowości, zwracają jednak uwagę, że we władzach spółki zasiadał także wtedy, gdy polska kolej zwijała się najszybciej.

### Darmowe autobusy

Branżę transportowych ekspertów przygody Beima utwierdziły w przekonaniu, że dużo bezpieczniejszą drogą wprowadzania zmian jest działanie z pozycji zewnętrznego doradcy. Idzie nią od lat Marcin Gromadzki – założyciel gdyńskiej firmy PTC, specjalizującej się w transporcie autobusowym. Rzut oka na mapę jej realizacji z ostatnich paru lat pokazuje, że zapotrzebowanie na takie usługi jest ogromne: od Gniewna w Pomorskiem, po Rzeszów i okolice, Gromadzki konsultuje budowę siatki połączeń i analizuje koszty przestawienia się na autobusy zeroemisyjne. Doradza też miastom i gminom, które chcą podjąć wyzwanie zbudowania darmowej komunikacji publicznej.

O doświadczeniach estońskiego Tallina z bezpłatną komunikacją miejską słyszało wielu. Mało kto zdaje sobie sprawę, że na ok. 140 europejskich miast (zazwyczaj średnich i mniejszych), które stosują podobne rozwiązania, aż połowa to miasta polskie. Zaczęły w 2011 r. podwarszawskie Ząbki (chodziło o zachętę do zmiany podatkowej rezydencji). W Nysie pomógł remont głównego mostu i decyzja władz, by uruchomić zastępczą darmową linię autobusową, która tak się mieszkańcom spodobała, że już została. W kolejnych latach tą drogą poszło wielu innych.

W Niemczech mieszka dwa razy więcej ludzi niż w Polsce, ale **Deutsche Bahn przewozi dziewięć razy więcej pasażerów niż PKP**. Austriaków jest cztery razy mniej, a koleją podróżuje tam niemal tyle samo pasażerów, co u nas.

Ale pojawił się też problem. Najlepiej widać go było w Ostrołęce. Tam bezpłatną komunikację wprowadzono kosztem zmiany siatki połączeń – redukcji wielu długich kursów średnicowych i zastąpienia ich modelem przesiadkowym. W rezultacie liczba pasażerów zamiast rosnąć – spadła.

– Takiego błędu udało się uniknąć np. w Tomaszowie Mazowieckim, w którym władze miasta także chciały wprowadzić bezpłatne przejazdy. Udało się je przekonać, że w pierwszej fazie należy zainwestować w nowoczesne, ekologiczne autobusy, uporządkowanie tras i rozkładów jazdy, a także w czytelność tych ostatnich, mapki sieci. Dopiero potem można myśleć o darmowych przejazdach i wówczas efekty zawsze będą zadowalające – mówi Gromadzki.

W rezultacie liczba pasażerów w Tomaszowie się podwoiła, a w znacznie mniejszej Kościerzynie analogiczny scenariusz poskutkował wzrostem rocznej liczby pasażerów z 47 tys. do aż 650 tys.

### Czas na zmiany

Zmiany zachodzą jedynie w pojedynczych miejscowościach. I trudno się dziwić.

– Na transport trzeba patrzeć całościowo. Bez tego nie ma wielkich szans na postęp – przypomina Karol Trammer.

Ze swoim całościowym przesłaniem autor „Ostrego cięcia" próbuje się zmieścić gdzieś pomiędzy żmudnym i frustrującym reformowaniem instytucji od środka a punktowymi interwencjami na powierzchni systemu. Uważa, że takie podejście jest konieczne.

– Zobaczmy to na przykładzie transportu towarowego – proponuje. Niejeden laik (zwłaszcza dziś, gdy rośnie w nas ekologiczna świadomość) zapali się zapewne do idei, by tiry sunące po polskich drogach poruszały się po szynach. Intuicja słuszna, problem w tym, że tego nie da się zrobić jedną decyzją.

Wszystko dlatego, że III RP była jak matka, która jedno ze swych dzieci (transport drogowy) rozpieszczała, a drugie (kolejowe przewozy towarowe) zaniedbywała. W efekcie każdy kilometr nowej autostrady czy drogi szybkiego ruchu zwiększał elastyczność i opłacalność transportu samochodowego, a atrakcyjność przewozów kolejowych stale się pogarszała. Do likwidacji szły kolejowe bocznice czy mijanki, bez których pociągi nie mogą się obyć. Transport po torach stawał się coraz mniej terminowy (opóźnienia liczy się tu nie w godzinach, lecz czasem w dobach).

Do tego doszła świadoma polityka PKP polegająca na rezygnacji z przewozów drobnych (ważny był tylko klient gotów wynająć cały pociąg). Trudno się dziwić, że jak ktoś chciał mieć towar dowieziony na czas, pakował go na ciężarówkę.

– Konieczny byłby narodowy program wsparcia zakładów przemysłowych w budowie i odtwarzaniu bocznic, którymi wagony z towarami mogłyby dotrzeć do pobliskiej linii kolejowej i nią ruszyć w świat. Problemem jest budowa brakujących torów na pierwszej mili, połączona z systemem zachęt i regulacji – mówi Trammer.

Dobra wiadomość jest taka, że przynajmniej zaczynamy rozumieć, co się dzieje. Widzimy, że dostaliśmy po Polsce Ludowej cenny spadek: nieźle rozwiniętą infrastrukturę. W pierwszych dekadach transformacji nasze elity polityczne i ekonomiczne widziały w transporcie głównie potencjalne koszty. Potem nadszedł czas wielkiej maskarady: zwijanie komunikacji zbiorowej było przykrywane punktowymi sukcesami. A to skróceniem czasu i poprawą komfortu podróżowania między największymi miastami w pendolino, innym znów razem uroczyście otwieranymi kolejnymi stacjami warszawskiego metra.

Teraz przyszedł czas, by powiedzieć wprost: jaki „zbiorkom", takie państwo.

© RAFAŁ WOŚ

REPORTAŻ

TOMEK OGRODOWCZYK / AGENCJA GAZETA

# CEGŁĘ DA SIĘ ZMONETYZOWAĆ

Łódź przez lata pozbywała się pofabrycznych zabytków. Niedawno nauczyła się je kochać na nowo.

BARTOSZ JÓZEFIAK

Przyjaciele. Pasja. Styl" – zapraszają hasła na reklamowej płachcie. Za płachtą dźwigi, rusztowania, panowie w żółtych kaskach. Państwowy Monopol Spirytusowy z początku XX wieku zamienia się w Monopolis. Drugie po Manufakturze wielkie centrum usługowe w pofabrycznych wnętrzach. Znajdą się tutaj kawiarnie, restauracje, kino i teatr, muzeum, amfiteatr pod gołym niebem. Usługi, handel i pasaż zieleni. Otwarcie na koniec roku.

Przejedźmy dwa kilometry w stronę śródmieścia. Patrzymy na inny banner: Jan Paweł II uśmiecha się do włókniarek. Uśmiecha się ledwo, ledwo, bo banner to tak naprawdę obskurne płótno wiszące na płocie. Za plecami świętego pocztówka z katastroficznego filmu. Puste okna i puste mury. Samosiejki na dachu, poprzewracane ściany. Tyle zostało

MARCIN WOJCIECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

*Urszula Niziołek-Janiak, dziś łódzka radna – wcześniej projektantka wnętrz – znalazła inwestora dla fabryki Marguliesa i Wolmana. Było za późno, a teraz fabryka jest zamieniona w rumowisko.*

*Dawna Tkalnia Sheiblera, później zakłady Uniontex, dziś zbankrutowane. Styczeń 2018 r.*

z Tkalni Scheiblera, czyli PRL-owskiego Unionteksu. Największa tkalnia w Polsce przetrwała dwie wojny, ale nie przetrwała wolnej Polski. Nowy właściciel zbankrutował, a fabryka została wstydliwą pamiątką po czasach słusznie minionych.

Od Monopolis do Unionteksu rozciąga się historia łódzkich zabytków. I nie tylko łódzkich, bo pofabryczne wnętrza przeżywają dziś drugą młodość także w Warszawie, Poznaniu czy Gdańsku. Inwestorzy odnawiają je na potęgę. Jeszcze kilka lat temu woleli wyburzać.

### Superdetektyw w Łodzi

Uniontex i tak miał więcej szczęścia niż na przykład Fabryka Wyrobów Pończoszniczych Marguliesa i Wolmana.

Dwupiętrowy budynek na skrzyżowaniu Kamińskiego i Rewolucji przyciągał wzrok frontonem z dwoma literami: M i W oraz datą: 1925. Z fabryki zostało ogrodzone płotem klepisko. Łodzianie mogą za nie dziękować Krzysztofowi Rutkowskiemu.

W 2008 r. fabryka jeszcze stała. Urszula Niziołek-Janiak, wtedy po prostu projektantka wnętrz i pracownica biblioteki, oglądała ją codziennie z okien. Wyjęła notes z kontaktami z branży budowlanej. Znalazła inwestora. Chciał kupić i wyremontować fabryczkę. Ale było już za późno. Właściciel miał inne plany.

W zimowy poranek Ula zobaczyła kontener ustawiony przed fabryką. Czyżby wyburzali? Z sąsiadami dzwonili do konserwatora, urzędu, dziennikarzy. Zbierali się przed bramą, fotografowali budowlańców. Okazało się, że właściciel – warszawska firma Prestige, wydzierżawiła teren detektywowi Rutkowskiemu, który postanowił otworzyć tu szkołę. Fabryka nijak się do tego nie nadawała. Rutkowski tłumaczył, że nie wytrzymałaby obciążeń dynamicznych. To ciekawe, myślała Ula, że przez sto lat wytrzymała pracujące fabryczne maszyny, a zawaliłaby się pod ciężarem przerzucających się przez ramię detektywów. Rutkowski nie przejmował się wzburzonymi sąsiadami, a ochroniarze przeganiali ich z terenu. Ula wtedy jeszcze nie wiedziała, że tu trzeba wejść na łyżkę koparki, przykuć się do budynku, własnym ciałem blokować maszyny. Elementarz miejskiego aktywisty i wielbiciela zabytków nabyła później.

W nocy przyjechał ciężki sprzęt i zamienił fabrykę w rumowisko. Operacja zajęła inwestorowi dwa dni. Budowa szkoły detektywów nigdy nie ruszyła.

### Niebezpieczny biznes

Spacerujemy z Ulą tropem martwych zabytków. Przy skrzyżowaniu Sienkiewicza i Nawrot widzimy całodobowy parking na Bóg wie ile samochodów. Sto? „E tam, lepiej!" – zapewnia strażnik. Raptem dwa złote za pierwszą godzinę i złotówka za każdą kolejną.

Dziesięć lat temu zamiast klepiska była tu stuletnia strażacka remiza, w której urzędował pierwszy w mieście oddział straży konnej. W latach 90. urzędnicy przekazali ją gminie żydowskiej, w ramach rekompensaty za inne nieruchomości. Prezydent Kropiwnicki obiecywał, że w remizie powstanie centrum rewitalizacji.

Nowy właściciel miał widać inne plany. W lutym 2008 r. gmina sprzedała teren firmie Jupiter Rida. Nie minęły dwa miesiące, a remiza niemal zniknęła z powierzchni ziemi. Siedziba straży stanęła w ogniu w piątek nad ranem. Strażacy byli przekonani, że pożar jest efektem podpalenia. Sprawę badała łódzka policja, ale niczego nie ustaliła.

To nie był dobry czas dla łódzkich zabytków. Parę dni wcześniej ruszyło wyburzanie stuletniego browaru Ludwika Anstadta. W ruinę właśnie zamieniła się Norbelana przy al. Mickiewicza, która w szczytowym momencie zatrudniała tysiąc osób. Zniknęły fabryki przy Wróblewskiego, secesyjne elektrownie z al. Politechniki, XIX-wieczne zakłady dziewiarskie przy Dąbrowskiego. Tego samego dnia, w którym płonęła straż, miejscy aktywiści urządzili pogrzeb XIX-wiecznej fabryce Biedermanna. Grupa Pewnych Osób, czyli łódzcy protoplaści ruchów miejskich, do czarnej trumny włożyli cegły ze zburzonej przędzalni i pomaszerowali pod urząd miejski.

„W ciągu ostatnich lat wyburzono więcej zabytkowych budynków niż w ciągu całego PRL. To skandal i barbarzyństwo!" – grzmiał na łamach „Wyborczej" łódzki architekt Marek Janiak.

Inwestorzy woleli wyburzać, niż remontować. Tak było taniej.

Niecały rok później na dach remizy wskoczyli robotnicy. Nową świecką tradycją rozbiórkę zaczęli w piątek po południu: tak, żeby urzędnicy nie zdążyli zareagować.

– Przez kilka nocnych godzin staliśmy grupami przed bramą. Chcieliśmy blokować wjazd koparkom i ciężarówkom. Właściciel śmiał nam się w twarz. Chciał wzywać policję. I miał do tego prawo, bo wyburzenie było legalne. Miał w ręku wszystkie pozwolenia. W końcu się nas pozbył – wspomina Ula Niziołek-Janiak.

Kilka dni później społecznicy przynieśli stół i jedzenie. Polali do kieliszków bezalkoholowego szampana. Wielkimi nożycami przecięli szarfę w barwach Łodzi. Oficjalnie otworzyli Centrum Rewitalizacji.

– Zostały nam żarty, ale czułam bezsilność. Po raz kolejny zresztą. Ale może to miało sens? Dzięki naszym akcjom ludzie w ogóle zauważyli, że mają w Łodzi zabytki. To były trudne i nerwowe lata dla wielbicieli łódzkich zabytków. Mieliśmy na koncie dziesiątki grubych i setki mniejszych interwencji i zawsze musieliśmy być w pogotowiu.

Najgorzej w pamięci łodzian zapisała się firma Central Fund of Immovables. Konsorcjum skupuje nieruchomości, ↦

zwłaszcza zabytkowe, z całego miasta. Część remontuje, ale większość pozostawia na pastwę żywiołów. Po co? Społecznicy i dziennikarze stawiają diagnozę: chodzi o spekulację. Działka to jest lokata kapitału. Na działkę można wziąć hipotekę, można ją zadłużać, a zarobione pieniądze inwestować. A remontować? Nie trzeba.

Skutki są opłakane. Niszczeje zabytkowa kamienica u zbiegu Piotrkowskiej i Zielonej. Ogromna przędzalnia Grohmana to dziś wybite okna i samosiejki na murach, a w środku zawalił się strop. Bogato zdobiona kamienica przy Zachodniej stoi pusta i zapada się w sobie, odpadają piękne sztukaterie.

Firma za nic ma grzywny i wyroki. Pozwolenia budowlane? A kto by się tym przejmował?

Taki model biznesowy bywa tragiczny w skutkach. W maju 2005 r. zawaliła się trzypiętrowa fabryka Scheiblera. W środku mieściły się biura, pracowało kilkadziesiąt osób. Pod gruzami zginęły dwie kobiety. Pięć osób zostało rannych. Adama Kawczyńskiego, jednego z szefów CFI, oskarżono o samowolę budowlaną. Został oczyszczony z zarzutów. 10 lat później zawaliła się ściana XIX-wiecznej fabryki tasiemek: kolejnej własności CFI. Tym razem cudem nikt nie został ranny. Ekipy budowlane prowadziły w środku prace bez żadnych zezwoleń. Prokuratura oskarża je o spowodowanie katastrofy budowlanej. Sprawa jest w toku.

### Ofiary kapitalizmu

Wojciech Szygendowski, przez 11 lat wojewódzki konserwator zabytków, tłumaczy: – Żeby zrozumieć skalę zniszczeń w Łodzi, trzeba cofnąć się do lat 90. Wtedy fabryki trafiły w ręce syndyków: likwidatorów zakładów. A likwidator dostawał od państwa jedno zadanie: sprzedawać jak najdrożej. Status obiektu zabytkowego był obciążeniem, a nie atutem. Likwidatorzy wyprzedawali jedną działkę pod pięć hurtowni, a nowi właściciele nie dbali o historyczną przestrzeń. Plan Balcerowicza był okrutniejszy dla łódzkich zabytków niż II wojna.

W dwutysięcznych latach zaczęło się liczyć jedno: liczba metrów kwadratowych pod inwestycje. Im więcej powierzchni pod mieszkania i usługi, tym chętniej bank udzieli kredytu. Nikomu nie w smak była ochrona zabytków. Pusta, uzbrojona działka to większa wartość.

Szygendowski nie wspomina dobrze współpracy z władzami miasta z tamtych lat. Prezydentem miasta był wtedy Jerzy Kropiwnicki. Dla ówczesnych władz zabytkiem mógł być Wawel, a nie jakieś tam fabryki z czerwonych cegieł.

Do tego w 2004 r. prawo stworzyło furtkę. Zmieniono ustawę chroniącą zabytki, a stare plany miejscowe przestały obowiązywać. Tym samym praktycznie z dnia na dzień prowadzona przez urząd miasta gminna ewidencja straciła prawną ochronę. Lepiej sytuacja przedstawiała się w przypadku rejestru zabytków, który z kolei prowadził wojewódzki konserwator. Ale tu też prawo nie było dla zabytków łaskawe.

Konserwator z czasów PRL-u mógł błyskawicznie wpisać 200 budynków do rejestru. Dzisiaj na wpisanie jednego obiektu potrzeba czterech miesięcy. Za czasów Szygendowskiego wpisywano dwadzieścia budynków rocznie. Sukces, zważywszy na to, że w jego biurze wpisami zajmowała się jedna osoba. Na więcej etatów nie miał pieniędzy.

Tak oto fabryki, pałace XIX-wiecznego kapitalizmu, padły ofiarą kapitalizmu nowej ery. Przepisy zmieniono w 2010 r. Od tej pory nie tylko rejestr, ale także ewidencja obejmowała budynki ochroną. To zastopowało falę wyburzeń, ale jej nie zatrzymało. W międzyczasie zmieniło się jednak coś jeszcze. Ta zmiana nosi nazwę: Manufaktura.

### Wizjoner sprowadza Francuzów

Dawna fabryka Izraela Poznańskiego, największego – po Karolu Scheiblerze – łódzkiego fabrykanta. W PRL-u zamieniona na zakłady imienia Marchlewskiego, zbankrutowała jako jedna z pierwszych w Łodzi. Mieczysław Michalski został jej dyrektorem w 1990 r. Ekonomię studiował na Uniwersytecie Łódzkim. W PRL-u była to uczelnia wyjątkowa, bo kształcąca ekonomistów zerkających na wolny rynek. Michalski patrzył, jak radziły sobie inne włókiennicze miasta, Manchester czy Baltimore. Wiedział, że fabryczne budowle przerabiano na hotele, biurowce i galerie handlowe. Ten sam model chciał przenieść do Łodzi. Wszyscy pukali się w czoło: jak to, w fabrykach nie będzie produkcji? W mieście hula 20-procentowe bezrobocie, a on o jakiejś galerii handlowej.

Okazało się, że Michalski to wizjoner. Gdy po Marchlewskim biegały szczury

i złomiarze, zaprosił do fabryki Francuzów z holdingu budowlanego Ducatel. Zgodzili się kupić cały kompleks. Michalski pośredniczył w negocjacjach z miastem i wierzycielami. Przeciwny budowie był prezydent Kropiwnicki. Uważał, że inwestycja zabije rodzimy handel przy ulicy Piotrkowskiej. Gdy francuski holding zbankrutował, jego zobowiązania przejęła grupa finansowa Rothschilda, jedna z największych na świecie. Budowa Manufaktury kosztowała 200 mln euro i zakończyła się w 2006 r. Powstały tam nie tylko centrum handlowe, restauracje, kino i kręgielnia, ale też rynek, którego Łódź nigdy nie miała. A także muzeum dawnej fabryki i muzeum sztuki.

Przy okazji okazało się, że Kropiwnicki miał rację. Manufaktura zabiła handlową Piotrkowską. Dziś główna ulica miasta to ciąg barów, kebabów i restauracji.

Michalski swoje zaangażowanie przypłacił oskarżeniami o korupcję. Prokuratura była pewna, że sprzedając fabrykę Francuzom, zaniżył jej wartość. Po wielu latach sąd oczyścił go z wszystkich zarzutów. „Michalski udowodnił, że fabryki mogą żyć bez przemysłu. Za jego przy-

BORYS WIANOWICZ / EAST NEWS

*OFF Piotrkowska – modne łódzkie zagłębie kulturalne – na terenie dawnej fabryki bawełny Franciszka Ramischa, 2013 r.*

kładem poszli inni, którzy zaczęli przerabiać kolejne fabryki z czerwonej cegły – na biurowce, mieszkania, a nawet centra handlowe" – pisał Michał Matys w książce „Łódzka Fabryka Marzeń".

Z Ulą Niziołek-Janiak spaceruję ulicą Północną, by obejrzeć przędzalnię i szarpalnię wełny z 1902 r. Ok. 2012 r. Ula dostała sygnał z urzędu, że właściciel będzie chciał ją wyburzyć. W pobliżu postawiono już ciężki sprzęt. Ula i przyjaciele maszyny pilnowali po nocach, na zmianę, z okien albo w dwuosobowych patrolach. Mieli rozpiskę z dyżurami, termos gorącej kawy i instrukcje – w razie czego zasłaniać fabrykę własnym ciałem i dzwonić po straż miejską, która czekała na ich sygnał. Po tygodniu ciężki sprzęt zniknął. Inwestor wycofał wniosek o wyburzenie. Do dziś Ula nie wie, czy to oni uratowali fabryczkę. Faktem jest, że nowy właściciel wziął rządowe dofinansowanie i za 15 mln odnowił przędzalnię. Dziś są tam apteka i biura.

Główny konkurent Poznańskiego, Karol Scheibler również doczekał się renowacji. Australijski inwestor odnowił jego fabrykę wyrobów bawełnianych, zamieniając ją w luksusowe lofty. Australijczykom poszło gorzej niż Francuzom, bo firma zbankrutowała, a słynne na całą Polskę lofty posprzedawał syndyk.

Najsłynniejsze po Manufakturze industrialne wnętrza to OFF Piotrkowska Center, czyli dawna przędzalnia i tkalnia Ramischa. Kto skręci z głównej ulicy, ten znajdzie food trucki, restauracje, kultowy klub Dom, biura architektów i programistów czy pracownię ceramiki artystycznej. Wspólną przestrzeń dzieli Football Pub i lokal dla społeczności LGBT Ganimedes. W letnie popołudnia na leżakach tłumy dopijają piwo ze Spalonych Słońcem, czekają na pokaz kina plenerowego.

Przez lata miejsce kojarzyło się z budami z tanim żarciem, gdzie każdy łodzianin choć raz w życiu zajadał kaca sajgonkami na papierowych talerzykach. Fabryczne wnętrza w 2002 r. kupił irlandzki deweloper. Plan miał klasyczny: hotel i biura. O mały włos, a najmodniejsza łódzka przestrzeń nigdy by nie powstała. Łodzianie powinni dziękować za światowy kryzys, który zmusił właściciela do zmiany planów. Inwestor otworzył przestrzeń dla artystów i „biznesów kreatywnych". Za dużo nawet nie remontował. Przybrudzona cegła bardziej pasowała.

Dziś na OFF-ie panika. Barmani i kelnerzy zachodzą w głowę: kiedy nas wyrzucą? Inwestor zbudował jeden biurowiec, będzie stawiać drugi, od frontu. Kamil Wasiak, rzecznik OFF Piotrkowskiej, zaleca studzić emocje.

– Ilekroć wprowadzamy jakieś zmiany, dowiaduję się, że to już koniec, gwóźdź do trumny. Pogrzebów OFF-a odbyła się niezliczona ilość. Wszystko pudło. Inwestor zdaje sobie sprawę, że wartość tej działki buduje również to, co alternatywne. Wyrzucenie najemców, którzy budują charakter tej przestrzeni, byłoby błędem.

Dlatego lokale z frontu zostaną przeniesione w inne miejsce, a w projekcie biurowca usunięto częściowo trzy kondygnacje. Powstała w ten sposób brama, która zapewni widok na pofabryczne wnętrza. Trawnik i i kino plenerowe zostaną przeniesione na dach z otwartym dostępem.

Wasiak wyjaśnia: firmy inwestują niemałe pieniądze w „przestrzenie rozrywki" i integracje pracowników. Najemcy na OFF-ie to wszystko dostają w cenie. A nawet więcej: klimat i markę, która przelicza się na złotówki. Alternatywa to dziś po prostu pieniądze.

## Happy end?

Dźwigi piętrzą się nad Łodzią, a moda na postindustrialne wnętrza rozlała się po całym kraju. Okazało się, że wyczyszczoną czerwoną cegłę da się zmonetyzować. Łódź po latach odkryła swoją historię i własne piękno. Piękno hal fabrycznych, wysokich okien i czerwonej cegły. Choć burzyciele w typie CFI wciąż istnieją, jest ich znacznie mniej niż jeszcze dekadę temu.

*Happy end* psują ciągnące się hektarami ruiny porozrzucane po śródmieściu. Wiele fabryk nigdy nie znalazło właściciela z wypchanym portfelem. I pewnie już nie znajdzie. Dlatego Wojciech Szygendowski nie święci triumfu: – To, co miało zostać wyburzone, zostało. Tylu rzeczy nigdy nie odzyskamy...

© BARTOSZ JÓZEFIAK

Przy pisaniu artykułu wykorzystano książki: „Łódzka Fabryka Marzeń" M. Matysa oraz „Księga Fabryk Łodzi" J. Kusińskiego, R. Bonisławskiego i M. Janika. Autor pracuje nad książką reporterską o Łodzi.

WIARA

# SIOSTRA ŚMIERĆ

**O. WACŁAW OSZAJCA, JEZUITA:**
Są momenty, w których człowiek chce umrzeć, np. gdy przeżywa się coś pięknego.

**ZBIGNIEW MIKOŁEJKO, RELIGIOZNAWCA:**
Kiedy myślę o śmierci, jestem przerażony!

**ARTUR SPORNIAK: Czy próbowali Panowie wyobrazić sobie moment własnej śmierci?**

**ZBIGNIEW MIKOŁEJKO:** Oczywiście, jak wszyscy... Chyba... Janusz Głowacki, pytany w starszym wieku – jak się potem okazało, niedługo przed śmiercią – co na ten temat myśli, odpowiedział: „Jestem przerażony!". Ja również jestem przerażony. Tutaj nie da się wierzgać przeciw ościeniowi. Moje ciało i mój duch, które stanowią jedność, buntują się przeciwko „zmianie stanu" – przeciwko temu niechybnemu przejściu. Przy wszystkich narzekaniach, bólach, cierpieniach i grozach tego świata, jednak jestem do niego najgłębiej przywiązany. Zgodziłbym się zresztą na to, żeby została tutaj tylko moja świadomość i żeby miała udział przynajmniej w patrzeniu na świat.

W doświadczeniu człowieczym najważniejsze jest przecież widzenie. Oczywiście doświadczamy całościowo – wszystkimi zmysłami, ale wzrok wybija się na pierwsze miejsce. Chciałbym po śmierci przynajmniej widzieć, chciałbym się napawać dobrymi i złymi przygodami świata. Problemem jest więc nie tyle rozstanie z sobą samym, co właśnie z tymi przygodami świata – gdy ekran zgaśnie... Dla człowieka, który utracił wiarę, jest to wygaszenie absolutne.

Ale nawet dla tych, co wierzą, obrazowanie tego, co potem, stwarza problem. Książka prawosławnego teologa Henryka Paprockiego „Czas. Eseje o wieczności", będąca przeglądem różnych koncepcji czasu i ich ewentualnych domniemanych lub rzeczywistych związków z koncepcjami wieczności, właściwie również kończy się czernią. Nowe więc myślenie teologiczne odrywa się dzisiaj od tradycyjnego obrazowania tego, co potem.

**Jezuici, odprawiając regularnie rekolekcje ignacjańskie, zdaje się często myślą o własnej śmierci...**

**O. WACŁAW OSZAJCA:** Niekoniecznie. Ale na moje myślenie o śmierci wpłynęło pewne zdarzenie. Podczas dość banalnego zabiegu medycznego utraciłem świadomość – i to w sposób na tyle głęboki, że gdy mnie wybudzono, nie mogłem się zorientować, gdzie jestem. Poczułem się obcy sobie samemu. Zobaczyłem świat z perspektywy butów, bo leżałem na ziemi. Ale największy dyskomfort miałem z tym, że... wróciłem. To, co doświadczyłem przez te kilka chwil, będąc nieprzytomnym, było bardzo wyzwalające, lekkie, zupełnie poza wszelkimi pojęciami i wyobrażeniami. To zniknięcie na moment nie da się też porównać z niczym, co dotychczas przeżyłem. Więc pomyślałem tak: jeżeli rzeczywiście po śmierci nie ma nic i jeżeli sam moment śmierci będzie tak przyjemny, to nie ma się czego obawiać.

PATRICIA DE MELO MOREIRA / AFP / EAST NEWS

**Czy to była śmierć kliniczna?**

**WO:** Nie. Lekarze to określili jako bardzo głęboką utratę świadomości czy coś takiego.

**I rzeczywiście lęk przed śmiercią ustąpił?**

**WO:** Jeśli się czegoś boję, to tego, co będzie przed, czyli długotrwałej choroby, kalectwa – ogólnie bycia ciężarem dla innych.

**Czy do śmierci można się przygotować?**

**WO:** Chyba tak. Jest znamienne, że część osób duchownych czy konsekrowanych, np. zakonnic, a także ojców starej forma-

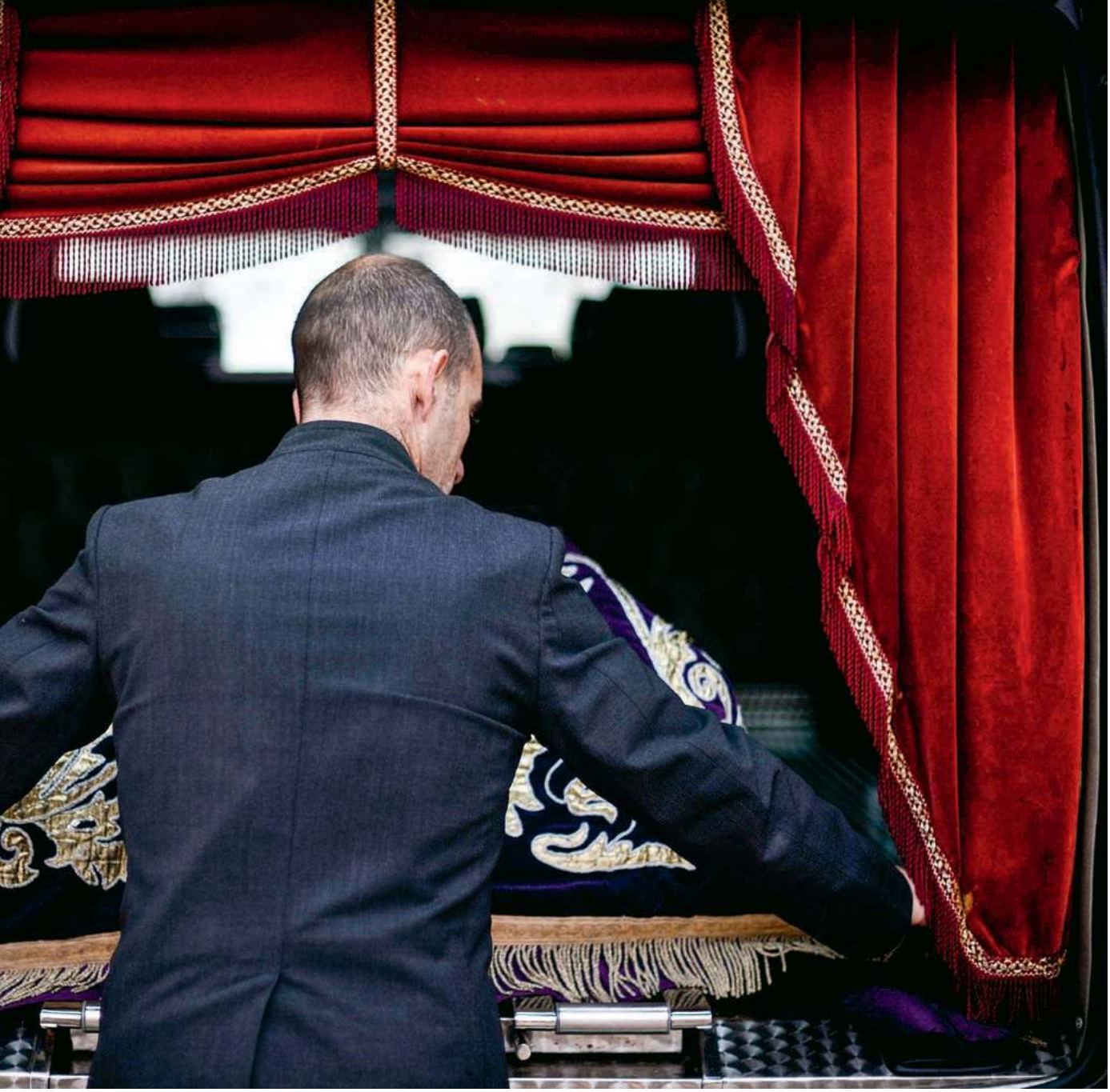

cji, bardzo się boi śmierci. Mają obraz Boga, który za zło karze, a za dobro wynagradza. To bardzo głęboko w nich zostało utwierdzone, zwłaszcza względem sfery seksualnej.

**ZM:** Czują się winni?

**WO:** Wręcz obciążeni tym, że jakieś fakty zaistniały w ich życiu, że sobie z życiem seksualnym nie poradzili.

Co najgorsze, to wszystko jest sprowadzane do fizjologii. Tak czasem kwestia celibatu czy wstrzemięźliwości jest widziana. Z tego wniosek, że można się źle przygotować.

**ZM:** Jakaś inicjacja w śmierć jest jednak możliwa przez korzystanie z różnych tekstów kultury. Czasem tam znajduję ukojenie, a czasem – przeciwnie – mój lęk jest przez lektury podsycany.

Natomiast z samym doświadczeniem śmierci mam inne wspomnienie. Swego czasu byłem bardzo głęboko związany z moją kotką Gają, którą, wraz z jej bratem Natanem, wyhodowałem niemal od „ziarenka".

Gdy umarła, strasznie to przeżyłem. Położyłem się po jej śmierci na szezlongu i poczułem, że duchowo obumieram. Miałem myśl, żeby w takim stanie pójść za nią, bo wydawało mi się, że byłoby to takie łagodne. Nawet na kilka dni przestałem się zajmować codziennością, ustało we mnie łaknienie – przestałem jeść. Przestałem pragnąć żyć.

**Depresja?**

**ZM:** Tak. O podobnych stanach pisze Montaigne w „Próbach". Np. przywołuje starożytnych stoików. Jeden z nich leczył się głodem z jakiejś choroby, ale tak mu się to spodobało, że doszedł do wniosku, iż nadal będzie się głodzić, aż umrze, bo to przyjemne wchodzenie w śmierć.

**WO:** Rzeczywiście są takie momenty, w których człowiek chce umrzeć. Na przykład przeżywa się...

**ZM:** ...załamanie.

**WO:** Przeciwnie – coś pięknego. Niekoniecznie chodzi o zachód słońca, choć może być i to, ale raczej kiedy trafi się na niesamowity wiersz, obraz, muzykę, na człowieka. Kiedy takie olśnienie ↦

przeżywamy, chce się powiedzieć: można by w tej chwili umrzeć. Myślę, że chodzi tu o mistykę, choć to słowo jest obciążone wieloznacznością. Faustyna w swoim „Dzienniczku" mówi do Jezusa: „Choćbyś mnie zabił, ja Ci ufać będę". Czyli musiała przeżyć coś takiego, gdzie śmierć przestaje mieć znaczenie, przestaje być czymś, co unicestwi dla niej najważniejszą sprawę – nawet życie jest gotowa zostawić, byle być przy tym, kogo pokochała.

**ZM:** Knut Hamsun, autor powieści „Głód", opisuje przeżycie, którego doświadczył, gdy dane mu było zobaczyć panoramę starej Moskwy – później zniszczonej przez Stalina – z tysiącami złotych i zielonych cerkiewnych kopuł. Gdy to zobaczył, rozpłakał się – to miasto było tak piękne! Oczekiwalibyśmy jakiegoś innego przeżycia w obliczu urody świata – tymczasem paradoksalnie mamy do czynienia z przedziwnym żalem.

**Dlatego, że piękno jest kruche?**

**ZM:** Nie, raczej dlatego, że dosięgamy ostateczności. Ostatecznego piękna. Pełnię. O podobnym przeżyciu mówi Goethe ustami Fausta: „Trwaj chwilo, jakże jesteś piękna!".

**Jak się to ma do owego pustego ekranu?**

**ZM:** Jedno drugiemu nie przeczy. Mistyka nie jest logiką. Ona żywi się sprzecznościami. Także mistyka świecka, która jest momentem osiągnięcia jakiejś pełni czy ostateczności, którą można nazwać świeckim *sacrum*. Jest jedno „ale" – dalej już nie można. Następuje więc spadek ze szczytu. Jeśli piękny widok znika, tracimy chwilowy absolut.

**WO:** Ja dołożę inne „ale": to, co robimy jako jeszcze żywi ze śmiercią innych. Wystarczy przejść się na jakąś rocznicową uroczystość na Powązkach. Te wszystkie przemówienia, wieńce, sztandary tak bardzo są rozpaczliwe!

**ZM:** Dlatego, że to pusty rytuał?

**WO:** Gorzej. To ucieczka od odpowiedzialności za tych, którzy tam leżą. Zwłaszcza gdy czytasz na epitafiach: „19 lat", „18 lat", „17 lat". To myśmy ich wysłali na różne wojny. Ale nawet jak w alei profesorskiej natrafisz na „80 lat", to też jest jakaś niesprawiedliwość, bo kiedy człowiek najwięcej mógłby dać, przychodzi jakaś choroba i przestajesz dawać cokolwiek. Ciężko mi się zatem

ALINA GAJDAMOWICZ DLA „TP"

**O. WACŁAW OSZAJCA:**

Jeśli tajemnica jest pustką, to mogę za astronomami i fizykami powiedzieć, że pustką niestabilną, która rodzi inny świat.

pogodzić z myślą, że żyję jako pasożyt, dzięki krwi wielu. Mogę używać pięknych słów: oni zginęli za wolność, za ojczyznę, a nawet w imię Boga. A jednak tym ludziom wyrządziliśmy krzywdę.

Dla mnie eschatologia tu się zaczyna: ciałem i duszą domagam się dalszego ciągu życia dla tych ludzi. To może być świecka eschatologia. Leszek Kołakowski w eseju „Jezus ośmieszony" zauważa, że we wczesnym oświeceniu sądzono, iż już wszystko wiemy. (Teologowie ulegli tej pokusie i chcieli zrobić z teologii naukę, zamiast zająć się mistyką.) Natomiast dzisiaj – mówi Kołakowski – przy współczesnych osiągnięciach nauki, czy ktoś jeszcze może powiedzieć, że coś jest niemożliwe? A dlaczegóż świat miałby mieć tylko jedną wersję – taką, jaką znamy?

Jest możliwość inna – patrzenia na śmierć przez pryzmat takiej czy innej religii, która zakłada dalszy ciąg życia. Mnie się wydaje, że oba wątki można pogodzić. Dopóki człowiek nie poczuje się w świecie na swoim miejscu, nie uzna, że to jest jego świat, a on jest jego cząstką, zrodził go cały kosmos (bo przecież jesteśmy dziećmi gwiazd, jak mawiają kosmologowie), dopóki nie zgodzi się na starzenie, na chorowanie, na umieranie, nie może też stać się człowiekiem religijnym. Bo zgodnie z duchem Ewangelii religijność musi być bezinteresowna. Pan Bóg nie może być – jak mówi Rahner – tym, który będzie nam kołysał dzieci, żeby nie płakały. Do czegoś innego jest potrzebny. Tutaj Miłosz mi się przypomina, który w „Traktacie teologicznym" napisał, że żeby człowieka zbroczonego krwią nazwać Bogiem, trzeba szaleństwa. To najlepszy dowód, że sięgamy po niemożliwe. Gdy zatem jestem na cmentarzu, szukam tego niemożliwego.

**ZM:** Poruszyłeś m.in. wątek, który antropologia kulturowa niezbyt ładnie nazywa „drugim życiem trupa". Często zdarza się bowiem, że po śmierci umarli dostają się bezwzględnie w ręce żywych, którzy zaczynają nimi grać w imię swoich życiowych hazardów i usiłują wygrać różne sprawy – np. stawiają pomniki, wygłaszają na ich cześć patetyczne słowa, często ich tak naprawdę tym bezczeszcząc w imię jakichś fantazmatów. Zwłaszcza w tym kraju mamy szalone doświadczenia. To nie tylko powstanie warszawskie, ale także powstanie styczniowe z 1863 r. „Obok Orła znak Pogoni, poszli nasi w bój bez broni. / Hu! Ha! Krew gra, duch gra! Hu! Ha! / Matko Polsko, żyj! / Jezus, Maria! Bij!" – pięknie śpiewamy. Tyle zmarnowanych przedwcześnie losów!

**„Żyć możesz tylko dzięki temu, za co mógłbyś umrzeć" – to nie powiedział polski romantyk, tylko Antoine de Saint-Exupéry. Czy to zdanie nie jest prawdziwe?**

**ZM:** Chodzi w nim o ciebie, a nie o umarłych, na których inni się „pasą".

**Czy ci, co szli bez broni, nie myśleli właśnie w ten sposób: umieram za wartości, które nadają życiu sens?**

**ZM:** Myślę, że ci chłopcy stali się ofiarami czegoś, co Piotr Augustyniak w książce „Burzenie polskiego kościoła. Studium o »Wyzwoleniu« Wyspiańskiego" nazywa fantazmatem patetyczno-sienkiewiczowskim, który powodował, że ci chłopcy nie tyle mówili od siebie, co „byli mówieni" przez pewien mentalny system kultury. Sprawiało to, że najlepsze umysły różnych pokoleń szły na zatracenie. Tak działo się z „kolumbami" w czasie II wojny światowej.

**Czyli nie da się tego zdania Saint-Exupéry'ego obronić?**

**WO:** Ja bym jednak próbował. O co chodziło tym „chłopcom malowanym"? Przecież nie o nie wiadomo jakie fantazmaty, tylko o to, żeby można było skończyć spokojnie studia, ożenić się, mieć dzieci, mieć pracę – o zwykłe ludzkie sprawy.

**ZM:** Tak jak Andrzej Trzebiński, który gdy miał 21 lat, został rozstrzelany

przez Niemców, mając usta zalane gipsem, a chwilę wcześniej pisał: „Groszku pachnącego przyniosłaś mi w dłoni / Dałaś groszek – dłoni nie chciałaś już dać". Ważniejszy od okupacji w tym momencie okazał się zawód miłosny. Mówił też, że trzeba zachować heroizm wobec gotującej się zupy. Tylko w okupacyjnych kuchniach było zimą ciepło, więc się tam próbowało myśleć romantycznie.

Mam jednak wrażenie, że posyłanie młodych żywotów na szaleńczą śmierć nie powinno się odbyć bez jakiejś historycznej kary. A polegać ona powinna nie na tym, że milczymy o tych chłopcach, tylko na tym, że milczymy o tych, którzy ich posyłali na śmierć.

**WO:** Boli mnie, że nie spełniły się ich marzenia. I takich niespełnionych można znaleźć w każdym pokoleniu. W końcu dochodzę do pytania: po jakie licho to wszystko?

Stąd moja odpowiedź: musi być dla nich jakiś ciąg dalszy. I nie chodzi mi o to, żeby go szukać gdzieś tam. Ja nie dzielę rzeczywistości na *sacrum* i na *profanum*. Chciałbym, żebyśmy szukali tego ciągu dalszego tutaj.

**Chodzi o pamięć?**

**WO:** Nie, raczej o jakieś fizyczne trwanie. Rahner mówi o śmierci jako, powiedzmy, „zmianie stanu skupienia". Chciałoby się, żeby oddano tamtym ludziom sprawiedliwość w sposób realny.

**Jesteśmy w stanie pamiętać – postawić pomnik, zachwycać się wierszami...**

**WO:** My nie jesteśmy w stanie tego dokonać.

**ZM:** Kierujesz naszą rozmowę ku Bogu?

**WO:** Zobaczcie, jak to z nami jest: marzymy o tym, chcielibyśmy – to silnie się w nas odzywa.

**ZM:** Czasem się jednak zastanawiam: a gdybym się urodził niewolnikiem, jak w starożytnym Rzymie, i jedynym moim zadaniem byłoby bycie wprzężonym w młyn, który miele mąkę – cały czas, dopóki nie padnę i nie zostanę zastąpiony innym niewolnikiem. Gdy uświadomimy sobie, że na życie wolnego Greka musiało pracować kilkudziesięciu niewolników, którzy żyli jak trawa...

Oni pomarli bez imienia, bez echa. I z tej perspektywy patrzę na moje życie, do którego jestem tak bardzo przywiązany. Jest tu jakieś rozdarcie, a my mamy

BARTOSZ BOBKOWSKI / AG

**ZBIGNIEW MIKOŁEJKO:**

Ważne jest „tu i teraz", moja świadomość obecna. Świadomość, która pragnie zachować po sobie jakąś niteczkę istnienia.

pokusę do scalania. Dlatego mówię, że mistyka żywi się paradoksem.

**No ale jeżeli ekran rzeczywiście gaśnie i nie ma żadnego dalszego ciągu, co nam po mistyce?**

**ZM:** Wtedy jedyną rzeczywistością, jaką mam do dyspozycji, jest „tu i teraz", którego sens się pojawia na chwilę, a zaraz potem się rozwiewa, pojawia się gorycz, nieszczęście. Myślę, że wówczas odkupienie polega na tym, żeby zrobić jak najwięcej różnych porządnych rzeczy. Taką odpowiedź podpowiada stary Kohelet: masz dla siebie kawałek czasu, wykorzystaj go dobrze, bo zaraz on minie i jak zwierzę zejdziesz do otchłani. Masz zrobić, co należy: zasadzić winnicę, zbudować dom, pracować. Zatem w miarę starzenia się moją odpowiedzią na życie jest pracoholizm.

**Dla kogo i po co?**

**ZM:** Dla pozostałych. Bo nie chodzi jednak o „nie wszystek umrę".

**Dziś wiemy, że jakaś katastrofa nadejdzie. Jeszcze nie wiemy kiedy, być może rychło. I pozostałych też nie będzie. Książki spłoną...**

**ZM:** Spłoną. Każdy kamień rozsypie się w pył. To jest jasne. Ale ważne jest „tu i teraz", ważna jest moja świadomość obecna. Świadomość, która pragnie zachować po sobie jakąś niteczkę istnienia. Przynajmniej przez jakiś czas. Przypominam sobie reportaż z lat 70. o domu starców dla ludzi, którzy nie mieli nic. I część z nich wymykała się, by na ulicy żebrać, gdyż chcieli uzbierać na najtańszy pogrzeb i grób z krzyżem i tabliczką z nazwiskiem. Chcieli bardzo, żeby ktoś kiedyś na tę tabliczkę rzucił okiem. Myślę, że warto zmagać się o umarłych, nie wolno pozwolić im odejść ostatecznie.

**Chrześcijaństwo jest religią głoszącą właśnie „dalszy ciąg", którym będzie zmartwychwstanie. Dlatego jest na niego ciągłe zapotrzebowanie?**

**WO:** Pod warunkiem, że zrezygnujemy z prostego wizualizowania zmartwychwstania. W tradycji wschodniej nigdy nie pisano ikon Zmartwychwstania. Malowano za to ikonę Zstąpienia do piekieł. A zatem to, co wnosi chrześcijaństwo, to poczucie, że ból, cierpienie, cała ohyda świata nie wymknęła się Panu Bogu z rąk.

**ZM:** Nie przypadkiem zmartwychwstanie określa się słowem *anastasis* – od paradoksalnych słów anioła: „Nie ma go tu, zmartwychwstał". Czyli zmartwychwstanie to pustka.

**WO:** Zmartwychwstanie oznacza też przejście – śmierć nie jest kresem ludzkiego życia. Np. dla jezuickiego teologa Ladislausa Borosa śmierć jest równoczesna ze zmartwychwstaniem. To, co zostaje, to materiał z rozbiórki, gospodarz żyje zaś dalej. Nie da się tego opisać. Boros próbuje słowem. Nasz Jacek Malczewski serią obrazów „Thanatos". Wszystko to sposoby powiedzenia, że życie jest silniejsze od śmierci. I teraz mam do wyboru: albo uznać, że wybieram to, co przesuwa moje patrzenie za horyzont możliwości, i wtedy tajemnica nie jest pustką, albo uznać, że jednak jest pustką, ale zawsze wtedy mogę za współczesnymi astronomami czy fizykami powiedzieć, iż jest pustką niestabilną, która rodzi inny świat. Zatem ciąg dalszy albo coś innego. Trzecia droga uznaje śmierć za ostateczny kres.

Te trzy drogi, trzy pomysły na ludzkie życie – jeśli je człowiek naprawdę przyjmie – są w stanie go przyprowadzić do tego momentu, kiedy w śmierci będzie mógł powiedzieć: narozrabiałem w tym życiu sporo, coś mi się jednak udało dołożyć do swoich czasów i dać ludziom z siebie i teraz robię miejsce dla innych. A co dalej – zobaczymy.

**ZM:** Mamy zatem wiarę, która zawsze podszyta jest zwątpieniem, albo zwątpienie, które jest złaknione jakiejś wiary.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

VINCENZO PINTO / AFP / EAST NEWS

*Delegaci na Synod dla Amazonii niosą pirogę na plac św. Piotra, Rzym, 19 października 2019 r.*

# Kościół z twarzą Amazonii

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

**Nie chodzi o zachwycanie się folklorem, promowanie pogaństwa czy synkretyzm. Katolicyzm ma po prostu także takie oblicze. Zobacz je, Europejczyku – jest równie prawdziwe, jak twoje.**

Mawako spotykam w kościele Santa Maria in Traspontina, przy via Conciliazione, gdzie mieści się „kwatera główna" projektu „Amazonia nasz wspólny dom". To cykl wydarzeń towarzyszących synodowi: modlitw, występów muzycznych i tanecznych, paneli dyskusyjnych, wystaw. Ponad 100 imprez w 20 miejscach Rzymu.

Pomysł, by równolegle z obradami biskupów zaprezentować światu kulturę rdzennych mieszkańców Amazonii i opowiedzieć o ich problemach, zrodził się na jednej z konferencji CELAM (rada episkopatów Ameryki Łacińskiej). A wyjazd do Włoch liderów grup parafialnych, wspólnot podstawowych i organizacji katolickich potraktowano jako formę podziękowania za ich pracę podczas przygotowań do synodu. Amazonia żyła nim od dwóch lat: organizowano modlitwy, dyskutowano nad tematami, którymi powinni zająć się biskupi, redagowano propozycje do dokumentu roboczego.

Jak szacują organizatorzy, z dziewięciu państw, na terenie których leży amazońska puszcza, przyjechało do Rzymu prawie tysiąc osób. Ich przelot i pobyt opłacili sponsorzy – instytucje, fundacje, organizacje społeczne i ekologiczne. I gdy w Watykanie dyskutowano o święceniach dla *viri probati*, w Rzymie trwał trzytygodniowy latynoski festiwal.

### W amazońskiej sieci

Mawako są we Włoszech od dwóch tygodni. To grupa działająca przy salezjańskiej misji w São Gabriel da Cachoeira, brazylijskim mieście położonym w sercu puszczy, na terytorium Alto Rio Negro, przy granicy z Kolumbią. Dotrzeć tam można jedynie drogą powietrzną (niewielkie samoloty wylatują ze stolicy stanu, Manaus, dwa razy w tygodniu) albo wodną (łodzią płynie się trzy dni). Członkowie Mawako (nazwa pochodzi od indiańskiego instrumentu muzycznego) promują kulturę regionu poprzez muzyczno-taneczne spektakle i warsztaty rękodzieła. Założyli też kooperatywę rolniczo-rzemieślniczą, produkującą zdrową żywność, którą rozprowadzają po przystępnych cenach w ramach „handlu solidarnościowego".

W kościele przy via Conciliazione codziennie zapraszają widzów na godzinny performance – ni to występ artystyczny, ni nabożeństwo, ni warsztaty. Biorą w nim udział zarówno ci, którzy przyszli specjalnie na to wydarzenie – mieszkający w Rzymie Latynosi, młodzież zafascynowana tradycjami południowoamerykańskimi, ekolodzy protestujący przeciwko deforestacji puszczy – jak i przypadkowi turyści. Siadają w kręgu na krzesłach, dostawionych ławkach albo rozłożonych na posadzce matach i wykonują polecenia animatorów: np. zarzucają, niczym wędkę, kolorowe sznurki, którymi próbują złowić osobę z drugiej

strony koła. Nie jest to łatwe, nie zawsze się udaje, ale już po chwili widać, jak z wielu pojedynczych nici powstaje misterna sieć, łącząca uczestników zabawy. Dużo przy tym śmiechu, dużo śpiewu ludowych i religijnych pieśni.

Jeszcze dwa dni temu modlitwom organizowanym w kościele na Traspontinie towarzyszyły statuetki Pachamamy – ciężarnej kobiety z nagim biustem. Jedni uważają ją za pogańską boginię płodności, inni – za indiańską wersję Matki Bożej. Obecność posążków w kościele, nie tylko w czasie występów Mawako, ale także podczas modlitw z papieżem w Ogrodach Watykańskich czy podczas piątkowej Drogi Krzyżowej, irytowała tradycjonalistów. W trzecim tygodniu synodu figurki zniknęły: na kilkuminutowym filmie, który pojawił się w sieci, widać mężczyznę, który wykrada je z kościoła, niesie w stronę Zamku św. Anioła i zrzuca do Tybru.

### Zawartość cukru w cukrze

Kradzież statuetek rozpaliła na nowo dyskusję o pogaństwie, politeizmie i synkretyzmie, która zaczęła się jeszcze przed synodem, gdy tylko opublikowano dokument roboczy. Znalazła się w nim m.in. przestroga, by Kościół unikał „postawy korporacyjnej, która rezerwuje zbawienie wyłącznie dla własnej wiary" oraz by „nie narzucał ludom Amazonii obcych elementów kultury, teologii, filozofii i liturgii".

Znudzeni monotonią synodalnych obrad dziennikarze w watykańskiej Sala Stampa na chwilę się ożywili. Ileż można pisać o *viri probati* i diakonacie kobiet? Utopienie w Tybrze „pogańskich bożków" było okazją do zmiany tematu, przypomnienia podobnych, barwnych historii: walki ikonoklastów z VIII i IX w., męczeństwa św. Teodoreta z Antiochii, protestów po ogłoszonej w trakcie Soboru Watykańskiego II deklaracji „Nostra aetate" na temat relacji z religiami niechrześcijańskimi, zwłaszcza żydowską. Dyskutowano o zawartości „cukru w cukrze", czyli ile w chrześcijaństwie jest tradycji, w jakiej żył Jezus (Nazaret i Jerozolima), a ile tej, w której przyszło żyć jego pierwszym wyznawcom (Ateny i Rzym). Furorę zrobił fragment eseju kard. Johna Henry'ego Newmana (kanonizowanego podczas tego synodu) o pogańskich tradycjach, które tak mocno wniknęły w chrześcijaństwo, że dalibyśmy sobie rękę uciąć w obronie ich ortodoksji (jak choćby palenie świec i lampek w kościołach, święcona woda, procesje, szaty liturgiczne, małżeńskie obrączki, a nawet śpiew „Kyrie eleison").

Wstydliwe dla gospodarzy i kryminalne bądź co bądź wydarzenie stało się też tematem żartów: nestora włoskich watykanistów, Sandro Magistra, komentującego życie Kościoła z raczej konserwatywnych pozycji, koledzy dziennikarze przywitali kartkami z napisem „Je suis Pachamama".

### Pachamama

– Nie na tym polega inkulturacja – mówi Magister, gdy pytam o stanowisko synodu wobec tradycji i wierzeń amazońskich Indian. – Św. Paweł w Liście do Galatów pisał: „Nie ma innej Ewangelii. Są tylko jacyś ludzie, którzy sieją wśród was zamęt". Szedł do Greków, mówił ich językiem, tak jak my dziś mówimy po angielsku, używał ich pojęć, ale nie klękał przed ich bożkami.

Dziennikarz przypomina, że w wielu krajach misyjnych katolicy oskarżani są – choćby przez uprawiających agresywny prozelityzm protestanckich pastorów – o idolatrię: zamiast Jezusa czczą obrazy świętych i modlą się przed figurami. Cytuje list od czytelnika, który często musi na takie zarzuty odpowiadać. Teraz, gdy w świat poszły zdjęcia Pachamamy w Ogrodach Watykańskich, będzie mu jeszcze trudniej. „Biskupi myślą, że zdobędą Amazonię, ale nie widzą, że tracą resztę świata" – skonstatował smutno autor korespondencji.

Luigi Accattoli, wieloletni watykanista „Corriere della Sera", dziś na emeryturze, widzi to inaczej: – Żeby zrozumieć podejście papieża do Amazonii, jej kultury, zwyczajów i wierzeń, trzeba pamiętać, że Bergoglio jest jezuitą. Otwarcie na różne kultury, np. chińską, japońską czy indiańską, jego zakon ma w swojej tradycji.

Mój rozmówca przywołuje postać Mattea Ricciego, który nie tylko nauczył się chińskiego, ale został Chińczykiem i konfucjanistą, a dopiero potem adaptował tradycyjne wierzenia do potrzeb chrześcijaństwa. Oraz jezuickie misje w Paragwaju, znane choćby z filmu „Misja". – Franciszek krytykowany jest dokładnie za to samo – mówi Accattoli. – Jego słynne powiedzenie: „Kościół w drzwiach, Kościół u wyjścia" można zrozumieć i tak: wychodzimy z kultury i mentalności europejskiej. Kościół będzie miał różne twarze: afrykańską, azjatycką, amazońską. A to nie wszystkim się podoba.

Na przedostatniej synodalnej konferencji prasowej wątpliwości dziennikarzy starał się rozwiać – w bardzo emocjonalnym wystąpieniu, być może sprowokowanym oznakami niedowierzania i dezaprobaty ze strony audytorium – jeden z audytorów synodu, Delio Siticonatzi Camaiteri z peruwiańskiego plemienia Ashaninca.

– Mamy własny sposób widzenia świata, który nas otacza – tłumaczył. – Przyroda zbliża nas do Boga, tak jak i nasza kultura. Żyjemy w harmonii z wszystkimi istotami. Widzę, że to nie jest dla was jasne, że macie o nas inne zdanie – dodał, patrząc na dziennikarzy. – Widzę, że macie wątpliwości, że was to martwi. Nie zatwardzajcie waszych serc! Tak mówi Jezus. Wzywa, byśmy byli jedno. Wierzymy w jednego Boga! Mamy swoje rytuały, ale one są połączone z jedynym centrum, jakim jest Jezus Chrystus. Nie ma o czym dyskutować. Centrum, łączącym wszystkich na synodzie, jest Jezus Chrystus.

Czy przekonał tych, którzy każdy obcy kulturowo element pojawiający się w chrześcijańskiej przestrzeni uznają za świętokradztwo, synkretyzm i bałwochwalstwo? Z pewnością nie tych, którzy następnego dnia, podobnie jak wielokrotnie wcześniej, próbowali dać odpór pogańskim rytuałom, głośno odmawiając po łacinie różaniec w czasie przedstawienia Mawako w kościele Santa Maria in Traspontina.

### Amazonia naturaliter christiana

Ingrid Furlan, Brazylijka mieszkająca od lat we Włoszech, opiekuje się gośćmi z Amazonii. Sama działa w ekologicznej organizacji i jak wielu jej znajomych została wolontariuszką przy projekcie „Amazonia nasz wspólny dom". Rozmawiamy w holu Radia Watykańskiego, gdzie właśnie dobiega końca prelekcja o „Sieciach oporu i walce o prawa człowieka". Tu już nie jest wesoło i kolorowo. Poważniejsza część okołosynodalnej oferty podejmuje takie problemy jak bieda, analfabetyzm, przemoc, narkobiznes, prostytucja.

– Nie chodzi tylko o pokazanie folkloru, ale o pokazanie prawdziwego życia tych ludzi – tłumaczy Ingrid. – Nawet ↦

w samej Brazylii ludzie nie wiedzą nic o życiu amazońskich Indian, nie uczy się o tym w szkołach. Więc co się dziwić ignorancji w innych częściach świata, także w Europie?

Moja rozmówczyni przypomina, że na terytorium Amazonii żyje 400 plemion indiańskich, z których 130 uważa się za „izolowane", co znaczy, że nie chcą mieć żadnego kontaktu z naszą cywilizacją. – I wcale im się nie dziwię, bo te pozostałe właśnie my wpędziliśmy w skrajną biedę i nadal bezwzględnie wykorzystujemy – mówi Ingrid.

Jedna z fotograficznych wystaw zorganizowanych podczas synodu pokazuje zniszczenia, jakich dokonali w Amazonii *garimpeiros* – nielegalni poszukiwacze złota. Z ich rąk w latach 1985-93 śmierć poniosło ponad 3 tys. Janomanów (10-15 proc. plemienia). Dziś sytuacja wcale nie jest lepsza. – Budowa hydroelektrowni, choć rząd przedstawia ją jako rozwiązanie proekologiczne, dowód troski o czystą energię, to zagłada kolejnych plemion – opowiada Ingrid. – To samo dzieje się podczas budowy kopalń albo wycinki dużych obszarów lasu pod uprawy czy hodowlę bydła. No i trzeba pamiętać, że ofiarami najczęściej (w 90 proc.) są kobiety: zabijane, gwałcone, wywożone przez handlarzy „żywym towarem".

– Losem amazońskich Indian nikt się nie interesuje – podsumowuje Ingrid. – Jedynie Kościół. Tylko proszę pamiętać, że on też próbował siłą narzucić Indianom swoją religię. Bardzo późno się zorientował, że nie tędy droga. Dziś rzeczywiście jest jedyną instytucją, do której mają zaufanie. To zasługa misjonarzy, którzy są z nimi na dobre i na złe, niektórzy nawet przypłacili to życiem. I papieża Franciszka, który okazał szacunek im oraz ich kulturze.

Ingrid nie ma wątpliwości, że jej goście są dobrymi chrześcijanami. – Oni zawsze nimi byli – zapewnia. – Nawet wtedy, gdy nie znali Chrystusa. Są chrześcijańscy z natury: pokojowi, życzliwi, wspólnotowi. Nie wiedzą, co to egoizm. Mają naturalną potrzebę dzielenia się wszystkim. Jeśli ktoś upoluje zwierzę albo złowi rybę, nigdy nie je ich sam. Naprawdę wiele moglibyśmy się od nich nauczyć.

### „Nieludzcy Indianie"

W to, że Indianie amazońscy żyją jak aniołowie w raju i tylko nasza cywilizacja im zagraża, powątpiewa Sandro Magister: – Wiele ich zwyczajów jest nie do przyjęcia i nie ma mowy o jakimkolwiek szacunku czy tolerancji.

**Losem amazońskich Indian nikt się nie interesuje**
– słyszę w trakcie synodu.
– Tylko Kościół.
To jedyna instytucja,
do której mają dziś zaufanie.

Chodzi np. o dzieciobójstwo. Już w pierwszym tygodniu synodu dziennikarze pytali kard. Pedra Barreta Jimena z Peru, wiceprzewodniczącego sieci REPAM, zrzeszającej kościelne organizacje działające w Amazonii, czy wie, że na stronach jednej z podlegających mu instytucji opublikowano artykuł antropolożki Rity Segato, usprawiedliwiający do dziś praktykowany przez plemię Munduruku zwyczaj zostawiania w lesie chorych i niepełnosprawnych noworodków albo jednego z nowo narodzonych bliźniaków.

Kard. Jimeno zapewniał, że ani o artykule, ani o zwyczaju zabijania dzieci nigdy nie słyszał. Sandro Magister opublikował więc na swym blogu szereg linków do dyskusji, jaka w ostatnich latach toczyła się w brazylijskim parlamencie, który postanowił zakazać barbarzyńskiego zwyczaju. Oraz informację, że wśród krytyków nowego prawa była prof. Segato, goszczona na stronach podlegającej biskupom instytucji.

Dziennikarze drążyli temat. Zapytany o dzieciobójstwo bp Wilmar Santin z Itaituby (Brazylia) zapewniał, że oskarżenia są nieprawdziwe i mają podłoże polityczne. – Chodzi o to, by zdyskredytować Indian i osłabić w walce o ich prawa – tłumaczył. – Munduruku już dawno zaprzestali praktyki zabijania ułomnych dzieci, w przeciwieństwie do klinik aborcyjnych w waszych krajach – odparł dziennikarzom. Kontrowersyjny artykuł antropolożki zniknął ze stron episkopatu Brazylii.

– Nie w tym rzecz, by oskarżać biskupów o popieranie dzieciobójstwa – komentuje Sandro Magister. – Ale o to, że nie mówi się nic o ewangelizacji Indian, o pomaganiu im, by stali się lepszymi chrześcijanami i porzucili nieludzkie zwyczaje. Zresztą sam zobacz – dodaje – dzisiejsza konferencja prasowa trwała ponad godzinę. Była mowa o wszystkim: elektrowniach wodnych, chorobach psychicznych, wycinaniu drzew, przesiedlaniu ludzi, zmianach klimatu. O Bogu może trzy minuty, w odpowiedzi na ostatnie pytanie dziennikarzy. Taki jest cały ten synod.

### I po co to wszystko

Rozmawiamy na kilka dni przed głosowaniem nad dokumentem końcowym, w którym biskupi przedstawią papieżowi propozycje najważniejszych dla amazońskiego Kościoła rozwiązań. Gdy ten numer „Tygodnika" trafi do rąk czytelników, wszystko będzie już jasne. W tym miejscu możemy jedynie pospekulować.

Ingrid Furlan jest przekonana, że synod już spełnił swoje zadanie: świat dowiedział się o tym, co grozi Amazonii i jej mieszkańcom. Indianie żyją w poczuciu nieustannego zagrożenia. I to od wieków. Papież Franciszek i synod przywrócili im poczucie godności i wiarę w zwycięstwo. Pokazali, że jest tylko jedna droga do ich serc – szacunek.

Sandro Magister wie, że całe to gadanie o ekologii i sprawach społecznych jest zwykłym mydleniem oczu: – Cel jest jeden, jasno określony: wprowadzić święcenia żonatych mężczyzn. To na pewno znajdzie się w końcowym dokumencie. Nie będzie natomiast diakonatu kobiet, na to jeszcze za wcześnie.

Luigi Accattoli uważa, że najbardziej kontrowersyjne zmiany nie przejdą w końcowym głosowaniu: – Choć wielu biskupów z Ameryki Łacińskiej tego chce, nie będą mieć kwalifikowanej większości. Nie pozwolą na to biskupi z Europy, zwłaszcza z kurii rzymskiej, myślę zresztą, że w porozumieniu z papieżem. Usankcjonowany zostanie stan obecny: będzie więcej stałych diakonów, także żonatych, dla kobiet zostanie stworzona posługa administratorów parafii, może nawet związana z nałożeniem rąk przez biskupa, ale nie będą to święcenia, padnie propozycja stworzenia amazońskiego rytu, która potem ugrzęźnie w watykańskich dykasteriach.

– Czyli nic się nie zmieni? – pytam. – Nawet jeśli tych zmian nie przegłosują – odpowiada Accattoli – to ich propozycje znajdą się w dokumentach Kościoła. Wróci do nich kolejny papież.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Tekst oddano do druku w piątek, 25 października.

REKLAMA

Wstrząsający reportaż o przedstawicielach muzułmańskiej mniejszości w Mjanmie, uznanej przez ONZ za najbardziej prześladowaną grupę etniczną świata.

Już w księgarniach!

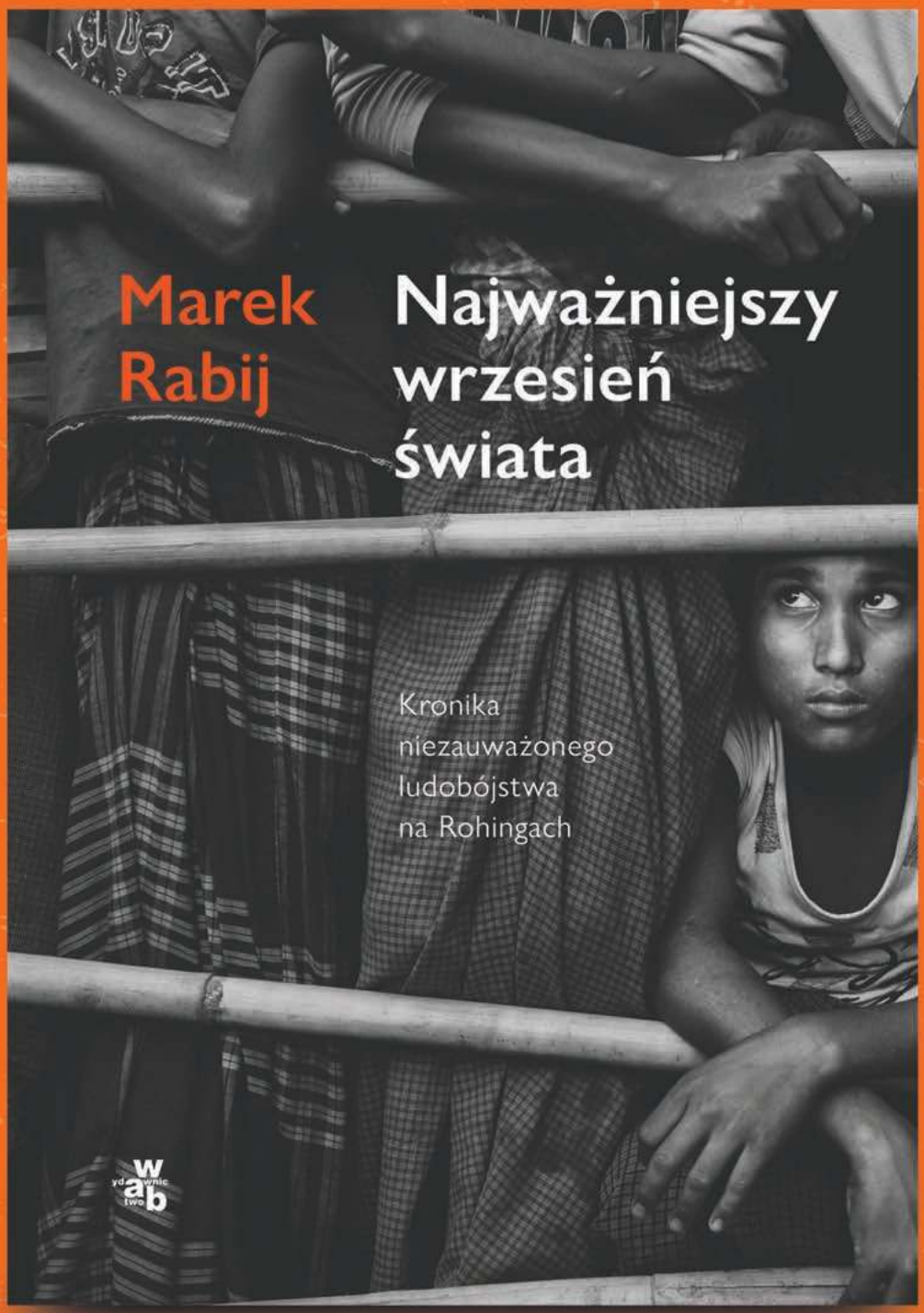


PARTNER: TYGODNIK POWSZECHNY

# Katecheza wbrew ewolucji

ARTUR SPORNIAK

**Dlaczego uczniowie szkół średnich muszą poznawać na lekcjach religii pseudonaukowe argumenty i obalone już dawno tezy?**

Teoria ewolucji ma się dobrze – nic nie wskazuje, by na horyzoncie nauki miała pojawić się jakaś jej konkurentka, a tylko w ten sposób, czyli tworząc lepszą teorię, można ją „obalić". Magisterium Kościoła, które początkowo zwalczało poglądy Darwina, w końcu uznało naukowy stan rzeczy i w tej chwili nie występuje przeciwko teorii współtworzącej fundament nauk przyrodniczych. Dlatego informacja w sieci, że „Podręcznik do religii przedstawia argumenty przeciwko teorii ewolucji", musiała wzbudzić zainteresowanie.

Jako pierwszy pięć „antyrewolucyjnych" argumentów sfotografował i przedstawił na facebookowym profilu autor popularnonaukowego bloga „To tylko teoria". Znalazły się one w książce pt. „Świadczę o Jezusie w świecie. Podręcznik dla 2 klasy szkoły ponadgimnazjalnej" pod redakcją ks. Roberta Strusa i ks. Wiesława Galanta, który ukazał się nakładem Wydawnictwa Gaudium. Zestawy „argumentów za ewolucją" i „argumentów przeciw ewolucji" zamieszczono na początku rozdziału „Stworzenie świata a ewolucja" pod śródtytułem „Dylematy młodego człowieka". Te drugie brzmią następująco: (1) brak dowodów istnienia form pośrednich (np. między ptakami a ssakami); (2) niezmienność niektórych gatunków przez miliony lat; (3) druga zasada termodynamiki – (w przyrodzie typowy jest rozpad i dążenie do nieporządku, a nie ewolucja i rozwój); (4) fiasko laboratoryjne wywoływanych mutacji; (5) równoległe istnienie form niższych i wyższych.

Zamieszczenie tych „argumentów" zaskakuje – to zestaw albo zdań fałszywych, albo tez dawno obalonych, albo bełkotliwych jak „argument" czwarty. Co to bowiem znaczy, że wywoływanie mutacji w laboratoriach poniosło fiasko? O jakie wydarzenia z historii nauki chodzi? W tysiącach laboratoriów na całym świecie wywołuje się mutacje, które przyczyniają się do postępu biologii. Nowoczesna genetyka rozpoczęła się np. od słynnego „pokoju much" Thomasa Morgana, w którym ów laureat Nobla przez naświetlanie promieniami X wywoływał mutacje muszek owocówek, przechowywanych następnie w setkach słoików po mleku (kradzionych przez jego asystentów ze stołówki uniwersyteckiej).

Z kolei „argumenty" drugi i piąty to – jak się wydaje – echo dyskusji z epoki jeszcze przed Darwinem. Takie zarzuty można było bowiem stawiać na początku XIX w. teorii Lamarcka, który zakładał, że używanie organów powoduje ich rozrost i komplikowanie, a formy niższe nieuchronnie przechodzą w wyższe. W nowoczesnej teorii ewolucji równoczesne współistnienie mniej i bardziej skomplikowanych form jest czymś zupełnie normalnym – zmienność gatunkowa prowokowana jest przez zmienność warunków życia. Co zaś się tyczy pierwszego „argumentu" – ptaki i ssaki nie mogą mieć form pośrednich, gdyż są dwoma różnymi ewolucyjnymi liniami wywodzącymi się od gadów. Bez problemu nauka radzi sobie także z zarzutem trzecim, że z ewolucją sprzeczna jest druga zasada termodynamiki. Głosi bowiem ona wzrost entropii, czyli „nieuporządkowania" w układach izolowanych. Żaden organizm biologiczny nie jest układem izolowanym (każdy musi wymieniać z otoczeniem materię).

Paradoksalnie cały rozdział „Stworzenie świata a ewolucja" nie ma wydźwięku antyewolucyjnego – broni tezy, że nauka nie stoi w konflikcie z wiarą. „Bóg mógł stworzyć wszystkie istoty żywe jednym aktem, ale także mógł je stwarzać miliony lat na drodze doboru naturalnego (ewolucji). (...) Teoria ewolucji nie jest zagrożeniem dla wiary chrześcijańskiej" – czytamy w podrozdziale „Wiara i życie Kościoła", zatytułowanym „Ewolucja czy(li) stworzenie". Skąd zatem pomysł na argumenty przeciw ewolucji?

Pytany o to przez „Tygodnik" ks. Robert Strus broni pomysłu. Jego zdaniem wśród uczonych jest grupa, która teorię ewolucji atakuje. Powołuje się na artykuł „Świecki dogmat przełamany. Naukowcy krytykują »Teorię Darwina«", zamieszczony na... tradycjonalistycznej stronie PCH24. Tekst ten opacznie (czy wręcz manipulacyjnie) interpretuje konferencję naukową z 2016 r. w Royal Society, na której uczeni w ramach ewolucjonistycznego paradygmatu (!) postulowali rozszerzenie o nowe spojrzenie syntezy ewolucyjnej powstałej z połączenia w latach 30. XX wieku teorii Darwina z genetyką. To z obalaniem ewolucji nie ma nic wspólnego.

Konstatacja jest smutna: wykształcenie teologiczne w polskich warunkach (obaj redaktorzy podręcznika mają doktoraty) nie prowadzi do umiejętności rozróżniania argumentów naukowych i pseudonaukowych tworzonych z powodów światopoglądowych. Także system struktur odpowiedzialnych za teologię w Polsce jest głuchy na antynaukowe absurdy. Wśród współwydawców podręcznika znajdują się dwie katedry KUL i trzy kurie. Jednym z recenzentów jest dziekan wydziału teologicznego, a imprimatur nadał bp dr hab. Artur Miziński, obecny sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski. Szkoda tylko młodych ludzi, którym na katechezie podaje się nieprawdę. ©℗

OGŁOSZENIE

**Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim,** Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 547/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Kamińskiej, zmarłej 14 czerwca 2015 roku w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałej w miejscowości Hipolitów.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

# Wojowniczki w habitach

EWELINA BURDA

**Walka, by głos zakonnic w dzisiejszym Kościele został usłyszany, jest trudna. W jej kontekście ważne jest też przywracanie pamięci o tych, które tworzyły historię.**

ARCHIWUM ZGROMADZENIA SIÓSTR MIŁOSIERDZIA ŚW. WINCENTEGO A PAULO / MATERIAŁY PRASOWE

*Siostra Józefa Kozieł*

Dziewiętnaście opowieści o bohaterskich kobietach – siostrach zakonnych, które żyły w czasie II wojny światowej. Jedne historie dobrze udokumentowane, inne oparte na skromnych źródłach – po niektórych zostały tylko wzmianki w zakonnych dokumentach, a świadkowie pamiętają niewiele. Często same siostry w poczuciu skromności niechętnie opowiadały o swoich losach. Z rzadka zostawiały dzienniki czy notatki.

Nie traktowały swoich klasztorów jak twierdz. Nie pasowały do stereotypu biernej zakonnicy uwięzionej za kościelnymi murami: pomagały ukrywać się partyzantom i Żydom, prowadziły tajne komplety, zdobywały i dostarczały jedzenie, leczyły rannych. Walczyły, były duchowym wsparciem w obozach koncentracyjnych, po wojnie działały w podziemiu antykomunistycznym. W książce „Wojenne siostry" przypomina je Agata Puścikowska.

### Bohaterki wszechstronne

Niektóre podczas wojny są młodymi dziewczynami, inne to dojrzałe kobiety. Wstępują do zakonu tuż po szkole lub po jakimś życiowym zawirowaniu. Różnią się pochodzeniem: są sieroty wychowane w zakonie i te z zamożnych rodzin. Kobiety z wykształceniem podstawowym i poliglotki. Wierzące od dziecka i odkrywające Boga dopiero w dorosłości.

S. Matylda Getter (Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi) w okupowanej Warszawie ratowała osoby pochodzenia żydowskiego. S. Janina Chmielińska (Zgromadzenie Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego) to powstanka warszawska; Lauretta Wilczyńska (Zgromadzenie Sióstr Niepokalanego Poczęcia NMP) przed wstąpieniem do zakonu była żołnierką, ułanką, później została wywieziona do sowchozu. Lekarka Ewa Noiszewska (Zgromadzenie Sióstr Niepokalanego Poczęcia NMP) i jej przełożona s. Marta Wołowska ukrywały Żydów na klasztornym strychu, w oranżerii i stajni.

Z kolei s. Józefa Dukszta (Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo) podczas wojennych lat w świeckim stroju, z konsekrowanymi hostiami owiniętymi w chusteczki, przeprawiała się przez Wisłę do czekających na nią ludzi. S. Józefa Kozieł (Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo) od 1977 r. opiekowała się Prymasem Tysiąclecia podczas jego pobytów w szpitalu. „Czy kard. Wyszyński wiedział, że za skromnym habitem i pielęgniarskimi umiejętnościami ukrywała się komendantka powiatu »Erna« i szef wywiadu »Tamara«?".

Gdy s. Adelgund Kunigunda Tumińska (Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek od Pokuty i Miłości Chrześcijańskiej) usłyszała krzyki czterech dziewczyn, które pijani sowieccy żołnierze zagonili do kotłowni, ruszyła z pomocą. Nastolatkom udało się uciec. Siostrę zgwałcono i zamordowano.

Na stronach „Wojennych sióstr" temat gwałtów, dokonywanych na zakonnicach przez Sowietów, wraca kilkukrotnie. Padają w tym kontekście potrzebne dziś słowa autorki: „Jeśli faktycznie i inne siostry zostały zgwałcone, mogły żyć w przeświadczeniu, że zostały zhańbione i że nawet grozi im wydalenie z zakonu. Gwałt, chociaż dla współczesnych brzmi to niezrozumiale, w latach powojennych mógł być traktowany jako złamanie ślubu czystości".

Książka opowiada historie w większości nieżyjących już sióstr (żyją tylko dwie). Kilka zostało beatyfikowanych.

### Z krwi i kości

Można mieć zastrzeżenia do stylu Puścikowskiej: że pytania retoryczne są często niepotrzebne; że nie zawsze moment, nad którym warto się zastanowić, trzeba dobitnie akcentować wielokropkiem; że w reporterskich fragmentach pojawiają się zbędne dopowiedzenia. Opisy zdarzeń bywają niepotrzebnie wzniosłe – tymczasem przecież im czystsza forma, tym łatwiej uniknąć patosu, zwłaszcza gdy opisuje się zdarzenia tak poruszające.

A w kontekście opowieści o kobietach nieprawdopodobnego hartu ducha, które nie bały się działać często wbrew narzuconym regułom, smuci okładka – patrzy z niej szeroko otwartymi oczami modelka wystylizowana na zakonnicę. Szkoda byłoby, gdyby jej popowy charakter odebrał choć odrobinę werwy historiom kobiet z krwi i kości.

„Wojenne siostry" można chyba nazwać książką o odzyskiwaniu pamięci. Oddaje szacunek bohaterkom. Przywraca pamięć kobiet wyróżniających się na tle swoich czasów i środowisk. Warto je poznać – bo zakonnice tworzyły i tworzą nie tylko Kościół, ale są częścią społeczeństwa. Żeby to nie były tylko puste słowa, historie takie jak te muszą zostać opowiedziane. ©℗

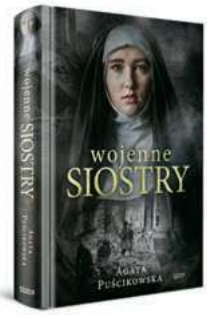


*Agata Puścikowska*
**WOJENNE SIOSTRY**
*Znak, Kraków 2019*

SZYMON

# Hołownia: *Światło przychodzi ze wschodu*

Znowu o książce. Ale kiedy staje się przed wyborem, czy po raz 873. rozbijać na atomy mało szlachetną substancję polskiej demokracji partyjnej, analizować teologiczno-dietetyczne refleksje posła Bosaka (był uprzejmy postawić tezę, że wegetarianie obrażają Boga odmawianiem mu zjedzenia kotleta, jak bowiem powszechnie wiadomo, nasz Bóg nie ma dziś innych problemów, jak właśnie ten, że ja kotleta nie jem), komentować doniesienia programu „Czarno na białym" dokumentujące to, co o metropolicie gdańskim (i jego zarządzaniu diecezją niczym pegeerem) szepczą wszyscy, a każdy boi się mówić, czy może zamiast tego zwrócić Państwa uwagę na absolutną perłę, rzecz nie do przeoczenia w tsunami ponad 30 tys. tytułów zalewających co roku polski rynek – wyboru w zasadzie nie ma.

Rzadko tak mam, że wypatruję książki już po pierwszej, znalezionej gdzieś w internecie zapowiedzi, zapisując sobie w kalendarzu, mierząc sobie czas jej przybyciem. Michała Milczarka i jego pisanie o podróżach na Wschód śledzę od miesięcy, nie mogąc się wprost nacieszyć, że mogę dzielić czas i przestrzeń z kimś, kto z taką wirtuozerią operuje i moim ulubionym tworzywem, słowem. Jak ten człowiek nim maluje, jak umie oddać nie tylko fabułę czy frazę rozmówcy, ale i temperaturę, kolor, światło, gęstość czasu!

Nigdy nie zdarza mi się pisać o książce, z której zdążyłem przeczytać dopiero parę akapitów, ale teraz naprawdę nie umiem pisać o czymkolwiek innym. Zaczynając z „Donikąd. Podróżami na skraj Rosji" drogę przez światy Milczarka, widzę przecież dokładnie początek tej mojej. On swój przeżywał w Szczecinie, ja swój na białostockim blokowisku. „Na początku była Australia. Miałem ze trzy lata. Świat jak gdyby dopiero co wynurzył się z wody i jeszcze ociekał stworzeniem. Musiał być rok 1984, ale wtedy o tym nie wiedziałem (...), czas jeszcze nie zdążył zaistnieć. Poranek, słońce, przezroczyste powietrze. Przed domem zielenił się stary bez. (...) Być może pytałem, jak dziecko, co jest dalej. Afryka jest daleko. Ameryka jeszcze dalej, a Australia najdalej. A co jest dalej, za Australią? Nic. Australia jest najdalej, dalej nie ma już nic. To terytorium ostatnie, najdalsze (...). Gdzie jest ta Australia, w którą stronę? Mama w odpowiedzi wskazała z tarasu południowy wschód. Wyciągnęła rękę w kierunku ulicy Wiśniowej, przy której rosły dwie potężne topole. Dalej była stadnina koni, za nią las. (...) Wystarczyło pomyśleć, nie trzeba było nawet zamykać oczu, a meble same odrywały się od podłogi, leciały na południowy wschód. Leżałeś na łóżku i szybowałeś nad Poznańskiem albo Konińskiem (...). Z działki w Łodzi machał dziadek. Dalej było Morze Czarne, Iran, Indie, i wreszcie – Australia".

W dzieciństwie Milczarek zamiast książek czyta mapy. „Najbardziej pociągała mnie północ. Kierunek idący przeciwko życiu, słońcu, światłu. Na północy było najwięcej przestrzeni. Najwięcej czystego koloru tundry lub tajgi, najwięcej nagiej geografii. No i najmniej słów". A więc najpierw wyrusza na północ Europy: Spitsbergen, Wyspy Owcze, później na Krym, i wreszcie pojawia się ona – Kamczatka. „Najpierw nocnym do Przemyśla, bo Przemyśl to jest Frankfurt nad Sanem, Brama Wschodu, Bosfor kosmosu. Pierwszy przystanek na drodze do kresu mapy, pierwszy stopień nicości. Drogi donikąd wiodą przez Przemyśl (...). W przedziale jechał facet z Kaliningradu. Po pięćdziesiątce, krępy, z twarzy przypominał bobra. Pytał, dokąd jadę, a potem powtarzał, że jestem odważny. Zbyt odważny w sumie, ryzykant. – Kamczatka to jest dziiiiiikość – mówił, mrużąc bobrowe oczy i rozciągają słowo, jakby dzięki temu miało stać się jeszcze dziksze. – A co tam dzikiego? Przyroda? Ludzie? – I przyroda tam dziiiiika, i ludzie dziiiiicy – odpowiadał patrząc na mnie jak na samobójcę. (...) Po piętnastu minutach paszporty wróciły. Spojrzałem – jest niebieski stempel. »KPP Briańsk. Rossija«. Byłem we wnętrzu mapy".

Pierwszych kilkanaście stron. Dopiero ruszam z nim w tę podróż, a przecież – jak już mówiłem – tak dobrze ją znam. Moim Bosforem, portalem, przylądkiem Canaveral wyobraźni była metalowa brama stojąca nad torami, które 40 km wcześniej przebiegały prawie pod oknami mojego bloku. Gobiaty, granica z Białoruską SRR. Na bramie widniało to słowo, sponsor tamtej epoki: „mir", „pokój", ale przecież zarazem też „świat". Jako dobrze wyedukowane przez opozycyjnie nastawionych rodziców dziecko wiedziałem, że pokoju tam nie ma. Świat jednak przecież rozciąga się zupełnie niezwykły – to, co zaczyna się na tej bramie, kończy się na Pacyfiku! Białostockie osiedle Piasta, z którego odjeżdżał pociąg do Zubek, za którymi były już tylko Gobiaty, stawał się więc kolejką dowożącą astronautę na kosmodrom. Pacyfik. Za nim – Ameryka. Gdy skręcisz w prawo – Antarktyda. Nie wiem, czy dzieciaki urodzone w dobie Google Street View kiedykolwiek zrozumieją nas, którzy Google Maps z widokiem satelitarnym mieliśmy wyłącznie w głowach.

Wschód. Urodziłem się tam, mam go w DNA. *Ex oriente lux* – światło przychodzi ze wschodu. Chciałbym dożyć czasów, w których przestaniemy wypierać z siebie jego puste przestrzenie (po nich łatwiej rozpędzać się i złym, i pięknym pomysłom), wpatrzeni tylko w zamkniętą w ramkach i murkach gospodarkę przestrzenną Zachodu. W których tworzenie jakichś sztucznych „międzymórz" i miotanie się między Waszyngtonem a Brukselą uzupełni dobrze przeżyty wymiar najbardziej ludzki z możliwych – sąsiedztwa. Tak nam Pan pobłogosławił, że każdy z nas, Polaków, nosi w sobie Wschód i Zachód, cały równoleżnik. Stąd wiem, dlaczego tak ciągnie mnie, by skończyć pisać ten tekst i czym prędzej wrócić do książki Milczarka. Idąc z nim okrążę świat, i wrócę – pełniejszy – do siebie. ©

REKLAMA

# 22. Festiwal Jazz Jantar

**8.11.2019 • G.20.00**
**GRID /** Young America
**LINDA MAY HAN OH QUINTET**
FEAT. **NEOQUARTET**

**9.11.2019 • G.20.00**
**YAZMIN LACEY /** Young Britain
**KAMAAL WILLIAMS /** Young Britain

**10.11.2019 • G.19.00**
**MYRA MELFORD SOLO**
**SONS OF KEMET /** Young Britain

**11.11.2019 • G.19.00**
**KUBA WIĘCEK TRIO /** Młoda Polska
**STARONIEWICZ NORTH PARK**
FEAT. **ERIK JOHANNESSEN**

**14.11.2019 • G.19.00**
**PEEDU KASS MOMENTUM /** Estonia.NOW
**CHRISTIAN SCOTT aTUNDE ADJUAH /**
Young America

**15.11.2019 • G.20.00**
**KIRKE KARJA QUARTET /** Estonia.NOW
**JAIMIE BRANCH / Fly or Die II / premiera**

**16.11.2019 • G.20.00**
**MATTHEW SHIPP, WILLIAM PARKER,**
**DANIEL CARTER**
**SATOKO FUJII & JOE FONDA**

**17.11.2019 • G.19.00**
**ENEMY /** Young Britain
**MAURICE LOUCA**

**20.11.2019 • G.19.00**
**CÉCILE McLORIN SALVANT**

**Program: www.jazzjantar.pl**
**Bilety: tickets.klubzak.com.pl i kasa Klubu Żak**
**www.jazzjantar.pl**

ORGANIZATOR:
**KLUB ŻAK, 80-266 GDAŃSK**
**UL. GRUNWALDZKA 195/197**

festiwal jazz jantar

Żak bez barier

GDAŃSK

#wolność kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

instytut muzyki i tańca

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY W RAMACH PROGRAMU „MUZYKA", REALIZOWANEGO PRZEZ INSTYTUT MUZYKI I TAŃCA

MECENASI

GIWK · ziaja #razem30lat · TOYOTA · Carter Gdańsk · ŻYWIEC

PATRONI MEDIALNI

POLITYKA · TYGODNIK POWSZECHNY · trojmiasto.pl · wyborcza.pl TRÓJMIASTO · nowa muzyka · jazz forum · jazzarium · jazz Soul

PARTNERZY

MID ATLANTIC ARTS FOUNDATION
THEY SUPPORT LINDA MAY HAN OH

GALERIA BAŁTYCKA
MODNE CENTRUM MIASTA

# KATOLICY POD SPECJALNYM NADZOREM

Kościół rzymskokatolicki na Białorusi jest pod ciągłą presją autorytarnych władz. Towarzyszy temu szybki proces jego depolonizacji. To koniec epoki, która zaczęła się 30 lat temu.

WOJCIECH KONOŃCZUK Z PIŃSKA, BRZEŚCIA I GRODNA

NATALIA FEDOSENKO / TASS / GETTY IMAGES

W niedzielne przedpołudnie wielki XIX-wieczny kościół św. Wacława w Wołkowysku jest po brzegi wypełniony ludźmi. To 44-tysięczne miasto jest jednym z centrów polskości na Grodzieńszczyźnie.

Działa tu jedna z dwóch polskich szkół na Białorusi, choć język polski jest tu systematycznie wypierany przez rosyjski. Według oficjalnych danych co piąty mieszkaniec deklaruje się jako Polak, ale liczba katolików jest większa. Na sąsiadującym z kościołem cmentarzu znajduje się duża, niedawno pięknie odnowiona kwatera żołnierzy polskich poległych w walkach z bolszewikami w 1920 r.

Mszy niedzielnych w parafii jest sześć, w tym jedna po białorusku, a pozostałe po polsku. Przynajmniej formalnie, bo w trakcie mszy okazuje się, że tylko czytanie i psalmy są po polsku, reszta zaś po białorusku i rosyjsku (w tym kazanie). Nie ma się jednak czemu dziwić, bo gdy wierni wychodzą z kościoła, słychać wyłącznie rosyjski. Sądząc po akcencie, młody ksiądz jest miejscowy. Parafia sprawia wrażenie działającej bardzo prężnie. W innej dzielnicy Wołkowyska wzniesiono też nowy kościół, co potwierdza, że potrzeby duchowe są duże.

### Mozolna odbudowa

Cofnijmy się o kilka dekad. Gdy rozpadał się Związek Sowiecki, na Białorusi posługiwało zaledwie ok. 50 księży katolickich, w większości w zaawansowanym wieku. Kilkaset budynków, które do 1945 r. pełniły funkcje sakralne, było mniej lub bardziej zrujnowanych. W rozpoczynającym się wówczas procesie odrodzenia wiary największym problemem była więc niewystarczająca liczba kapłanów.

Kościołowi na ziemiach białoruskich – podobnie zresztą jak na Ukrainie i w Rosji – z pomocą przyszli duchowni z Polski. Bliskość językowa i kulturowa, ale również fakt, że znaczna liczba wiernych była Polakami lub miała polskie korzenie, sprawiły, że do tej roli nadawali się idealnie.

Wówczas, zaraz po 1991 r. i powstaniu niepodległej Białorusi, posługę duszpasterską podjęło tam ok. 300 księży z Polski. Stanęło przed nimi zadanie odbudowy struktur Kościoła (rzymskokatolickiego; ten greckokatolicki jest do dziś na Białorusi właściwie nieobecny; dlaczego – to osobna historia), a także odzyskania, remontu lub odbudowy zniszczonych świątyń, praca z wiernymi po kilkudziesięciu latach propagowania ateizmu. Początki wiązały się często z pracą w spartańskich warunkach. Dzięki polskim ka-

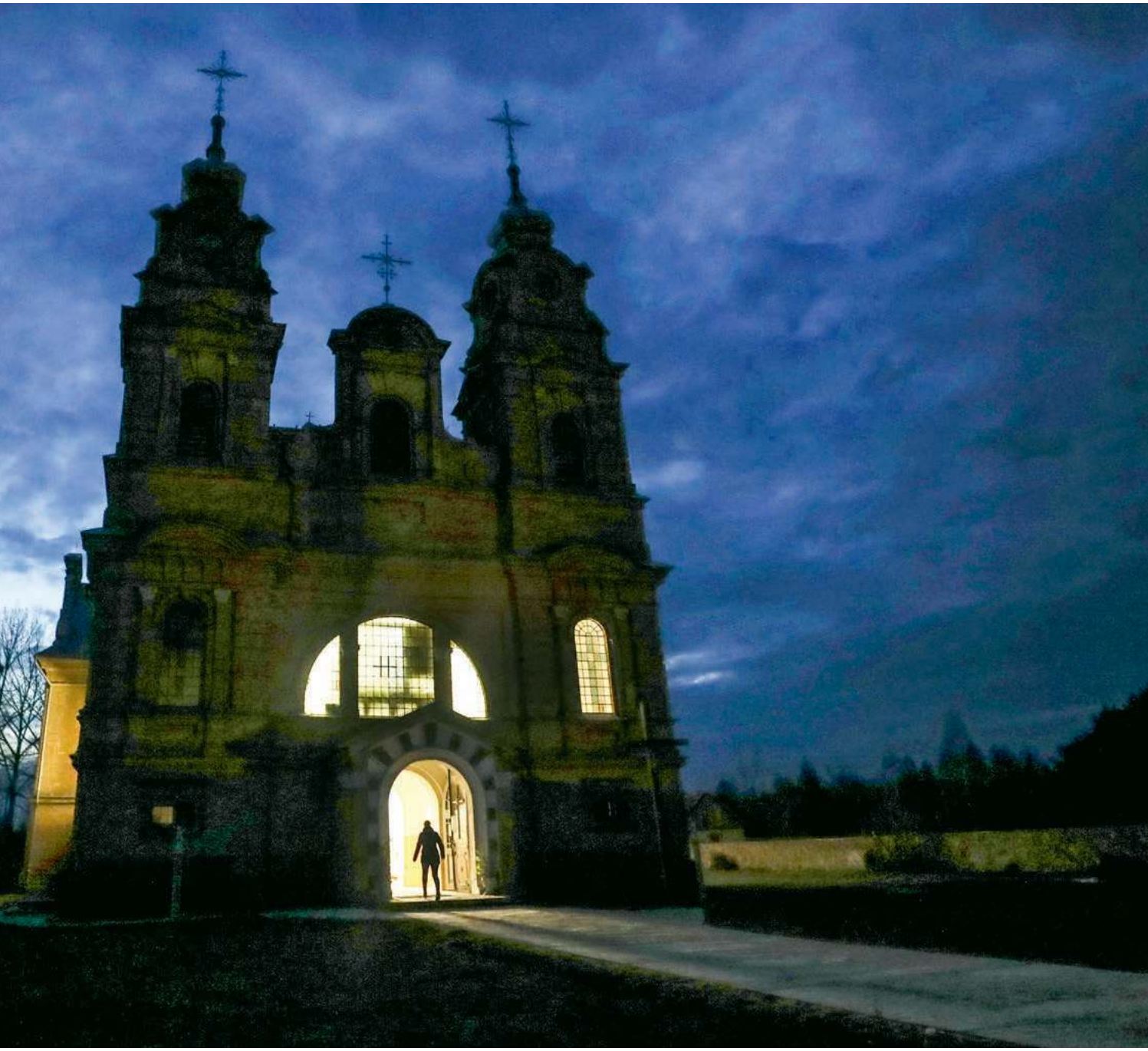

*Kościół Bożego Ciała we wsi Dworzec niedaleko Grodna podczas mszy wielkanocnej, kwiecień 2019 r.*

płanom na Wschód popłynęły pieniądze ze zbiórek w Polsce, co przyczyniło się do odnowienia świątyń, z których wiele stanowi ważną część polskiego dziedzictwa.

W 1998 r. byłem świadkiem rekonsekracji klasycystycznego kościoła w Prużanie (w obwodzie brzeskim), której dokonał charyzmatyczny zwierzchnik Kościoła na Białorusi, 84-letni już wtedy kard. Kazimierz Świątek. W przypadku tego syna legionisty Piłsudskiego był to zresztą powrót symboliczny. Po otrzymaniu święceń pracował on w prużańskiej parafii i tu w 1944 r. aresztowało go NKWD. Po tym, jak spędził 10 lat w łagrach, zdecydował się nie wyjeżdżać do Polski – w trudnych warunkach niósł posługę w Pińsku.

W jego losie odbija się historia Kościoła katolickiego na ziemiach białoruskich. Gdy w 1990 r. powstał Związek Polaków na Białorusi, ówczesny ksiądz Świątek został jego wiceprezesem. Kościół tradycyjnie był sojusznikiem w utrzymaniu tożsamości polskiej na Wschodzie, w okresie zaborów i komunizmu. Wówczas słowa „katolik" i „Polak" były synonimami. Podobnie było w pierwszym okresie po 1991 r. To, że uroczystości w Prużanie odbywały się tylko w języku polskim, dla wszystkich było oczywiste.

### Dokręcanie śruby

Od drugiej połowy lat 90. na sytuację białoruskiego Kościoła zaczął wpływać krzepnący reżim autorytarny Aleksandra Łukaszenki. Jak wszystkie instytucje niezależne od władz, Kościół rzymskokatolicki i jego kapłani zaczęli ↦

być niejako z urzędu podejrzani. Fakt, że większość księży miała polskie paszporty, tylko tę podejrzliwość potęgował.

Po rozprawieniu się z opozycją, organizacjami pozarządowymi, Związkiem Polaków na Białorusi (niegdyś największą organizacją społeczną w kraju) przyszła kolej na dokręcenie śruby Kościołowi. Jego oficjalnym politycznym nadzorcą został doświadczony aparatczyk Leonid Huliaka, mianowany na stanowisko rządowego pełnomocnika ds. religii i narodowości. Funkcję tę sprawuje już od 15 lat i w tym czasie jak nikt inny wpłynął na położenie białoruskiego Kościoła. Formalnie nadzoruje też Cerkiew prawosławną, ale ta cieszy się uprzywilejowanym statusem.

W przypadku katolików działania władz poszły przede wszystkim w kierunku zaostrzenia kontroli nad polskimi księżmi. Co trzy lub sześć miesięcy każdy z nich musi odnawiać wizę, dającą prawo do działalności duszpasterskiej. Zwykle do końca pozostaje niepewność, czy prawo pobytu zostanie przedłużone, czy też trzeba będzie pakować walizki.

Zaostrzono też ustawodawstwo, które mówi, że dwukrotne naruszenie prawa przez cudzoziemskiego duchownego może wiązać się z pozbawieniem możliwości przebywania na Białorusi (wystarczy np. przekroczyć prędkość na drodze). Co ciekawe, cudzoziemcy, którzy nie są duchownymi, mogą naruszyć prawo pięć razy.

### Każdorazowa zgoda władz

Ale problemy zaczynają już wcześniej. Zanim duchowny z Polski wjedzie na Białoruś, zgodę na jego pracę musi wydać wspomniany pełnomocnik Huliaka – przy czym odmowa wjazdu nie wymaga uzasadnienia. Nawet na gościnne odprawienie mszy przez cudzoziemca (np. legata papieskiego) wymagana jest zgoda władz, którą otrzymuje się najpóźniej miesiąc przed samą mszą. W żadnym kraju europejskim nie ma podobnych drakońskich obostrzeń.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**WOJCIECH KONOŃCZUK** będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie Radia Tok FM", w czwartek 31 października, o godz. 15.40.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg
93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

> Władze wiedzą, że na księży białoruskich będą mieć większy wpływ niż na tych z polskim paszportem. Część tych pierwszych woli zachowywać się tak, **aby nie rozsierdzić urzędników z wydziałów do spraw religii.**

W efekcie zdarzały się przypadki, że ksiądz z Polski odprawił gdzieś mszę bez uzyskania wcześniej zezwolenia – i zaraz po niej był zatrzymany przez milicję. Dowodzi to tylko, pod jak czujnym nadzorem znajduje się Kościół. Obwodowe struktury KGB (jest to wciąż oficjalna nazwa białoruskich tajnych służb) muszą się czymś wykazać.

Reżim wywiera też presję na Kościół, aby zwiększył liczbę absolwentów seminariów pochodzenia białoruskiego. Arcybiskup Tadeusz Kondrusiewicz skarżył się niedawno, że „państwo wymaga od nas bardziej wzmożonej pracy, aby pojawiało się więcej księży miejscowego pochodzenia". Potwierdzają to słowa pełnomocnika Huliaki, który jeszcze w 2015 r. mówił, iż „powstaje wrażenie, że kierownictwo Kościoła rzymskokatolickiego jest niezainteresowane przygotowaniem swoich kadr".

Najwidoczniej władze nie rozumieją, iż powołań do kapłaństwa nie da się regulować administracyjnie.

### Prezydent niezadowolony

Taka polityka doprowadziła do szybkiego spadku liczby polskich księży. O ile w 2005 r. było ich 202, a w 2016 r. – 120, obecnie jest ich już tylko ok. 85. Dlaczego jest to problem? Bo choć dwa białoruskie seminaria w Grodnie i Pińsku wykształciły oczywiście w ostatnim czasie wielu księży, to jednak nadal jest ich zbyt mało (ok. 480) wobec potrzeb (półtora miliona wiernych). Jak istotny jest to problem, pokazuje porównanie: w polskim Kościele jeden duchowny przypada na tysiąc wiernych. Polska Cerkiew prawosławna zaś ma trzy raz mniej wiernych i tyle samo księży co Kościół katolicki na Białorusi.

Młody białoruski ksiądz w jednej z niewielkich miejscowości na Polesiu opowiada mi, że na pierwszym roku wraz z nim studiowało ośmiu kleryków, jednak na koniec sutannę przywdział tylko on jeden.

Natomiast od ks. Juryja Sańki, sekretarza prasowego Kościoła na Białorusi, dowiaduję się, że białoruskie seminaria kończy ok. 5 osób rocznie. – Wiadomo, że ta liczba jest niewystarczająca. Szczególnie we wschodniej części kraju często jest tak, że jeden ksiądz dojeżdża do kilku parafii i nie są one małe. Aby duszpasterstwo się rozwijało, potrzebujemy więcej duchownych – mówi ks. Sańko. Księża z Polski nadal są więc niezbędni.

Reżim jednak uważa inaczej. Co roku kolejnych kilku polskich księży nie otrzymuje przedłużenia wizy. Często dotyczy to doświadczonych kapłanów, którzy pełnili posługę na Białorusi od wielu lat. I tak, w ciągu ostatniego roku prawa pobytu odmówiono m.in. ks. Pawłowi Knurkowi, od 16 lat posługującemu w Witebsku. Wyrzucony został też ks. Krzysztof Poświata, od 8 lat proboszcz w Hatawie pod Mińskiem.

Ks. Sańko dodaje: – Gdy ksiądz wraca do Polski, to ciężko jest zaprosić kogoś nowego na jego miejsce. Nie zawsze udaje się nam dogadać z władzami.

Jako uzasadnienie mogą służyć słowa Łukaszenki: „Co się tyczy duchownych katolickich z Polski, nie jestem zbytnio zadowolony z pracy niektórych z nich. Zajmują się nie tym, czym powinni".

Trudno, aby reżim nie traktował ich jak potencjalnych szpiegów, skoro białoruski prezydent regularnie ogłasza publicznie, że „w Polsce rysują mapy, na których polska granica przebiega pod Mińskiem". Łukaszence wtórował pełnomocnik Huliaka: „Niektórzy księża z Polski próbują zajmować się polityką. Nie podoba się im nasz kraj, nasze prawo, nasze kierownictwo". Być może miał na myśli jednego z polskich księży, tego, który nieopatrznie wspomniał publicznie o roli Rosji w wojnie na Ukrainie. Natychmiast kazano mu opuścić Białoruś.

Równocześnie, mimo wspomnianych deklaracji, państwo wcale nie sprzyja temu, by w Kościele rosła liczebność duchownych pochodzenia białoruskiego. Przykładem może być regularne kierowanie kleryków i młodych księży na komisje wojskowe. Niedawno do odbycia służby wojskowej wezwano nawet biało-

ANDRZEJ SIDOR / FORUM

*Kard. Kazimierz Świątek na 70-leciu swoich święceń kapłańskich przed katedrą w Pińsku, kwiecień 2009 r.*

ruskiego księdza, który pisał doktorat na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie.

Inne kuriozum to sytuacja z XVIII-wieczną katedrą w Mohylewie, która za Związku Sowieckiego mieściła archiwum. Już po odnowieniu budynku przez katolików i na ich koszt okazało się, że jego właścicielem jest miasto, które zażądało corocznej opłaty za dzierżawę.

Zdobycie zezwolenia na budowę nowego kościoła również nie jest łatwe. A gdy już się je uzyska, to często w miejscu mało atrakcyjnym.

### Represje w kraju, dialog z Watykanem

Narodowość (i obywatelstwo) duchownych ma natomiast znaczenie z innego powodu niż ten deklarowany. Władze wiedzą, że na księży białoruskich będą mieć większy wpływ niż na duchownych z polskim paszportem. Część z tych pierwszych, zastraszonych, woli zachowywać się w taki sposób, aby nie rozsierdzić ludzi z miejscowych wydziałów ds. religii (tak, istnieją one do dziś).

W jakim stopniu białoruski Kościół jest infiltrowany przez KGB? Tego można się tylko domyślać, ale wydaje się, że model jest identyczny jak ten znany z publikacji na temat „SB wobec Kościoła w PRL". Pewien białoruski ksiądz w przypływie szczerości wspomniał mi tylko, że miewał wizyty „smutnych panów", którzy próbowali go nakłonić, by informował, kto z pracowników urzędu miasta uczestniczy w mszach i co mówi. Z kolei pełnomocnik Huliaka wprost krytykował „niektórych księży, obywateli Białorusi, którzy prowadzą destrukcyjną działalność". Dalej zaś pogroził: „Fakty te nie pozostają niezauważone przez organy miejscowe władz". A lokalnym urzędom doradził, że powinny „zwracać na te problemy bardziej wnikliwą uwagę".

Kościół przez długi czas unikał publicznego wchodzenia w polemikę z władzami, ale ostatnio abp Kondrusiewicz nie wytrzymał i kilkukrotnie krytykował rządzących za odmawianie wiz księżom z Polski i za politykę wobec Kuropat pod Mińskiem – miejsca masowych mordów NKWD w latach 1937–41. Większego skutku to jednak nie przyniosło. Czasami udaje się tylko wstrzymać nakaz wyjazdu kolejnego księdza.

W stosunku reżimu do Kościoła tkwi jednak pewien paradoks. Nieustającej presji na kapłanów towarzyszy bowiem rozwijający się dialog Mińska ze Stolicą Apostolską. Jego przejawem były spotkania Łukaszenki z Benedyktem XVI w 2009 r. oraz z Franciszkiem w 2016 r. Watykan był w ciągu ostatniej dekady jedyną stolicą zachodnioeuropejską, którą odwiedził białoruski prezydent. Efektem ostatniego spotkania była zgoda władz na budowę w Mińsku Akademii Teologicznej im. Jana Pawła II.

Mimo dialogu politycznego nie ma jednak mowy o podpisaniu konkordatu.

### Białorutenizacja

O ile wcześniej Kościół katolicki na Białorusi tradycyjnie używał w liturgii języka polskiego, o tyle w ciągu ostatnich kilkunastu lat widoczne jest coraz szersze wprowadzanie języka białoruskiego. Proces ten nie jest jeszcze zakończony i polski wciąż odgrywa ważną rolę. Wynika to również z tego, że nadal nie ma pełnego przekładu Biblii na białoruski. Część wykładów w seminariach odbywa się po polsku, w oparciu o literaturę teologiczną w tym języku.

Białorutenizacja Kościoła – wspierana i przez Watykan, i przez reżim w Mińsku (choć z różnych motywacji) – jest naturalna. Młodsze pokolenia najczęściej nie rozumieją już języka polskiego, a celem Kościoła nie jest przecież podtrzymywanie polskości, lecz ewangelizacja.

Inna sprawa, gdy wypieranie polskiego dzieje się wbrew woli wielu wiernych, którzy postrzegają to jako ograniczanie ich wolności i zamach na tożsamość ich dzieci.

Jedna z polskich działaczek w dużym mieście na Białorusi mówi mi, nie kryjąc emocji: – Mój wnuk nie może mieć katechezy po polsku, ale wyłącznie po białorusku lub rosyjsku. Nawet śpiewania „Z dawna Polski Tyś Królową" zakazano w kościele!

### Coraz więcej strachu

Kościół bardzo się pilnuje, by nie dawać władzom pretekstu do krytyki. Niestety, ma to przełożenie na coraz bardziej wstrzemięźliwy, a czasami wprost niechętny stosunek niektórych białoruskich duchownych do polskości.

Przykładów jest wiele. Niedawno biskup piński wystąpił o zgodę do obwodowego wydziału ds. ideologii na przeprowadzenie Festiwalu Kultury Polskiej, który corocznie organizowany jest przez Związek Polaków na Białorusi w kościele w Niedźwiedzicy pod Baranowiczami.

Nigdy wcześniej zgoda nie była potrzebna, ale tym razem „na wszelki wypadek" wysłano odpowiednie zapytanie. Zgoda przyszła, ale atmosfera została zepsuta i przez całą uroczystość księża zachowywali się nerwowo. Zwykle kłopotem przy tego typu uroczystości jest obecność polskiego konsula, bo księża rozumieją, że władzy się to nie spodoba. ↦

Mimo pewnej „odwilży" między Mińskiem a Warszawą kontakty z dyplomatami RP mogą stanowić obciążenie dla Kościoła.

Innym przykładem są tablice pamiątkowe, których dużo można zobaczyć w odnowionych kościołach. Zwykle fundowano je na początku lat 90., ku pamięci tragicznej historii tych ziem i ich mieszkańców. Potem jednak „okno możliwości" się zamknęło – i dziś trzeba na to sporej odwagi. A tej jest coraz mniej.

W jednym z kościołów w obwodzie brzeskim trwał niedawno spór o tablicę ku czci miejscowych polskich ofiar NKWD. W końcu zawisła, ale – choć nie było na niej nawet informacji, z czyich rąk Polacy zginęli – miejscowy biskup uznał, że bezpieczniej będzie nakazać, aby zasłonięto ją firanką.

### Groźba smutnych panów

Osobna sprawa to kwestia problemów z nauczaniem polskiego, co występuje praktycznie wszędzie tam, gdzie mieszkają białoruscy Polacy. Z reguły od wielu lat nie mają możliwości uczenia się języka ojczystego w szkołach białoruskich, nawet na zajęciach dodatkowych.

Z Kościołem ma to związek taki, że gdy problem pojawiał się wcześniej, początkowo duchowni wspomagali dzieci, udostępniając plebanie na zajęcia językowe. Szybko się to jednak skończyło, gdy księży zaczęło nachodzić miejscowe KGB.

Od jednego z duchownych, od lat pracującego w jednym z najbardziej polskich regionów Białorusi, usłyszałem, że otrzymał otwartą groźbę od KGB: albo zlikwiduje nauczanie polskiego przy kościele, albo nie zostanie mu przedłużona wiza.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat białoruski Kościół rzymskokatolicki przeszedł więc długą drogę – od odbudowy podstaw swojego istnienia aż po dążenie do zbudowania Kościoła narodowego. Należy przyznać rację cytowanej wyżej polskiej działaczce, która mówi: – Kościół długo był oparciem dla polskości na Białorusi, ale przestaje nim być. I jest to już proces nieodwracalny.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

# Pierwsza kolonia Słowacji

TEKST I ZDJĘCIA DARIUSZ KAŁAN Z RAJKI (PÓŁNOCNE WĘGRY)

**Niektórzy miejscowi Słowacy mówią, że to kolejna dzielnica Bratysławy. Ale zwykle po cichu, nigdy przy Węgrach. Po co psuć atmosferę w miasteczku, gdzie wszystkim żyje się całkiem dobrze.**

Na pierwszy rzut oka Rajka wygląda jak każda inna mała węgierska miejscowość. Kilka uliczek, poczta, zadbane domki, kościoły rzymskokatolicki i ewangelicki, restauracja o nazwie „Kúria".

Że coś jest nie tak, domyślamy się, kiedy trzeba zapłacić rachunek w „Kúrii". Kelnerka pyta: w forintach czy może w euro? Jeśli wybierze się euro, kelnerka zmieni też język: z węgierskiego na słowacki.

Bo w tej miejscowości na północy Węgier ponad połowa z ponad 3 tys. mieszkańców to Słowacy.

Jeśli na Węgrzech, kraju jednorodnym etnicznie, mówi się o mniejszościach, to zwykle w kontekście rodaków rozsianych po państwach ościennych. Oni znaleźli się poza granicami swojego kraju wbrew własnej woli – na mocy decyzji politycznych po I wojnie światowej, gdy Królestwo Węgier (wchodzące w skład monarchii austro-węgierskiej) straciło dwie trzecie terytorium.

Mocno zakorzeniona, ponad 7-tysięczna społeczność słowacka mieszka w południowym komitacie (województwie) Békés. To potomkowie ewangelików, którzy w pierwszej połowie XVIII w. szukali tam schronienia przed prześladowaniami religijnymi.

Ale Słowacy w Rajce to nowe zjawisko. I mało ma ono wspólnego z polityką.

### Trochę sypialnia

Mikuláš Rusó to jeden z pierwszych Słowaków, którzy osiedlili się w Rajce. Było to w połowie pierwszej dekady wieku XXI.

Rusó był wtedy studentem i szukał taniego mieszkania niedaleko centrum słowackiej stolicy.

– Najtańsza kawalerka w bloku w Bratysławie kosztowała wówczas milion koron, czyli równowartość ok. 40 tys. euro. Tymczasem za mój pierwszy dom w Rajce zapłaciłem połowę tego – opowiada. – Żeby dostać się stąd do pracy, potrzebowałem kwadransa, trzy razy mniej niż z dzielnic położonych na skraju stolicy. Zresztą od tego czasu nic się nie zmieniło.

Bratysława należy do najdroższych miast w Europie Środkowej. Coraz więcej Słowaków, rozczarowanych wygórowanymi cenami nieruchomości, przenosi się więc na wieś – do północnych Węgier. Do stolicy, która leży na pograniczu trzech państw – Słowacji, Austrii i Węgier – dojeżdżają samochodem albo autobusem linii 801, z przesiadką w Rusovcach. Rzadziej pociągiem, który kursuje tylko kilka razy w ciągu dnia.

Jednak dawno minęły lata, kiedy Rajka była uważana za ekskluzywną.

– Na początku najwięcej było tu dobrze wykształconej młodzieży i zamożnych przedsiębiorców. Teraz społeczność bardziej się zróżnicowała – mówi Rusó, dodając, że w ostatnim czasie obserwuje falę przybyszów z Petržalki, czyli bratysławskiej sypialni, dzielnicy blokowisk.

Rajka to też trochę sypialnia. Co można tu robić w wolnej chwili? Jeździć na rowerze – bo miasteczko ma rozbudowany system ścieżek rowerowych. Można też zwiedzać zabytkowe kościoły, chodzić do lasów albo nad jezioro. Ciche, spokojne życie, które dla zapracowanych Słowaków jest miłą odmianą od coraz bardziej hałaśliwej Bratysławie.

– Zachęca ich także to, że teraz dobrze dogadujemy się z Węgrami – twierdzi Rusó. Choć akurat on pamięta także gorsze czasy.

### Węgiersko-słowacka zimna wojna

Relacje między Słowakami a Węgrami, którzy przed 1918 r. wchodzili w skład

jednego państwa – wspomnianego Królestwa Węgier, wraz z Cesarstwem Austrii tworzących wspólną monarchię Habsburgów – były napięte od 1993 r., czyli od rozpadu Czechosłowacji. Nacjonaliści z obu stron przypominali historyczne krzywdy i grali problemem mniejszości węgierskiej, zamieszkującej południowe regiony Słowacji.

Punkt kulminacyjny sporu przypadł na drugą połowę lat dwutysięcznych. W 2006 r. do słowackiego rządu weszły dwa ugrupowania nacjonalistyczne. Szefem jednego był niesławny Ján Slota, który zasłynął stwierdzeniem, że mniejszość węgierska jest „rakiem na ciele słowackiego narodu" i że najchętniej wysłałby na Budapeszt czołgi.

Każde działanie – jak ustawa ustanawiająca prymat języka słowackiego w sferze publicznej, debata o nazwach geograficznych w podręcznikach szkolnych, próba odsłonięcia pomnika pierwszego króla węgierskiego Świętego Stefana w przygranicznym Komárnie czy przyznanie prawa do głosowania w wyborach do węgierskiego parlamentu mniejszości węgierskiej przez rząd Viktora Orbána – urastało do rangi konfliktu dyplomatycznego. Doszło do tego, że w 2009 r. Słowacy odmówili prezydentowi Węgier prawa wjazdu do Komárna.

Zimna wojna dotarła także do Rajki. Kiedy jedna ze słowackich agencji nieruchomości zaczęła reklamować miasteczko jako „Bratysławę VI" – sugerując, że stało się szóstą dzielnicą Bratysławy – z Budapesztu przyjechało pociągiem kilku członków Jobbiku, skrajnie prawicowej partii.

– Spotkałem ich na demonstracji – wspomina Rusó. – Chciałem się przywitać, ale powiedzieli, że nie podadzą mi ręki, bo jestem Słowakiem. Na szczęście był ze mną kolega Węgier, który zapewnił ich, że jestem w porządku.

### Dużo wspólnych interesów

Dziś, ponad dekadę później, po konfliktach nie ma już śladu.

Według Vincego Kissa, Węgra i burmistrza Rajki, kwestie narodowościowe nie odgrywają dużej roli. – Nauczyliśmy się spokojnie pracować nad naszymi problemami – mówi w swoim gabinecie. – Nawet jeśli prywatnie mogę uważać, że to błąd, iż Słowacja jest tak bardzo skoncentrowana urbanistycznie wokół Bratysławy, akceptujemy to i jesteśmy szczęśliwi, mogąc gościć tych, którzy zarabiają tam pieniądze – deklaruje polityk.

**BURMISTRZ VINCE KISS:**
*Kwestie narodowościowe nie odgrywają u nas dużej roli.*

*Powyżej: dworzec kolejowy w Rajce*

– Źli ludzie są po obu stronach – uważa Károly Kató, dyspozytor kolejowy. Zaczęliśmy rozmawiać, kiedy chciałem zrobić zdjęcie fladze węgierskiej powiewającej nad jego domem.

Kató twierdzi, że ma wielu przyjaciół Słowaków. – Regularnie gramy w piłkę. O, nawet mój sąsiad jest Słowakiem – wskazuje dom za płotem. – Niestety, nie mówi po węgiersku. Ja nauczyłem się trochę słowackiego, żeby się z nim porozumieć.

Historia w Rajce zatacza koło. Miasteczko znowu jest wieloetniczne. Znowu, bo w XIX stuleciu mieszkali tu głównie niemieckojęzyczni obywatele monarchii. Niemiecko brzmiące nazwiska można znaleźć na starym pomniku wspominającym mieszkańców, którzy zginęli na frontach I wojny światowej.

Ale była tu także silna społeczność żydowska. Do Holokaustu: w połowie 1944 r. grupa 172 miejscowych Żydów została przewieziona do getta w Mosonmagyaróvár, a stamtąd do Auschwitz. W maju tego roku na placyku, gdzie kiedyś stała synagoga, odsłonięto pomnik.

Paradoksalnie, relacje między Węgrami a Słowacją poprawiły się, kiedy premierem w Budapeszcie został Viktor Orbán. Żeby umocnić swoją pozycję w kraju, wykorzystywał on i podgrzewał spory wokół mniejszości węgierskiej w Rumunii i na Ukrainie. Ale nie na Słowacji, choć mieszka tam druga najliczniejsza diaspora Węgrów, licząca ok. 400 tys. osób.

– Obecnie mamy dużo wspólnych interesów i wywoływanie silnych emocji narodowych po prostu się nie opłaca – mówi Juraj Marušiak, politolog ze Słowackiej Akademii Nauk w Bratysławie. Wymienia wspólny opór przeciwko polityce migracyjnej Unii Europejskiej, korytarze energetyczne i walkę z podwójną jakością żywności.

Prawda jest też taka, że sami słowaccy Węgrzy okazali się niepodatni na urok Orbána. Mieszkają w zamożniejszej Słowacji i stopniowo się asymilują. Politycznie zaś są podzieleni między kilka węgierskich partii. Tej wspieranej przez Orbána nie ma nawet w słowackim parlamencie.

Jednak Marušiak ostrzega, że po obu stronach czekają radykałowie, zainteresowani zepsuciem relacji. – Jeśli będzie ↦

taka polityczna potrzeba, napięcia znowu wypłyną na powierzchnię – przewiduje.

### To idzie młodość

Napięcia w Rajce, jeśli już się pojawiają, to na tle pokoleniowym.

W miasteczku, które do niedawna było oazą spokoju dla starszych Węgrów, nagle pojawiła się młodość. Młodzi Węgrzy z Rajki dawno bowiem wyjechali za pracą.

Ágnes, 68-letnia emerytka, którą spotykam na ulicy Bajcsy-Zsilinszkyego, twierdzi, że w Rajce jest głośniej niż kilka lat temu. – Samochody suną wte i wewte. Jest tak wielu młodych jak nigdy wcześniej – tłumaczy. Prosi, żeby nie podawać jej nazwiska.

Za jej czasów, wspomina, „jechaliśmy na zakupy do Czechosłowacji, bo było taniej niż w komunistycznych Węgrzech. Teraz najwyraźniej trend się odwrócił".

Dávid Oláh, 26-letni saksofonista, który osiem lat temu przeprowadził się tu z Bratysławy wraz z rodzicami i bratem, opowiada: – Życie w Rajce nie jest intensywne, żyjemy obok siebie. Spotykamy się w autobusie, witamy, ale jakiejś wielkiej serdeczności między nami nie ma.

Muzyk wspomina o sąsiedzie Słowaku, który w weekendy urządzał głośne imprezy. – To był wielki problem i sami Węgrzy musieli interweniować – opowiada. – Niektórzy starsi mieszkańcy awanturują się o każdą drobnostkę. Na przykład że pies szczeka. To jest jedyne źródło konfliktów, jakie zauważyłem: o komfort życia.

Oláh zdradza też, że niektórzy Słowacy nadal mówią na Rajkę „Bratysława VI". Albo: „pierwsza kolonia Słowacji". – Ale po cichu, nigdy przy Węgrach – uśmiecha się.

Oczywiście wraz ze Słowakami pojawił się zastrzyk gotówki i inwestycje. W ciągu ostatniej dekady powstało blisko 800 domów w Rajce i na jej przedmieściach, które nazwano „Nową Rajką". Większość jest sprzedawana, zanim zdąży się wylać fundamenty. Domy wystawione obecnie na sprzedaż będą oddane w połowie 2020 r.

Za trzypokojowe, siedemdziesięciometrowe mieszkanie z balkonem w Bratysławie trzeba dziś zapłacić ok. 150-170 tys. euro. – Za tę cenę na Węgrzech możesz kupić piękny czteropokojowy dom z ogrodzeniem i ogrodem – zachwala Karin Fassingerová z agencji nieruchomości Rajka Reality City. – Zainteresowanie jest bardzo duże – dodaje.

### Zaskoczenia nie było

W Rajce Słowacy mogą dziś liczyć na to, że rodacy przystrzygą im ogród, posprzątają dom albo dowiozą taksówką do samej Bratysławy. W ostatnich latach szybko wzrosła bowiem liczba przedsiębiorstw prowadzonych przez Słowaków. Obecnie grupa inwestorów negocjuje z miastem otwarcie sklepu.

Węgierka Mária Szabó Szalainé, dyrektorka miejscowego przedszkola, pisze w mailu, że w roku szkolnym 2019/20 spośród 77 dzieci aż 38 ma słowackie obywatelstwo, a jedno dziecko podwójne. „Z powodu braku miejsc musiałam odrzucić trzydzieścioro dzieci ze Słowacji" – dodaje. Na razie w szkole podstawowej w Rajce nie ma klasy słowackiej.

I pewnie rychło nie będzie. Mikuláš Rusó chciał, żeby język słowacki stał się jednym z przedmiotów nauczania. Wpisał to nawet do swojego programu wyborczego. Razem z trzema innymi Słowakami startował w wyborach samorządowych do rady miasta, które na Węgrzech odbyły się 13 października. Gdyby wygrali, zdobyliby większość w siedmioosobowej radzie; sytuacja bez precedensu w Rajce.

Kiedy rozmawialiśmy pod koniec września, zapytałem go, czy nie rozbudziłoby to waśni narodowych. – No cóż, to byłoby duże zaskoczenie dla Węgrów – odpowiedział Rusó dyplomatycznie.

Na szczęście przegrali.

© DARIUSZ KAŁAN

Reportaż powstał w ramach projektu BIRN Reporting Democracy.

TP ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

# Jesień Ludów 1989 – 30 lat później

YEAR1989.PL / NAF DEMENTI

To słynne zdjęcie zrobiono w Pradze, pod koniec listopada lub na początku grudnia 1989 r. W każdym razie zaraz po tym, jak zwyciężyła tam Aksamitna Rewolucja. Widoczny na zdjęciu transparent, malowany odręcznie, głosi lapidarnie i z triumfem: „Polska: 10 lat. Węgry: 10 miesięcy. Niemcy Wschodnie: 10 tygodni. Czechosłowacja: 10 dni". W takim tempie, zdaniem autorów transparentu, miał upadać komunizm w krajach bloku wschodniego. Oczywiście było to uproszczenie – ale dobrze oddawało emocje, które zapanowały w Europie Środkowej tamtej jesieni, 30 lat temu.

Co z nich zostało? Jak dziś patrzy się na ówczesne wydarzenia, jak się je ocenia – na Węgrzech, w Czechach i na Słowacji, w byłych Niemczech Wschodnich. A także w Rumunii, gdzie rewolucja wybuchła wkrótce po zrobieniu tamtego zdjęcia i przebiegała wyjątkowo krwawo. Oraz: co dziś wiemy (a czego wciąż nie wiemy) o tym, jak władze Związku Sowieckiego – na czele z Michaiłem Gorbaczowem – patrzyły na wydarzenia w Warszawie, Berlinie i Pradze. Dlaczego np. nie interweniowały, gdy upadał mur berliński. O tym opowiemy za tydzień, w naszym specjalnym dodatku historycznym.

WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY: FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT; KONRAD ADENAUER STIFTUNG

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Tygodnik" z dodatkiem w kioskach od środy 6 listopada

# Ameryka i Izrael umacniają sojusz

INGA ROGG Z JEROZOLIMY

**Podczas wizyty w Izraelu Mike Pompeo zapewniał, że USA nie wycofują się z Bliskiego Wschodu. Priorytetem jest teraz powstrzymywanie Iranu.**

POOL / REUTERS / FORUM

*Mike Pompeo i Benjamin Netanjahu, Jerozolima, 18 października 2019 r.*

Jednym z celów, dla których żołnierze USA stacjonowali w Syrii, było przeszkadzanie Irańczykom. Konkretnie: niedopuszczenie do tego, by Iran wykorzystywał tereny pozostające pod kontrolą sojuszu kurdyjsko-arabskiego – było nie było, jedna trzecia kraju – do przerzutu uzbrojenia. Wprawdzie założenie to nigdy nie było zbyt realistyczne, ale teraz, po wycofaniu USA z północnej i północno-wschodniej Syrii, Amerykanom pozostaje tu już tylko jedna baza: niewielka, w Al-Tanf na południowym wschodzie kraju, bardzo blisko granicy z Irakiem i Jordanią.

### Szok i obawy

Nagła zmiana polityki Białego Domu wobec syryjskich Kurdów wywołała w wielu krajach Bliskiego Wschodu szok. Zwłaszcza w Izraelu i Arabii Saudyjskiej pojawiły się obawy, że Iran mógłby wykorzystać próżnię w północno-wschodniej Syrii, oraz że Waszyngton mógłby przestać być godnym zaufania sojusznikiem. Nic dziwnego, że kilkanaście dni po rozpoczęciu tureckiej ofensywy Mike Pompeo, sekretarz stanu USA, pospieszył do Izraela, by rozwiać obawy.

Pompeo i urzędujący premier Benjamin Netanjahu podkreślali po spotkaniu, że relacje obu krajów pozostaną ścisłe; Netanjahu zaznaczył, że rozmowa dotyczyła tego, jak wzmocnić jeszcze sojusz amerykańsko-izraelski. Los syryjskich Kurdów odgrywał przy tym dla obu polityków rolę marginalną. Wprawdzie Netanjahu krytykował ostro turecką inwazję i ostrzegał przed „czystkami etnicznymi" ze strony Turków i ich syryjskich sojuszników. Jednak tematem najważniejszym dla Pompeo i Netanjahu był Iran. Amerykanin zaznaczył, że rozmawiali o tym, jak przeciwstawić się irańskiemu zagrożeniu dla Izraela, regionu i świata, a także, jak zapewnić stabilność na Bliskim Wschodzie. Szczegółów nie podano.

### „Znaczące zobowiązania"

Bardziej rozmowny okazał się Pompeo w wywiadzie dla dziennika „Jerusalem Post". Podkreślił w nim znaczenie bazy w Al-Tanf, w której dotąd stacjonowało 150 żołnierzy. Choć niewielka, leży ona w miejscu strategicznym: przy drodze łączącej Bagdad i Damaszek. Co ciekawe, w niewielkiej odległości znajduje się baza szyickiej milicji sprzymierzonej z Iranem. Ma odgrywać centralną rolę dla irańskich dostaw uzbrojenia, w tym rakiet, których adresatem jest libański Hezbollah. W ostatnich miesiącach baza ta była wielokrotnie bombardowana, a przynajmniej po części ataki te szły na konto Izraela. „Wiemy, że przez tamten zakątek Iran próbował transportować do Syrii i Libanu systemy uzbrojenia, które stanowią zagrożenie dla Izraela" – mówił Pompeo w „Jerusalem Post", dodając, że Waszyngton będzie robić wszystko, by także w przyszłości móc identyfikować takie transporty i adekwatnie reagować.

Sekretarz stanu wskazał też na sankcje, jakimi Stany obłożyły Iran, i zapowiedź prezydenta Trumpa o wzmocnieniu sił USA w Arabii Saudyjskiej. Reagując na ataki, których celem były w połowie września saudyjskie instalacje naftowe, a których sprawstwo przypisuje się Iranowi, Waszyngton obiecał wysłać tam dodatkowych żołnierzy (w ten sposób kontyngent USA w królestwie Saudów miałby wzrosnąć do 3 tys. ludzi) i dwa systemy obrony antyrakietowej typu „Patriot". Pompeo sprecyzował teraz w „Jerusalem Post", że stanie się to w najbliższych tygodniach i dodał: „Podjęliśmy znaczące zobowiązania, aby stawić czoło zagrożeniu ze strony ajatollaha, jego kolegów-duchownych i kleptokratów".

Sądząc przynajmniej po zewnętrznych reakcjach nie wydaje się, by twardy kurs Trumpa wywarł dotąd specjalne wrażenie na irańskich przywódcach. Władze Iranu wysyłają sygnały, że są zdeterminowane, by wkrótce wypowiedzieć kolejne zobowiązania wynikające z umowy atomowej z 2015 r. Tym razem, jak słyszymy z Teheranu, Irańczycy zamierzają ograniczyć dostęp inspektorów ONZ do swoich instalacji atomowych. © Przełożył WP

**INGA ROGG** *jest reporterką szwajcarskiego dziennika „NZZ", specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu. Przez wiele lat pracowała w Bagdadzie i Stambule, obecnie mieszka w Jerozolimie.*

ASHLEE REZIN GARCIA / AP / EAST NEWS

*Senator Elizabeth Warren na pikiecie nauczycieli w Chicago, 22 października 2019 r.*

# Troje na podium i cała reszta

PIOTR TARCZYŃSKI

**Kto będzie rywalem Donalda Trumpa w 2020 r.? W cieniu sporu o impeachment prezydenta rywalizacja w Partii Demokratycznej nabiera tempa.**

Debata kandydatów ubiegających się o nominację prezydencką Partii Demokratycznej – już czwarta, przeprowadzona w połowie października – potwierdziła trend widoczny od pewnego czasu: Joe Biden stracił pozycję lidera w wyścigu na rzecz Elizabeth Warren.

W sondażach ogólnokrajowych były wiceprezydent wciąż nieznacznie prowadzi.

Ale już w stanach, które w prawyborach głosują jako pierwsze – Iowa i New Hampshire – największe poparcie ma senatorka z Massachusetts. Warren wyszła na prowadzenie za sprawą niespożytej energii i tytanicznej pracy, jaką wykonuje na kampanijnym szlaku: jeździ wszędzie, po wiecu każdy może sobie zrobić z nią selfie, co czasem trwa kilka godzin. Dzwoni do tysięcy ludzi, którzy wpłacili na jej kampanię drobne kwoty (pieniędzy od korporacji i bogatych darczyńców nie przyjmuje).

Do tego dochodzi jej słynne: „Mam plan, który tego dotyczy" – bez względu na to, o co by jej nie zapytano, od opieki zdrowotnej i długów studenckich, przez państwowy nadzór nad korporacjami, po problem wysokiej śmiertelności matek w połogu. Jako jedyna w tym wyścigu konsekwentnie rośnie w siłę, przyciągając do siebie ludzi z obu skrzydeł Partii Demokratycznej – zarówno dawny elektorat Hillary Clinton, jak i Berniego Sandersa.

### Kapitalistka do szpiku kości

Jak pisałem w lutym, Bernie Sanders pchnął Partię Demokratyczną zdecydowanie w lewo, ale tym samym stracił monopol na progresywizm. Dla części jego dawnych zwolenników Warren wydaje się lepszym wyborem. Ma podobny program, różniący się tylko w szczegółach, ale za to inny styl: mniej wygraża-

nia palcem i wezwań do rewolucji, więcej mówienia o kompromisie i jednoczeniu Amerykanów, a to zawsze robi dobre wrażenie.

Waren nie określa się jako socjalistka – tak robi Sanders – lecz zapewnia, że jest „kapitalistką do szpiku kości", obiecując przy tym równie radykalną zmianę paradygmatu gospodarczego: znacznie wyższe podatki dla najbogatszych i rozbicie monopolów korporacji, z Amazonem i Facebookiem na czele. Jak ujął to pewien były zwolennik Sandersa, obecnie popierający Warren: Bernie jest Mojżeszem, który doprowadził swój lud do Ziemi Obiecanej, ale sam już do niej nie wejdzie. Pytanie brzmi, czy Warren sprawdzi się w roli Jozuego?

Jednak w trakcie ostatniej debaty Warren potknęła się na swoim najsilniejszym dotąd atucie. Pytanie dotyczyło opieki zdrowotnej, czyli tradycyjnie już kwestii dla wyborców priorytetowej. Za sprawą Berniego „Medicare dla wszystkich" – czyli pomysł rozszerzenia Medicare (programu opieki zdrowotnej dla emerytów) na wszystkich obywateli – stał się propozycją mainstreamową, popieraną (w takiej czy innej postaci) przez większość kandydatów do partyjnej nominacji, w tym przez całe lewicowe skrzydło, a więc i Warren.

Zapytana teraz, z czego chce sfinansować ten kosztowny plan, Warren uciekła jednak w ogólniki: zapłacą najbogatsi i korporacje, a dla zwykłych Amerykanów spadną – tu kluczowe słowo – „koszta". Przyciskana przez kolejnych rywali, powtarzała „powiem to jasno", po czym lawirowała, unikając jasnej odpowiedzi.

To zrozumiałe, że obawiała się zdania „podatki wzrosną" – nie chciała, by Republikanie mogli atakować ją jako tę, która zapowiada podwyżkę podatków. Ale zaszkodziła swemu wizerunkowi – kandydatki, która wie, co robi, wszystko policzyła i opracowała. A także kandydatki, która mówi prawdę prosto w oczy.

### Bernie wrócił!

Z jednoznaczną odpowiedzią nie miał problemu Sanders: owszem, wzrosną podatki, bo wzrosnąć muszą, ale ponieważ nie trzeba będzie płacić bajońskim kwot prywatnym ubezpieczycielom, summa summarum Amerykanie wyjdą na plus.

Senator Bernie Sanders w ogóle wypadł zaskakująco dobrze, zwłaszcza że dwa tygodnie wcześniej wylądował w szpitalu z zawałem serca, więc oczekiwania wobec niego nie były zbyt wysokie.

Największy sukces odniósł jednak tuż po debacie: oficjalnie poparła go wschodząca gwiazda Partii Demokratycznej, Alexandria Ocasio-Cortez oraz dwie inne kongresmenki z lewicowego skrzydła partii, Rashida Tlaib i Ilhan Omar.

Wiec, na którym Ocasio-Cortez ogłosiła, że popiera Sandersa, odbył się pod hasłem „Bernie wrócił!" – i faktycznie, wsparcie nowych twarzy amerykańskiej lewicy, do tego kobiet, może okazać się zastrzykiem, który tchnie w kampanię Sandersa tak potrzebną energię i odwróci niekorzystny trend. Z kolei Warren już po debacie zapowiedziała, że niebawem przedstawi szczegółowy plan sfinansowania Medicare dla wszystkich.

Wbrew temu, co wydawało się rozstrzygnięte, walka o lewicowy elektorat wcale nie dobiegła końca.

### Byłem (tylko) wiceprezydentem!

O ile Sanders i Warren reprezentują lewe skrzydło Demokratów, to w centrum wciąż króluje Joe Biden. Ale słabnie w oczach: entuzjazm centrystów wobec jego kandydatury, od początku zresztą umiarkowany, wyczerpuje się, a wyborcy dostrzegają jego słabości, na które komentatorzy zwracali uwagę od początku.

Biden nie prezentuje nowej wizji kraju, poza „powrotem do przeszłości"; w gruncie rzeczy jego hasłem mogłoby być spokojnie Trumpowe „Uczyńmy Amerykę znowu wielką". Chętnie chwali się osiągnięciami administracji Obamy („Byłem wtedy wiceprezydentem!"), ale umywa ręce od jej błędów („Byłem wtedy tylko wiceprezydentem!"). Sprawia wrażenie, jakby polityka zagraniczna interesowała go bardziej niż wewnętrzna, ale w ten sposób nie wygrywa się w Stanach wyborów prezydenckich.

Choć cała trójka liderów jest po siedemdziesiątce, a poważne problemy zdrowotne miał ostatnio Sanders, to właśnie Biden musi mierzyć się z zarzutem, że jest za stary do roli prezydenta – głównie dlatego, że w debatach wypada kiepsko: wiecznie się myli, skacze z tematu na temat, gubi wątki.

Do tego dochodzi tzw. afera ukraińska, czyli wysiłki Trumpa i jego ludzi, by wymusić na prezydencie Wołodymyrze Zełenskim współpracę: w zamian za amerykańską pomoc wojskową miał znaleźć haki na Joego Bidena i jego syna. Afera szkodzi przede wszystkim Trumpowi, ale rykoszetem uderza też w byłego wiceprezydenta. Synowie Trumpa pomstujący teraz na nepotyzm to rzecz jasna hucpa, ale faktem jest, że kariera biznesowa Huntera Bidena na Ukrainie budziła wątpliwości także w administracji Obamy.

Choć nie ma dowodów, że wiceprezydent i jego syn złamali prawo, z wizerunkowego punktu widzenia nie wygląda to dobrze. Trochę jak z niesławnymi mailami Hillary Clinton: właśnie zakończyło się (po czterech latach!) wewnętrzne śledztwo Departamentu Stanu, które potwierdziło, że wprawdzie Clinton popełniła błąd, ale nie doszło do nadużyć czy złamania tajemnicy państwowej. Tymczasem Trumpowi, Republikanom ↦

POŻEGNANIE

Zapraszamy do udziału we Mszy św. za zmarłych

## Pracowników, Współpracowników i Przyjaciół „Tygodnika Powszechnego"

w poniedziałek, 4 listopada, o godz. 17
w bazylice św. Floriana w Krakowie (róg pl. Matejki i ul. Warszawskiej)

Zespół „Tygodnika Powszechnego"
i Fundacji Tygodnika Powszechnego

i mediom udało się z tego zrobić gigantyczną aferę, która wpłynęła na wybory w 2016 r.

Słabość Bidena odzwierciedlają jego fatalne wyniki finansowe: choć od miesięcy prowadzi w sondażach, zebrał na kampanię mniej niż Warren, Sanders, a nawet Pete Buttigieg – burmistrz 100-tysięcznego South Bend w Indianie, z drugiej ligi pretendentów do nominacji Demokratów. O ile coś się nie zmieni, to nawet jeśli Biden zdoła wygrać prawybory w tym czy innym stanie, poparcie dla niego będzie nadal spadać.

### Poza podium

Muszą tak również sądzić pozostali kandydaci, bo w debacie skupili się na Warren, a nie, jak dotychczas, na Bidenie. Atakując liderkę wyścigu, chcieli zaprezentować się w roli centrowej alternatywy dla rozczarowanych zwolenników wiceprezydenta.

W debacie dobrze wypadła senatorka Amy Klobuchar, ale jeszcze lepiej „burmistrz Pete" – Buttigieg, numer cztery w sondażach, który bezwzględnie punktował ogólniki Warren. Inicjatywy nie zdołała odzyskać Kamala Harris, charyzmatyczna senatorka z Kalifornii, która po drugiej debacie przebojem wdarła się do pierwszej ligi, zrównując się w sondażach z Sandersem i Warren. Okazało się jednak, że był to sukces chwilowy.

Jej problem – ale i wciąż szansa – leży w tym, że ideologicznie lawiruje między skrzydłem progresywnym (Warren i Bernie) a umiarkowanym (Biden, Buttigieg, Klobuchar). Z jednej strony brak jasnych odpowiedzi i raptowne zmienianie zdania w jakiejś kwestii ewidentnie jej nie pomagają. Z drugiej, jest chyba jedyną kandydatką, która może jeszcze zawalczyć o elektorat każdego z wielkiej trójki.

Harris sprawia jednak wrażenie, jakby już pogodziła się z tym, że wróciła do drugiego szeregu i walczy co najwyżej o wiceprezydenturę – razem z takimi kandydatami jak Cory Booker czy Beto O'Rourke. Tutaj jej szanse wyglądają lepiej: i dla Bidena, i dla Sandersa młodsza czarna kobieta byłaby idealnym uzupełnieniem. Brzmi to może bezosobowo i technicznie, ale tak to często wygląda. Nie bez powodu w 2008 r. John McCain wybrał dużo młodszą Sarę Palin, a Barack Obama starszego i białego Bidena.

Wątpliwe jednak, by w wyścigu o nominację Demokratów doszło do zasadniczych przetasowań. Na podium jest troje liderów i do prawyborów już się to raczej nie zmieni, co najwyżej zamienią się miejscami.

> Choć kilkoro kandydatów już się wycofało, oficjalnie wciąż jest ich prawie dwudziestka. **A do rozpoczęcia prawyborów zostały ledwo trzy miesiące.**

Choć kilkoro kandydatów już się wycofało, oficjalnie wciąż jest ich prawie dwudziestka – więcej niż Republikanów przed czterema laty, kiedy wydawało się, że to rekord nie do pobicia. Cóż, różne rzeczy wydawały się wtedy niewyobrażalne. Tak czy owak, ostatnio na scenie stanęło dwanaścioro z nich, ale do pierwszych prawyborów zostały raptem trzy miesiące, czas więc skracać tę listę.

Szefostwo Partii Demokratycznej – wychodząc z założenia, że kandydaci mieli dość czasu na przekonanie wyborców – celowo wraz z każdą kolejną debatą podwyższa kryteria, które trzeba spełnić, by wziąć w niej udział.

A że nieobecność w debacie właściwie przekreśla szanse, jest to skuteczna metoda odsiewania prawdziwych kandydatów od tych, którzy startują, żeby zdobyć rozpoznawalność (jak specjalistka od leczenia kryształami, Marianne Williamson) lub ze zwykłej próżności (jak miliarder Tom Steyer, który startuje, bo po prostu go na to stać) albo popełnili ewidentny falstart (Beto O'Rourke).

### W cieniu impeachmentu

Mimo różnic programowych kandydatów Demokratów w gruncie rzeczy więcej łączy niż dzieli – na czele z przekonaniem, że Donald Trump w Białym Domu jest katastrofą, którą należy za wszelką cenę powstrzymać.

Ścigają się więc w zapewnieniach, że mają największe szanse na pokonanie Trumpa w listopadzie 2020 r. i pokazują mające o tym świadczyć badania opinii publicznej – choć na rok przed wyborami wszystkie takie sondaże są niewiele warte.

Paradoks polega na tym, że wszyscy zachowują się tak, jakby kandydatem Republikanów miał być Trump, ale zarazem wszyscy popierają jego wcześniejsze usunięcie z urzędu.

Wcześniej, po upublicznieniu raportu Muellera – o rosyjskiej ingerencji w wybory 2016 r. – do impeachmentu prezydenta wzywały tylko Warren i Harris. Teraz, odkąd na jaw wyszła afera z naciskami na Ukrainę i poparcie opinii publicznej dla usunięcia Trumpa zaczęło rosnąć, także pozostali kandydaci, dotychczas nastawieni wobec tego pomysłu sceptycznie, zmienili zdanie.

Wsparcie dla impeachmentu jest dziś deklaracją ideologiczną, dowodem na wsłuchiwanie się w głos demokratycznego elektoratu, który aż w 85 proc. popiera decyzję demokratycznej większości w Izbie Reprezentantów. Równocześnie jednak wszyscy zdają sobie sprawę, że szanse na usunięcie Trumpa są wciąż niewielkie.

Choć w republikańskim murze broniącym prezydenta pojawiają się pęknięcia (a Trump w najlepsze dolewa oliwy do ognia), na razie jest bezpieczny – gdyby głosowanie w Senacie miało odbyć się teraz, zostałby uniewinniony.

Do stycznia przyszłego roku, gdy najpewniej dojdzie do takiego głosowania, sytuacja może się jeszcze zmienić, ale dziś jest niemal pewne, że prawdziwą walkę z Trumpem przyjdzie stoczyć w listopadzie. I choć progresiści zżymają się na „strasznego dziadunia" Bidena, zaś centryści uważają, że socjalista Sanders nie ma szans, a Warren zbytnio antagonizuje Wall Street i Dolinę Krzemową, to wszyscy wiedzą, że ktokolwiek zostanie w lipcu 2020 r. kandydatem Demokratów, musi otrzymać bezwarunkowe wsparcie całej partii.

W końcu, jak powiedziała w trakcie jednej z debat Elizabeth Warren: „Każdy z nas na tej scenie byłby lepszym prezydentem niż Donald Trump".

© PIOTR TARCZYŃSKI

Możesz zdecydować o losach naszego świata. Przyszłość dzieje się teraz!

Halo, tu Ziemia. Weź, czytaj, to do Ciebie!

PREMIERA!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydanie specjalne JUŻ W SPRZEDAŻY
w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/ziemia

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

ROZMOWA

# WIZYTÓWKA ŻYCIA

ALEKSANDER B. SKOTNICKI, HEMATOLOG:

Jeśli z 50 członków jednej rodziny przeżyło pięciu, a pozostali zginęli w strasznych okolicznościach, to trzeba dotrzeć do ich imion i nazwisk. Zachować ich tożsamość.

**KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kiedy Pan zrozumiał, że jest istotą śmiertelną?**

**ALEKSANDER B. SKOTNICKI:** Nie myślałem o śmierci nawet gdy zapadłem na chorobę Heinego-Medina, miałem cztery lata i leczono mnie metodą owijania całego ciała w szorstkie, mokre koce.

Potem w wypadku zginął mój kolega z podstawówki, a na pogrzebie płaczący rodzice rozdali nam jego zdjęcia, byśmy pamiętali. Tyle że jego nagłe odejście nie wynikało z choroby czy śmierci zadanej przez złych ludzi.

**A śmierci w Pana rodzinie? Podczas okupacji Pana mama straciła matkę, pierwszego męża i dziecko w trzecim tygodniu życia.**

Ale to były relacje zapośredniczone. Babcia zginęła z rąk nazistów, dziadka w 1917 r. zabili bolszewicy. Po prostu nie żyli, nie miałem ich. Natomiast widziałem, jak cierpiała moja mama, która nigdy nie mogła pójść na grób swojej.

**Pana babcia, Anna Sokołowska, nauczycielka w Nowym Sączu, podczas okupacji ukrywała swoich byłych żydowskich uczniów, niosła też pomoc do getta ich rodzinom. I została aresztowana przez gestapo.**

Najpierw trafiła na kilka miesięcy do krakowskiego więzienia przy ul. Montelupich, potem została wywieziona do Ravensbrück. To był straszny obóz, niektórzy twierdzą, że gorszy od Auschwitz. Zamordowano ją tam zastrzykiem z fenolu w lutym 1945 r. Miała 67 lat.

**„Jesteś już sierotą" – tak powiedzieli Pana mamie wracający z obozu.**

Dla mamy to był ogromny cios.

Umarła u mnie w klinice, na hematologii. Miała 85 lat. Na odprawie dziękowałem swoim asystentom i pielęgniarkom za to, że się tak wspaniale nią zajmowali. Umarła w ładnej separatce z łazienką, zaopiekowana. W godnych warunkach, w przeciwieństwie do własnej matki.

---

**PROF. ALEKSANDER B. SKOTNICKI** (ur. 1948) jest hematologiem, transplantologiem, twórcą i długoletnim ordynatorem Kliniki Hematologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Społecznik, badacz losów i przyjaciel ocalałych z Holokaustu. Niedawno ukazał się wywiad rzeka z profesorem, pt. „Arka. Opowieść o życiu i przetrwaniu".

GRAŻYNA MAKARA

**Mimo że od tych śmierci upłynęło tyle lat, są nie do objęcia rozumem.**

Wtedy przyszło głębokie wzruszenie, że przynajmniej moja mama, trochę też dzięki mnie, mogła godnie umierać.

Bo mama ogromnie przeżywała, że jej matka – która była intelektualistką, mówiła czterema językami, skończyła filozofię i rolnictwo na UJ w 1905 r., obracała się w świecie arystokracji – w obozie została strasznie sponiewierana. A mimo to podnosiła na duchu innych, na wycieńczających apelach recytowała poezję Norwida, Słowackiego, Mickiewicza, którą znała świetnie, bo doprowadziła do matury 10 roczników... W obozie odarto ją z ubrania, z nazwiska, ale tego, co miała w sobie, nikt jej nie mógł odebrać.

W Ravensbrück babcia uczyła współwięźniów niemieckiego i francuskiego, uważała, że tym, którzy przeżyją, słówka w obcym języku będą jeszcze potrzebne.

Nie miała grobu. Co roku 1 listopada z mamą paliliśmy świeczkę na grobie Ravensbruczanek, który jest na cmentarzu Rakowickim niedaleko głównej alei.

**W 1989 r., po blisko 45 latach, w Jerozolimie odbył się symboliczny pogrzeb Anny Sokołowskiej.**

Babcia została odznaczona medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Mama pojechała ze mną do Izraela przy okazji Kongresu Hematologicznego. To wtedy, w Yad Vashem, zasadziliśmy sosenkę. Sądziliśmy, że w tych warunkach klimatycznych – na suchej, kamienistej ziemi – uschnie. Ale gdy wróciłem tam po 15 latach, zobaczyłem piękne pięciometrowe drzewo z tabliczką „Anna Sokołowska, Poland". Ono jest teraz jedynym trwałym śladem istnienia tej dzielnej kresowej kobiety z Żytomierza, poza kilkoma zdjęciami i rzeczami do niej należącymi. Jak srebrna cukiernica, którą mamie już po wojnie udało się wynieść z płonącego domu koło Sanoka, podpalonego przez banderowców zimą 1945 r.

**Mama chętnie opowiadała o babci?**

Mówiła, że jestem charakterologicznie podobny do niej: że mam pasję i pewien napęd, którego ona sama miała mniej, bo chorowała jako dziecko na rozległą gruźlicę kości, a po szkarlatynie całe życie zmagała się z niedosłuchem.

**Przecież Pana mama była społecznikiem! Alina Skotnicka, z wykształcenia psycholog, prowadziła przez 20 lat telefon zaufania w Krakowie.**

Organizowała też klub samotnych „Amicus", kojarzyła ludzi zgodnie z ich zainteresowaniami, była sekretarzem naukowym Towarzystwa Higieny Psychicznej w Polskiej Akademii Nauk.

Natomiast nie było w niej pasji naukowej, nie obroniła gotowego już doktoratu. A pracę magisterską pisała u prof. Stefana Szumana w Katedrze Psychologii Pedagogicznej UJ – pt. „Dziennik Alka". Szumanowi chodziło o to, by opisała, jakie słowa syn przynosi z przedszkola. Moje wieczorne relacje z minionego dnia stały się treścią pracy magisterskiej mamy.

**Powinien Pan to przeczytać!**

Najpierw muszę tę pracę wydobyć z archiwum UJ.

Jaka jeszcze była mama? Pogodna i ciepła – ludzie do niej lgnęli. Gdy leżała w klinice, miała świetny kontakt z pielęgniarkami. Zachowałem jej notesik, gdzie wpisywały imiona i telefony. Jako psycholog doradzała im w sprawach osobistych. Obiecywała, że jak wyjdzie ze szpitala, to będzie zawsze do ich dyspozycji.

W ogóle mama swoją postawą pokazywała, że pacjent może wpływać na atmosferę w szpitalu. Bo istnieją pacjenci mili w obejściu, ale są też osoby zawsze niezadowolone i krytyczne, omal winiące lekarza o swoją chorobę, o to, że nikt ich nie odwiedza, że leczenie nie idzie zgodnie z planem. Uważam, że budowanie relacji lekarz-pacjent powinno odbywać się na zasadzie obustronnego zaufania.

**Mama wiedziała, że odchodzi?**

Chyba tak, była mądrym, doświadczonym człowiekiem.

Zrobiłem wszystko, by nie cierpiała. I byłem przy niej.

**Gdy matka odchodzi, odchodzi też trochę z nią dziecko?**

Odchodzi. Tym bardziej że mama była moim przyjacielem, o wszystkim można było z nią porozmawiać. No i odchodząc bezpowrotnie zabrała ze sobą część swojej młodości, którą tylko ona pamiętała. Już nie zapytam jej o czasy przedwojenne, które mnie fascynują. Przekazywała nam wiedzę o drugim człowieku – o jego wielkości i słabościach. Na starość regularnie odwiedzała swoją koleżankę, która straciła wzrok. Czytała jej książki i gazety. ↦

↦ Z mamy strony to był naturalny gest życzliwości, nie poświęcenie.

**Czy fakt, że Pana babcia ratowała Żydów, spowodował, że po latach szukał Pan ludzi uratowanych przez Oskara Schindlera?**

Nie traktuję tego jako powinności wynikającej z tego, że babcia jest Sprawiedliwym, a mój szef – prof. Julian Aleksandrowicz – był żydowskiego pochodzenia i podczas okupacji kierował szpitalem w getcie.

Dla mnie to była przygoda naukowa. Kiedy 25 lat temu dowiedziałem się, że w Krakowie mieszkają dwie starsze panie, które jako nastolatki zostały uratowane przez Schindlera, chciałem dotrzeć do innych, jeszcze żyjących ze słynnej Listy Schindlera. Dotarłem do 50 osób mieszkających wówczas na całym świecie.

Romana Goldbergera-Leśniaka odwiedziłem dwa tygodnie temu w Montrealu. Przez trzy lata próbowałem się do niego dodzwonić. Wreszcie mi się udało, teraz ma 96 lat. Powiedziałem mu, że będę niedługo w Toronto u mojego starszego brata, od 50 lat mieszkającego w Kanadzie, a on na to: „Proszę przylecieć choć na jeden dzień do Montrealu. Przyjadę po pana na lotnisko. I był, czekał, w świetnej formie. Zjedliśmy lunch, dałem mu namiary na innych Schindlerowców. Zadzwonił do Nachuma Monderera-Manora, mieszkającego obecnie w Beer Szewie w Izraelu, który został uratowany przez Schindlera razem ze swoją przyszłą żoną Genią. Usłyszeli się po 50 latach.

Albo: jestem kiedyś w Tel Awiwie, wieczorem do restauracji hotelowej przychodzi na moje zaproszenie dwudziestu Schindlerowców, od ponad pół wieku mieszkających w Izraelu, wszyscy mówią po polsku. Ryszard Löw, urodzony w Krakowie literat, który opracowuje bibliografię polskich pisarzy w Izraelu, mówi do Lusi Bosak-Schwarz: „A pani dawno w kraju?”. „Od 70 lat”. „Bardzo miło mi poznać”.

**No dobrze, ale dlaczego Pan to robi?**

Odnajdywanie ludzi, których łączy wspólna historia, jest fascynujące. Dzielą się ze mną wspomnieniami, zdjęciami i dokumentami. Uważam za swój obowiązek opisać ich historie, tak bardzo krakowskie i tak bardzo tragiczne, aby zachowały się w pamięci naszego miasta. Jeśli z 50 członków jednej rodziny przeżyło pięciu, a pozostali zginęli w strasznych okolicznościach, to trzeba dotrzeć do ich imion, nazwisk, by zachować ich tożsamość i ustalić miejsce, gdzie zginęli. Historia powinna być spersonalizowana – z perspektywy jednego człowieka możemy poznać całe środowisko. Dzięki tym ludziom poznaję przedwojenny Kraków i wiem, że żydowskie matki kupowały ryby na targu pod synagogą Izaaka.

> Nawet gdy mam młodych pacjentów, muszę im powiedzieć, że **zawsze istnieje ryzyko**. Politycy mogą kłamać, że kraj nie jest w ruinie, ale ja, hematolog, muszę być uczciwy i mówić prawdę.

**Kluczowa jest postać Oskara Schindlera, niemieckiego przedsiębiorcy, który w krakowskiej fabryce Emalia zatrudniał przeszło tysiąc żydowskich robotników.**

W 1944 r., kiedy obóz w Płaszowie był likwidowany, udało mu się ewakuować ich do fabryki w Brünnlitz na Morawach. W maju 1945 r. Brünnlitz wyzwolono.

**Pan o Schindlerze napisał książkę.**

Chciałem, by opowiedzieli o nim uratowani Żydzi.

Ważne jest to, dlaczego tylu ludziom pomógł, ale jeszcze ważniejsze, dlaczego ocalali okazują mu po tylu latach wdzięczność. Przecież nie musieliby tego robić, Schindler umarł w 1974 r. A oni powtarzają, że nadal sprawuje nad nimi pieczę i chodzą na jego grób w Jerozolimie, bo tam właśnie chciał być pochowany.

Ponieważ Schindler był w Polsce krytykowany, a film Spielberga został przez niektórych dziennikarzy uznany za hollywoodzką produkcję mijającą się z historyczną prawdą, poczułem się w obowiązku stanąć nie tyle w obronie Schindlera, bo on się sam broni, co w obronie ludzi, którzy zawdzięczają mu życie i którzy chcą, by po nim została dobra pamięć. Jestem od nich młodszy o 20 lat, mam więcej niż oni energii. I może to też jest część odpowiedzi na pani pytanie, dlaczego ja to wszystko robię.

Jasne: o Schindlerze można powiedzieć, że był alkoholikiem, kobieciarzem i łapówkarzem. Tak, dawał łapówki, by ratować ludzi. Natomiast tylko ocaleni przez niego ludzie mają moralne prawo mówić, jakim był człowiekiem.

**Schindler pokazał, że w tych strasznych czasach można było pozostać człowiekiem.**

Powiem więcej: w moich oczach wszyscy Sprawiedliwi są większymi bohaterami niż żołnierze AK, którzy mieli broń, dowódców, organizację, nawet żołd z Londynu. Sprawiedliwi nie mieli nikogo, zagrożeni przez Niemców, złych sąsiadów, nawet przez członków swoich rodzin, których przecież też narażali.

**Jako onkolog wie Pan, jaka to odpowiedzialność: ocalać ludzkie życie.**

Przez 45 lat starałem się ratować naszych pacjentów zagrożonych białaczką, chłoniakiem czy szpiczakiem. Początkowo większość chorych umierała nam po paru miesiącach lub kilku latach. W ciągu ostatnich 20 lat w wyremontowanej klinice przeprowadziliśmy 1400 przeszczepów szpiku. Co roku organizujemy spotkania chorych po przeszczepie, przyjeżdża 200-300 osób, w tym nasi pacjenci sprzed dwóch dziesięcioleci.

Niektórzy koledzy hematolodzy z Ameryki na drugiej stronie wizytówki umieszczają zdjęcie grupowe chorych po przeszczepie – to wizytówka ich życia.

**Pan takiego zdjęcia nie ma.**

Ech, mnie takie rzeczy nie są potrzebne... Ale proszę spojrzeć: tu, w moim gabinecie, wisi zdjęcie wyleczonych.

Jak pamiętam pierwszy przeczep? Jest rok 1997, najpierw my, lekarze, uczymy się na samych sobie pobierać komórki macierzyste, zamrażać i rozmrażać. Zdobywamy pieniądze na aparaturę cytometrii przepływowej i separator komórkowy, w 140-letnim budynku urządzamy nowe przestrzenie. Dzisiaj w naszej klinice przeszczep to standardowa forma leczenia, czasami robimy go dwa razy w tygodniu. Istnieje możliwość wyleczenia 50-70 proc. chorych. Kiedyś – 10 proc.

**To postęp.**

Ogromny. Ale nawet gdy mam młodych pacjentów, muszę im powiedzieć, że zawsze istnieje ryzyko. Nie jesteśmy ani lepsi, ani gorsi od statystyki ogólno-

ARCHIWUM RODZINNE ALEKSANDRA B. SKOTNICKIEGO

*Prof. Aleksander B. Skotnicki, Alina Skotnicka, oraz Stanisław Russocki (starszy brat profesora) z synem w Yad Vashem przy drzewku upamiętniającym Annę Sokołowską, Jerozolima, 1989 r.*

światowej, zawsze istnieje możliwość wystąpienia powikłań lub nawrotu choroby.

**Naprawdę Pan to mówi?**

Mówię. Politycy mogą kłamać, że kraj nie jest w ruinie, ale ja, hematolog, muszę być skromny, uczciwy i mówić prawdę – w przeciwnym razie mogę mieć proces.

**A Pan gotowy jest usłyszeć, że jutro może umrzeć?**

Mam świadomość swojej ułomności fizycznej, bo jestem po dwu operacjach bioder, a kilka chorób w sobie noszę. Nie żyję też tak zdrowo, jak powinienem – nie trzymam specjalnej diety, nie chodzę codziennie na basen i na długie spacery, nie mam na to czasu, bo kolejna książka, artykuł, korekta, wykład, pacjenci. Ale przynajmniej nie palę papierosów i krytykuję tych, co palą.

Mam jeszcze wiele rzeczy do zrobienia, to mój życiowy napęd, a poza tym gimnastyka mózgu.

**Kiedy mój ojciec ciężko chorował, rozmawiałam o metodach jego leczenia ze wspaniałymi lekarzami – profesorami Andrzejem Szczeklikiem i Krzysztofem Krzemienieckim. Byli oddani sprawie, fachowi i życzliwi, a ja i tak w duchu myślałam: „Co wy możecie zrozumieć, jesteście po drugiej stronie – po stronie życia". No i najpierw zmarł tata, kilka miesięcy po nim Szczeklik, a potem Krzemieniecki.**

A ja pani opowiem o lekcji, jaką udzielili mi 30 lat temu rodzice 18-letniej Dorotki chorej na białaczkę, o której wspominam w książce „Arka. Opowieść o życiu i przetrwaniu". Leczenie nie przyniosło skutku, siedziałem przy jej łóżku, walczyłem o tę dziewczynę do upadłego. W końcu jej rodzice powiedzieli: „Proszę pozwolić jej odejść...".

**Uh.**

Matka tej dziewczynki niedawno zachorowała. Teraz w naszej klinice mogliśmy jej skutecznie pomóc. Ponownie nam zaufała i nie zawiodła się.

I jeszcze jedna lekcja: 30 lat temu wysłaliśmy na przeszczep szpiku do Paryża naszą studentkę. Krakowianie mieszkający w Paryżu pomogli jej bardzo po przeszczepie, zatroszczyli się, by miała tam dobre warunki. Wmurowałem nawet tabliczkę w przedsionku kliniki z podziękowaniem dla nich. A teraz pani, która wtedy w Paryżu pomagała tej studentce, zachorowała na „naszą chorobę".

**„Nasza choroba"...**

Tak właśnie mówimy o chorobach krwi. Udało się uzyskać remisję choroby i wkrótce będzie mieć przeszczep szpiku. Powiedziałem do niej: „Pani wtedy pomogła naszej pacjentce, teraz my panią wyleczymy". To rzeczy niezbadane, ale jedno w tym jest pewne: dobro wraca.

**Gdy to mówi lekarz z 45-letnim doświadczeniem, to rzeczywiście można uwierzyć, że wraca.**

Dla lekarza to ogromna satysfakcja, kiedy uda mu się odwrócić niekorzystny bieg zdarzeń – przedłużyć życie, a nawet je uratować. I jeszcze stworzyć warunki, by to mogło się udać. Klinika powinna oddziaływać z każdej strony: portier ma być przyzwoicie ubrany, pielęgniarki miłe i oddane, a wśród personelu musi być psycholog, dietetyczka i rehabilitant. Mają być drugie śniadania, a wszystko po to, by chory czuł się omalże jak w domu.

Wiszą u nas pięknie oprawione reprodukcje obrazów Moneta, Maneta, Renoira, van Gogha. Czasem pacjenci mówią mi, że kupili sobie „Historię sztuki", by dowiedzieć się więcej o tych twórcach. To nauka Juliana Aleksandrowicza: nic, co może wpłynąć na zdrowie mojego pacjenta, nie będzie mi obojętne.

**Na koniec proszę puścić wodze wyobraźni i zobaczyć siebie za 10 lat.**

Jeżeli będę żył, będę się cieszył emeryturą. Teraz czuję ulgę, gdy nie mam rano wykładu, wreszcie mogę się wyspać do dziewiątej. A przez 25 lat kierowania kliniką o ósmej rano zaczynałem odprawę, wszyscy asystenci mogli się spóźniać, a ja musiałem być, bo jak ja się spóźniłem, to 20 osób traciło czas.

Za 10 lat, jeśli będę sprawny intelektualnie, na pewno będę codziennie nad czymś pracował. *Nulla dies sine linea* – nie ma dnia bez linijki, np. lektury angielskiego czasopisma naukowego o najnowszych metodach leczenia białaczki.

Na razie organizuję w Klezmer Hois na Kazimierzu z okazji 25. rocznicy premiery „Listy Schindlera" w Krakowie spotkanie Schindlerowców z polskimi aktorami grającymi w tym filmie, m.in. z Beatą Rybotycką i Martą Bizoń. Będzie uroczysty obiad i każdy opowie, czym dla niego był występ w filmie Spielberga. Przyjedzie też z Paryża Agnieszka Makuszewska, która jako mała dziewczynka grała rolę Niusi Horowitz. Będzie też sama Niusia, czyli Bronisława Horowitz-Karakulska, siostra Ryszarda Horowitza.

Zanim Niusia z matką trafiły do fabryki Schindlera na Morawach, przez trzy tygodnie przebywały w Auschwitz. W tym czasie Niusię dwukrotnie skierowano do gazu. Najpierw wyratowała ją mama: przekupiła strażniczkę brylantem, który połknęła jeszcze w getcie, a potem wydaliła. Za drugim razem, w czasie selekcji, ciocia Niusi wepchnęła ją do miedzianego, oczyszczonego z popiołu pieca, skąd została wyciągnięta po trzech godzinach, kiedy w komorze obok skończyło się gazowanie więźniów. Teraz Niusia prawdziwa i Niusia filmowa się spotkają.

Mam poczucie, jakby uratowani od białaczki i uratowani z Holokaustu stali się moją dużą rodziną.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

ANDRZEJ

# Stasiuk:
## *Samara*

Nie wiem, dlaczego zapamiętałem akurat ten widok. Może dlatego, że oglądałem go przynajmniej sześć razy, jadąc z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód. Drogą od Saratowa, lewym brzegiem Wołgi, przez miejscowości Engels i Marks. Engels z jakiegoś powodu jest większy. W każdym razie potem jest Samara i ten widok, którego nie mogę zapomnieć.

Miasto omija się obwodnicą i ze wzniesień widać ją samą oraz Żiguliewsk, Nowokujbyszewsk, a chyba nawet Togliatti, gdy jest dobra pogoda. To znaczy nie same miasta, tylko rozciągniętą na dziesiątki kilometrów przemysłową zonę. Jakby ktoś na horyzoncie rozwinął gigantyczną panoramę z tysiącami kominów, zbiorników, wież rektyfikacyjnych, wielkich metalowych sześcianów, pordzewiałych urwisk i żelaznych wzgórz. I wstęgi dymów wleczone przez wiatr. Poziome, rozciągnięte, kryjące krajobraz jak industrialne chmury. Wyobrażałem sobie, że cała ta maszyneria, ten monstrualny twór wysysa wnętrze ziemi. Wyrywa, wydobywa, wypompowuje pierwiastki i związki, wyrzuca je na powierzchnię pozostawiając tam, w głębi, opustoszałą otchłań. Jeszcze niedawno w imię zwycięstwa planetarnej, a może i kosmicznej utopii. Teraz już tylko w imię naszej chciwości.

Dlatego ta Samara. Bo tutaj niegdysiejsza żądza władzy nad światem i kosmosem tak płynnie splotła się z żądzą posiadania. I dlatego, że tak dobrze widać to z szosy wspinającej się na stepowe wzniesienia. W kraju, który jest słaby i wynędzniały. Z tymi spłachetkami kartofli, eternitem, płotami z patyków ciągnącymi się przez dziewięć stref czasowych. W kraju, który tak spragniony był bogactwa, dostatku, wszystkich tych pierwiastków i związków przetworzonych w upragnione rzeczy. W tym pragnieniu nie różnił się zresztą od innych. Od Chin, Afryki i Kirgistanu. Niczym nie różnił się od nas. Tyle że za Czapajewskiem widziałem to wyraźniej. Można rzec, że za Czapajewskiem miałem wizję. Że opróżnimy wnętrze Ziemi. Wydrążymy ją. Nazywam to chciwością, ale po prostu nie potrafimy inaczej. Niezależnie od tego, czy jesteśmy biedni, czy bogaci.

Oddajemy się pożądaniu, nawet tego nie zauważając. Powinno grzebać się nas jak dawnych władców Wschodu: na stosach rzeczy, które żuliśmy przez całe życie. Na tych wszystkich pralkach, samochodach, meblach, ubraniach i smartfonach. Układać nas nagich na wierzchu i podpalać to wszystko, żeby cienki dym z naszego mięsa mieszał się z wyziewami gumy, polimerów, plastiku, kartonu czy lakierowanego drewna i ścielił się nisko przy ziemi, i żebyśmy się nim dusili, żeby wiedzieć, jak to jest naprawdę. Każdy na swoim stosie, na gorącym ogniu, który strawi i kości, i metal. Może wtedy byśmy coś zrozumieli.

Nędzarze dymiliby najmniej. Trochę szmat, trochę patyków, niebieskie jednorazowe klapki, plastikowa butelka na wodę, koc, jakieś naczynia. Powinniśmy być im wdzięczni, że zostawiają tyle miejsca dla nas. Dla naszych odpadków, wyziewów i resztek. Powinniśmy o nich dbać, hodować ich, by żyli tym dłużej, im mniej będą zużywali. Żeby zostali w swoich szałasach i nigdy się nie wzbogacili. Skoro my zaczynamy oszczędzać świat, zamieniając plastikowe słomki do napojów na papierowe albo słomiane, to oni też powinni. Oczywiście ciężkawo ironizuję za tym Czapajewskiem, gdy szosa wspina się i opada prostą wstęgą. Samara, Togliatti i Nowokujbyszewsk rozsnuwają za Wołgą swoje czarne i białe dymy, jakby dawały znaki nadciągającej apokalipsie. W tym krajobrazie, który pamięta jeszcze tę poprzednią, w której wyklęty lud Ziemi został wystrychnięty na dudka i zamiast bezklasowej równości dostał spłachetki kartofli i szary eternit od Zatoki Fińskiej po Ocean Spokojny. W każdym razie ta jego część, która w ogóle przeżyła. Na pocieszenie można wspomnieć, że przynajmniej większość dostąpiła równości w ubóstwie. Że sprawiedliwie rozdzielono resztki ze stołu rewo-

lucji. Można się zresztą spierać, czy było to ubóstwo, czy pewien rodzaj skromności. Kataklizm, który przyzywały czy też zwiastowały samarskie pióropusze dymu, miał być innego rodzaju.

W porównaniu do tych, którzy mają niebieskie klapki, butelkę na wodę i plastikową płachtę, jesteśmy obelżywie bogaci. Żyjemy w obleśnym dostatku i bezpieczeństwie, gdy inni każdego dnia wyglądają zagłady. Wojny, rzezi, wygnania i głodowej śmierci. Każdego świtu wypatrują Czterech Jeźdźców. Na pocieszenie wysyłamy im elektroniczne obrazy naszej sytości. Każdego dnia mogą oglądać, jak się bawimy, parzymy, tarzamy, przebieramy w dobrach i zdychamy z przejedzenia. Czasami wsiadamy do wielkich samolotów i lecimy odpocząć wśród biedaków, zostawiając im śmieci i napiwki. A potem ogłaszamy, że nadszedł czas oszczędności. I wzruszają nas nastolatki zatroskane o los planety. Tymczasem to tylko strach, że może nam nie wystarczyć do końca naszych dni całego tego barwnego śmiecia, którym się otaczamy i bez którego już nie potrafimy sobie wyobrazić życia.

To tylko lęk, że przyjdą biedni i nam zabiorą. Każdy ma swoją apokalipsę. Że któregoś dnia staną u naszych bram, że nadejdą z tych wyschniętych, ogołoconych ze wszystkiego ziem i będziemy musieli ich zabijać, żeby się nie wdarli. Czego oczywiście chcielibyśmy uniknąć. Na razie zabijają się między sobą i to może przynieść nam chwilową, cichą ulgę. Ale w końcu przyjdą. Nie są głupi. Doskonale wiedzą, że opowieść o tym, że nadszedł czas umiaru, dotyczy tego, że ma starczyć dla nas na jak najdłużej, a ich to nie dotyczy. Tak, mówimy nędzarzom, że nadszedł czas oszczędności i umiaru. Mówimy głodnym: *sorry*, to sprawa klimatu. Musicie zacisnąć pasa i brać przykład z nas. Jak się troszczymy i oszczędzamy. Przykro nam, ale się nie załapiecie na to wszystko, co wam pokazujemy w telewizorach i smartfonach. Może to był w ogóle błąd, że wam w ogóle pokazywaliśmy. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Przesadziliśmy z tą globalną wioską. Powinniśmy tradycyjnie płacić wam strzelbami, alkoholem i konserwami, a nie zaawansowaną technologią. Gdy się za cały majątek ma klapki i lepiankę z gliny, sieć i smartfon to nieodpowiedzialny podarunek.

**Powinno grzebać się nas jak dawnych władców Wschodu:** na stosach rzeczy, które żuliśmy przez całe życie. Na tych wszystkich pralkach, samochodach, meblach, ubraniach i smartfonach.

Takie myśli mam, ilekroć przejeżdżam nieopodal Samary i Nowokujbyszewska. Przez Czapajewsk, w którym nie ma nic z apokalipsy. Są na pewno straszniejsze miejsca na świecie. Sam parę widziałem. Ale dalej na wschód zaczynała się Baszkiria. Łagodne, zielone wzgórza. Przychylny, piękny krajobraz, w którym chciałoby się zostać na dłużej i po prostu patrzeć. Tyle tylko że upstrzony czarnymi żurawiami pompowymi, czyli kiwonami. Bezgłośnie i monotonnie ciągnęły ropę z wnętrza sielskiego pejzażu. Spod tej pofalowanej zieleni ssały czarny petrol, pozostawiając w głębi ziemi śmierdzącą pustkę. Miejsce w sam raz dla diabła i jego piekieł, jeśli ktoś w nie jeszcze wierzy. Wyobrażałem sobie, jak pustka się powiększa, jak z wolna wypełnia wnętrze globu, w miarę jak rośnie nasza zachłanność. Znikają rudy, pierwiastki, minerały i wody. Żeby skorupa się nie zapadła, pompujemy w nią nasze trucizny i odpady. Czasem zajmują się czerwonym ogniem i zieją żrącym blaskiem z kraterów na pustkowiach.

No dobrze. To nie jest zachłanność. Po prostu nie potrafimy inaczej, a przecież chcemy przetrwać. Tak było przez tysiąclecia. Walczyliśmy o przetrwanie. Teraz też coś wymyślimy. Jakąś nową formę człowieczeństwa żyjącą tylko w wirtualu. Albo na innej planecie. Albo w jakiejś zonie biologicznej nieśmiertelności. Biedni, jeśli ich wcześniej nie zabijemy, przyjdą do miejsc, które opuściliśmy. Na skraj urwiska, na krawędź sztolni, gdzie będzie płonął zimny smrodliwy ogień pożerający resztki tlenu. ©

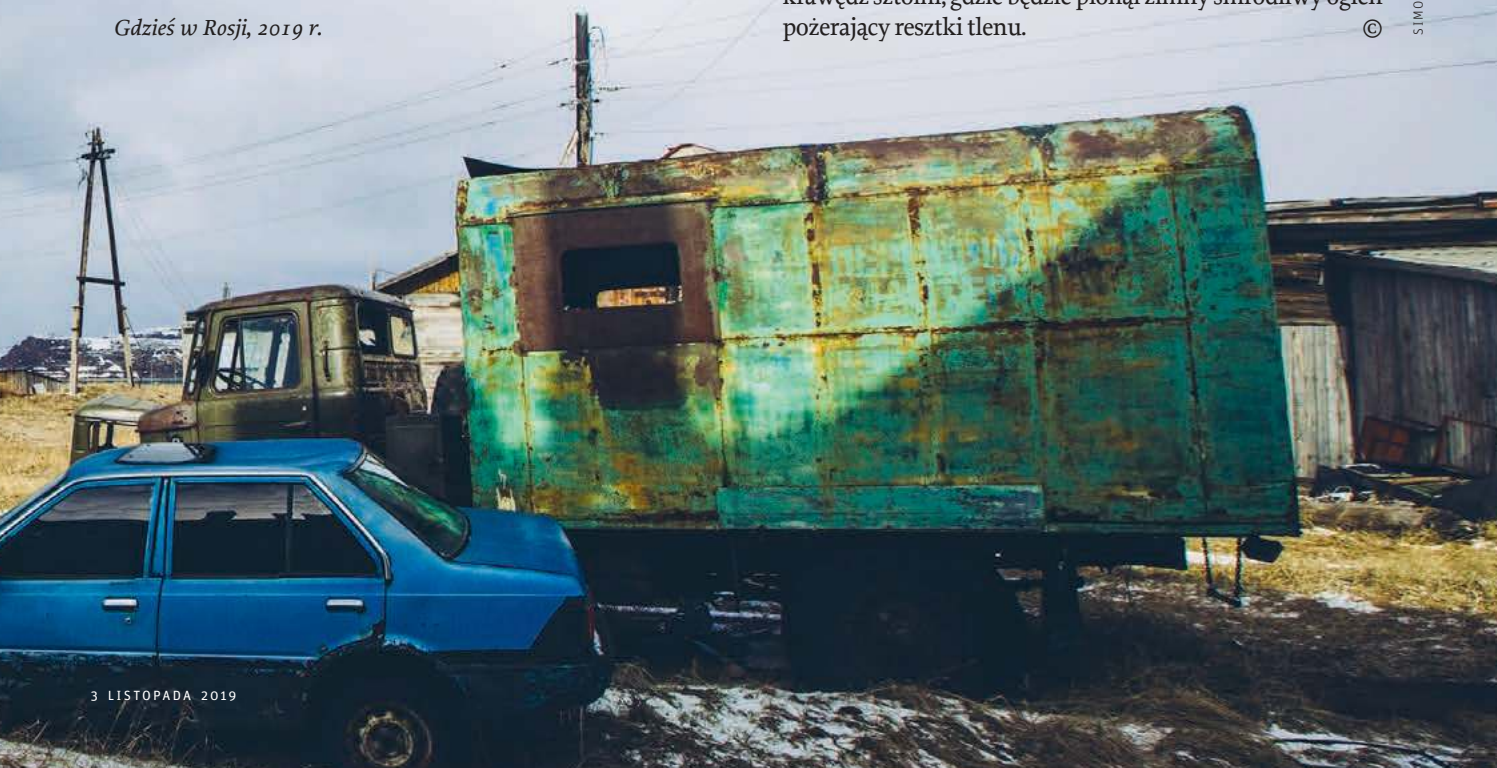

*Gdzieś w Rosji, 2019 r.*

SIMON DUBREUIL / DATAICHI / GETTY IMAGES

*Piotr Marczenia na niemieckim cmentarzu, Podła Góra, wrzesień 2019 r.*

# CMENTARNIK

Tu wszystko jest niemieckie. Domy, droga, drzewa. My z tego teraz korzystamy. Jak tych ludzi nie szanować?

TEKST I ZDJĘCIA STANISŁAW ZASADA

Niedawno pochwalił się na Facebooku: „Odnaleźliśmy brakujący fragment tablicy poświęconej Friedrichowi Klieschowi".

Friedrich żył w wiosce Steinbach koło Schwiebus (dziś Podła Góra koło Świebodzina w woj. lubuskim). Sto lat temu bliscy odprowadzili go na cmentarz. Był „kochanym synem i dobrym bratem" – wyryto mu na nagrobku. Nie wiadomo dlaczego 19-latek umarł tak młodo.

Piotr Marczenia znalazł wcześniej część potłuczonej płyty Friedricha. Teraz resztę.

– Kiedyś się poskleja. Ale najpierw trzeba to uporządkować, bo w ziemi jest dużo rozbitych tablic – mówi. Piotr ma 16 lat, cmentarz w Podłej Górze ratuje od czterech.

## Pasja

Sobota, dziesiąta rano. Na cmentarzu praca już trwa. Piotr wywozi taczkami gałęzie, jego mama grabi liście, tata wykopuje krzaki. 7-letni Paweł, brat Piotra, wyrywa chwasty.

– Syn zaraził nas swoją pasją – Damian Marczenia jest zawodowym żołnierzem (był w Afganistanie, został ranny w zasadzce talibów). Teraz odłożył szpadel i macką saperską – to kij ze szpikulcem, do wykrywania min – nakłuwa grunt. Dzięki macce znalazł już wiele nagrobków.

Czasem koledzy pytają sierżanta Marczenię, po co to robi. W odpowiedzi pokazuje im zdjęcia zapuszczonego cmentarza. Pyta, czy chcieliby, aby ich groby tak wyglądały.

Od wiosny do późnej jesieni co tydzień wsiadają w samochód i jadą 20 km ze Świebodzina do Podłej Góry. – Jedni w wolne dni jeżdżą nad jezioro, a my całą rodziną na cmentarz – mówi Marta Sobiechowska-Marczenia, mama Piotra, polonistka.

Przyjechał też Filip, kolega Piotra. Prawie zawsze jest Natalia, koleżanka. – I czasem moi rodzice – mówi Marta, która wychowała się w Podłej Górze.

Dziś chcą oczyścić alejki, wyciąć odrosty klonów i akacji. Będą tu do wieczora.

▪ **„Johann Friedrich Grotz (1801–1879). Tu spoczywa w Bogu mistrz szewski" – czytamy na nagrobku. To jeden**

**z najstarszych na cmentarzu. Starszy ma 5-miesięczna Maria Stark, zmarła dwa lata przed Grotzem.**

## Steinbach

W 1945 r. wieś Steinbach stała się Kamiennym Potokiem; szukając nowej nazwy, polska administracja dosłownie przełożyła tę niemiecką. Nie przetrwała długo, w 1948 r. zmieniono ją na Podłą Górę.

Emerytowana nauczycielka Krystyna Nawrocka (uczyła Martę Sobiechowską): – Podła, bo leży na niewielkim wzniesieniu. A kiedyś słowo „podły" znaczyło, że coś jest małe. Niektórzy jak słyszą „Podła Góra", myślą zaraz, że tu się straszne rzeczy działy.

Owszem, działy się... Ale później. Na razie mamy wiek XIII. Książę Henryk Pobożny darowuje wieś cysterkom z Trzebnicy. Po 200 latach zakonnice sprzedadzą majątek. Potem mieszkańcy przyjmą naukę Lutra.

Steinbach się bogaci. Część ludzi pracuje w folwarku, reszta uprawia swoją ziemię. Niektórzy szukają szczęścia w świecie: niejaki Schulz, mistrz ciesielski, emigruje z czwórką dzieci do Australii.

Podczas I wojny światowej z frontów nie wraca 12 mężczyzn. Rodziny Pächów i Woithów stracą po dwóch.

Przed kolejną wojną w Steinbach mieszka prawie 300 dusz. Przez wieś ciągnie brukowana droga, przy niej kasztanowce, jesiony, lipy, wiązy. Po obu stronach domy: murowane, z cegły (czasem tynkowane), z zadbanymi ogródkami. W parku – pałac właściciela majątku i ogród z magnoliami. Jest gorzelnia, zajazd i wiatrak na wzgórzu za wsią. Tutejsi rolnicy uprawiają jęczmień, owies i żyto, ziemniaki. Jest kilkunastu ogrodników. Oraz kowal, straż ogniowa, zespół śpiewaczy i klub kolarski.

Narodowi socjaliści pozbawiają majątku jego ostatniego właściciela – Abraham Heymann był Żydem. Podobno gdzieś we wsi jest jego grób. Pochodzący stąd Otto Paul Päch oddaje życie na froncie wschodnim. Ale przez długi czas pożoga omija Steinbach.

Latem i jesienią 1944 r. rolnicy ostatni raz młócą, zrywają ostatnie jabłka. W mroźną zimę 1945 r. uciekają za Odrę. W ich domach osiądą Polacy z ziem wschodnich II RP, Wielkopolski, Mazowsza.

## Góra

– Kiedy przyjechaliśmy, wszystko było już pozajmowane – 90-letnia Kazimiera Sobińska, z domu Sobiechowska, jest dziś najstarszą mieszkanką. Przybyła tu dwa lata po wojnie, spod Konina. Ściągnął ich brat ojca.

Osiadła w tym miejscu także Władysława Przybylska z córką Janiną, która niedaleko stąd była na przymusowych robotach. Jej mąż Andrzej zginął w Dachau. Przybylska przywiozła Ericha, niemieckiego chłopca. – Babcia zaopiekowała się sierotą – opowiada Mirosława Czarnuszewicz, córka Janiny.

Janina wyjdzie za Władysława Sobiechowskiego. Marta (mama Piotra) jest ich wnuczką. Kazimiera Sobińska i Mirosława Czarnuszewicz to jej ciotki. – Połowa wsi to rodzina – śmieje się Marta.

Jak wyglądało życie osadników? – Były podziały – wspomina Kazimiera. – Chłopak z Poznańskiego nie mógł się ożenić z dziewczyną zza Buga.

Staruszka tłumaczy, że wygnańcy z Kresów mówili na resztę, że są „z Poznańskiego". Nieważne, czy ktoś przyjechał spod Poznania, czy spod Łodzi.

Mirosława urodziła się kilkanaście lat po wojnie. Pamięta, jak we wsi pojawił się pierwszy czarno-biały telewizor. Stał w świetlicy, w byłym pałacu. – Chodziliśmy tam na „Bonanzę". Wtedy wśród młodych nie było już podziałów na tych „zza Buga" i „z Poznańskiego". – Ale została tymczasowość – wtrąca Marta Sobiechowska. – Wciąż był strach, że Niemcy wrócą.

Władza założyła Państwowe Gospodarstwo Rolne. – Ludzie nie gospodarowali na swoim. Duża rotacja mieszkańców nie wykształciła więzi – mama Piotra opisuje rodzinną wieś.

Potem pałac rozebrano, upadła komuna i z nią pegeer. Kto mógł, jechał do Niemiec za pracą. Wieś się wyludniła, zostało ok. 100 osób. – Jedyne instytucje to straż pożarna i kaplica – wylicza była nauczycielka Krystyna Nawrocka. Kaplica jest w remizie, co sobota ksiądz z Ciborza odprawia mszę. Jest też przystanek, z którego można dojechać do Świebodzina. Ale ogólnie – nudy.

Głośno było dziesięć lat temu, gdy w Podłej Górze odkryto masowy grób.

**▪ „Johann Willi Schiller (1823–1898)". Był wójtem Steinbach. „Żył 74 lata, 6 miesięcy i 23 dni" – Piotr odczytuje ledwo widoczny napis. – Często podawano, jak długo ktoś żył – objaśnia inskrypcję.**

## Szczotka

Piaskowiec trzeba czyścić ryżową szczotką. Drucianej używa się do betonu. Piotr szorował raz piaskowy nagrobek drucianą i porobiły się rysy: – Uczę się metodą prób i błędów.

Radzi się cmentarników, lokalnych historyków, kontaktuje się z dawnymi mieszkańcami Steinbach. Niektórzy traktują go mało poważnie, bo młody: – Nie zrażam się i robię swoje.

Wie np., jak odczytać niewyraźny napis: – Można przyłożyć kartkę papieru i trzeć ołówkiem, aż pokażą się litery. A zimą wystarczy wetrzeć śnieg.

Opanował czytanie gotyku; takim pismem wykonywano napisy na nagrobkach. Zna niemiecki. Reszta, jak mówi, to kwestia wprawy.

Podniósł kawałek tablicy. Jest tylko rok urodzin. Nie ma nazwiska ani daty śmierci. Piotr nie traci nadziei, że gdzieś leży reszta. – Cieszę się każdym uratowanym nagrobkiem.

Oglądamy zniszczenia na cmentarzu: – Tu był krzyż metalowy, ale go wyłamali; z ziemi wystaje fundament. A tutaj krzyż ażurowy; został metalowy element, który go mocował.

**▪ „Berta Schulz z domu Räbel (1853–1933)". Schulzowie to była jedna z bardziej znaczących rodzin w Steinbach, prowadzili gospodę. Berta zmarła jako „emerytowana gospodyni rolna". Dla bliskich była „kochaną Mamą, Teściową i Babcią". Jej nagrobek wykonał kamieniarz Kowalski z Crossen an der Oder (dziś Krosno Odrzańskie).**

## Hobby

Marta Sobiechowska: – Piotrek zawsze interesował się cmentarzami.

Pojechała z synem do rodziny w Świętokrzyskie. Kuzyn pyta Piotra, co mu się najbardziej podoba? A on, że cmentarze, bo u nich takich ładnych nie ma.

Piotr: – U nas wszystkie są nowe. Powstały po wojnie i są do siebie podobne. A stare, poniemieckie, dawno poniszczono.

Nie przeszkadza mu, że rówieśnicy patrzą czasem na niego dziwnie: – Mam duszę cmentarnika. Takie moje hobby. ↦

↦ Gdy przyjeżdżał do dziadków w Podłej Górze, biegł na cmentarz. Towarzyszyła mu mama: – Lubię takie klimaty: opuszczone i zapomniane miejsca – przytakuje Marta.

Choć w liceum wybrał klasę matematyczno-fizyczną, pasjonuje go historia. Zwłaszcza ta lokalna. Boleje, że została zaniedbana: – To niszczenie historycznego dziedzictwa.

Marta Sobiechowska, której pradziadek zginął w Dachau, nigdy nie miała oporu, by ratować niemieckie groby: – Ci, którzy tu zostali pochowani, to rolnicy, sklepikarze; o wielkiej polityce nie mieli pewnie pojęcia.

Po chwili dodaje: – Dla mnie to nie Niemcy, ale matki, ojcowie, dzieci. Historia pozbawiła ich rodzin, domów, zabrała im groby i pamięć. My staramy się zmarłym przywrócić choć nazwiska.

– Przecież tu wszystko jest niemieckie – mówi Piotr. – To miejscowi Niemcy zbudowali te domy, drogę, posadzili te drzewa. A my z tego teraz korzystamy. Jak tych ludzi nie szanować?

Mama Piotra: – Może jeśli my pokażemy, że dbamy o niemieckie groby, to o „nasze" na wschodzie też ktoś będzie miał staranie?

Marta ma też inny powód: – Jeśli uczę synów poszanowania drugiego człowieka, bez względu na wyznanie i narodowość, to mam nadzieję, że nigdy nie zarażą się ideologią wyższości.

**▪ „Willi Bierke, Elisabeth Agnes Bierke (3 stycznia 1905 – 17 marca 1905)". Ich grób jest na końcu cmentarza, obok innych małych mogił. To samo nazwisko, ta sama data urodzin i śmierci. Pewnie byli bliźniakami. Żyli dwa i pół miesiąca. – Może to był wypadek? – zastanawia się Piotr. – A może zmarli na grypę?**

## Orientacja

– Piotrek! Coś tu jest – Damian Marczenia woła syna.

Macką saperską trafił na coś twardego. Wykopuje kawałek tablicy, Piotr czyści oblepiony piaskiem marmur.

Damian Marczenia: – Nie kopiemy głęboko, żeby nie natrafić na kości.

Potłuczoną płytę nagrobną Friedricha Kliescha ułożyli w oczyszczonym grobie na początku cmentarza. Choć nie wiadomo, czy tu spoczywa Friedrich.

– Większość nagrobków układamy orientacyjnie – mówi Piotr.

Czasem wydaje mu się, że jakiś element pasuje do całości. Ale czy akurat tam, gdzie postawił nagrobek, leży ta osoba, pewien nigdy nie jest. – Musiałbym mieć księgę pochówków.

Pisał do archiwów w Berlinie, Poczdamie i Dreźnie, odpowiedzi nie dostał.

**▪ „August Johann Meck (1851–1934)". Nauczyciel. Inskrypcja mówi, że jego życie było „wierne i uczciwe".**

## Ogród

Teściowa Krystyny Adamkowskiej opowiadała, że jak sprowadzili się po 1945 r., znaleźli skrzynie z jedzeniem, które Niemcy ukryli w lasku. – A kości to sama widziałam – mówi.

30 stycznia 1945 r. do Steinbach wkracza Armia Czerwona. – Rosjanie weszli o szesnastej. Wcześniej, w południe, wszyscy mieszkańcy ewakuowali się do Krosna Odrzańskiego – opowiada Piotr.

– Większość uciekinierów ze Steinbach przekroczyła Odrę i uszła przed Armią Czerwoną. Osiedlili się w Neuruppin w Brandenburgii – dodaje.

Niektórym mieszkańcom szczęście nie dopisało. Ci, co zostali na prawym brzegu Odry, błąkali się po zajętych przez Sowietów terenach. Nie wszyscy przeżyli.

– W niektórych domach Polacy mieszkali jeszcze razem z Niemcami – wspomina Kazimiera Sobińska. Pamięta niemieckiego księdza z pobliskiego Ołoboku. Przyjeżdżał do Góry i odprawiał mszę dla Polaków. Nawet polskiego się przyuczył. Aż Rosjanie go zastrzelili.

Strasznych rzeczy robili więcej. Ktoś miał widzieć, jak zgwałcili ciężarną Niemkę i dobili kolbami. Albo jak roztrzaskali główkę 3-letniej dziewczynki, którą matka trzymała na rękach.

Największa zbrodnia zdarzyła się w domu, który zajęli później Adamkowscy. Był tam punkt przesiedleńczy lub szpitalik dla niemieckich uciekinierów. Sowieci ich wymordowali.

Krystyna Nawrocka opowiada, jak kilkanaście lat temu przed jej domem zatrzymało się niemieckie auto: – Starszy Niemiec pytał, gdzie był szpital, bo jego brat tam zginął.

– Jak przyjechaliśmy, Niemców już nie było – Stanisława Duda pochodzi z Izbicy Kujawskiej, przyjechała tu z rodzicami na początku lat 50. jako dwudziestolatka. Niemców spotkała później.

– Kupę lat temu przyszli do mnie i powiedzieli, że kiedyś tu mieszkali – Stanisława pokazała im mieszkanie, kawę chciała zrobić. Ale podziękowali. U Barbary Kopaczewskiej (rocznik 1934, spod Płocka) też byli. Pokręcili się, poprzypominali sobie, gdzie stał stół, gdzie łóżko, i pojechali.

Dziesięć lat temu robotnicy kopiący rów pod wodociąg odkryli kości w ogródku Adamkowskich. Pracownicy ze Stowarzyszenia „Pomost" wydobyli potem szczątki kilkudziesięciu osób, dorosłych i dzieci. Adamkowska: – Wszyscy byli rozebrani, bez butów. W czaszkach dziury.

Pochowano ich pod Szczecinem.

Adamkowscy w swoim ogródku mieli kiedyś warzywa, teraz sieją trawę i kwiaty.

**▪ „Charlotte Höth z domu Koldrack (1872–1940)". Wdowa po ławniku wiejskim, Wilhelmie (zmarł kilkanaście lat wcześniej). „Wysiłek i praca były Twoim życiem. Odpoczynek dał Ci Bóg" – ocenili Charlottę bliscy.**

## Błogosławieństwo

Pół roku temu. Piotr jest sam na cmentarzu. Na szosie zebrała się grupka miejscowych chłopaków.

– Żyd, debil – wyzywa go wyrostek, napuszczony przez pozostałych.

Marta Sobiechowska: – Poskarżyliśmy się rodzicom tego chłopaka. Przyrzekli, że więcej się to nie powtórzy. Od tamtej pory jest spokój.

Ale słyszą pytania: „Kto i ile wam płaci?". – Ludziom nie mieści się w głowie, że można coś robić społecznie – mówi Marta. – Czujemy się osamotnieni, nikt dobrego słowa nie powie.

Piotr zapytał księdza, który przyjeżdża do Podłej Góry, czy nie odprawiłby mszy, gdy uporządkują cmentarz: – Powiedział, że chętnie, ale kazał się skontaktować z parafią ewangelicką.

Napisał więc do ewangelickiego księdza w Zielonej Górze. Pastor odpisał, że nabożeństwo odprawi i postara się pomóc w renowacji. List zakończył słowami: „Niech Pan Bóg Was błogosławi".

Piotr: – To błogosławieństwo odbieramy jako wyraz solidarności. Jeszcze nikt nas tak nie wsparł.

**▪ „Sobiechowski Józiu (1946–1946)". Przyrodni brat Kazimiery Sobińskiej.**

**– Urodził się słaby. Ochrzcili go niepoświęconą wodą. Żył kilka dni – wspomina jego siostra. Tabliczka nowa, krzyż jest stary, z drewna.**

### Prawnuk

Z dawnych mieszkańców Steinbach żyje jeszcze osiem osób. Piotr sam ich odszukał. Napisał do stowarzyszenia Heimatkreis Züllichau-Schwiebus, które zrzesza dawnych mieszkańców tych terenów. Dostał listę z nazwiskami tych, którzy pochodzą ze Steinbach. Powysyłał do nich listy. Opowiedział, że ratuje cmentarz, pytał o przodków, rodzinne historie.

Odpisały dwie kobiety: Anneliese Pikolek i Annette Müller. Mąż Anneliese opuścił z rodzicami Steinbach w styczniu 1945 r., zmarł dziesięć lat temu. Mama Annette wyjechała jeszcze przed wojną w głąb Rzeszy, tam wyszła za mąż i ją urodziła.

Annette Müller dała Piotrowi kontakt do Daniela Pächa: jego prapradziadek August żył tu w XIX w. Piotr odnalazł jego nagrobek, wysłał Danielowi zdjęcie. Potomek Augusta przysłał mu stare pocztówki z widokiem Steinbach.

Piotr martwi się, bo Daniel przestał odpisywać.

**▪ „Erich (1931–1947)". Ericha pochowali polscy mieszkańcy. To ten niemiecki sierota, którego przywiozła Władysława Przybylska, wdowa po więźniu Dachau. Tamtego dnia pasł krowy, znalazł pocisk, chciał rozbroić. Szczątki pozbierano w wiklinowy koszyk. Czy nie znali jego nazwiska? Na pordzewiałej tabliczce z blachy jest tylko imię. Postawiono mu brzozowy krzyż. To był ostatni pogrzeb na tym cmentarzu.**

### Lajki

Gdzieś ok. 1850 r. mieszkańcy Steinbach rozbierają grożący zawaleniem drewniany kościół w środku wsi i likwidują stary cmentarz. Swoich zmarłych chowają teraz tuż za wsią.

Kamieniarze kują gotykiem: „Hier ruht in Gott unser lieber..." („Tu spoczywa w Bogu nasz drogi..."). Na jednych nagrobkach krzyże, na innych liście palmy, na innych złączone dłonie. – Widać, że biedy nie klepali – mówi Piotr.

Po I wojnie światowej na cmentarzu staje pomnik mężczyzn, którzy nie wrócili. Na płycie z piaskowca nazwiska dwunastu grenadierów, kanonierów... Ze zdjęć wiadomo, że u góry był stalowy orzeł z rozwiniętymi skrzydłami.

*Jeden z uratowanych nagrobków na cmentarzu w Podłej Górze, wrzesień 2019 r.*

– To był śliczny cmentarz, parkowy – Piotr znalazł opis nekropolii, dotarł do starych zdjęć.

Koniec znamy: wojna, mieszkańcy Steinbach uciekają, przychodzą Polacy, nowa władza „umacnia polskość". To czas, gdy w dobrym tonie jest pisać „niemiec" małą literą. Grobami po Niemcach, obcej wiary, nikt się nie będzie przejmował. No, prawie nikt. Bo Mirosława Czarnuszewicz przychodzi co roku we Wszystkich Świętych zapalić znicz dla Ericha i Józia. Zbigniew Sobiechowski, dziadek Piotra, próbuje grodzić cmentarz. Ale opuszczona nekropolia niszczeje.

– Największe zdziczenie było w latach 70. – Piotr przypomina, że PRL likwidowała wtedy niemieckie nekropolie, zamieniała na tereny zielone. Pokazuje dokument, w którym kontrolerzy z ministerstwa skarżą się, że w ówczesnym województwie zielonogórskim (gdzie leżała Podła Góra) likwidacje „przebiegają zbyt powolnie".

Rok 2015. Dwunastoletni Piotrek zakłada na Facebooku profil „Podła Góra-Steinbach" (stronę polubi 150 osób). Czyści pomnik z I wojny (nie było już płyty z nazwiskami ani orła, został betonowy cokół), wyrywa samosiejki. Sołtys każe mu uzyskać pozwolenie na porządkowanie nekropolii. Siada przy laptopie i pisze do gminy, dostaje zgodę.

W domu Marty i Damiana Marczeniów rodzinna narada. Syn od dawna wierci im dziurę w brzuchu, by ratować cmentarz. Sprawa jest poważna: nie chodzi o grabienie liści. Nagrobki, poprzewracane, leżą pod warstwą ziemi. Uradzili, że będą działać razem. Piotrek zaprasza na Facebooku wszystkich „miłośników Podłej Góry", by pomogli. Pomoc deklaruje sporo osób, stawią się tylko dziadkowie.

Po czterech latach większość nagrobków już stoi. Zarośnięte mchem, zabrudzone tablice zostały wyczyszczone. Można odczytać nazwiska.

Czasem ktoś, przejeżdżając tędy, mówi, iż nie miał pojęcia, że był tu cmentarz. Starsza Niemka spytała, czemu porządkują obce groby. Odparli, że z szacunku dla drugiego człowieka.

### Droga

Wygląda na nieco starszą od Piotra. Miła, nie chce się przedstawić. O porządkach na cmentarzu słyszała. Pytam, czy chce pomóc koledze.

– Żeby to był polski cmentarz, to jeszcze. Ale niemiecki?

– Co masz przeciw niemieckim cmentarzom?

Zreflektowała się, zmieniła ton: – Mieszkam tu od niedawna i nie zależy mi, żeby coś tutaj robić.

Pytam w innych domach.

Patryk, 27 lat, strój FC Barcelony. Pomaga wujowi remontować mieszkanie. O cmentarzu słyszał, ale nie ma czasu, żeby pomóc: – Pracuję w Niemczech, przyjeżdżam co drugi weekend.

U Adamkowskich (u nich odkryto szczątki Niemców) wzruszają ramionami.

Tylko Krystyna Nawrocka chwali Piotra: – Myślałam, że to będzie słomiany zapał i szybko mu się odechce. A on coraz bardziej się w to angażuje.

Tydzień później. Piotr publikuje na Facebooku zdjęcie kolejnego potłuczonego nagrobka. Kawałkami marmuru załatano kamienną drogę koło Radnicy, niedaleko Podłej Góry. Widać krzyż i część napisu: „Tu spoczywa w Bogu mój kochany mąż, nasz dobry tata i dziadek". Można odczytać imię: Berthold.

Piotr komentuje: „Krótko trwał jego spoczynek".

© STANISŁAW ZASADA

# PRZYMUS UŚMIECHU

Nie tylko musisz odwiedzić ciocię. Musisz się jeszcze z tego cieszyć.
Inaczej będziesz złym dzieckiem.
Nie tylko powinieneś oddać życie za ojczyznę.
Powinieneś to zrobić z radością!

JOKER (MARCIN NAPIÓRKOWSKI)

MATERIAŁY PRASOWE

↦ Joker to brat Batmana. Uwaga, spoiler. Za późno. Obaj jesteśmy synami Thomasa Wayne'a – najbogatszego człowieka w Gotham, mężczyzny, który uosabia społeczne nierówności i postępującą w ślad za nimi politykę wykluczenia. Wayne może zaprzeczać, ile mu się podoba, ale taka właśnie jest prawda. Zawsze była.

### Początek

Kochamy *origin stories* – filmy o początkach. Uwielbiamy dowiadywać się, skąd się wziął bohater. Jak stał się tym, kim jest. Trochę to zaskakujące, jak się głębiej nad tym zastanowić. Bo to wcale nie jest prosty i oczywisty gatunek. Najpierw musimy mieć bohatera, którego doskonale czujemy i rozpoznajemy, czasem nawet kochamy. Musimy znać koniec drogi, żeby w ogóle dać się zabrać w podróż autobusem z napisem „zobacz, jak to się stało, za jedyne 19.99". A jednak wsiadamy do niego coraz chętniej.

Najpierw *origin stories* były wyłącznie przywilejem największych herosów. Z czasem dołączyli także najwięksi złoczyńcy. I tak stopniowo z chaosu różnych pomysłów wyłonił się nurt pokazujący, że nasi Wielcy Złoczyńcy są śladami poczynań naszych Wielkich Bohaterów. Są ich cieniami. Efektami ich błędów, zaniechań, czasem produktami pychy, a nierzadko po prostu nieuniknionym rewersem, drugą stroną medalu. Jeżeli gdzieś pojawił się nadmiar dobra i odwagi, w innym miejscu musi zrekompensować go nadmiar podłości. Bo przecież świat jest sprawiedliwy, prawda? Prawda?!

Powiem wam coś o sprawiedliwym świecie, jeśli macie ochotę posłuchać. Ludzie, którzy wierzą w sprawiedliwy świat, są najgorszymi dupkami. Zaskoczeni? Brzmi jak puenta kolejnego żartu Jokera, ale to wniosek płynący z wielu psychologicznych badań. Jeżeli wierzymy, że świat jest sprawiedliwy, to widząc nieszczęście, chętnie przyjmujemy, że musi być w jakiś sposób zawinione. Bo przecież za uczynione dobro i wykonaną ciężką pracę powinna przyjść nagroda. Jeżeli ktoś pogrąża się w biedzie, pewnie nie pracował dość ciężko, nie chwycił losu w swoje ręce. Trzeba było wziąć kredyt, zmienić pracę, wyjść ze strefy komfortu...

Ale świat nie jest sprawiedliwy! A zło nie jest rezultatem pomyłki dobra. Podobnie jak bieda nie jest skutkiem zaniedbania i niedostatecznej chęci bogaczy do podzielenia się majątkiem. Takie stawianie sprawy oddaje świat w ręce bogaczy i każe nam wysławiać ich hojność, ilekroć zdecydowali się podzielić z nami okruszkami ze swego stołu.

Nie! Bogactwo nie poprzedza biedy, tak jak herosi nie poprzedzają złoczyńców. Bieda i bogactwo są dziećmi tego samego, naszego ojca. Mechanizmy, które wytworzyły bogactwo, spowodowały też biedę. Żeby zlikwidować biedę, trzeba sięgnąć nie do kieszeni bogaczy, lecz w tryby mechanizmu, który uczynił ich bogatymi. To zupełnie nowy rodzaj *origin story*.

### Fantazje o prywatyzacji przemocy

Jesteśmy przede wszystkim dziećmi tego miasta. Synami Gotham. Ten cały Batman to ucieleśnienie nowoczesnej fantazji o reprywatyzacji przemocy. Reflektor z kształtem nietoperza na niebie oznacza upadek wspólnoty. Abdykację instytucji na rzecz jednostki, zaufania na rzecz podziwu. Samotny mściciel bierze sprawy w swoje ręce tam, gdzie nie sprawdza się policja, wojsko, straż pożarna, służba zdrowia, szkoły i opieka społeczna.

Batman nie przestrzega zasad, nie stoi na ich straży. Jest Nietzscheańskim nadczłowiekiem, który swoim postępowaniem wykuwa nowy kanon tego, co moralne. Najsilniejszym w Hobbesowskiej wojnie wszystkich przeciw wszystkim, toczącej się tym razem na gnijącym cielsku Lewiatana, któremu pozwoliliśmy zdechnąć z głodu.

Wiedzione ideałami Hobbesa państwo narodowe zmonopolizowało przemoc, zapewniając swoim obywatelom bezpieczeństwo. Miewało swoje gorsze dni, nie powiem, ale jeżeli spojrzeć na sprawę w dłuższej perspektywie czasowej – całkiem przyzwoicie mu szło. Pod koniec XX wieku – wbrew temu, w co wierzy większość z nas – szanse bycia pobitym, zabitym czy obrabowanym na ulicy były mniejsze niż kiedykolwiek w historii.

A jednak daliśmy sobie wmówić, że państwo jest słabe. Że jest nieefektywne. Że inwestycja we wspólne instytucje to marnowanie pieniędzy. Dlatego kiedy trzeba było zacisnąć pasa i przyszły cięcia, doświadczyło ich właśnie państwo, a nie Thomas Wayne. Jedyne cięcia, jakie poznał on i jego rodzina, to staranne przystrzyżenie ogródka, w którym za wysokim, zaostrzonym płotem samotnie bawił się mały Bruce.

W ten sposób przygotowano świat dla tego Batmana. Nocnego mściciela zaczynamy potrzebować dopiero wówczas, gdy uwierzymy, że komisarz Gordon i jego niedofinansowani policjanci nie są sobie w stanie poradzić z rosnącą falą przestępczości. Że świat wymknął się spod kontroli i pędzi ku katastrofie.

„Niech ktoś wreszcie weźmie sprawy w swoje ręce!" – krzyczysz, a twój krzyk odbija się echem na plakatach polityków, w reklamach, w kinie. Staje się obietnicą wyborczą, nowym produktem zapewniającym bezpieczeństwo w pełnym zagrożeń świecie, fabułą filmu, który wyjaśnia ci rzeczywistość. Z tego okrzyku wyłania się superbohater.

Batman to spełnienie twojego marzenia o tym, żeby ktoś wziął sprawy w swoje ręce. Ja – Joker – jestem ucieleśnieniem twojego koszmaru o tym, że ktoś może wziąć sprawy w swoje ręce. Uwaga, znowu będzie spoiler, tym razem z życia, nie z filmów. Fantazja o tym, że sprywatyzowana przemoc zrealizuje się w sposób precyzyjny i uporządkowany, że zewrze się w wielką pięść wycelowaną w tych złych, to... cóż. Tylko fantazja.

Co innego jej mroczny odpowiednik. Chaotyczna przemoc jest jak najbardziej możliwa. Nieustannie przyzywasz ją twoim gniewem, dokarmiasz twoją frustracją, podsycasz poczuciem beznadziei. Przymierz na chwilę okulary filozofa i popatrz wraz ze mną na wypełniające nasz świat podprogowe przekazy! „Zabić bogatych", „Dostaniecie to, na co zasłużyliście!". Wokół kłębią się fantazje o zemście, królobójstwie, krwawej rewolucji. Jeżeli wszyscy razem wyjdziemy na ulice, jeżeli wyrazimy nasz gniew, świat się zmieni, prawda?

Źle, źle, źle! Błąd ukryty jest w samym założeniu. Jeżeli mówisz: „Dostaniecie, na co zasłużyliście" – już jesteś po stronie sprawiedliwego świata. A sprawiedliwy świat jest bardzo niesprawiedliwy.

Ludzie nie dostają tego, na co zasługują. Cała idea zasługiwania to oszustwo zbudowane po to, żeby usprawiedliwić bogactwo bogatych. Z tego samego powodu nie da się zabić bogatych. Zabijanie bogatych byłoby jak obcinanie głowy hydrze. W dodatku fantazje o zabijaniu podsycają lęk bogatych, a lęk bogatych jest budulcem, z którego wznosi się najtrwalsze mury. Mało co przynosi takie dochody jak strach bogatych przed biednymi. Sejfy, skrytki, systemy alarmowe, prywatne firmy ochroniarskie, prywatne

armie, prywatne dzielnice z prywatnymi szkołami, w których prywatni nauczyciele uczą dzieci bogatych o sprawiedliwym świecie. Tak, tak! Na bogatych też można żerować. W zasadzie to opłaca się żerować wyłącznie na bogatych. Biedni są potrzebni raczej po to, żeby bogaci mieli się od kogo odgradzać. Choć są i tacy, którzy wolą, żeby to biedni płacili za wznoszone wzdłuż granic mury.

A więc sprywatyzowana przemoc nie zmienia świata. Nawet chaotyczna przemoc szalonych złoczyńców w ostateczności nie obala porządku. Przeciwnie – tworzy pretekst, by go utrwalić. Po karnawale rewolucji terror przeszłości powraca ze zdwojoną siłą.

### Kino jest przemocą

Pamiętacie te scenę z „Mechanicznej pomarańczy" Stanleya Kubricka, kiedy bohaterowi kazali oglądać obrzydliwe filmy? Zablokowali mu powieki takimi patykami i wkraplali coś do środka, żeby mu gałki nie wyschły. Przerażone oko, które nie może się zamknąć, nie może zaznać ani chwili ukojenia. Straszny widok! Uwielbiam tę scenę! Ale moją uwagę przyciąga nie ekran, a pozostali widzowie. Uwielbiam patrzeć, jak ludzie odwracają wzrok od kogoś, kto nie może odwrócić wzroku.

Wchodząc do kina, oddajesz komuś władzę nad swoim spojrzeniem, myślami i uczuciami. Mogę wam zdradzić, dlaczego robimy to tak chętnie, chcecie? Żeby nie uświadamiać sobie, że cały świat jest kinem! Że nasze spojrzenie zawsze ktoś prowadzi, kontroluje. Że nie decydujemy o tym, co widzimy, a co pozostaje dla nas niewidzialne. Dlatego tak chętnie oglądamy filmy. Wychodzimy z ciemnej sali kinowej, mrużymy oczy w słońcu i wydaje nam się, że teraz już patrzymy na świat po swojemu. Kłamstwo! A więc filmy to też zło, też przemoc.

Ale zgodzę się oczywiście, że są wśród nich lepsze i gorsze. Jeżeli robić film o komiku, o klaunie, o błaźnie – to właśnie taki, na którym na pewno nikt się nie zaśmieje. Puenta każdego żartu musi zostać ucięta. Musisz stworzyć świat, w którym nie ma wesołości. A potem go przetestować. Jeżeli nikt się nie zaśmieje, gdy bohater chichocze – jest dobrze. To trudne, bo przecież śmiech jest zaraźliwy. Jeżeli nikt nie parsknie śmiechem, gdy na ekranie protagonista przypadkiem wpadnie na szybę, myśląc, że to drzwi – wiesz, żemasz ich w garści. Już nawet slapstick nie działa. Możesz z widzami zrobić wszystko.

Wchodząc do kina, oddajesz komuś władzę nad swoim spojrzeniem, myślami i uczuciami. Mogę wam zdradzić, dlaczego robimy to tak chętnie: żeby nie uświadamiać sobie, że **cały świat jest kinem.**

I nikomu nie wolno się z tego śmiać. Przymus nieśmiania się można by nawet uznać za namiastkę antidotum na przymus uśmiechu. To właśnie o przymusie uśmiechu chciałem jeszcze opowiedzieć.

### Niech nikt się nie śmieje

„Dlaczego jesteś dziś taka smutna? Uśmiechnij się!" – to słowa czystej przemocy. Zmuszanie ludzi do pracy albo do wojny, albo chociażby do tego, żeby spędzali czas inaczej, niż chcą – to wszystko formy przemocy. Ale dopiero zmuszanie ludzi, by robili to, czego nie chcą, i jeszcze się z tego cieszyli, jest przemocą naprawdę perwersyjną. Nie tylko musisz odwiedzić ciocię. Musisz się jeszcze z tego cieszyć – inaczej będziesz złym dzieckiem. Nie tylko powinieneś oddać życie za ojczyznę. Powinieneś to zrobić z radością! Pracuj ciężko, ale nie zapomnij o wdzięczności za to, że masz pracę.

Kiedy kupujesz, sprzedają ci też uśmiechy. Czasem są w zasadzie *gratis*, czasem starannie doliczono ich koszt do ceny produktu. Kiedy sprzedajesz, każą ci się uśmiechać. Potem liczą twoje uśmiechy. Rozliczają cię z uśmiechów. Wreszcie – każą ci się cieszyć z tego, że jeszcze możesz coś sprzedawać albo że masz za co kupować. Przecież twoje miejsce pracy mógł zabrać imigrant, robot, ktoś, kto będzie za nie wdzięczny. Dlaczego nie doceniasz? Dlaczego się nie uśmiechasz?!

Dlaczego jesteście narodem ponuraków? Wiecznie niezadowolonych, roszczeniowych, pogrążonych w mentalności sowieckiej. Przecież są aquaparki i orzeł z czekolady. Wolno spędzać wakacje na Malediwach, studiować w Oksfordzie, na emeryturę przeprowadzić się na Florydę. Świat jest pełen możliwości. Uśmiechnijcie się!

A kiedy nie będzie już pracy ani pieniędzy, kiedy nic już nie będziemy sprzedawać ani kupować – wtedy najbardziej podkreślać będą znaczenie uśmiechu. Prawo do bycia nieszczęśliwym to ostatnie prawo, które nam zabiorą. A wtedy naprawdę przestanie być zabawnie.

Bo niewiele jest rzeczy bardziej przerażających niż wymuszony, histeryczny śmiech, któremu nie towarzyszy ani odrobina wesołości. Jest taka przerażająca scena u Homera. Tuż przed tym, jak Odyseusz wyrżnął zalotników, Atena sprowadza na nich dziwaczny szał, który każe im się bezsensownie śmiać. Są przerażeni, z oczu ciekną im łzy, kawały rozszarpanego mięsa wypadają im z ust, a oni cały czas się śmieją... Na szczęście chwilę później strzały Odysa kończą ich męczarnie. Zaiste, kazać się ludziom uśmiechać, gdy woleliby raczej płakać, to straszliwa tortura godna starożytnych bóstw lubujących się w zadawaniu cierpienia.

### Triumf błazna

Na koniec zdradzę wam sekret, chcecie? Przymus uśmiechu ostatecznie wynosi do władzy klaunów. Ironiczne, prawda? Ale prawdziwe. Oczywiście to nie klauni tacy jak ty i ja. Raczej tacy, którzy urodzili się na górze schodów, po drugiej stronie muru. Ukończyli najlepsze studia, odziedziczyli fortuny. A jednak – są błaznami.

Ich tajną kartą jest lęk. W świecie sprywatyzowanego bezpieczeństwa dostępnego tylko dla nielicznych żądają od państwa, by obiecało całkowite bezpieczeństwo dla każdego. Szantażują swoich liberalnych adwersarzy, pokazując uchodźców i kataklizmy, globalny kapitał i lokalnych zdrajców, nowe technologie i starych wrogów. A kiedy dojdą już do władzy, wyniesieni krytyką niebezpiecznego świata i słabości państwa, odkrywają nagle, że osłabione instytucje nie mogą spełnić wszystkich tych obietnic. Ogłaszają więc, że państwo się skończyło, a ostatni gasi światło. Chyba że wcześniej uda się wywołać wojnę atomową. Wtedy zgaśnie samo, bez niczyjej pomocy.

Rozgadałem się, widzę. No nic. Wydrukujcie ten tekst albo spełnię wszystkie zawarte w nim groźby.

Możecie mi zrobić jeszcze jedną przysługę? Podpiszcie mnie „Joker".

© MARCIN JOKER NAPIÓRKOWSKI

**JOKER** *reż. Todd Philips, w roli tytułowej Joaquin Phoenix, USA 2019.*

JULIA MEJER

*Od lewej: Marek Janiak, Andrzej Świetlik (na krześle), Andrzej Makary Wielogórski i Sławek Bit na tle pracy z cyklu „Stefan i Majonez", 2019 r.*

# Wirus w systemie

PIOTR KOSIEWSKI

**Łódź Kaliska, jeden z najciekawszych fenomenów artystycznych ostatnich dekad, od 40 lat kpi z tradycyjnych ról artysty i środowiskowych tabu.**

ŁÓDŹ KALISKA

*„Naród trwa", 2004 r. W głębi Łódź Kaliska, od lewej: Andrzej Makary Wielogórski na skakance, Andrzej Świetlik ćwiczy „rowerek", Marek Janiak podnosi hantle, Andrzej Kwietniewski na rowerze treningowym.*

Grupa powstała w 1979 r. w Darłowie. Założyli ją: Marek Janiak, Andrzej Kwietniewski, Adam Rzepecki, Andrzej Świetlik, Andrzej Wielogórski. Do dziś przetrwała w niemalże niezmienionym składzie – tylko Andrzej Kwietniewski rozstał się z Łodzią Kaliską w 2007 r. i doszedł Sławek Bit. Jednak działalność rozpoczęli wcześniej. Wywodzili się z ruchu fotografii amatorskiej – zresztą do dziś obecność w Łodzi Kaliskiej to tylko jedna z ich aktywności. Marek Janiak jest obecnie głównym architektem Łodzi i profesorem na tamtejszej politechnice. Andrzej Świetlik zajmuje się fotografią użytkową, w tym prasową i reklamową (m.in. robił zdjęcia dla kampanii reklamowych BZ WBK i mBanku), a Andrzej Wielogórski przez lata pracował na Wydziale Chemii Uniwersytetu Łódzkiego.

### Coś zupełnie innego

Podczas performance'u „Upadek zupełny" w maju 1981 r. przez kilka godzin – ku zdziwieniu publiczności – nieruchomo leżeli na Rynku Głównym w Krakowie. Na zorganizowanej w tym samym roku wystawie w Małej Galerii w Warszawie pokazali wyłącznie zdjęcia nieostre, poruszone. W łódzkiej galerii Art Forum Janiak i Kwietniewski ogłosili „Naukę widzenia": „Nie definiuj, nie określaj, nie porządkuj, po prostu ZAUWAŻAJ. Ucz się prywatnie, dla siebie, najlepiej nie mów nikomu o tym, że się uczysz. Zrób zeza". A podczas pleneru w Osiekach swe działania tytułują: „Świątynia sztuki żenującej", „Pozdrawiamy urzędników sztuki" czy „Los człowieka to linia biegnąca z nikąd donikąd /Szołochow".

Ich działania, ale też teksty – ogłaszanie kolejnych manifestów stało się specjalnością Łodzi Kaliskiej – budziły zdziwienie, zaskakiwały, wprawiały w konfuzję. Owszem, byli obecni w miejscach ważnych dla nurtu sztuki konceptualno-medialnej, a stylistyka prac nawiązywała do fotografii lat 70. To jednak były pozory. Im, jak pisał po latach historyk fotografii Krzysztof Jurecki, chodziło „o coś zupełnie innego". O ukazanie niedorzeczności, absurdu czasu i okoliczności, w których przyszło im funkcjonować. „Istota niniejszego projektu polega na tym, że pożyczyłem na jeden dzień okulary Andrzejowi" – opisywał jedną z akcji Janiak. „Bez tych okularów jest mi się trudno obyć, natomiast jemu są zupełnie niepotrzebne".

ŁÓDŹ KALISKA

*„Szarża stojąca", 2016 r. Fotografia będąca zapisem happeningu Łodzi Kaliskiej na Festiwalu Sztuki Efemerycznej w Sokołowsku pod tytułem „Niezbędność ułaństwa we współczesnej Polsce, czyli szarża stojąca". Wydarzenie to przeprowadzono wspólnie z grupą muz–ułanic, z bogatą oprawą dźwiękową (huk wystrzałów, tętent kopyt końskich, pieśni ułańskie). Wokół statycznej figury szarży krążyło tzw. kino chodzące: ekran z projekcją plus widownia kina.*

Strategia przyjęta przez Łódź Kaliską okazała się skuteczna – nie tylko zwrócili na siebie uwagę, ale przede wszystkim wprowadzili do sztuki odświeżający ton. Grupa odarła neoawangardę z jej koturnowości, a ich metodę działania można porównać do wpuszczenia wirusa w system.

### Sztuka żenująca

13 grudnia 1981 r. jeszcze silnej konsoliduje grupę. Ich odpowiedź na wprowadzenie stanu wojennego ponownie jest nieoczywista: „Kultura Zrzuty", czyli sposób funkcjonowania niezależnie od mecenatu państwowego, aktywności sytuującej się poza strukturami oficjalnego życia społeczno-politycznego, ale też poza Kościołem, którego przestrzeń dla wielu twórców stała się wówczas schronieniem. Wreszcie działania poza artystycznymi hierarchiami, środowiskowym uznaniem. Bowiem, jak podkreślał wówczas Marek Janiak, tworzenie sztuki w tych okolicznościach byłoby supercynizmem. Jedynym wyjściem było zatem pokazanie, że jest to zajęcie nieetyczne, niewłaściwe, po prostu żenujące. I to żenadę grupa postanowiła wynieść na piedestał.

W „Ćwiczeniach wyzwalających" Janiak próbował zrobić rzeczy niemożliwe, a jednocześnie kompletnie niepotrzebne jak utrzymanie równowagi na stojącym na dwóch nogach krześle, stanie na rękach na gumowym materacu pływającym po jeziorze czy też wyciąganie szybkim ruchem obrusu spod kilkudziesięciu szklanek stojących na stole. Z kolei działanie Adama Rzepeckiego „Moja nieobecność w sztuce" polegało na... nieobecności artysty w miejscu, w którym miał się zjawić.

Szczególnym miejscem dla „Kultury Zrzuty" w tym czasie stał się Strych, czyli pracownia Włodzimierza Adamiaka na poddaszu kamienicy frontowej przy ul. Piotrkowskiej 149. To w niej Łódź Kaliska urządzała spotkania, projekcje, koncerty. Tu zorganizowano wystawy członków grupy, ale też m.in. Zbigniewa Libery, Anny Płotnickiej, Jana Świdzińskiego czy Jerzego Truszkowskiego. Na Strychu w latach 1983-85 odbyły się trzy niezależne przeglądy filmowe „Nieme kino". Wreszcie tu w latach 1983-86 powstało „Tango", w którym umieszczano manifesty i programy artystyczne, teksty, rysunki, fotografie czy kolaże. Ukazało się zaledwie 9 wydań, ale pismo stało się legendą. A na okładce pierwszego numeru znalazła się Matka Boska Częstochowska, której Adam Rzepecki domalował wąsy. Przypominały słynny zarost Salvadora Dalego, ale nie sposób nie pomyśleć o innym słynnym ówczesnym posiadaczu wąsów, czyli przywódcy Solidarności, z nieodłączną Matką Boską Częstochowska w klapie marynarki. Domalowane do częstochowskiego obrazu, jak podkreślał Karol Sienkiewicz, „miały wskazywać pozycję na artystyczno-politycznej mapie Polski, którą zajmował artysta i jego koledzy – ani po stronie »sztuki czerwonej« (od czerwonego sztandaru), ani po stronie »sztuki czarnej« (od czarnych sutann)".

W połowie lat 80. model „Kultury Zrzuty" zaczął się jednak wyczerpywać. Istotą „Kultury Zrzuty", jak pisał Grzegorz Dziamski, była bowiem towarzyskość. „Nad wszystkim górował duch kolektywizmu, zbiorowości, która się rozrasta, jest coraz liczniejsza – i to stawało się powoli najważniejsze". Zaś „odwrotną stroną towarzyskości – dodawał – była podejrzliwość".

### Być klasykiem

W manifeście „Sztuka potrzebna" ogłoszonym w 1986 r. oznajmili: „Być artystą to niewątpliwie komfort. Też psychiczny (akceptacja społeczna), chyba że ktoś jest premierem. Nadzieja na jeszcze większą akceptację (sztuka musi być postępowa). Artysta głodny nie stworzy nic ciekawego, bo myśli tylko o jedzeniu (głównie o bananach). (...) Potrzebna jest więc i akceptacja, i kolacja". Dwa lata później na wystawie „Polska fotografia intermedialna lat 80-tych" w poznańskim BWA Łódź Kaliska pokazuje inscenizowane zdjęcia oraz film „Freiheit, Nein danke!" nawiązujący do „Wolności wiodącej lud na barykady" Eugène'a Delacroix.

Grupa zaczyna żerować na przeszłości historii sztuki. Na warsztat bierze ikoniczne dzieła i tworzy ich nowe, prześmieszno-ironiczne wersje – „Gabrielę d'Estrées i jej siostrę księżnę de Villars w kąpieli" Szkoły z Fontainebleau ↦

↦ („Siostry", 1988), „Ślepców" Pietera Bruegla st. (1988), „Burłaków na Wołdze" Ilji Riepina („Burłacy", 1990) czy też Matejkowską „Bitwę pod Grunwaldem" (1999). Proponuje własną, nadwiślańską wersję postmodernizmu. Odwołując się do ścisłego kanonu europejskiej kultury, wniosła na piedestał własną przaśność, śmieszność czy brak powabu. Łódź Kaliska wystąpiła nawet o oficjalne wpisanie grupy do rejestru zabytków ruchomych, argumentując prośbę swym dosyć lichym stanem oraz niepowtarzalnością, wyjątkowością i znaczeniem dla kultury narodowej.

Ich działania coraz bardziej przypominały niekończącą się zabawę, a skala prac bywała imponująca. Wciąż też prowokowali, zatrzymaniem np. zakończyła się próba zorganizowania w 1998 r. nielegalnej sesji fotograficznej przed „Narodzinami Wenus" Botticellego we florenckiej galerii Uffizi. A jednocześnie Łódź Kaliska wdarła się do kulturalnego mainstreamu, coraz śmielej flirtując z kulturą masową.

### Sztuka wysoko-niska

W 2000 r. Łódź Kaliska ogłosiła tzw. Manifest Unieważniający. „Unieważniliśmy – donosiła – granice istniejące dotąd między reklamą a Sztuką Wysoką. Reklama jest sztuczna i Sztuka Wysoka jest sztuczna. Dobrze jest tworzyć Sztukę Wysoką, która jest reklamą. (...) Dobra reklama to taka, którą niewielu rozumie, a reszta jest zafascynowana. Dobra Sztuka Wysoka to taka, którą wszyscy są zafascynowani, a niewielu rozumie. Łódź Kaliska będzie uprawiać Sztukę Wysoką o Reklamie, bo przy reklamie jest dużo pieniędzy, a przy Sztuce Wysokiej mało. Przy reklamie przebywa jeszcze więcej pięknych kobiet, i to nam również odpowiada".

Ich fotografie podszywają się pod reklamę, przerysowując, a nawet sprowadzając do absurdu reklamowe klisze, zwłaszcza te obowiązujące poza głównym nurtem wyznaczanym przez prestiżowe agencje. Na zdjęciach Łodzi Kaliskiej dominują młode, atrakcyjne kobiety w prowokujących pozach. Jeżeli już pojawiają się mężczyźni, to zawsze źle ubrani, z koszmarnymi fryzurami, otyli lub sflaczali, nieświezi i w gruncie rzeczy dość żałośni. Czy to kpina, zamierzony kicz, obnażanie absurdów, obalanie schematów? A może wręcz przeciwnie, pod pozorem krytyki artyści w rzeczywistości schlebią najniższym gustom? I jest to mizoginia pod płaszczykiem sztuki krytycznej? Jak pisała Justyna Kowalska: „Leciwych artystów rajcuje kawałek młodej pupy, a jeśli młoda pupa do tego chichocze i jej się to podoba, to tym lepiej".

*Z cyklu „Heroizm niewieści w sztuce niezwykłej artystki dotychczas znanej pod pseudonimem Jan Kochanowski (1530-1584)", 2012 r.*
*Od góry: Podczas pracy nad powieścią, luty 1547 roku. Uprawianie lichwy, kwiecień 1559 roku. Z Urszulką, maj 1579 roku.*
*Reprodukcje prac dzięki uprzejmości Łodzi Kaliskiej.*

Na pewno Łódź Kaliska za nic ma poprawność polityczną i środowiskowe tabu. W powstających w obecnym stuleciu pracach pod hasłem „Wiedza o społeczeństwie" uderzali w rozmaite wyobrażenia kulturowe oraz społeczne stereotypy. Na zdjęciach z cyklu „Niech sczezną mężczyźni" (2008) nagie kobiety pracują w tzw. męskich zawodach, m.in. przy budowie drogi czy w kamieniołomach. W „Alementarzu" (2010) nawiązującym do „Elementarza" Mariana Falskiego bohaterami są Ala i Ali, manekiny wzorowane na postaciach „nowych Polaków" – Chinki i Araba.

Najciekawsza w tym przypadku nie jest jednak gra z rozmaitymi artystycznymi „-izmami" i kulturowymi trendami, lecz z wyobrażeniami artysty jako istoty wyjątkowej. Podobnie jak muzy, bez której „prawdziwy" artysta obyć się nie może. Wreszcie, jest to kpina z wizji sztuki jako formy celebracji piękna, twórczości zanurzonej w tradycji i odejmującej „odwieczne tematy".

W obecnej dekadzie zajęła się polskimi mitami narodowymi (już wcześniej buszowała w polskim imaginarium). W „Paradzie wieszczów" opowiada je na nowo. W „Balladyna selfie" (2014-15) głównym zajęciem bohaterki Słowackiego okazuje się robienie sobie zdjęć, „Heroizm niewieści – Janina Kochanowska" (2012) ujawnia, że autorem „Trenów" była... kobieta, w „Stefanie i Majonezie" (2010) na równi zestawiono dwa symbole Kielc – Stefana Żeromskiego i popularny produkt tamtejszej Spółdzielni Pracy „Społem" (jednocześnie świetnie grając z warholowską stylistyką). Na zdjęciu „Niezbędność ułańska we współczesnej Polsce, czyli szarża stojąca" (2016) można zobaczyć atak grupy nagich... muz-ułanic dosiadających konie i kozły gimnastyczne.

Za każdym razem jest to spojrzenie na polskość z dystansem, ironiczne, często prześmiewcze. Skrajnie inne od dominującej dziś oficjalnej narracji, ale paradoksalnie bliższe polskiej tradycji myślenia o własnej przeszłości, w której jest miejsce na refleksję i krytyczny namysł. Zresztą, jak podkreślał przed laty Andrzej Świetlik w rozmowie z Hanną Marią Gizą, charakteryzując strategię Łodzi Kaliskiej, wciąż zakładającej nowe maski: „Takie małe prowokacje, w dodatku o charakterze artystycznym – no, czasami może lekko chuligańskim, ale tylko czasami – są pożyteczne". I tłumaczył: „A skandale to najczęściej efekt uboczny naszych małych prowokacji, tak zwana wartość dodana". © PIOTR KOSIEWSKI

*Henryk Waniek, „Mundus", 2010 r.*

# W Niebylii i gdzie indziej

ELIZA KĄCKA

**Na świat składają się miejsca istniejące i nieistniejące. W miarę znikania na mapach białych plam wzrasta liczba krain i miejsc fikcyjnych. Taka jest prawidłowość.**

Ha, nieszczęsna, wiem wszystko! – zakrzyknął zazdrosny mąż. – Czyżby? – odparła perfidna małżonka. – A kiedy była bitwa pod Byczyną?". Wiedzieć wszystko niewielu się zdarza, niemniej się zdarza. Za naszych czasów wiedział wszystko, jak się zdaje, Stanisław Lem, wiedział Umberto Eco, podejrzewam też, że wiedział wszystko, a w każdym razie (co jeszcze rzadsze) wszystko rozumiał redaktor Jerzy Turowicz – no i wie wszystko Alberto Manguel.

Jak z tego zestawienia wynika, oprócz wszechwiedzy polihistor winien żywić poczucie humoru.

### Gęstość realności

Wydany właśnie w języku polskim kolosalny „Słownik miejsc wyobrażonych" to dzieło bezbrzeżnej erudycji i poczucia humoru Alberta Manguela. Po prawdzie „Słownik" ten zawiera też pewien wkład, głównie inicjacyjny, dziennikarza Gianniego Guadalupiego, jak i współpracowników z kolejnych krajów, gdzie był wydawany, jednakże tak dalece odzwierciedla znaną czytelnikom „Tygodnika Powszechnego" osobowość Manguela (był gościem Festiwalu Conrada w 2011 r.), iż autorstwo nie podlega wątpliwości.

Mamy bowiem w tej księdze do czynienia z kimś opętanym namiętnością czytania, a co więcej – porządkowania tego, co przeczytane, a co ze swej natury uporządkować się nie da. Jak sama rzeczywistość, którą z tej przyczyny objąć może jedynie system alfabetyczny. Toteż Alberto ↦

↦ Manguel, systematyk zmyśleń, stać się musiał z konieczności encyklopedystą. I zmierzyć się nie tylko z bezmiarem Biblioteki Babel, lecz i z nieuchwytnością fikcji.

Jako projekt „Słownik" ma już lat prawie 40 (pierwsze wydanie w roku 1980) i stanowi relikt czasów, gdy nie co inne, lecz książka wystawiała pomniki myśli ludzkiej. Zamknąć między okładkami całą w miarę możności dziedzinę wiedzy lub pseudowiedzy – oto ambicja autorów tych kompendiów.

Za okaz pokrewny posłużyć może „Dictionnaire de la Bêtise et des Erreurs de Jugement" (Słownik głupoty i błędnych sądów) Guy Bechtela i (znanego też w Polsce) Jeana-Claude'a Carrière'a z roku 1965, który w najnowszej, ósmej bodaj edycji liczy bite 1200 stron na papierze biblijnym i wciąż się rozrasta. Takie bywają kłopoty twórców dzieł otwartych. Dziełem tegoż rodzaju jest i „Słownik" Manguela, na skutek czego sześcioro tłumaczy, nie licząc redaktorów, walczyło z nim cztery lata.

W wydaniu polskim dzieło zyskało około dwudziestu haseł polskich (mogło być i drugie tyle), co stanowi przywilej wydawców książki w danym kraju. Ponadto owo wydanie posiada tę osobliwość, że ostatnie z haseł, poświęcone miastu manekinów Debory Vogel, mieści się na nadliczbowej, lecz paginowanej 1001 stronie – jako hołd nie tylko dla „Księgi tysiąca i jednej nocy", lecz i mającej tę właśnie objętość „The First Encyclopedia of Tlön" z genialnej noweli Jorge Luisa Borgesa (którego Manguel był lektorem) pod tytułem „Tlön, Uqbar, Orbis Tertius". Wtajemniczeni szepcą, że w gąszczu haseł „Słownika" kryją się dwa sfingowane, to jest takie, którym nie odpowiada żadna, by tak rzec, rzeczywistość książkowa – lecz nikt ich dotąd nie wskazał.

Jak słusznie rzekł Bruno Schulz: „język nasz nie posiada określeń, które by dozowały niejako stopień realności, definiowały jej gęstość". Jego „Ulica Krokodyli" (której nie ma w „Słowniku") igra właśnie – bądź stanowi teren doświadczeń – z tym, o czym mowa: z konsystencją fikcji. Jest to bowiem wspaniałe terytorium wolności. W braku ścisłej terminologii, a trochę dzięki temu, na obszarze wyznaczonym w tej księdze pohulać można z wszelkimi rodzajami zmyśleń, od ordynarnych łgarstw Lukiana czy Rabelais'go po zdradliwie przesunięty realizm Tibora Déry'ego czy Olgi Tokarczuk – a stamtąd z powrotem po natchnioną poetyckim absurdem Selenę z „Miasta wampirów" (1875) Paula Févala, od której autorzy „Słownika" zaczęli swą przygodę. Od krain Nie-do-Wiary przez Jak Żywe do Wizyjnych, z Wariackimi gdzieś pośrodku. Przypadek szczególny stanowią blagi drugiego stopnia jak Barataria, wyspa zaimprowizowana na stałym lądzie, by fikcyjnej, lecz gorzkiej władzy zakosztował tam niby-giermek samozwańczego Rycerza Smętnego Oblicza.

### Pustka przeciw pustce

Za temat tej książki uznać więc trzeba alternatywną rzeczywistość, do której ród ludzki, tworząc mitologie, legendy i literaturę, wykazuje niepojętą skłonność. „Słownik" Manguela i Guadalupiego bada je na swój sposób (gdyż także panorama bywa studiowaniem przestrzeni), lecz i sam stanowić może obiekt badań. Z tych zaś płynie wniosek, że krainy nieistniejące, a zwłaszcza niemożliwe, nawiedzają naszą kulturę falami: jedna przypadła na recepcję tekstów antycznych w późnym średniowieczu, druga – na czasy wielkich odkryć geograficznych, trzecia – na gust Oświeconych do utopii, czwarta na epokę kolonializmu, my zaś żyjemy w piątej, kiedy pisarze folgują wyobraźni, tworząc rozległe sagi w duchu *fantasy*.

Mówiąc nawiasem, te ostatnie, pełne kartograficznych i *quasi*-historycznych szczegółów, wydatnie wpłynęły na rozrost objętości „Słownika". Czytelnikom niezdolnym przedrzeć się przez J.R.R. Tolkiena, C.S. Lewisa bądź Ursulę Le Guin (jeśli są tacy) zastąpić to może lekturę.

Filozofii czytania dzieło Manguela i Guadalupiego dostarcza sporo tematów do refleksji. Na przykład myśl taką, że podgląda się tu nieistnienie w całej jego uzurpatorskiej mocy. W dodatku do potęgi, bo tradycyjną fikcyjność fabuł wzmaga urojony charakter miejsc akcji. Z dobrą wiarą, serio, oszukańczo, szyderczo, dla żartu, na próbę i w celach komercyjnych piśmiennictwo wszelkich odmian eksploatuje tu swój kreacyjny potencjał, pozwalając lub nie pozwalając dociec, do czego zmierza.

Kto wie, co chodziło po głowie autorowi najstarszego apokryfu książki (2000 lat p.n.e.), skrybie Amen-aa z czasów egipskiej XII dynastii, gdy opisywał spotkanie rozbitka z rozumnym wężem na Wyspie Podwójnej? O co szło Magdalenie Tulli, autorce najmłodszego w książce hasła, gdy w powieści „W czerwieni" (1998) z realnych hanzeatyckich miast tworzyła syntetyczne „Ściegi"? Pytanie to „Słownik miejsc wyobrażonych" poleca rozważyć ponad dwa tysiące razy.

Osobliwe bogactwo domeny miejsc zmyślonych każe też sądzić, że nie mamy tu do czynienia z żadnym wyjątkiem, lecz z regułą. Obfitość ta bez wątpienia – podszeptuje psychoanalityk – przesłonić ma jakiś brak, wypełnić puste miejsce kultury, której najwyraźniej nie wystarcza świat realny. Programowo pominięte przez autorów „Słownika" pisarstwo *science fiction*, nie tak znów dawno temu zapełniające kosmos niezliczonymi tworami imaginacji, podsuwa tenże wniosek.

Toteż psychoanaliza, zajmująca się generalnie brakiem (z początku pewnej części ciała, której nie nazwę, odczuwanym ponoć przez tzw. piękniejszą połowę populacji ludzkiej, potem fantomami innych niespełnień), zastosowana do materii, a raczej antymaterii „Słownika", pozwala rozpatrzyć ją w kategorii marzeń.

Są to marzenia o rzeczywistości bez granic, zaskakującej, niekoniecznej, absurdalnej, zawrotnie i upajająco odmiennej.

Ciekawe zjawisko: bliżej nieokreśloną potrzebę, czyli pustkę braku satysfakcji, zapełnić ma inna pustka, to znaczy czyste fantazje. Podobne leczy się tu podobnym,

OGŁOSZENIE

**Przed Sądem Rejonowym w Brzesku** pod sygn. akt I Ns 775/19 toczy się postępowanie z wniosku Spółki dla Zagospodarowania Wspólnoty Gruntowej wsi Dołęga o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jej rzecz własności działki ewidencyjnej nr 772/1 o pow. 1,67 ha, położonej w Dołędze, gm. Szczurowa, powiat brzeski, powstałej z p.grt. 1231/7 z zaginionego lwh 764 gm. kat. Dołęga.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawcy, o ile zostanie udowodnione.

jak w homeopatii, przy czym lekarstwo, które tylko w formie „Słownika” zdaje się gęste, spełnia funkcję rozcieńczeń nazbyt masywnej rzeczywistości.

### Świat kompletny

Geografia imaginacyjna służy bowiem nade wszystko zadziwianiu. „Niejedno z miejsc wymyślonych przez zapomnianych kronikarzy samo w sobie jest doskonałe i nie potrzebuje żadnych uzasadnień, aby istnieć – mówi autorska przedmowa. – Świat byłby bez nich dużo uboższy”.

Ten właśnie punkt widzenia winni przyjąć czytelnicy. Zdaniem Manguela i Guadalupiego na świat składają się bowiem miejsca istniejące i nieistniejące. Czy na równych prawach – to rzecz do dyskusji, lecz pewne jest, że w miarę znikania na mapach białych plam i miejsc *ubi leones* wzrasta liczba krain i miejsc fikcyjnych. Całkiem, jakby jakieś nieznane prawo równowagi dbało, by bilans ogólny pozostał niezmieniony. Podobnym paradoksem byłoby stwierdzenie, że na ludzkość składają się osoby kiedykolwiek żyjące oraz postacie z dzieł literackich. Oto prawdziwie pisarski światopogląd.

Perfidny zamiar autorów pomieszał krainy domniemane, krainy eksperymentalne i krainy bajeczne. Fikcja bowiem niejedno ma imię i czasem jedno płynnie przechodzi w drugie. Takie punkty przejścia znalazłam w „Słowniku” dwa.

Pierwszym jest znane z bajki La Fontaine’a „Dwaj przyjaciele” Monomotapa, „miasto, którego mieszkańców łączy tak głębokie uczucie przyjaźni, że wyczuwają nawzajem swoje potrzeby i pragnienia”. Tymczasem Monomotapa, jeśli wierzyć Wikipedii, to „przedkolonialne państwo w Afryce Południowej. Stolicą państwa było Wielkie Zimbabwe. Terytorium w szczytowym okresie rozwoju obejmowało tereny dorzecza Zambezi i Limpopo”.

Drugi przykład to Rominten, rezydencja myśliwska Wilhelma II, a później Göringa w Prusach Wschodnich, fikcyjna wyłącznie w „Królu olch” (1970) Michela Tourniera, któremu autorzy niebacznie zawierzyli. Przypadkiem symetrycznym z drugiej strony niebytu mogłoby być nieobecne w „Słowniku” Montsou, okręg górniczy z „Germinala” (1885) Émila Zoli – programowo tak demoniczna, że aż nierealna synteza kilku ośrodków rzeczywistych. Takie niespodzianki sprawiają krainy domniemane.

> Za temat książki trzeba uznać **alternatywną rzeczywistość**, do której ród ludzki, tworząc mitologie, legendy i literaturę, wykazuje niepojętą skłonność.

Krainy eksperymentalne, a więc utopie lub ich przeciwieństwa, wywodzą się z regionów świata na opak. Okazem wzorcowym jest tu kraina dostatku Kokania, znana z obrazów Pietera Bruegla Starszego, wymarzony punkt docelowy ludzkości. Z czasem jednak coraz mniej tam *dolce far niente*, zaś coraz więcej harówki, rygoru i drylu, aż w końcu czytelnik budzi się w koszmarze. Nikomu nie życzę pobytu w zimnej Utopii (1516) Tomasza Morusa, w ponurym Mieście Słońca (1602) Campanelli, a nawet w poczciwym Nipu (1776) biskupa Ignacego Krasickiego, gdzie znalezienie przy kimś scyzoryka grozi ukamienowaniem, a choćby w higienicznej utopii z „Pięciuset milionów Begumy” (1879) Verne’a: z owego Miasta-Francji za posiadanie dywanu wyrzucają na pysk. Co gorsza, niektóre utopie skłaniają do ich realizacji, a to już jest najgorsze, co może spotkać wyobraźnię.

Wytchnienie dają królestwa baśniowe, które sięgają czasem w wysokie strefy poezji. Każdy, i słusznie, wymieni w tym miejscu obie krainy Lewisa Carrolla, lecz niespodziankami, jakimi darzy „Słownik miejsc wyobrażonych”, są też na przykład wspaniałe fantazje książki z dziecinnego pokoju – cyklu o krainie Oz L. Franka Bauma z pierwszych lat XX wieku. To samo dotyczy „Wodnych dzieci” Charlesa Kingsleya (1863). Zupełnie nieznane są u nas olśniewające absurdy „Rootabaga Stories” (Opowieści z Krainy Brókwi, 1922) świetnego poety Carla Sandburga; za odkrycie uznać też wypada urocze „Kingdoms of Elfin” (Królestwa elfów, 1977) Sylvii Townsend Warner, które w swoim czasie zdobyły szturmem czytelników „New Yorkera”. Nadzwyczaj sprawdzają się też książki wyspecjalizowane jako bedekery krain zmyślonych – od Lukiana przez Rabelais’go, Swifta, „Mardi” (1849) Melville’a, po cykl azjatycki Karola Maya i oczywiście „Niewidzialne miasta” (1972) Itala Calvina.

„Słownik” ten każe marzyć o innych słownikach, jeszcze nienapisanych, jak na przykład Słownik Par Literackich (Don Kichot i Sancho, Robinson i Piętaszek, Faust i Mefistofeles, Sherlock Holmes i doktor Watson, Bouvard i Pécuchet), zdolnych objawić niejedną osobliwość związków międzyludzkich i parę sekretów kreacji literackiej na dodatek. Albo jeszcze bardziej domagający się istnienia Słownik Szwarccharakterów (od Tersytesa przez Ryszarda III, Franza Moora, Smierdiakowa po Gnębona Puczymordę). Albo przewrotny Słownik Literackich Mistyfikacji od Klary Gazul przez Émile’a Ajara po Beniamina Wiłkomirskiego. Sporządzenie takiego słownika stanowić by mogło wdzięczny cel uniwersyteckiego seminarium, przedsięwzięcia, które choć po części odjęłoby akademickiej polonistyce styl kazania na puszczy.

„Książkę, która nie zawiera swej antyksiążki, uważać należy za niekompletną” – powiada Borges. Za antyksiążkę „Słownika” przyjąć trzeba, rzecz jasna, piśmiennictwo przykładnie skupione, jak przystało solennej sztuce literackiej, na opisach miejsc realnych. W istocie jednak autorzy skrycie przesuwają granicę. Po jednej stronie jest zbiór zgromadzonych przez nich fantazji, po drugiej – prawdziwy świat i wszystkie jego realistyczne książki. A więc sprawa ma się odwrotnie: to „Słownik” jest antyksiążką całej rzeczywistości. Bez niej nie sposób uznać świata za kompletny. Kto więc zgodzi się z tym spostrzeżeniem, a zależy mu na całości świata, musi – nie ma innego wyjścia – „Słownik miejsc wyobrażonych” przeczytać.

© ELIZA KĄCKA

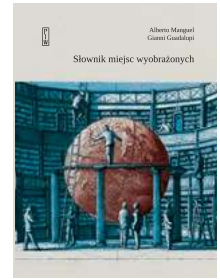


*Alberto Manguel, Gianni Guadalupi* **SŁOWNIK MIEJSC WYOBRAŻONYCH** *przeł. Piotr Bikont, Jan Gondowicz, Michał Kłobukowski, Jolanta Kozak, Maciej Płaza, Maciej Świerkocki, PIW, Warszawa 2019.*

EDGAR SAMUEL PAXSON / DOMENA PUBLICZNA

*Sacagawea z plemienia Szoszonów, przewodniczka Meriwethera Lewisa i Williama Clarka, w Three Forks, Missouri, 1805 r.*

# Na koniec świata

BARTOSZ HLEBOWICZ

**Prezydent Jefferson postrzegał nieznany białym Amerykanom Zachód jako krainę o nieskończonych zasobach, mającą być wiecznym źródłem witalności narodu. Należało go tylko odkryć.**

Pod koniec września 1806 r. trzydziestoosobowy oddział żołnierzy pod wodzą młodych oficerów Meriwethera Lewisa i Williama Clarka powrócił z niemal dwuipółletniej wyprawy z St. Louis nad Pacyfik. To wtedy naprawdę narodziły się Stany Zjednoczone.

Wyprawę Lewisa i Clarka opisuje historyk Stephen Ambrose w bestsellerowej książce „Undaunted Courage" z 1996 r. Ukazała się właśnie po polsku jako „W poszukiwaniu granic Ameryki. Wyprawa

Lewisa i Clarka". Ambrose, znany również z biografii prezydentów i bardzo popularnych dzieł sławiących amerykańskich żołnierzy podczas II wojny światowej, mówi o sobie: „Jestem czcicielem bohaterów". I ta jego pasja jest wyraźnie widoczna również w tej książce.

### Okno na zachód

„Byłem całkowicie pewien, że jeśli Indianie mogli pokonać te góry z kobietami i dziećmi, mogliśmy je pokonać i my" – tak w sierpniu 1805 r. kapitan Lewis uzasadniał decyzję o podjęciu wielodniowego marszu trudnym górskim szlakiem. Indianie z plemienia Nezpersów pokonywali go co roku, by w dolinie Missouri polować na bizony.

Lewis i Clark w istocie dokonali czynu bardzo amerykańskiego: wypuścili się w nieznane, odbyli podróż życia, „zindianizowali się" i w imieniu imperium zawładnęli ogromnym terytorium. Lewis, który stawiał się w jednym szeregu z Kolumbem i Cookiem, dowodził oddziałem, który zbadał Missouri, Kolumbię, przedarł się przez Góry Skaliste i dotarł aż do Pacyfiku. Łącznie z drogą powrotną Korpus Odkrywców przemierzył 8 tysięcy mil.

Lewis był bardzo dobrym obserwatorem i niezłym rysownikiem, Clark był świetnym kartografem. Razem opisali kilkadziesiąt gatunków nieznanych białemu człowiekowi zwierząt i roślin, nakreślili dokładne mapy rzek w północno-zachodniej części Stanów. Podczas wyprawy żołnierze wcielili się w role negocjatorów, kronikarzy i etnografów. Byli niczym „rzymski legion, straż przednia imperium, wysłana na rekonesans na obrzeża rozrastającego się imperium" – pisał historyk James Ronda.

Chociaż wyprawa nie zrealizowała głównego celu – odnalezienia drogi rzecznej nad Pacyfik (bo, jak się okazało, takowej nie ma), dokonała znacznie więcej: „otworzyła okno na zachód", jak ujął to inny badacz amerykańskich dziejów, John Logan Allen.

Już w czasie przygotowań do wyprawy Stany kupiły od Francji Luizjanę, podwajając swoją powierzchnię. Prezydentem był wtedy Thomas Jefferson, jeden z autorów Deklaracji Niepodległości. Luizjana w owym czasie nie była niepozorną plamką na Głębokim Południu z dzisiejszych map, lecz grubo ponad dwoma milionami kilometrów kwadratowych – przepastnym terytorium na zachód od Missisipi, od Zatoki Meksykańskiej po Kanadę. Z bliżej nieokreślonymi zachodnimi granicami, które należało jak najprędzej ustalić, ponieważ chrapkę na terytorium Oregonu mieli Brytyjczycy z Kanady.

Przeciwnicy polityczni Jeffersona, federaliści, uważali, że kupowanie „dzikiej pustyni" na zachodzie nie ma sensu, że przecież Stany nie mają pieniędzy i są już wystarczająco wielkim państwem. Wyobraźnia Jeffersona sięgała dalej. Dobrze rozumiał, że objęcie w posiadanie terytorium na zachód od Missisipi jest niezbędnym warunkiem przetrwania młodego państwa.

Wysłani przez Jeffersona żołnierze zademonstrowali światu, że Zachód nie jest dziką pustynią ani też terenem, który po prostu trzeba przebyć w poszukiwaniu mitycznego przejścia Północno-Zachodniego i drogi do Indii (co Europejczycy czynili od XIII w.), lecz krajem wartościowym samym w sobie, zasobnym w zwierzęta i żyzne prerie, a także pełnym ludów tubylczych, z którymi opłacałoby się handlować. A potem przejąć go i zagospodarować.

Wielotomowe „Dzienniki Lewisa i Clarka", z których obficie korzysta Ambrose, kilkukrotnie wznawiane i na nowo opracowywane w XX w., w rzeczywistości zawierają wszystkie zachowane notatki także paru innych członków wyprawy. Nie były to zapiski osobiste – żołnierze prowadzili je na życzenie swojego przełożonego, prezydenta Jeffersona, którego celem, zgodnie z oświeceniowymi założeniami „nauki użytecznej", było utrwalenie wiedzy zdobytej podczas podróży. Ronda, jeden z najlepszych badaczy ekspedycji, nazywa dzienniki Lewisa i Clarka (i całej reszty) „pierwszą amerykańską powieścią drogi".

### Wybrańcy Boga

Ambrose porównuje prozę Lewisa i Clarka do strumienia świadomości Joyce'a i Faulknera. Można by się o to spierać, choćby dlatego, że mamy tu raczej do czynienia z taką sobie znajomością ortografii i interpunkcji. Tak czy inaczej, dzienniki są fascynującą lekturą, pozwalającą zrozumieć ambiwalentne początki amerykańskiego narodu, zbudowanego na iluzjach zamienianych w rzeczywistość przez zahartowanych pragmatyków. Takim sprzedawcą złudzeń – wizjonerem, był Jefferson, który kazał swoim wysłannikom szukać „Indian walijskich", potomków mitycznego księcia Madoka (zarówno prezydent, jak i jego ulubieniec, kapitan Lewis, wywodzili się z walijskich rodów).

Jefferson postrzegał nieznany wtedy białym Amerykanom Zachód jako biblijny ogród, krainę o nieskończonych zasobach, mającą być wiecznym źródłem zasobności i witalności jego narodu, antidotum na zepsucie wschodnich miast. Jednocześnie uważał, że Zachód jest krainą „naturalnego chaosu", którą Amerykanie muszą uporządkować i wykorzystać.

Solą narodu mieli być rolnicy – „pracujący w ziemi, którzy są wybrańcami Boga". Jefferson, który nigdy nie wychylił nosa poza góry Blue Ridge w swojej rodzinnej Wirginii, był mózgiem i programistą ekspedycji, prawdziwym argonautą wyobraźni. Podróż nad Pacyfik odbył w swojej głowie, zanim jego zaufani posłańcy uczynili to w realu. To Jefferson dał tysiącom osadników mit, który uczynił z nich Amerykanów.

Na początek Zachód – w zamierzeniu prezydenta – powinien był stać się czymś w rodzaju jednego wielkiego rezerwatu dla Indian, również tych przesiedlanych ze wschodniego wybrzeża. Tym sposobem tubylcy mieli nie przeszkadzać białym rozwijać się (czytaj: czerpać z ziem i zasobów odebranych Indianom). Ten sam Jefferson potrafił jak nikt inny pięknie opłakiwać odchodzącą rasę szlachetnych czerwonoskórych (*vide* jego „Uwagi o stanie Wirginia").

### Preryjna wspólnota

Ambrose opowiada o czasach, kiedy obszar na zachód od Missisipi był jeszcze na wskroś indiański, kiedy układ sił nie był taki jednoznaczny, a kolonizacja była dopiero w planach. Lewis i Clark byli (nieproszonymi) gośćmi w krainie, w której obowiązywały lokalne wzory sojuszy, rywalizacji, handlu. Wśród nich działali francuscy handlarze i przedstawiciele brytyjskich spółek handlowych z Kanady. Lewis i Clark reprezentowali interesy młodego imperium amerykańskiego, zapowiadając włączenie się do gry kupców z St. Louis.

W owym czasie rywalizacja nie przebiegała na linii „biali"–„czerwoni", lecz Brytyjczycy–Amerykanie oraz np. Mandanowie–Arikarowie, czy Siuksowie ↦

↦ i Czarne Stopy kontra reszta terroryzowanych przez nich tubylczych ludów. To terytorium w owym czasie właściwiej za historykiem Richardem White'em nazwać *middle ground* – strefą zachodzenia się światów, kontaktu i wypracowywania nowych, wspólnych znaczeń.

Był to czas wzajemnego poznawania się, mniej i bardziej nieudolnych prób komunikowania się, handlu i dyplomacji, niejednokrotnie pieczętowanej seksem żołnierzy z młodymi Indiankami (oraz, jak zanotował Clark, „bardzo częstymi przypadłościami wenerycznymi" – wielu uczestników wyprawy, zarażonych syfilisem, umarło w kilka lat po powrocie. „Czemu tak się wam podobają nasze kobiety? Można by pomyśleć, że nigdy przedtem nie widzieliście żadnej" – pytał zdumiony wódz Arikarów).

Jednym z moich ulubionych fragmentów dzienników jest zapisek porucznika Clarka z 16 października 1805 r. Opowiada o spotkaniu z Yakimami w dzisiejszym stanie Waszyngton: „Po wypaleniu fajek z Indianami, którzy zebrali się, żeby nas zobaczyć, rozbiliśmy obóz i rozpaliliśmy ogniska. Wtedy nadszedł ich wódz na czele mniej więcej 200 mężczyzn, którzy śpiewali i uderzali w bębny. Nie przerywając tańca, utworzyli wokół nas półokrąg. Poczęstowaliśmy ich tytoniem i przemówiliśmy do ich wodzów, używając najlepiej jak umieliśmy języka gestów, informując o naszym przyjaznym nastawieniu wobec wszystkich narodów i o naszej radości spowodowanej tym, że widzimy wokół nas wszystkie nasze dzieci. Głównemu wodzowi wręczyliśmy medal, koszulę i chustkę, a drugiemu wodzowi mniejszy medal, a wodzowi, który przybył z wiosek powyżej, mały medal i chustkę".

Jest w tej relacji wszystko: wzajemne okazywanie przyjaźni i szacunku, wspólna zabawa, ale też buta białych gości, którzy nazywają gospodarzy swoimi dziećmi i wręczają im medale z podobizną prezydenta obcego dla nich kraju, a także rozstrzygają, którzy wodzowie są mniej lub bardziej ważni.

Kiedy indziej to żołnierze tańczyli dla Indian, jeden z nich nawet na rękach. Jesteśmy przyzwyczajeni do scen, w których kawaleria szarżuje na indiańskie wioski, ewentualnie eskortuje „dzikich" do rezerwatów. Ale żołnierze tańczący przed tubylcami, żeby im sprawić przyjemność, to niecodzienny obrazek.

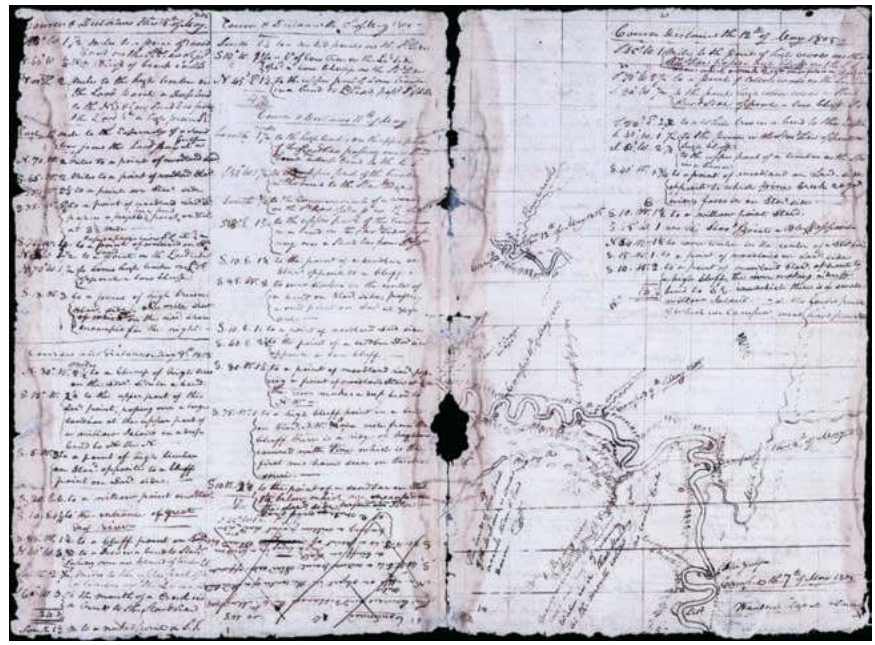

LIBRARY OF CONGRESS

*Zapiski z ekspedycji Lewisa i Clarka*

W tamtych czasach spontaniczne tworzenie się chimerycznej, wieloetnicznej „społeczności prerii" (znów określenie Rondy) było jeszcze możliwe.

Największa wartość książki Ambrose'a i samych dzienników polega na tym, że pozwalają one śledzić codzienne relacje z tubylcami – nie wyobrażonymi, lecz ludźmi z krwi i kości.

Potrzeba rozwiązywania bieżących problemów garstki śmiałków w obcym kraju przynajmniej częściowo zawieszała „perspektywę imperialną". Wraz z autorem czytelnik zanurza się w te codzienne zapiski, obserwuje żołnierzy z bliska przez dwa lata z okładem, wyobraża sobie życie wśród Mandanów czy Czinuków, pertraktacje i gonitwy za Lakotami, którzy ukradli białym konie, strzelaniny z Czarnymi Stopami, palenie fajki z Yakimami, wspólne tańce z Yanktonami, Nezpersami i Walla Walla czy dzielenie szlaku z Szoszonami.

Owszem, z dzisiejszej perspektywy jest jasne, że nie przyjechali ze szlachetnymi zamiarami. Ale też ich postawy wobec tubylców wcale nie były jednoznaczne: od obrzydzenia, niechęci („najbardziej odrażającym widokiem w mym życiu były te brudne, nagie dziewki", pisał Lewis podczas pobytu u Czinuków i Klatsopów znad Pacyfiku, jednocześnie opisując ich jako „łagodnych i nieagresywnych") przez drażniący paternalizm po podziw, sympatię, a nawet coś w rodzaju przyjaźni.

## Odkrycie zapomnianych bohaterów

W XIX w. podróż Lewisa i Clarka pozostawała zapomniana, zapiski z wyprawy kurzyły się w filadelfijskim Amerykańskim Towarzystwie Filozoficznym, zdeponowane przez Jeffersona. Herosami Ameryki pozostawali raczej Daniel Boone, Jim Bridger, Kit Carson, George Armstrong Custer i Buffalo Bill. Jeszcze pod koniec XIX w. Henry Adams, wnuk Johna Adamsa, drugiego prezydenta USA i przeciwnika Jeffersona, twierdził w swej historii Stanów Zjednoczonych, że wyprawa Lewisa i Clarka wniosła „niewiele do zasobu wiedzy czy bogactwa (...). Przejście kontynentu było wielkim wyczynem, lecz niczym ponad to". Zdaniem Adamsa bardziej doniosłe dla historii kraju, jeśli chodzi o początek XIX w., były prace nad statkiem parowym Roberta Fultona.

Dopiero w XX w. „odkrywcy" zostali odkryci. Powstały kolejne edycje dzienników kapitanów i żołnierzy uczestniczących w wyprawie (pierwsza w 1904 r., w setną rocznicę wyprawy). Napisano dziesiątki książek historycznych, antropologicznych i popularnych, setki naukowych artykułów. Ukazała się książka o medycznych aspektach ekspedycji, inna opowiadała o wyprawie z punktu widzenia Yorka – czarnoskórego niewolnika Clarka.

Osobne dzieła traktują o podróży Lewisa i Clarka z perspektywy Indian oraz

poszczególnych plemion, z którymi się stykali. W książce „The Indianization of Lewis and Clark" historyk William R. Swagerty na 820 stronach zanalizował proces „indianizowania się" żołnierzy. Przebił go polski pasjonat wyprawy, Adam Piekarski, który w wydanej w zeszłym roku książce poświęcił jej aż 950 stron. James Ronda napisał lub zredagował aż osiem książek dotyczących ekspedycji. Istnieją co najmniej trzy książki, które opowiadają o wyprawie z perspektywy należącego do Clarka psa! Powstała seria filmów dokumentalnych oraz hollywoodzki obraz „Dalekie horyzonty" z Fredem MacMurrayem i Charltonem Hestonem (a także, co typowe, białą aktorką Donną Reed z pomazaną na brązowo twarzą w roli Sacagawei) oraz setki przewodników, książeczek do kolorowania, gier karcianych, a nawet książek kucharskich poświęconych Korpusowi Odkrywców.

Najpopularniejsza w USA moneta to złota jednodolarówka z podobizną Sacagawei, którą legenda – wbrew faktom – uczyniła jedyną przewodniczką wyprawy podczas całego okresu jej trwania (a film hollywoodzki wręcz kochanką Clarka, bo przecież bez romansu, nawet wyssanego z palca, fabryka snów nie mogła się obejść). Setki tysięcy turystów, z Ameryki i całego świata, pędzą każdego roku po różnych odcinkach trasy Lewisa i Clarka. Spośród wszystkich publikacji o tej „amerykańskiej Odysei" właśnie „W poszukiwaniu granic" zyskała największą sławę, docierając na szczyt listy bestsellerów „New York Timesa".

### Los Indian

Nie łudźmy się: w ogólnym rozrachunku „odkrycie" Dalekiego Zachodu przyniosło większości ludów tubylczych zgubę. Wystarczy przypomnieć ujarzmienie i osadzenie w rezerwatach Lakotów 70-80 lat później i zdradzieckie zlikwidowanie ich legendarnych wodzów: Szalonego Konia, Siedzącego Byka i Wielkiej Stopy, eksterminację Indian kalifornijskich po odkryciu złota w 1848 r. w Sutter's Mill, wypędzenie z ojczystych ziem Nezpersów, Saliszów i innych grup z Płaskowyżu w zaledwie siedem dekad po spotkaniu z białymi „odkrywcami". Biedni Szoszoni, zastraszani przez Czarne Stopy (które zaopatrywały się w broń u Brytyjczyków), pomogli wyprawie w nadziei, że w zamian otrzymają karabiny i proch, niezbędne do obrony. Nigdy się ich nie doczekali.

O straconych przez oficerów szansach nawiązania prawdziwych więzi z Indianami świadczy chociażby komentarz Clarka z dziennika z 17 października 1804 r., dotyczący rozmowy z Arketarnarsharem, wodzem Arikarów, który mu opowiadał o „tradycjach dotyczących żółwi, węży etc., mocy poszczególnych skał czy zatoczek". „Nic z tego nie jest warte odnotowania", podsumował oficer.

Jeszcze bardziej przykry jest przytoczony przez Ambrose'a komentarz Lewisa na temat Czarnego Kota, wodza Mandanów: „Człowiek ten posiada więcej charakteru, twardości, inteligencji i jasności umysłu niż jakikolwiek Indianin napotkany w tych stronach, i sądzę, że przy odpowiednim obchodzeniu się z nim, może stać się użytecznym agentem służącym promowaniu planów naszego rządu". W tym jednym akapicie konkretny człowiek, może nawet przyjaciel, zostaje zredukowany do potencjalnego narzędzia ekspansji imperialnej.

Bez lektury Ambrose'a i dzienników Lewisa i Clarka nie sposób zrozumieć, jak powstała Ameryka.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

*Stephen E. Ambrose* **W POSZUKIWANIU GRANIC AMERYKI. WYPRAWA LEWISA I CLARKA,** *przeł. Jan Szkudliński, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2019*

TYGODNIK POWSZECHNY

*Zapraszamy na „Lekcje czytania"*

CONRAD FESTIVAL I STALI BYWALCY

CONRAD FESTIVAL

Od Bukowiny po Szczekociny, od Chojnic do Szprotawy, a poza tym Zakopane, Łódź, Nowy Targ, Puławy, Bydgoszcz oraz oczywiście Kraków – lista szkół, które przyjeżdżają regularnie na Festiwal także po to, by wziąć udział w „Lekcjach czytania", rośnie z roku na rok! Tygodniowy conradowski cykl „Lekcji..." prowadzili w tym roku Olga Drenda, Aleksandra Hudymač, Zofia Król, Michał Olszewski oraz Kuba Woynarowski, a także laureatka Nagrody Conrada za najlepszy debiut literacki 2016 r. – Anna Cieplak (na zdjęciu).
W spotkaniach uczestniczyło blisko dwustu pięćdziesięciu licealistów.
Za Waszą obecność i zaangażowanie – dziękujemy!

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

MARTA FILIPIUK-MICHNIEWICZ

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
TYGODNIK POWSZECHNY
UNIWERSYTET ŁÓDZKI
Quad Graphics
SALES MANAGO marketing automation

# Herbata w okopach

ANITA PIOTROWSKA

**Kiedy patrzą wprost do kamery, czyli na nas, mają często po 15-16 lat, choć na komisji wojskowej musieli udawać starszych. Zdają się współcześni i zarazem odlegli, realni i jednocześnie widmowi.**

Żadna koloryzacja komputerowa czy algorytm upłynniający ruch na stuletniej taśmie filmowej nie są w stanie zatrzeć ostatecznego efektu: ci chłopcy zostali kiedyś wysłani na śmierć, a tylko niektórzy spośród nich mieli okazję dorosnąć i się zestarzeć. Po latach opowiadają zza kadru, czym tak naprawdę jest wojna. I że tworzy ona osobną „rasę" ludzi.

Peter Jackson, twórca filmowej trylogii „Władca pierścieni", w dokumencie „I młodzi pozostaną" przenosi nas z widowiskowych bitew Śródziemia na front I wojny światowej. Po zmaterializowaniu na ekranie fantastycznej mitologii Tolkiena (który sam *nota bene* walczył w bitwie pod Sommą) reżyser montuje swój film wyłącznie z materiałów archiwalnych, liczących ponad sto godzin, nakręconych w latach 1914-18 i zdeponowanych w londyńskim Imperial War Museum. Wiele z nich widz ogląda po raz pierwszy, w wersji odrestaurowanej i podrasowanej za pomocą najnowocześniejszych technologii.

Znacznie bardziej niż w innych tego rodzaju filmach dokumentalnych (patrz wykorzystujące autentyczne zapisy, ale podkręcone fabularnie „Powstanie Warszawskie" Jana Komasy) kolor nałożony na taśmę skraca dystans czasowy dzielący nas od tamtych wydarzeń. Krew na bandażach staje się po prostu krwawa, błoto w okopach jeszcze bardziej błotniste, a otaczająca zieleń w kontekście śmierci i destrukcji niepokojąco soczysta.

Co ciekawe, Jackson podbarwia czarno-białe archiwalia dopiero z chwilą, kiedy brytyjskie oddziały piechoty wkraczają do Francji. Wcześniej i później, zarówno w materiałach przedstawiających przygotowania do wojny (zaciąg, ćwiczenia na poligonie, wymarsz na front), jak i powrót żołnierzy do domu, zachowuje oryginalną kolorystykę – jakby chciał w taki właśnie sposób zaznaczyć, kiedy kończy się nudnawa i „bezpieczna" kronika filmowa z nieznanymi bliżej wąsatymi przodkami, a zaczyna realny koszmar żywych ludzi. I że podlana patriotyczną propagandą chłopacka przygoda, albo obóz harcerski o zaostrzonym rygorze, w pewnym momencie zamienia się w piekło: z dyzenterią, wszami i tęgoryjcem dwunastnicy. Ten ostatni musiał dawać o sobie znać, gdy brytyjscy żołnierze czerpali wodę na herbatę z lejów po bombach, gdzie często zalegały rozkładające się ciała.

W tym filmie, choć jest ewidentnie rocznicowy, nie padają daty, nazwiska czy nazwy bitew. Jacksonowi bardziej zależy na odtworzeniu z autentycznych taśm i ze świadectw mówionych samego

TP

W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA" ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK POŚWIĘCONY FESTIWALOWI

Ars Cameralis Silesiae Superioris

którego tematem w tym roku będzie... krzyk.

W dodatku rozmowa z organizatorami wydarzenia, MARKIEM ZIELIŃSKIM oraz BARTŁOMIEJEM MAJZLEM, a także esej o krzyku prof. TADEUSZA SŁAWKA.

Zapraszamy do lektury oraz na festiwal!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MATERIAŁY PRASOWE

*Kadr z filmu „I młodzi pozostaną”*

żywiołu wojny, czemu towarzyszy specjalnie zakomponowana i zsynchronizowana z obrazem batalistyczna fonosfera. Tworząc na ekranie dojmujące wrażenie „jakby to było wczoraj”, nowozelandzki reżyser chwilami zbytnio ulega pokusie hiperrealistycznego, niemal wirtualnego zanurzenia w wojnę, co może się wydawać gestem dość mechanicznym, niesie jednak ze sobą ściśle określony cel.

Dokument „I młodzi pozostaną” Jackson zadedykował swojemu dziadkowi, sierżantowi walijskiej piechoty z czasów Wielkiej Wojny, i jego towarzyszom broni, a sam zrzekł się honorarium, traktując film przede wszystkim jako osobisty hołd i materiał edukacyjny. Nie interesował go spektakl wojenny, epatujący ludzkim mięsem. O ranach, okaleczeniach, rozczłonkowanych ciałach więcej tu zresztą słyszymy, niż je widzimy. Być może sto lat temu frontowy kronikarz obwarowany był różnymi rodzajami tabu, być może sam reżyser zrezygnował z bardziej drastycznych „kawałków”, trudno też wyobrazić sobie ówczesnego człowieka z kamerą, jak wchodzi w sam środek bitwy, pośród serii z niemieckich karabinów maszynowych.

W takich fragmentach sięga Jackson po czarno-białe rysunki, m.in. Bruce’a Bairnsfathera, również walczącego na froncie zachodnim, a następnie składa je w dynamicznie zmontowane sekwencje, raz po raz przerywane kolorową stopklatką filmową, punktującą wystrzał czy wybuch. Największe wrażenie robią te fragmenty, kiedy w sennym, zwolnionym tempie przesuwają się przed obiektywem pogodne twarze rekrutów, a w tym samym czasie weterani relacjonują najbardziej brutalne incydenty. I nie ma to większego znaczenia, że tak naprawdę odczytują je współcześnie zawodowi aktorzy. Ważne, że robią to znakomicie, naśladując wymowę żołnierzy pochodzących z różnych rejonów Brytyjskiego Imperium: tych w bryczesach i szkockich kiltach, tych w hełmach czy sikhijskich turbanach.

Nie jest to także film krzykliwie pacyfistyczny, pokazuje za to, jak tromtadracja towarzysząca początkom wojny i polerowanie żołnierskich guzików aż do samego jej końca nabierają historycznej ironii – wszak miała to być wojna ostatnia z wielkich, niosąca ludzkości bolesną, lecz cenną lekcję. Dlatego Jackson rezygnuje z herozacji czy romantyzowania cierpienia, cytowani w filmie bohaterowie mówią zaś raczej o triumfie zwierzęcego instynktu niż o militarnym zwycięstwie. A lekcja, jaką „Młodzi...” niosą współczesnym młodym, jest przy tym bardzo prosta. Kiedy brytyjscy nastolatkowie stają nagle twarzą w twarz z niemieckimi rówieśnikami, nie są to już znienawidzone „szkopy” czy „fryce”, ale bardzo podobni do nich przerażeni wojną chłopcy, którzy też dali się kiedyś uwieść strzelistym hasłom. ©

**I MŁODZI POZOSTANĄ** *(They Shall Not Grow Old), reż. Peter Jackson. Prod. Wielka Brytania/Nowa Zelandia 2018. Dystryb. Warner Bros Entertainment Polska.*

**RADIO KRAKÓW** **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.**
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

## WARTO ZOBACZYĆ W TV [2 – 8 XI]

### 1. Laila na moście

*Dokumentalny, reż. Elizabeth Mirzaei, Gulistan Mirzaei, Kanada/Afganistan 2018, Canal+ Dokument, 2 XI, 20.20, 3 XI, 9.10*

**Tytułowa bohaterka będąc dzieckiem została zmuszona do małżeństwa. Dziś Laila Haidari poświęca życie, by ratować najbardziej potrzebujących, a zarazem odrzuconych – narkomanów spotykających się pod kabulskim mostem. W niewydolnym i skorumpowanym państwie prowadzony przez nią ośrodek odwykowy stanowi samotną wyspę.**

### 2. Mroczne materie

*Serial, reż. Tom Hooper, Wielka Brytania 2019, HBO GO, 4 XI, HBO, 5 XI, 20.10, 8 XI, 19.10, HBO3, 5 XI, 22.00, HBO2, 6 XI, 20.00*

**Adaptacja poczytnej trylogii fantasy Philipa Pullmana rozgrywa się w rzeczywistościach alternatywnych, zamieszkałych przez cudowne stwory, takie jak pancerne niedźwiedzie czy dajmony. Twórcy serialu dokonali uwspółcześnienia wiktoriańskiej scenerii pierwowzoru.**

### 3. Granica

*Dramat, reż. Ali Abbasi, Dania/Szwecja 2018, Ale kino+, 5 XI, 22.15*

**Zwierzęcy węch i nordyckie baśnie o trollach, dawne eksperymenty genetyczne i współczesna pedofilia, poczucie obcości i mroczne tajemnice – to wszystko znajdziemy w jednym z najbardziej niesamowitych filmów ubiegłego roku. Pod warstwą wynaturzenia i brzydoty kryje się jednak prawdziwie humanistyczna baśń.**

### 4. Oni

*Komediodramat, reż. Paolo Sorrentino, Włochy 2018, Cineman VOD*

**Pełna, reżyserska wersja filmu, trwająca ok. 3,5 godziny, to satyryczny portret Silvia Berlusconiego i jego świty. Twórca „Wielkiego piękna” kreuje ten obraz na podobieństwo wielkiego bunga bunga – rozbuchanej filmowej orgii, doprawiając ją przekornie szczyptą melancholii.**

JAN

# Klata:
## *Lokatorzy loży*

Teatr Aleksandrinski w Petersburgu jest dramatyczny i w ogóle naj, naj. Od frontu stoi Katarzyna Wielka (oraz grupa jej mężczyzn) i patrzy na Prospekt Newski oraz na nadchodzących widzów, co dobrze wróży dramatyzmowi przedstawień. Budynek teatru jawi się spektakularnie i „na bogato", pełna kultura, dużo wszystkiego, zwłaszcza złota i marmuru. Imperialny XIX wiek, raczej początek, lata 30. konkretnie.

Car Mikołaj I o kulturę dbał, do teatru chodził, zasiadał, patrzył i słuchał. Jeśli go nie było widać, to i tak nie było wiadomo, czy go nie ma, więc raczej na wszelki wypadek rozsądnie byłoby domniemywać, że jest. Loża wielka, ozdobna, centralna, z najlepszym widokiem. Kiedy się stoi na scenie, wzrok od razu pada tam, gdzie imperator zwykł wyrabiać sobie zdanie o tym, co się przed nim odgrywa. Prestiżowa część widowni na parterze jest usytuowana tak, żeby kątem oka widzieć, jak reaguje najjaśniejszy władca, i możliwie szybko dostosować swoją mimikę i mowę ciała. Ech, gdzie te czasy, gdy „przekazy dnia" były zbędne...

Na prapremierze Gogolowskiego „Rewizora" nie obyło się bez chwili konfuzji, wszyscy widzowie i wykonawcy skropieni zostali dreszczykiem emocji, aż w końcu car się roześmiał, i można było się śmiać, nie trzeba było już śmiechu w sobie dusić, co podobno szkodzi. Oczywiście, jakiś czas po feerii poczucia humoru w Aleksandrince Gogol i tak został zmuszony do emigracji, ale co się car pośmiał, to jego. Najważniejsza zasada przetrwania widzów: nigdy nie wolno się zaśmiać przed władcą. Logiczne: władza nie potrafi się śmiać sama z siebie, *ergo*, jeśli się śmieje, to z czegoś innego, a ponieważ poddani nie mogą się śmiać z władzy, ale mogą się śmiać z czegoś innego, więc śmianie się z czegoś innego pod przewodnictwem cara jest dozwolone, a nawet pożądane.

Czechow uciekł z widowni, nie dotrwał końca prapremiery „Mewy" (podobno katastrofa, ale sza!), Meyerhold spuścił kurtynę po imperium Romanowów swoją „Maskaradą" z 1917. Potęga Rosji zawsze była również potęgą kultury. Władimir Putin wpisał się w tradycję, imperialny teatr nakazał odnowić i też zasiada w carskiej loży od czasu do czasu. Dziś go nie będzie, gościnne występy Starego Teatru na Olimpiadzie Teatralnej (cóż za bezpretensjonalna nazwa) go nie przyciągną... Ale będą inni. Przedstawicielka petersburskiej inteligencji w Muzeum Achmatowej zapytała naszą ekipę, co gramy. Odpowiedzieliśmy. Uśmiechnęła się: „Król Lear? Bardzo aktualny temat". I zniknęła. Mam nadzieję, że pojawi się na widowni. ©

# Lektor:
## *Na krawędzi*

▪ *Pere Calders*
**KRONIKI UKRYTEJ PRAWDY**
*Z języka katalońskiego przełożyła Anna Sawicka. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2019, ss. 236.*

„Opowiadanie powstrzymuje rozrzutność i zawęża pole widzenia. Sprawia, że rzeczywistość wreszcie pozwala się uchwycić" – pisała tu tydzień temu Monika Ochędowska. Dodałbym, że opowiadanie pozwala też rzeczywistość sprawnie przenicować, pokazując zwykłe życie jako śmieszny i straszny teatr absurdu. Tak jak to czyni pisarz kataloński, którego niniejszym wpisuję na prywatną listę mistrzów gatunku. Pere Calders i Rossinyol (1912–1994) urodził się i zmarł w Barcelonie, ale ponad dwie dekady spędził w Meksyku, dokąd wyemigrował po zakończeniu hiszpańskiej wojny domowej (walczył po stronie Republiki). „Kroniki ukrytej prawdy" (1955) to pierwsza jego książka tłumaczona na nasz język, wcześniej kilka opowiadań publikowała „Literatura na Świecie".

Choć polityka naznaczyła jego biografię, pozostał wierny postawie zdystansowanego sceptyka-ironisty i zarazem humorysty, który zastawia na czytelnika pułapkę, staroświecką z pozoru narracją wprowadzając go znienacka w świat odwróconych reguł i zasad. „Balansowanie na krawędzi, gdzie możliwe graniczy z nieprawdopodobnym – pisała w „LnŚ" Anna Sawicka – zaczyna się od przełamania rutyny codzienności". I następuje ciąg zdarzeń, historyjka nienagannie skomponowana i opowiedziana, zaprzeczająca jednak logice, do jakiej przywykliśmy.

„Kroniki..." to 31 takich historyjek, niestroniących od fantastyki i/lub makabry. Do seryjnego zabójcy przychodzi anioł – niestety wygląda jak kiczowata „ewangelicka podróbka" z Ameryki i w dodatku jest nieskuteczny. W kamienicy w mieście Meksyk rodzi się najpierw konflikt klasowy – luksusowe warunki sprawiły, że pokojówki „straciły pokorę, stosowną do wykonywanego zawodu" – a po usunięciu pokojówek wybucha wojna domowa między mieszkańcami „góry" i „dołu". I jeszcze „Madziarska pomysłowość", gdzie pojawiają się apetyczne preparaty anatomiczne oraz ulica sztucznych fasad (z figurami ludzkimi na balkonach), mających ukryć niepowodzenie ambitnego projektu urbanistycznego...

O Katalonii czytamy teraz głównie z powodu konfliktu z centralnym rządem hiszpańskim, przedstawianego często stronniczo. Pamiętajmy więc, że to kraj o własnej kulturze i sięgającej średniowiecza (Ramon Llull!!!) tradycji literackiej. Czytajmy Katalończyków. Czytajmy Caldersa. ©℗

PAWEŁ

# **Bravo:** *Najważniejsza przyprawa*

Czterdzieści dziewięć procent. Tylu Polaków nie wie, kim jest Marian Banaś, przynajmniej jeśli wierzyć niedawnemu sondażowi CBOS. Jestem skłonny to przyjąć za dobrą monetę, bo codziennie wszak, zmierzając do najpiękniej położonej redakcji w Polsce, mijam na Plantach mnóstwo ludzi o pogodnym wyrazie twarzy. Po odsianiu turystów upchniętych szóstkami w meleksach oraz pieszych oddziałów poddanych Elżbiety II, ćwiczących musztrę piwną, zostaje spora próbka statystyczna narodu, który wydaje się niezmącony w swym życiowym rytmie wiedzą o tym, kto stoi na czele naszej świeckiej inkwizycji.

Trochę im zazdroszczę, jak ten profesor z radzieckiego dowcipu – wpierw oblewa studenta niewiedzącego, kto to był Lenin, po czym wzdycha: „Rzucić to wszystko i wyjechać do Rostowa...", skąd właśnie pochodził ów błogi w nieświadomości młodzieniec. Wiedza zawsze generuje opór w przedzieraniu się przez codzienność, nęka jak okruchy rozsypane w pościeli, chybocze podłogą pod stopami. Odbiera apetyt. Nieświadomość rzeczy, najważniejsza przyprawa! Nie tylko kiedy chodzi o ochronę naszej postagrarnej wrażliwości na realia produkcji zwierząt. Kto raz zobaczył nawet na ekranie telefonu pierwszy lepszy filmik z YouTube'a o hodowli kurczaków, nie tknie więcej monstrualnych filetów. Podobnie jajka, mam nadzieję, że nie czekając, aż biznes drobiarski łaskawie się zgodzi, żeby narzucić sobie ociupinę mniej okrutne standardy ferm, ignorujecie już od dawna te z dwójką i trójką. Ale nawet nabywcy jajek z jedynką albo kury na rosół wziętej prosto z podwórka muszą się chronić przed świadomością, że ptak nawet z naturalnej hodowli pozostaje zwierzęciem, i ktoś mu w pewnym momencie musiał łeb ukręcić.

A panna cotta, cudownie drżąca na spodeczku, kiedy na koniec kolacji przy świecach polewamy ją zmysłowo *coulis* z owoców leśnych? Gdy miła sercu osoba spyta nas o szczegóły, nie tłumaczmy, że włoska żelatyna w zwiewnych listkach, która pozwala szczególną konsystencję uzyskać, zwie się, owszem, *colla di pesce* (rybi klej), lecz od dawna robi się ją z wieprzowych kości. Dziecięciem będąc wertowałem leciwą francuską książeczkę „Les Trucs du Cuisinier", czyli „Sztuczki kucharza". Obok rad poczciwych, które do dziś sumiennie stosuję, jak te, żeby moczyć cieciorkę w roztworze sody, by szybciej zmiękła, albo płukać kraby w morskiej wodzie, aby nie traciły smaku, były tam solidnie zilustrowane instruktaże, jak np. grzmotnąć i rozciąć żabę, żeby się jej udka w trakcie smażenia nie skurczyły, odsłaniając nieestetyczne kości. Może dlatego wiele lat później ziewałem, gdy na filozofii kazali mi czytać markiza de Sade.

Z niezdrowym dreszczem sięgam za to regularnie u przyjaciół po ozdobę ich kuchni – książkę z lat 60. „Wady pieczywa", z ledwo czytelnymi ilustracjami wszelkich pleśni, burchli, zakalców i dziur, niewiele różniącą się od tablic z wrzodami z dawnych encyklopedii zdrowia. Ileż tam trupiego baroku! Pulchnych, nieokiełznanych form niewłaściwego technologicznie życia. Ogląda się to bezpiecznie, jak ryciny z dawnych wojen, relacje z rzezi pod Beresteczkiem. A to wszystko było jeszcze niedawno codziennością zjadacza chleba, tak szybko zapominamy, jak łatwo było jeszcze pokolenie temu o skazę, zepsucie, brzydką formę.

Lepiej jednak nie wiedzieć zbyt dokładnie, czym napędzana jest rakieta, którą tak szybko uciekliśmy na planetę wiecznej świeżości, bezbłędnych bułek, owoców bez plamki, puszystych serków. Niby te wszystkie substancje i procesy są jawne, wyliczone w dyrektywach i katalogu norm, ale nasza cywilizacja starannie je usuwa sprzed oczu. Nieskazitelne piękno musi być podszyte okrucieństwem wobec niesfornego życia. „Wstrząsany dreszczem obrzydzenia / Apollo czyści swój instrument" – pisał Herbert o bogu, który swój prymat w sztuce przypieczętował odarciem człowieka ze skóry. Gnani lękiem przed brzydotą i brudem rzeczy wziętych prosto z natury zdajemy sobie poniewczasie sprawę, jaką cenę przychodzi płacić za piękne i czyste jedzenie. I tak źle, i tak niedobrze. O, błoga nieświadomości. ©℗

ADOBE STOCK

*Nie chciałbym wyjść na wroga wszelkich przemian. Chociaż staram się jadać wyłącznie chleb domowy, albo taki z małych piekarni, to nie chciałbym cofnąć wektora czasu i stracić dostępu do ciabatty, która całkiem nieźle nadaje się do robienia bruschetty (bagietka też jest OK, ale jej kromka wychodzi rozpaczliwie mała). Od zwykłej grzanki (po włosku: crostino) bruschettę różni tylko jeden fundamentalny szczegół technologiczny: pieczemy tylko chleb, a potem go nacieramy przeciętym czosnkiem, smarujemy oliwą, wyposażamy w dowolne – zimne! – dodatki. Zamiast klasycznej czerwonej z pomidorem pokrojonym w kosteczkę i zmacerowanym z solą, pieprzem i bazylią, którą należy zawiesić z braku dobrych pomidorów, możemy się pobawić w różne kombinacje. W zimie często robię taką, która zawiera równie klasyczne połączenie: czerwoną cebulę kroimy na cienkie piórka, dusimy bardzo powoli (ewentualnie podlewając odrobiną białego wina) z liściem laurowym, musi bardzo zmięknąć. Po wystudzeniu nakładamy cienką warstwą na kromki i sypiemy obficie tarty ser pecorino. Polskie owce mogą zaś godnie konkurować w wersji, w której przygotowujemy „farsz" z bardzo cieniutko pokrojonej sałaty radicchio i posiekanego w małą kosteczkę wędzonego oscypka.*

*Warszawa, maj 2016 r.*

FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA GAZETA

# BUTENKO PINXIT

JOANNA OLECH

Odszedł wraz z nim wielki kęs naszego dzieciństwa. Niczym „flecista z Hameln" – genialny szczurołap z baśni – grał swoje skoczne, uwodzicielskie nuty, a my podążaliśmy za nim, zaczarowani i wdzięczni.

Pierwsze słowo księdza nad trumną artysty brzmiało: „grzech". Ja pewnie powiedziałabym: „dar" albo „zasługa". Przydałby się jakiś anielski salut i fanfary, bo jest nas niemało – dłużników Butenki. W proch się obrócił? – a figa!

Braliśmy od niego garściami, za darmochę, odpłacając jedynie podziwem i pamięcią. Słaba to waluta, skromny ekwiwalent. Nikt nie oszacuje dziecięcej fascynacji – niewypowiedzianej, nienazwanej – a odmierzanej tachometrem szczęśliwych godzin spędzonych nad książką. Krecia robota Butenki otworzyła w naszych głowach niejedną zatrzaśniętą klapkę.

Wiadomo... dorastamy. Kupujemy furę i teczkę. Pomniejszamy znaczenie niegdysiejszych dziecięcych zachwytów. Ale cicha inwazja już się dokonała – szczurołap skolonizował naszą wyobraźnię, jesteśmy w jego nieuświadamianej władzy.

ale deficyty obrócił w zalety – zjednał sobie dzieci dowcipem i syntetycznym, konturowym rysunkiem. W wywiadach wspominał o zeszytach szkolnych zapełnianych historyjkami obrazkowymi, ku rozpaczy nauczycieli. On w istocie nigdy z tych zeszytów nie wyrósł, tylko podniósł je na poziom mistrzowski.

Myślę o tym, jakiej trzeba było determinacji i niezachwianej wiary we własny talent, aby obstawać przy minimalistycznej kresce w latach 50. w Polsce przeczołganej dekadą socrealizmu – w przaśnej krainie rumianych traktorzystek i trójek murarskich.

Butenko, uzbrojony w młodzieńczy tupet, ani myślał poddać się presji powszechnego upodobania do „ładnych obrazków". Miał w nosie trójki murarskie i robił swoje.

Zżymam się, kiedy słyszę, że zmarł autor „Gucia i Cezara". Niby prawda, ale ta trzecia tischnerowska. Mam ochotę wrzeszczeć: „Butenko był gigantem, niepowtarzalnym artystą książki!". Uformował nasze upodobania, nasz gust i dowcip. Towarzyszył nam od pierwszego mlecznego zęba, nawracając z Disneya na prostotę. Całe pokolenie zostało zbutenkoizowane, alleluja!

**KTOŚ POWIE: PHI!...** Bazgrał jak kura pazurem. Jego koń wygląda jak pies, a pies jak chomik. Jego rewolwery zawsze mają dziwny lejek u wylotu lufy, strażacy chodzą w szyszakach, a syreny mają cztery palce zamiast pięciu... Taaa, jasne. Tyle tylko że Butenko, świadom wszystkich swoich ograniczeń, nie ścigał się z Matejką,

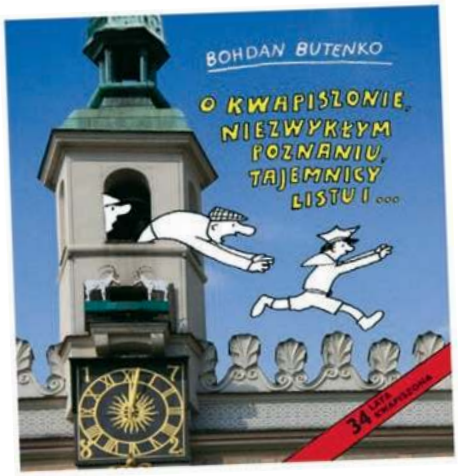


**UZNANIE PRZYSZŁO NIEMAL NATYCHMIAST.** Nazajutrz po obronie dyplomu (1955) w pracowni Jana Marcina Szancera dwudziestoczterolatek został szefem artystycznym w największej podówczas oficynie wydawniczej, Naszej Księgarni. Sprzyjała mu nieformalna „sekta", którą później nazwano polską szkołą ilustracji – elitarna grupa artystów obojga płci, do której wstęp uzyskiwali jedynie dobrze rokujący, wybitni graficy. Byli w niej „bajkowi realiści" jak Szancer, graficy plakatowi jak Tomaszewski i Młodożeniec, ilustratorzy malarscy jak Wilkoń, oryginalni odmieńcy jak Piotrowski i wielu/wiele innych. Jako artyści od misiów, elemelków i krasnali, grupa ta cieszyła się w PRL-u dużym marginesem swobody twórczej. Artystyczna ↦

↦ brawura Butenki i pewność swego na granicy arogancji sprawiła, że wkrótce stał się awangardą ilustratorskiej „sekty”.

Był graficznym wynalazcą, zuchwałym eksperymentatorem. I – przede wszystkim – genialnym „oprawcą graficznym”, jak nazywani są autorzy layoutu (z braku lepszego terminu w polszczyźnie). Lubił powtarzać, że książkę robi się jak sweter, od początku do końca – od okładki, przez wyklejkę, paginę, winiety i śródtytuły, po ilustracje i stopkę wydawniczą. Wszystkie elementy książki u Butenki noszą ślad jego ręki i pomysłowości. To on wynalazł kwadratowy format, unikalny podówczas, on wprowadził dwukolorowe czcionki, żywe paginy, biały druk na czarnym tle, używał rastrów i szerokich marginesów, na których żartobliwym rysunkiem komentował tekst. Wszystko to i wiele innych butenkowskich grepsów dawało efekt „łał” w siermiężnej peerelowskiej poligrafii.

**LEPIŁ KSIĄŻKI Z ODPADÓW** – zmiotków, znaczków, etykiet zapałczanych, zeschłych liści, kiczowatych kalkomanii. Z da-

*Reprodukcje okładek i rysunków dzięki uprzejmości Bohdana Butenki („TP” 32/2016 r.)*

*Powyżej: „Emil i detektywi” Ericha Kästnera. Poniżej: Florek Obłędek z powieści Wiktora Woroszylskiego „Cyryl, gdzie jesteś” i dwie rozkładówki z powieści Ericha Kästnera „35 maja”.*

daistyczną przekorą żonglował wycinkami prasowymi i kwitami z pralni, sklejając je z rysunkiem i odręcznym pismem w żywą, groteskową kompozycję. Koniecznie trzeba pamiętać, że dokonywał tych cudów w epoce przedkomputerowej, kiedy polska poligrafia działała na tasiemkę i gwóźdź, na papierze niewiele lepszym od tego, w który zawijano śledzie w rybnym.

Dręczył drukarzy i wyciskał z nich siódme poty w imię swoich nowatorskich konceptów. Jego kultowe opracowania graficzne to (między innymi): antologia „Nastolatki nie lubią wierszy" (w wyborze Wiktora Woroszylskiego), „Stacja nigdy w życiu" Joanny Kulmowej,

„O książce. Mała encyklopedia dla nastolatków" czy „Niebo i kalendarz" (kompendium wiedzy o astronomii dla dzieci). Butenko-wybitny projektant graficzny został zagłuszony niejako przez Butenkę-ilustratora, przez jego historyjki obrazkowe i błahostki. W dizajnie książki wytyczał ścieżki, otwierał furtki, a inni dreptali za nim. Ufał sobie, nie zrażał się krytyką. Dawał, bo miał w bród. Trwonił siebie z entuzjazmem. Kochał tę robotę i dobrze się przy niej bawił.

**TRANSFORMACJA USTROJOWA ZRANIŁA GO BOLEŚNIE.** W latach 90. upadły wielkie oficyny wydawnicze – żywicielki Butenki. Inne zostały sprywatyzowane w sposób, który do dziś budzi wątpliwości. Wylano z roboty dyrektorów artystycznych. Rozpoczął się tryumfalny, trwający dekadę pochód kiczu – obżarstwo szmirą po półwieczu skromnej, zbilansowanej diety estetycznej. Graficy poszli w odstawkę, a byli bezbronni jak dzieci – nie umieli się odnaleźć w roli projektantów reklam prusakolepu, nie potrafili przesiąść się z pędzla na photoshopa. Walec historii rozjechał ich nie gorzej niż pracowników pegeerów. Nagle opatrzono ich stemplem „reliktu komuny" i szurnięto na śmietnik razem z saturatorem, radiem Szarotka i repasacją pończoch. Artyści wyprzedawali oryginały, wielu odeszło w biedzie i zapomnieniu.

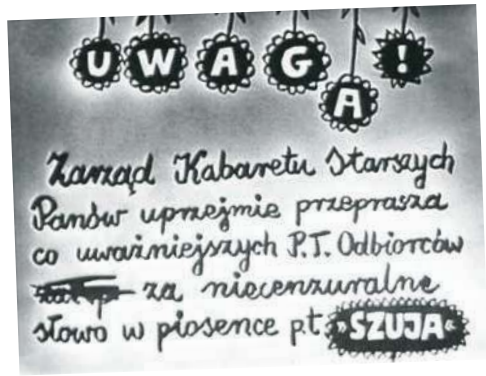


Butenko popadł w hibernację trwającą kilka lat. Aż się ulało publiczności od disnejowskiej słodyczy i przypomnieli sobie o książkach godziwie zilustrowanych. Dorósł dziecięcy fanklub Butenki. Dwie Siostry – młode wydawczynie wychowane na jego książkach, a zirytowane ilustratorskim bezrybiem lat 90. – wznowiły „Pana Maluśkiewicza" w opracowaniu graficznym artysty, jego debiut sprzed półwiecza. Zachwyt, oklaski, owacja na stojąco! Koło fortuny się symbolicznie domknęło, ruszyło na drugie okrążenie. Odtąd Butenko był hołubiony tak, jak na to zasłużył – odbierał hołdy, udzielał wywiadów, przecinał wstęgi własnych retrospektywnych wystaw, uświetniał obecnością.

**BYŁ NAJBARDZIEJ TAJEMNICZYM CELEBRYTĄ EVER.** Bronił swojej prywatności podwójną linią zasieków i transzei. Żaden paparazzi nie przedarł się przez ten kordon. Mieszkał w skrytce pocztowej – żartowano. W relacjach towarzyskich hermetyczny i elegancko uprzejmy, robił wrażenie dżentelmena starej daty, który nie plotkuje, nie brata się przy wódce, a nade wszystko trzyma dystans. Nielicznych dopuszczał do konfidencji. Przez dwa minione lata powierzał swoje wspomnienia Ewie Grudzie – dyrektorce warszawskiego Muzeum Książki dla Dzieci. Powstała z nich książka. Śmierć zaskoczyła Bohdana Butenkę w trakcie korekty i autoryzacji.

Umarł nagle, w biegu, osiemdziesięcioośmioletni, doceniony i spełniony. Oszczędzono mu bezradnej, bolesnej starości. Wyprzedzał swoją generację jak stąd do Księżyca. Ci, co mu odmawiali talentu – szybko musieli odszczekać wobec niezachwianego entuzjazmu publiczności. My – byłe dzieci – znamy jego wartość. A młodzi adepci grafiki książkowej wielbią go dziś na klęczkach.

Dziękujemy, mistrzu!

© JOANNA OLECH

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *Liczymy*

Nie tak dawno – pamiętamy – jeden z tutejszych banków uruchomił kamerki liczące uśmiechy swych pracowników. Informacja owa rozśmieszyła nas serdecznie, choć nasza ponura gęba uchodzi za modelowo nieserdeczną. Oto doprawdy w Polsce można sobie liczyć bardzo różne rzeczy, zarówno ręcznie, jak i komputerowo. Można liczyć pijanych kierowców, co jak wiadomo nie ma żadnego sensu ni konsekwencji i jest zajęciem od dziesięcioleci pro-arte, można liczyć spożycie małpek alkoholi koloryzowanych, można liczyć stosunek zgonów do urodzeń, co jest obarczone licznymi tu ideologiami, bądź to liczbowo mniemać na temat upowszechniania analfabetyzmu przez ministra kultury. Można też – co jest zasadne, jak nigdy – liczyć mafiozów piastujących stanowiska w państwie, jeśli jednak idzie o uśmiechy, to w Polsce nie potrzeba do tego żadnej kosztownej aplikacji ni sprzętu, wystarczą palce jednej ręki.

Uśmiechanie się – zwłaszcza uśmiechanie życzliwe – jest w Polsce zjawiskiem bardzo rzadkim, i tym samym budzącym zawsze niepokój. Nie tak dawno uśmiechnęliśmy się niechcący do pewnego urzędnika, który w skrajnie panicznej reakcji natychmiast się nasrożył i wyszeptał pod nosem, pod naszym adresem, uwagę o charakterze lękowo-dżenderowym. Jako członek narodu herosów okropnie się przestraszył, że w następnym kroku niechybnie zaproponujemy mu randkę, peeling, petting, depilację okolic intymnych, pielęgnowanie brody, wegańskie suszi i winko – oczywiście wytrawne (prawdziwi hetero mężczyźni piją tu tylko wina słodkie).

Naturalnie, niewolni od skłonności do symetrii, w reakcji na jego naburmuszenie, staliśmy się natychmiast i odruchowo wyższościowym feudałem w futrze, przybyłym z Polski Minus, co ów przyjął z wyraźną ulgą. Ta sytuacja uświadomiła nam, że by w Polsce skutecznie przestraszyć obywatela, wystarczy się doń uśmiechnąć, nie trzeba kupować kastetu, ni słownika wulgaryzmów, ani nie wystarczy być Gospodarzem. A więc – wracając do liczenia, bowiem to ma być dziś tematem – można tu, owszem, liczyć uśmiechy, ale będzie to miało sens policzalności wyłącznie wtedy, gdy policzymy uśmiechanie się do własnych myśli na temat bliźniego. To są spore liczby. Nic bowiem nas tak nie raduje jak projekcja, w której sąsiad w łachmanach jedzie sobie kibitką na Syberię.

Jeśli idzie o inne sensowne zliczenia, to naturalnie dobrze jest liczyć pieniądze. Jest to – rzec trzeba – liczenie o charakterze atawistycznym, a tym samym podstawowym. Pieniądze, zwłaszcza cudze, liczy się najlepiej i z najlepszym skutkiem, tzn. liczenie takowe jest zawsze precyzyjne, z dokładnością do dziesiątego miejsca po przecinku. Jest to jednak założenie naskórkowe, obarczone przesądem. Tak uważamy. Gdy się bowiem wczytamy w jakość takiego rachowania (np. ostatnio policzono, ile kosztuje butla szampana pana Tuska i pomylono się dziesięciokrotnie), wychodzi, że dane na temat prostych działań na liczbach oddają brutalną rzeczywistość, opisywaną co roku, w ramach analizy wyników matury z matematyki, której nie zdaje regularnie ponad 40 procent uczestników.

Należy więc uściślić, z czym mamy do czynienia – a jest to właśnie w tej chwili zdiagnozowane i nazwane przez nas zjawisko – to liczenie magiczne. To osobliwe podłączenie do świata arytmetyki rury tłoczącej gaz fabuły. Wszelkie zwycięskie remisy, honorowe przegrane, szokujące zwycięstwa Beaty Szydło, polskie negocjacje pieniężne z Trumpem – to zaledwie kilka przykładów dla przyszłych wykładowców akademickiego kursu matematyki magicznej. Byłoby oczywiste, gdyby ta wciąż rozwijająca się dziedzina została ubogacona sposobem przeliczania głosów padłych w wyborach do Senatu. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

TYGODNIK POWSZECHNY

3/2019

SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA

# KULTURA

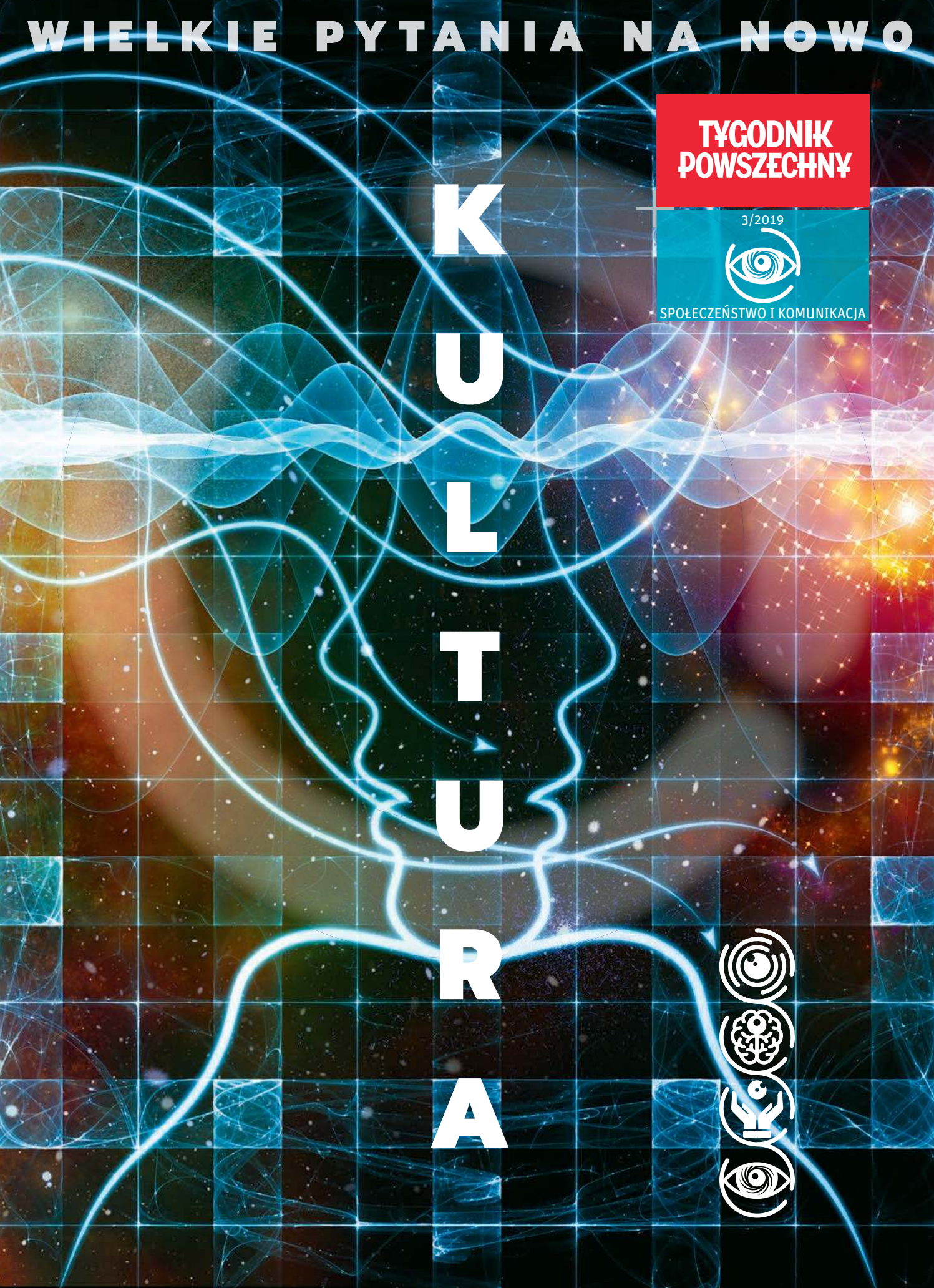

**99 Kim byłeś, neandertalczyku?**
WIOLETTA NOWACZEWSKA
Nasi wymarli kuzyni nie byli wcale tępymi brutalami

**102 Wszyscy lubią bawełniane podkoszulki**
ROZMOWA Z DANIELEM EVERETTEM
Indianie Pirahã i mit szlachetnego dzikusa

**106 Gramatyka ćwierkania**
SZYMON DROBNIAK
Ptasie trele mogą służyć nie tylko uwodzeniu samic

**110 Fundament**
ANNA ŁOSIAK
Skały pod naszymi stopami wpływają na kształty kultur i losy cywilizacji

**114 Szeroki umysł**
MATEUSZ HOHOL
Kognitywistyka zmieniła się bardzo od czasów Chomsky'ego

**116 Potęga mobilnego imperium**
PIOTR KOŁODZIEJCZYK
Kim byli Nabatejczycy, tajemniczy budowniczowie Petry?

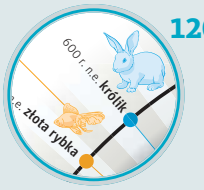


**120 Poszerzona rodzina Homo sapiens**
ŁUKASZ LAMŻA
Komu zawdzięczamy udomowienie kaczki, lamy i złotej rybki



Redakcja: Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Grażyna Makara
Infografika: Lech Mazurczyk
Skład: Andrzej Leśniak
Okładka: Marek Zalejski
/ ANDREW OSTROVSKY /ADOBE.STOCK.COM

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Projekt „Wielkie Pytania dla Polski na nowo" realizujemy dzięki wsparciu z grantu Templeton Religion Trust. Menedżerem projektu jest Grzegorz Jankowicz, Łukasz Lamża zaś jest redaktorem serii wydawnictw.

TEMPLETON RELIGION TRUST

Copernicus Center

ŁUKASZ LAMŻA

ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

WARTOŚCI DZIŚ

SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA

Opinie wyrażone na łamach niniejszej publikacji należą wyłącznie do ich autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska Templeton Religion Trust.

Gdy pada słowo „kultura", myśli nasze wędrują często ku tak zwanej kulturze wysokiej oraz, w sensie ogólnym, ku tym najbardziej ucywilizowanym formom ludzkiego zachowania. Pomyślmy choćby, z czym kojarzy się zwrot „człowiek kulturalny" albo co oznacza uwaga, że komuś „brakuje kultury". My jednak myślimy o kulturze szerzej – jako o wszystkim tym w świecie człowieka (i nie tylko!), co wykracza poza przekaz genetyczny. Kulturą jest wszystko, czego rodzice uczą dzieci i my siebie nawzajem. Kulturą jest to, co podpatrujemy u sąsiada, i to, co sami wymyśliliśmy w garażu. Krótko mówiąc: jeżeli nie ma genu, a zachowanie czy zjawisko rozprzestrzenia się w populacji – mamy do czynienia z tradycją kulturową. Przyznajemy bez bicia, że myślenie to zakorzenione jest w naukach biologicznych, ale w tym przypadku dochodzi do ciekawej inwersji: odwołanie się do porządku biologicznego, co lubi prowadzić do dehumanizacji, zapewnia tym razem jaśniejszy i ostatecznie głęboko humanistyczny pogląd na zachowania ludzkie. Przejawem kultury jest więc zarówno dramat szekspirowski, jak i bójka stadionowa; uczestniczy w niej ten, kto komponuje aluzyjny sonet, jak i ten, kto wyprowadza psa. Kulturą jest w równym stopniu rosyjski balet, co francuski omlet. Zapraszam w imieniu siedmiorga naszych autorów do zanurzenia się w świecie kultury: od gramatyki ptasiego śpiewu po udomowienie świnki morskiej. ©℗

ROBIN HAMMOND / PANOS PICTURES / FORUM

Neandertalczyk we współczesnym świecie. Rzeźba wystawiona na ulicy w Düsseldorfie w Niemczech.

# Kim byłeś, neandertalczyku?

WIOLETTA NOWACZEWSKA

**Mit neandertalczyka jako bezdusznego, prymitywnego brutala dawno już upadł. Dziś wiemy, że był istotą inteligentną i wrażliwą, zdolną do tworzenia, planowania i współczucia. Znamy też wiele pięknych przejawów neandertalskiej kultury.**

Niegdyś przedstawiano ich jako przysadzistych, tępych osiłków, którym przeciwstawiano smukłych, inteligentnych *Homo sapiens sapiens*, czyli ludzi „podwójnie myślących". Po dekadach badań wiemy już o nich znacznie więcej, choć wciąż otwarte pozostaje kluczowe pytanie, jak ostra jest właściwie granica między nami a neandertalczykami, zarówno ta postrzegana z perspektywy biologicznej, jak i kulturowej. Jedni sugerują, że obie formy ludzkie należały do tego samego gatunku – człowieka rozumnego. Inni naukowcy, bazujący na szczegółowych porównaniach szkieletów, informacji genetycznej (mitochondrialnego i jądrowego DNA) oraz materialnych wytworów kopalnego i współczesnego *Homo sapiens*, są przekonani, że istniejące różnice są zbyt duże, aby uznać neandertalczyka za przedstawiciela naszego gatunku. Spór trwa i rodzi kolejne pytania o rozmaite sfery życia neandertalczyków. Szczególnie interesujące są te związane z wytworami rąk ludzkich.

## Zęby w Stajni

Neandertalczycy zamieszkiwali naszą planetę od 430 tys. lat – gdy zgodzimy się, że szczątki znalezione w jaskini Sima de los Huesos w Hiszpanii reprezentują wczesnych neandertalczyków, tak zwanych pre-neandertali – lub od około 230 tys. lat, gdyż na tyle są datowane kości ich najstarszych bezspornych przedstawicieli. Około 40 tys. lat temu populacje neandertalczyków zaczynają drastycznie maleć, co kończy się ostatecznie ich wymarciem. W pewnych obszarach Europy mogli przetrwać nawet do 24 tys. lat temu. Zamieszkiwali głównie Europę – skąd pochodzi większość znalezisk potwierdzających ich egzystencję, również na terenie Polski (w jaskini Stajnia w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej znaleziono w 2010 r. zęby neandertalczyków) – ale też Bliski Wschód, Azję Zachodnią, a nawet odległe zakątki Azji Wschodniej, co dokumentują odkrycia w jaskini Denisowa w górach Ałtaj.

↦

↦ Pewne neandertalskie geny „przetrwały" w nas samych, ludziach współczesnych, i choć stanowią małą część naszego DNA, bo zaledwie od 1% do 4% w przypadku mieszkańców współczesnej Europy lub Azji, mogły odgrywać istotną rolę w zwiększeniu przystosowania naszych odległych przodków do surowych warunków ówczesnego środowiska. Genów tych nie mają jednak populacje rdzennych mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej, co jest tłumaczone brakiem kontaktu między nimi a neandertalczykami. Zgodnie z dominującym poglądem pewne populacje *Homo sapiens* po powstaniu naszego gatunku w Afryce, co nastąpiło mniej więcej 300 tys. lat temu, migrują 100 tys. lat później na obszar Bliskiego Wschodu i dopiero tam spotykają neandertalczyków, i intensywnie się z nimi krzyżują.

Choć przez lata dominował pogląd, że *Homo sapiens* zawitał do Europy dopiero około 45 tys. lat temu, zgodnie z najnowszymi doniesieniami mógł pojawić się na naszym kontynencie znacznie wcześniej, nawet 210 tys. lat temu. Jednym z kluczowych świadectw są fragmenty czaszki, opisane jako należące do *Homo sapiens*, znalezione w jaskini Apidima, znajdującej się w Grecji. Niestety, w przypadku tego osobnika zachowały się tylko niektóre elementy puszki mózgowej bez szkieletu twarzy i zębów, co sprawia, że trudno je jednoznacznie przypisać do danego gatunku. Luki w wykopaliskach mogą jednak uzupełniać badania genetyczne. To na ich podstawie wcześniejsze przybycie *Homo sapiens* z Afryki do Europy – zamieszkiwanej już od wielu tysięcy lat przez neandertalczyków – zostało określone jako bardzo prawdopodobne. Ślady krzyżowania się tych dwóch gatunków zidentyfikowano w DNA niektórych neandertalczyków, którzy żyli nawet 200 tys. lat temu. Niewykluczone, że nasi przodkowie „wpadli" do europejskich neandertalczyków z Bliskiego Wschodu z krótką wizytą: brak szczątków kostnych *Homo sapiens* z okresu 200–45 tys. lat temu może oznaczać po prostu ich wycofanie się z obszarów zajmowanych przez neandertalczyka. Trudno jednak wyjaśnić, co mogłoby być przyczyną takiego zachowania: być może surowy klimat i konkurowanie z neandertalczykiem o zasoby. Czyżby neandertalczycy byli po prostu lepiej przystosowani do warunków panujących wówczas w Europie?

Na niektórych stanowiskach znajdują się nawet kościane **szydła służące do przekłuwania skóry,** pozwalające na szycie ubrań dopasowanych do kształtu ciała.

### Moda plejstoceńska

O typie budowy ciała neandertalczyka można łatwo wnioskować z proporcji i rozmiarów jego kości. Względnie krótkie kończyny w stosunku do szerokiego, dużego tułowia, a także skrócona długość podudzia w stosunku do uda i przedramienia w stosunku do ramienia, wyraźnie wskazują na krępą budowę ciała przystosowaną do klimatu hiperarktycznego (nawet poniżej -50° C). Choć neandertalczyków przedstawiano niegdyś jako bardziej owłosionych kuzynów człowieka współczesnego, badania tego nie potwierdzają. Analizy genetyczne sugerują, że przodkowie człowieka utracili gęstą okrywę włosową ciała między 3 mln a 1,2 mln lat temu, czyli setki tysięcy lat przed rozejściem się linii ewolucyjnych *Homo sapiens* i neandertalczyka. Wydaje się więc, że neandertalczycy nie mieli bardziej owłosionego ciała niż współcześni przedstawiciele naszego gatunku, nie byliby więc w stanie przetrwać bez ubrania. Trwają jednak spory o to, jak mogło wyglądać i w jaki sposób je wykonywał – czy miało postać skórzanej peleryny, czy może odzieży bardziej dopasowanej do ciała?

Do wykonania dziur w skórze upolowanych zwierząt, co pozwoliłoby na „szycie" ubrań, może wystarczyć proste kamienne narzędzie z odpowiednio ostrym brzegiem. Na plejstoceńskich stanowiskach znajduje się jednak wynalazek znacznie bardziej zaawansowany, jakim są kościane szydła służące do przekłuwania skóry. Trwają dyskusje, czy ich wytwórcami byli neandertalczycy, choć najnowsze odkrycia sugerują, że najstarsze znane do tej pory wyspecjalizowane narzędzia wykonane z kości zwierząt, służące do obróbki skór, tak zwane *lissoirs*, mogły być efektem pracy neandertalczyków. *Lissoirs* to płaskie, wąskie i długie narzędzia o zróżnicowanej wielkości uwarunkowanej typem wykorzystanej kości (głównie żeber) z wygładzonymi, wypolerowanymi brzegami i zaokrągloną ostrą końcówką. Fragmenty tych narzędzi znaleziono w południowo-zachodniej Francji na dwóch neandertalskich stanowiskach: Pech-de-l'Azé I i Abri Peyrony (najstarsze z nich datowano na 51 tys. lat). Podobne narzędzia były do tej pory znane tylko ze stanowisk młodszych i kulturowo związanych z naszym gatunkiem – głównie z obszaru zachodniej Europy. Kwestią sporną pozostaje ustalenie, czy neandertalczycy opanowali sztukę wytwarzania tych narzędzi, bazując tylko na swoich doświadczeniach, czy została im przekazana wcześniej przez migrującego *Homo sapiens*. Nie można także wykluczyć innej interpretacji, zgodnie z którą to neandertalczycy zdradzili jej tajniki naszym europejskim przodkom.

Trudy życia w plejstoceńskiej epoce lodowcowej wynikały nie tylko z niskich temperatur, ale także z obecności dużych drapieżników, jak lwy i niedźwiedzie jaskiniowe. Zmiany klimatu zmuszały neandertalczyków do nieustającego podążania za stadami wędrujących zwierząt, przemieszczania się w obszary umożliwiające przeżycie – cieplejsze, gwarantujące schronienie i dostępność określonego pokarmu. Neandertalczycy prowadzili więc koczowniczy tryb życia i jako łowcy-zbieracze nie byliby w stanie przetrwać bez dużej wiedzy o środowisku i umiejętności przekazywania jej następnym pokoleniom.

Izotopowe badania składu kości neandertalczyków, a także biochemiczne i genetyczne analizy kamienia nazębnego (nazywanego też tartarem), wskazują na zróżnicowaną dietę: obok pokarmu roślinnego było to mięso dużych roślinożernych ssaków, jak nosorożce włochate i mamuty (w przypadku neandertalczyków żyjących na północy), a także małże, skorupiaki, ryby i ptaki (dostępne na przykład w obszarze basenu Morza Śródziemnego i na Bliskim Wschodzie). Szczegółowa analiza kamienia nazębnego szczątków znalezionych w hiszpańskiej jaskini El Sidrón wykazała, że 50 tys. lat temu neandertalczycy uzupełniali swoje posiłki grzybami, mchem oraz orzeszkami sosnowymi. W tartarze kilku osobników zidentyfikowano po-

nadto związki chemiczne wskazujące na spożywanie krwawnika i rumianku, a u osobnika cierpiącego z powodu stanu zapalnego zęba również topoli kalifornijskiej zawierającej kwas salicylowy (który stanowi główny składnik aspiryny) oraz pleśni „produkującej" penicylinę.

### Przystrojeni w piórka

Życie nie kończy się na zapewnieniu sobie przetrwania. Neandertalczycy mieli zaś, jak się wydaje, wszystko, co niezbędne, by tworzyć sztukę: rozwinięty mózg oraz dostęp do materiałów i dogodnego miejsca ekspresji artystycznej. Problem polega na tym, że choć znamy wiele jaskiń, w których znaleziono ślady sztuki, nie jest łatwo orzec, kto właściwie je wykonał. Dobrym przykładem są malowidła, liczące ponad 65 tys. lat, znalezione w trzech hiszpańskich jaskiniach: La Pasiega, Maltravieso i Ardales. W pierwszej z nich na jednej ze ścian widnieją abstrakcyjne motywy zbudowane z czerwonych kropek i linii, kojarzące się z postaciami ludzi; w drugiej na czerwonym tle widoczne są wzory ludzkich dłoni (efekt plucia farbą na rękę przyłożoną do skały lub jej nadmuchiwania), stanowiące część większego obrazu, na który składają się także geometryczne figury; w trzeciej natomiast znajdują się formacje naciekowe pomalowane w kilku miejscach czerwonym barwnikiem. W każdym z tych przypadków trudno zaprzeczyć, że ślady te powstały celowo i nie pełniły żadnych czysto praktycznych funkcji, jednak nie da się jednoznacznie orzec, kto właściwie je tam pozostawił. Pewną wskazówką mogą być dowody świadczące o stosowaniu przez neandertalczyków barwników, na przykład czerwonej ochry żelazistej, znalezionej na stanowisku Maastricht Belvédère w Holandii sprzed ponad 200 tys. lat. W hiszpańskiej Cueva de los Aviones natrafiono na perforowane morskie muszelki ze śladami kolorowych barwników, datowane na 115-120 tys. lat. Niektóre z nich mogły służyć neandertalczykom do przechowywania barwników lub ich mieszania.

Neandertalczycy powszechnie wykorzystywali do zdobienia swojego ciała również pióra. Wyniki szczegółowych analiz tafonomicznych (procesów, jakim podlegają z czasem kości) i traseologicznych (śladów pozostawionych na kościach) szkieletów ptaków należących do różnych gatunków krukowatych i drapieżnych, pochodzących z wielu stanowisk neandertalskich, wskazują na dużą liczbę nacięć wykonanych kamiennymi narzędziami na kościach skrzydeł, które zdaniem badaczy dowodzą celowego usuwania z nich dużych sztywnych piór (głównie lotek). Nie zaobserwowano koncentracji podobnych nacięć na mostku lub innych kościach tych ptaków – co sugerowałoby obróbkę do celów kulinarnych. Szczególne znaczenie miały dla nich ptaki żywiące się padliną oraz gniazdujące na stromych, wysokich klifowych lub górskich zboczach. Widok krążącego w powietrzu padlinożercy stanowił zapewne informację o tym, gdzie znajduje się ciało padłego zwierzęcia lub miejsce, gdzie inna grupa ludzi mogła zajmować się właśnie ćwiartowaniem upolowanego mamuta. W przypadku ptaków drapieżnych mogło to wiązać się ze względnie łatwym dostępem do gniazd, gdyż na swoje obozowiska neandertalczycy wybierali głównie miejsca położone wysoko, co ułatwiało im obserwację terenu.

PD

Sztuka naskalna, którą mogli pozostawić neandertalczycy. Jaskinia El Castillo w Hiszpanii.

Na szczególny stosunek neandertalczyków do tych ptaków może wskazywać odkrycie na stanowisku w chorwackiej jaskini Krapina szponów orła, datowanych na 130 tys. lat, o celowo wygładzonych brzegach, ze śladami głębokich rowków wykonanych ludzką ręką, umożliwiających noszenie ich jako elementów naszyjnika lub bransolety. Z badań archeologicznych wynika, że neandertalczycy mogli ponadto wykonywać wisiory ze specjalnie w tym celu perforowanych zębów ssaków. Analiza tego typu ozdób jest dogodnym punktem wyjścia do pytań znacznie szerszych niż te dotyczące estetyki: można bowiem zastanawiać się, czy ich twórcy przypisywali im jakieś symboliczne znaczenie. Drugim zagadnieniem, które naturalnie skłania nas do podobnych refleksji, jest kwestia pochówku.

Większość paleoantropologów uważa, że neandertalczycy intencjonalnie grzebali zmarłych i że było to związane nie tylko z zabezpieczeniem ciała przed uszkodzeniem, na przykład przez padlinożerców. Jak mogły wyglądać określone rytuały związane z ich wierzeniami – tego zapewne nigdy się nie dowiemy. Zdaniem pewnych badaczy najstarszego dowodu na praktykowanie grzebania zmarłych może dostarczyć jaskinia Sima de los Huesos, z której pochodzą szkielety co najmniej 28 osobników, dorosłych i młodocianych, datowane na 430 tys. lat. W tej samej warstwie oprócz szczątków wydobyto również wielki różowy kwarcowy pięściak, nienoszący śladów wykorzystywania go jako narzędzia. Obiekt ten może być interpretowany jako dar grobowy. Budowa jaskini wskazuje na to, że ciała zmarłych osobników, zanim dostały się do wspomnianej warstwy osadu, musiały być wrzucone przez otwór prowadzący do wąskiego, wysokiego, długiego tunelu.

Neandertalczycy nie chowali ciał zmarłych osób w pozycji wyprostowanej na plecach, co było charakterystyczne dla pochówków kopalnego *Homo sapiens*, lecz układali je „jak do snu", na boku z podkurczonymi nogami bez darów grobowych, takich jak np. kościane ozdoby lub narzędzia. Zgodnie z dominującym obecnie poglądem ich funkcję mogły pełnić określone części ciała zwierząt umieszczane na ciele zmarłego (np. szczęka jelenia położona na miednicy neandertalskiego dziecka pochowanego w jaskini Amud w Izraelu). Jednym z najbardziej wyjątkowych pochówków jest liczący 60 tys. lat grób dorosłego osobnika, którego ciało złożono na kobiercu z polnych kwiatów w jaskini Shanidar w górach Zagros (Irak).

Tego typu znaleziska skutecznie pobudzają do dalszych pytań: czy pochówkowi temu towarzyszyły jakieś dodatkowe ceremonie? Czy nad zmarłym wypowiadano jakieś specjalne formuły? Co czuli i co myśleli uczestniczący w pogrzebie neandertalczycy? W tym miejscu kończy się jednak twarda archeologia, a pozostaje tylko nasza wyobraźnia.

© WIOLETTA NOWACZEWSKA

Autorka jest paleoantropolożką, pracuje w Katedrze Antropologii na Wydziale Nauk Biologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego.

# Wszyscy lubią bawełniane podkoszulki

DANIEL EVERETT, JĘZYKOZNAWCA:

**Mam wielki szacunek dla rdzennych mieszkańców Brazylii, ale nie sądzę, aby byli w czymkolwiek lepsi ode mnie. Nie wierzę w ideę szlachetnego dzikusa.**

**ŁUKASZ LAMŻA: Człowiek Zachodu przyjeżdża do rdzennych mieszkańców amazońskiej dżungli, aby z nimi zamieszkać: żyć jak oni i w końcu stać się takim jak oni. Załatwił wszystkie niezbędne pozwolenia, wysiada z łodzi motorowej, wita się i... co dalej?**

**DAVIEL EVERETT:** Trudno powiedzieć, ponieważ nigdy się to nie udało. Słyszałem o ludziach, którzy twierdzą, że stali się jak oni i udają, że są w pełni zasymilowani, ale w każdym przypadku po prostu oszukują sami siebie. I tych ludzi w Amazonii.

**A czy członkowie tych plemion chcą, żebyśmy żyli jak oni?**

Nigdy w życiu. Początkowo próbowałem się wtapiać, a oni byli zbyt uprzejmi, żeby mi coś powiedzieć wprost. Aż pewnego razu, to było u ludu Suyá w środkowej Brazylii, wódz plemienia wziął nas na rozmowę i powiedział bardzo prosto: słuchajcie, my chodzimy nago, ale nie chcemy, żebyście wy chodzili nago. To nie znaczy dla was to samo, co dla nas. Nie jesteście częścią naszego ludu, nie próbujcie tego robić. Ubierajcie się tak, jak jest wam wygodnie.

**Dlaczego? To obraźliwe?**

Tak, ale są też kwestie czysto praktyczne. Badacze, zwłaszcza ci, którzy są kiepsko finansowani, myślą, że pojadą tam i będą żyli jak oni. Kończy się to tak, że zjadają ich jedzenie i korzystają z pracy ich rąk, w niczym samemu nie pomagając. Kiedy jadę do Pirahã i mam własne jedzenie, nie jestem ciężarem dla wioski, a kiedy w dodatku dzielę się z nimi, to jest to bardzo docenione. Ale jeżeli chcę, żeby oni dzielili się ze mną, ale ja się nie dzielę... jest to bardzo niemile widziane, a dzieje się to często w przypadku antropologów czy misjonarzy.

**Jaki jest więc typowy scenariusz? Wysiadają z samolotu, ściągają gacie i wydaje im się, że się wtopią?**

Antropologów motywuje zwykle szczera chęć zostania jednym z nich, co jest naiwne i nigdy się nie udaje. W przypadku misjonarzy wynika to raczej z bardzo biednego wyposażenia. Taki misjonarz nie ma żadnego sprzętu, zapasów pożywienia ani pieniędzy. Ma tylko trochę lekarstw i myśli, że jeżeli im je rozda, to oni zajmą się wszystkimi jego potrzebami, że będą za niego łowić ryby i polować.

**A gdyby umiał sam to robić?**

Jeden misjonarz, który przyjechał do Pirahã, całkiem nieźle łowił i polował, ale to nic nie zmienia. Prawdę mówiąc, oni właśnie za to szczególnie go nie lubili – nie okazali tego, bo to bardzo uprzejmi ludzie, ale nie podobało im się, że on łowi i poluje. To naruszało równowagę ekonomiczną. Mimo że dzielił się, nie robił tego w taki sam sposób, w takim samym porządku jak oni.

**Czyli nie da się wtopić w tłum Pirahã?**

Spędziłem dwadzieścia lat, próbując żyć tak jak oni, i zauważyłem, że ani w moich oczach, ani w ich oczach nie jestem jednym z nich. I to mimo tego, że nazywali mnie swoim bratem i że jestem jedynym człowiekiem Zachodu, który nauczył się ich języka. To zaufanie może być bardzo głębokie. Pamiętam, że kiedyś, gdy szedłem przez wioskę, wpadła na mnie mała dziewczynka. Podniosłem ją i połaskotałem, po czym ona podbiegła do ojca i chwilę szeptała mu coś do ucha, po czym on się zaśmiał. Zapytałem, co takiego powiedziała. Okazało się, że upewniała się, czy jej wolno, ale powiedziała też, że jestem jedyną osobą z zewnątrz, o której wie, że nie zrobi jej nic złego.

**Spora oznaka zaufania.**

Tak, ale to nie znaczy, że jestem teraz jednym z nich. Jestem białym facetem, któremu można zaufać, zwłaszcza od kiedy przestałem przed nimi i przed sobą udawać. Kiedy przywiozłem lodówkę z panelami słonecznymi i akumulatory, nie kryłem się z tym i, co najważniejsze, dzieliłem się z nimi. Dawałem im zimne napoje, czasem też trzymałem ich jedzenie w swojej lodówce. Paradoksalnie właśnie to sprawiło, że znikały między nami podziały.

**Czyli nie ma historii sukcesu? Ludzi „przyjętych do Pirahã"?**

Jest jeden wyjątek. Jeżeli bardzo atrakcyjne brazylijskie antropolożki jadą do plemion, w których nie nosi się ubrań, to

52-INSIGHTS.COM

Daniel Everett w towarzystwie uzbrojonego w łuk i strzały Indianina z plemienia Pirahã.

faceci z tych grup są bardzo zadowoleni, gdy te Brazylijki chodzą nago (*śmiech*).

Ciało człowieka Zachodu nie wygląda jak ich ciało. Jeżeli się chodzi nago całe życie, skóra jest twarda, zużyta. Jeżeli ponadto jesteś kobietą, która rodzi niemal co roku, od kiedy ma 13 lat, twoje ciało wygląda inaczej niż 25-letniej kobiety, która jeszcze nie rodziła, ma zupełnie inny styl życia, inną dietę, chroni swoją skórę... O, wtedy na pewno powiedzą, że ona jest teraz jedną z nas i że jest w wiosce zawsze mile widziana.

**Spędziłeś z nimi długie lata i czujesz się tam jak u siebie – powiedz, jak z Twojej perspektywy wygląda typowa wizyta białego człowieka w wiosce Pirahã?**

To zależy od tego, kto przyjeżdża. Jedni przypływają, czasem aż z Wenezueli, w celach ekonomicznych. Rozpoznają teren. Myślą, że mogą zabrać im trochę ziemi. Takim ludziom mówię, iż muszę zgłosić radiowo do brazylijskiej agencji ds. rdzennych mieszkańców, że są tu nielegalnie – mówiłem to nawet wtedy, kiedy jeszcze nie miałem radia (*śmiech*). Ten teren to rezerwat Pirahã i nikt tam nie może być bez zgody rządu. Tacy ludzie łamią zaufanie do białego człowieka.

**A ludzie z dobrymi intencjami?**

Pewnego razu zgłosiła się do mnie Miss Belgium. Chciała pojechać do Pirahã, żeby opowiedzieć światu, jak żyją tamtejsze kobiety. Nie miała żadnego przygotowania, ani życiowego, ani naukowego, żeby ta wizyta miała jakikolwiek sens. Delikatnie odwiodłem ją od tego planu. Ale nawet przygotowanie naukowe nie wystarczy. Jedna z moich studentek, Włoszka, chciała koniecznie zobaczyć, jak żyją Pirahã. Najpierw była zachwycona, jacy to oni są piękni, ale potem okazało się, że nie potrafi sobie poradzić z ich trybem życia.

**Co ją wykończyło?**

Proste sprawy. Załatwianie się w lesie, spanie między drzewami, kiedy wszędzie wokół słychać odgłosy zwierząt. Zaczęła panikować, Pirahã tego nie rozumieli, zrobiło się nieprzyjemnie. Wtedy zrozumiałem, że nigdy już nikogo nie zaproszę, dopóki nie jest dobrze przygotowanym naukowcem.

**A są uduchowieni etnoturyści?**

O, tak! To ci, którzy pojawiają się znikąd, ściągają ciuchy i nagle twierdzą, że są Pirahã. Co najgorsze, potem opowiadają te swoje bzdury na całym świecie. Pewien brytyjski dziennikarz trafił do Pirahã święcie przekonany, że oni są w jakiejś szczególnej jedności z przyrodą i mają lepszy system wartości niż my. Zrobił piękne filmy i wywiady, a potem je przetłumaczył. Kiedy zerknąłem na jego tłumaczenia, okazało się, że to jakaś całkowita bzdura. W miejscu, w którym Pirahã mieli rzekomo mówić coś o wyższej sile, o duchowości, na nagraniu w rzeczywistości pytają, czy możesz mi przynieść to-i-to z sąsiedniego szałasu. Zupełny nonsens. Porozmawiałem z nim, ale nie chciał słuchać. Uważał, że robi coś dobrego. Powiedziałem mu, że moim zdaniem to, co robi, jest równie rasistowskie, jak gdybyś powiedział, że Pirahã to tępe dzikusy. Nie ocenia ich ze względu na to, kim są, tylko ze względu na to, jak ich sobie wyobraża.

**Kto robił te tłumaczenia?!**

Facet, który zawsze się pojawiał, gdy przyjeżdżali dziennikarze. Taki prawie-Pirahã: jego ojciec był Pirahã, ale on sam wychował się poza wioską i prawie nie mówił ich językiem. Ale twierdził, że rozumie i oferował swoje usługi jako tłumacz. Najgorsze jest jednak to, że sami ludzie Zachodu nie chcą znać prawdy. Zanim się czegokolwiek dowiedzą, już mają wyrobione zdanie. Idealizują tych ludzi, a kiedy opiszesz ich uczciwie, to się denerwują. Mam wielki szacunek dla wszystkich rdzennych mieszkańców Brazylii, ale nie sądzę, aby byli w czymkolwiek lepsi ode mnie. Nie wierzę w ideę szlachetnego dzikusa.

**A szlachetny dzikus prędko nie odejdzie. Nam jest chyba bardzo potrzebna ta myśl, że gdzieś daleko istnieje jakieś źródło potężnej mądrości.**

Jest taki dziennikarz, Bruce Parry, który występował w serialu dokumentalnym „Tribe" dla BBC. Przyjeżdżał w jakieś miejsce, spędzał tam tydzień-dwa. Ubierał się jak oni, robił to, co oni, i jadł to, co oni, brał udział w rytuałach. Zachowywał się tak, jak gdyby cokolwiek z tego rozumiał. W rzeczywistości za każdym razem, kiedy miałem okazję przyjrzeć się temu z bliska ↦

↦ – a ostatecznie poznałem Bruce'a dość dobrze – okazywało się, że on po prostu narzucał na opowieść o tych ludziach swoje własne wyobrażenia i nadzieję, kim są.

**Jak lokalni mieszkańcy reagują na takich gości?**

Dopóki coś dostają w zamian, są skłonni ich tolerować. Ale gdyby ich zapytać, co o nim sądzą, to by go wyśmiali. Rzecz w tym, że o to nikt ich nigdy nie pyta. Kręci się film, pokazuje się te piękne ujęcia z dronów, ich rytuały i obyczaje, i tyle – ale nikt z nimi tak naprawdę nie rozmawia. My tak bardzo chcemy wierzyć w mit szlachetnego dzikusa, że nie mamy ochoty go kwestionować.

**Pomówmy o drugiej stronie tej samej monety – o przekonaniu, że wszystko, co pochodzi z Zachodu, jest złe i zepsute. Muszę przyznać, że najbardziej uderzające w zdjęciach rdzennych mieszkańców z całego świata jest to, że wszyscy noszą bawełniane koszulki.**

Tak!

**Ktoś ich do tego zmusił?**

Ha, jest odwrotnie! Zabawne, że wspominasz właśnie o bawełnianych T-shirtach, bo wszędzie tam, gdzie jadę, rzeczą numer jeden, o którą mnie proszą, jest bawełna. Kobiety proszą o kawałki materiału do szycia. Mężczyźni chcą koszulki bawełniane albo nylonowe spodenki.

**Bo są wygodne.**

Oczywiście. Ludzie z jakiegoś powodu nie potrafią zrozumieć, że każdy człowiek lubi mieć na plecach coś wygodnego. Fotografowie, którzy przyjeżdżają do Amazonii, są zawsze zawiedzeni, że Pirahã mają na sobie bawełniane koszulki i nylonowe spodenki. Jeden zapytał mnie, dlaczego oni są tak ubrani, to mu odpowiedziałem, że właśnie tak się ubierają. On na to, żebym im kazał założyć przepaski biodrowe. Wyjaśniłem mu spokojnie, że mogę ich o to poprosić, ale czy będą mieli ochotę, to już zupełnie inna sprawa. Na pewno wolą nosić spodenki sportowe.

Albo inny przykład. Pirahã śpią zwykle na ziemi albo na drewnianych pryczach. Nie lubią spać w łóżkach, które są dla nich czymś przedziwnym, ale hamak... o, jeżeli przyjadę gdziekolwiek z nowym, wygodnym hamakiem, to wiem, że mnie tam pokochają. Hamak w dżungli to coś wspaniałego. I co – mam chować przed nimi hamaki?

> Zachodni turyści pojawiają się znikąd, **ściągają ciuchy i nagle twierdzą, że są Pirahã.** Co najgorsze, potem opowiadają te swoje bzdury na całym świecie.

**Ale to są dość niewinne wynalazki...**

Wiem, do czego zmierzasz. Wziąłem kiedyś trójkę mężczyzn z plemienia Suyá, którzy już trochę znali życie miejskie, do Niemiec, aby zebrać trochę pieniędzy na jeden z programów pomocowych. Oczywiście tuż przed konferencją prasową ubrali się w swoje stroje tradycyjne, z piórami i wszystkim, jak to mieliśmy ustalone. Tuż przed nagraniem wódz zapytał mnie jednak, czy nie skoczyłbym po colę. Kupiłem im wszystkim po puszce i w czasie, kiedy odpowiadali na pytania dziennikarzy, popijali colę. Wszyscy byli potem na mnie wściekli, dlaczego im to daję? Odpowiedziałem, że lubią colę, mieli na nią ochotę, to ich poczęstowałem. W czym problem?

**Nie mogli uwierzyć w elementarną ludzką potrzebę wypicia czegoś zimnego w ciepły dzień?**

Zwłaszcza jeśli to coś ma w sobie cukier. Wszyscy lubią słodkie. Pamiętam, że grupka Pirahã przywiozła kiedyś brazylijskiemu handlarzowi drewno na wymianę. On dał im za to dwa kilo cukru. I oni siedli na miejscu i zjedli dwa kilo cukru łyżeczką (*śmiech*). Ta anegdotka też ludzi wkurza. Pytają mnie, dlaczego na to pozwoliłem. Jak to „pozwoliłem"? Jeden dorosły facet nie ma prawa „pozwalać" drugiemu dorosłemu facetowi, żeby ten zjadł coś słodkiego. Zresztą, oni prowadzą taki tryb życia, że nigdy nie utyją.

**No dobrze, ale pomówmy o tych dalszych konsekwencjach. Sprowadzanie produktu, którego wcześniej w danym miejscu nigdy nie było, może mieć długofalowe skutki negatywne, których oni nie rozumieją. Jak z alkoholem w Ameryce Północnej. Jej mieszkańcy go chcieli, bo kto nie lubi się czasem napić, ale skutki były tragiczne.**

Alkohol zniszczył też mojego ojca, a nie był rdzennym mieszkańcem Ameryki. Ostatecznie, jeżeli dorosły facet chce się upić albo niezdrowo odżywiać, to jest jego prawo. Ludzie mówią, że rdzenni mieszkańcy Amazonii nie mają wystarczająco dużo informacji, aby podjąć w tej sytuacji mądrą decyzję, że nie rozumieją, jakie są skutki tego wszystkiego. Ale to jest myślenie rasistowskie i paternalistyczne. Ja też nie mam wystarczająco dużo informacji, by mądrze podjąć połowę swoich decyzji życiowych, ale ostatecznie uznajemy, że decyzja jest po mojej stronie.

W USA podjęto próbę zdelegalizowania sprzedaży alkoholu w rezerwatach, ale był potężny protest ze strony ich mieszkańców i z zakazu zrezygnowano. W stanie Massachusetts, gdzie mieszkam, można teraz legalnie hodować marihuanę. Połowa moich sąsiadów ma swoje poletko. Nie będę pukał ludziom do drzwi i ich przekonywał, żeby nie pili alkoholu i nie palili marihuany. To jest ich problem, to jest ich życie.

**Moment: ale to wciąż inna historia, ponieważ poruszamy się w ramach jednej kultury. Możemy zakładać, że wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji, że jest pewna płaszczyzna porozumienia, że wiemy, na co się zgadzamy.**

Tylko że teraz jest już za późno na zastanawianie się nad tym. Kilkaset lat temu Brazylia była w całości zamieszkana przez rdzennych mieszkańców. Dziś są otoczeni przez wytwory cywilizacji zachodniej i nie da się ich ochronić przed światem współczesnym. Moim zdaniem powinniśmy po prostu dostarczyć im narzędzi i wiedzy, aby mogli podejmować mądre decyzje. Jedni uznają, że chcą żyć jak my, inni będą chcieli pozostać w dżungli i żyć w sposób tradycyjny.

**A co jest częstsze?**

We wszystkich przypadkach, które znam osobiście, ci ludzie zawsze chcą więcej elementów kultury Zachodu, a nie mniej. Jest takie plemię, Suruí, którego członkowie mieli pierwszy kontakt z białym człowiekiem w 1967 r. Nie mó-

CORDIER SYLVAIN / EAST NEWS

Rodzina z amazońskiego plemienia Apurinã

wili po portugalsku, byli łowcami-zbieraczami, jak Pirahã. Teraz mają brazylijskie domy, pracują, mają samochody – choć wciąż mówią swoim językiem.

**Ile w tym było przymusu?**

Mój dobry przyjaciel, holenderski badacz Bill Bontkes, był jedną z osób, która jako pierwsza skontaktowała się z Suruí. Mieszkał z nimi w latach 1967–2005. Nie było tam żadnego bezpośredniego przymusu.

**Nasza kultura jest aż tak kusząca?**

Na to by wyglądało.

**A są przypadki przeciwne?**

Znam tylko jeden – Pirahã. To jedyna grupa, która nic od nas nie chce, choć nawet w ich przypadku są te bawełniane koszulki.

**Co jest w Pirahã takiego wyjątkowego?**

Myślę, że to przede wszystkim kwestia ich wartości kulturowych. Oni z zasady nie interesują się i nie chcą inwestować w jakikolwiek punkt w czasie inny niż chwila obecna. Mają świetne terytoria, nie są zmuszeni do kontaktu ze światem. Wystarczy im piętnaście, może dwadzieścia godzin pracy tygodniowo i mają zapewnione pożywienie dla wszystkich. Przez resztę czasu siedzą i dobrze się bawią.

**Są szczęśliwi tam, gdzie są.**

Tak, są szczęśliwi i nic ich nie zmusza do kontaktu ze światem zewnętrznym. Ich sytuację niełatwo poprawić. Raz się zdarzyło, że zobaczyli łódź motorową i bardzo chcieli mieć swoją. Powiedziałem im, że będzie z tym problem – nie wiedzą, jak ją naprawić, nie mają dostępu do benzyny i tak dalej. Ale jakimś sposobem rząd brazylijski dowiedział się i postanowili dać im nową motorówkę. Przez jakiś czas Pirahã byli bardzo zadowoleni, ale teraz ta łódź leży za wioską, do połowy zanurzona w błocie i zardzewiała.

**Skąd bierze się ten brak zainteresowania przyszłością? Czy to ma związek z dobrą sytuacją ekonomiczną? A może sprzyja temu klimat tropikalny: stały, bez cyklu sezonowego, który wymuszałby planowanie długoterminowe?**

Tak, nie ma tam zimy, na którą trzeba by się przygotować, ale jest sezon deszczowy. Kiedy spada więcej deszczu, jest też więcej węży, przez co poluje się nieco trudniej. Pirahã nie chodzą więc do dżungli tuż po deszczu. Łowią wtedy ryby, ale w sezonie deszczowym to też jest trudniejsze, bo poziom wód jest wyższy. Jest to trudniejszy okres. Ale nie ma mowy o przechowywaniu żywności, więc nie musisz się na niego specjalnie przygotowywać. Przyjdzie to przyjdzie. Poza tym nawet wtedy jest względnie łatwo znaleźć pożywienie. Każdy wie, że jeżeli zgłodnieje, to może po prostu skoczyć na ryby i za godzinę będzie już coś jadł.

**Czyli to są po prostu szczęśliwi ludzie?**

Zabrałem tam kiedyś grupkę badaczy z MIT i jeden z nich powiedział to samo – że to są chyba najszczęśliwsi ludzie, jakich spotkał. Zapytałem, jak to zmierzył.

**Czyli żeby jakaś kultura chciała pozostać przy swoich tradycjach, jej członkowie muszą być całkowicie zadowoleni z bieżącej sytuacji?**

Misjonarze dawno to odkryli. David Livingstone powiedział kiedyś, że jeżeli chcesz sprawić, aby jakiś lud otworzył się na Ewangelię, musisz najpierw zniszczyć go ekonomicznie.

**Nie nawrócisz szczęśliwego człowieka.**

Otóż to. Kiedy byłem jeszcze chrześcijaninem i chodziłem do szkoły biblijnej, mój nauczyciel ewangelizacji powiedział tak: jeśli chcesz kogoś ocalić, musisz go zagubić. Większość ludzi nie jest zagubiona, musisz więc sprawić, że poczują się zagubieni – że uwierzą w to, iż pójdą do piekła. To może zadziałać w przypadku niektórych Amerykanów, którzy już wcześniej słyszeli o piekle, ale kompletnie nie działa na Pirahã, których nie interesują moje poglądy na świat. Oni mają swoje poglądy na to, jak jest zbudowany świat, które świetnie się sprawdzają, i w gruncie rzeczy uważają swój pogląd na świat za znacznie lepszy od naszego.

**A jest lepszy?**

Oczywiście, że nie. Nie ma kultur lepszych i gorszych. W życiu nie chciałbym żyć jak Pirahã. Moje dwie ulubione aktywności, czytanie i pisanie, nie mają dla nich żadnego sensu. Ale te różnice są piękne. Jeżeli kogoś kocham, to dla tych różnic, a nie wbrew nim. Mogę powiedzieć, że kocham Pirahã, ale to właśnie dlatego nie chcę być taki jak oni.

©℗ Rozmawiał ŁUKASZ LAMŻA

**DANIEL EVERETT** jest językoznawcą, byłym protestanckim misjonarzem, badaczem języków rdzennych mieszkańców Amazonii. Najbardziej znany z wieloletniej pracy wśród plemienia Pirahã. Napisał kilka bestsellerów, w Polsce ukazały się: „Język. Narzędzie kultury” oraz „Jak powstał język. Historia największego wynalazku ludzkości”. Był jednym z głównych gości Copernicus Festival 2019.

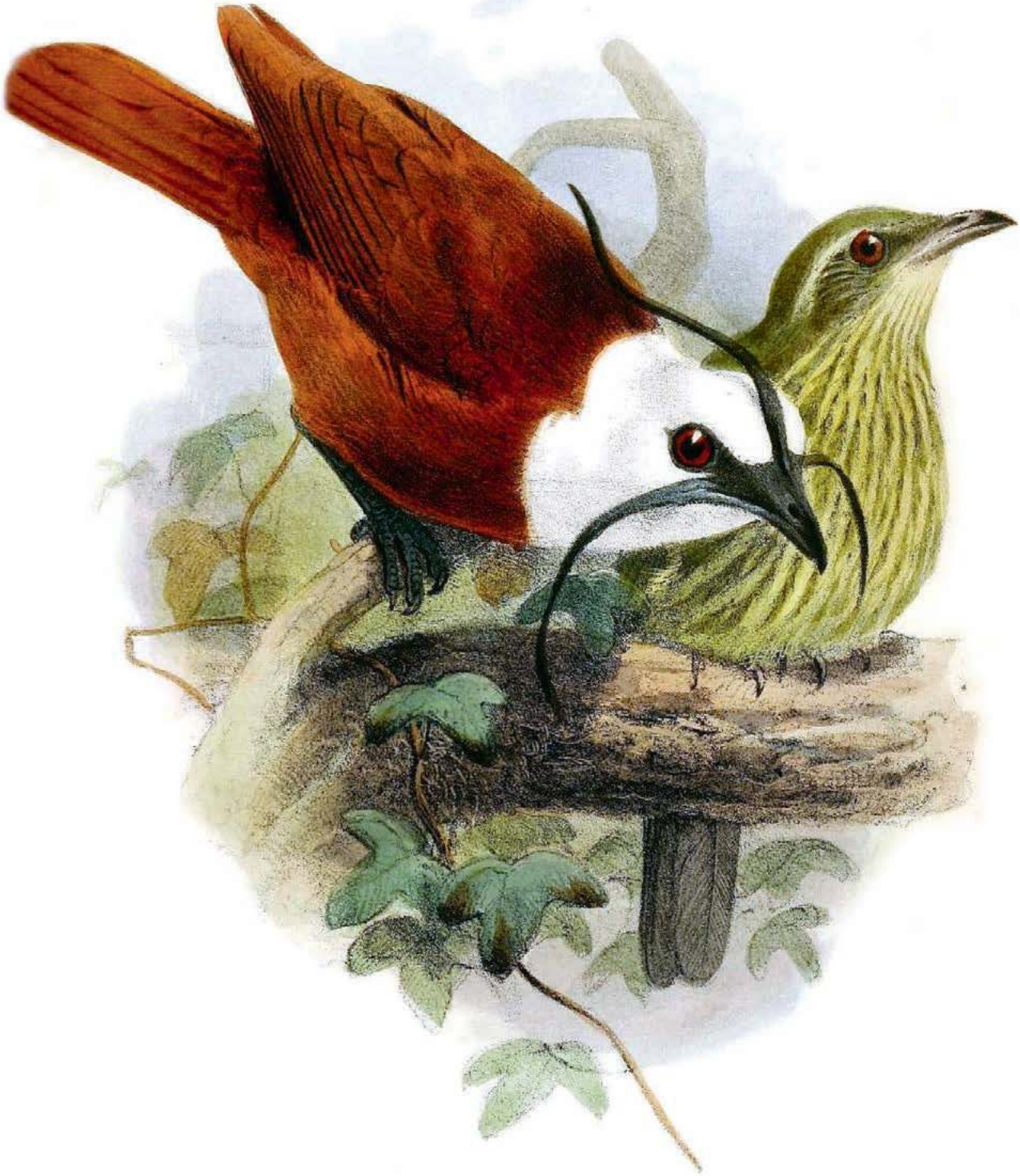

JOSEPH WOLF / DOMENA PUBLICZNA

# Gramatyka ćwierkania

SZYMON DROBNIAK

**Niektóre śpiewające ptaki uczą się swoich piosenek od dorosłych osobników. Inne naśladują różne dźwięki otoczenia. Przynajmniej u części gatunków mogą istnieć tradycje kulturowe.**

Nad lasami La Amistad unosi się ciężka mgła. Spływa z łagodnych zboczy, porośniętych drzewami, po których od dziesięcioleci nie chodził żaden człowiek. Stojąc tutaj na szczycie Cerro Chai i patrząc na las rozciągający się aż po horyzont, słyszę tylko nieśmiałe podmuchy wiatru nadciągającego znad Panamy i pomruki dalekiej burzy, która za dwie-trzy godziny dotrze tutaj, do samej stacji badawczej w Las Alturas.

Od czasu do czasu jednak kostarykańską dżunglę przeszywa całkiem inny, odrealniony i niemożliwie mechaniczny dźwięk. Jakby połączenie przeciągłego zawodzenia i skrobania blaszaną łyżką po szkle. Dźwięk powtarza się kilka razy, po czym milknie na parę minut – po to tylko, by za chwilę zabrzmieć kilkaset metrów obok. Zawsze blisko czubka jakiegoś wysokiego, wyblakłego i już dawno martwego – ale wciąż stojącego pionowo – drzewa.

Autorem tego surrealistycznego odgłosu, przypominającego brzęczenie robota, jest ptak. *Procnias tricarunculatus* – czyli dzwonnik trójsoplowy (na ilustracji obok) – jest bardzo trudnym do wypatrzenia, skrytym i stosunkowo rzadkim gatunkiem, zamieszkującym górskie lasy Panamy, Hondurasu i Kostaryki. Samce tego gatunku mają jedyny w swoim rodzaju wygląd: kontrastowe rudo-białe upierzenie dopełniają trzy długie skórne „sople" zwisające z podstawy dzioba samca. Niezwykłość dzwonnika wynika nie tylko z jego wyglądu. Gatunek ten jest architektem i inżynierem środkowoamerykańskiej dżungli. Dzwonnik zjada owoce różnych gatunków tropikalnych drzew, a następnie wydala ich nasiona, przesiadując w swoim ulubionym miejscu, czyli na czubku ogołoconego martwego drzewa. W ten sposób dzwonniki przenoszą nasiona roślin pod uschnięte drzewa – czyli tam gdzie kiełkujące z nich siewki będą miały największe szanse na zwycięstwo w konkurencji o światło.

Dzwonnik ma też inną niezwykłą cechę: śpiew. Jego piosenka (jeśli można tak nazwać metaliczne jęknięcia produkowane przez samce) należy do jednych z najgłośniejszych w świecie ptaków. Niesie się na odległości przekraczające kilometr.

Dzwonniki są jedynymi ptakami „nieśpiewającymi" (podrząd tyrankowate w rzędzie ptaków wróblowych, zawierający m.in. dobrze nam znane „ptaki śpiewające"), które potrafią przez całe życie aktywnie uczyć się nowych piosenek. U dzwonnika zaobserwowano bardzo ciekawe zjawisko: cyklicznie w populacjach tego gatunku pojawiają się nowe typy i wariacje ich piosenek (różniące się tonem, długością i układem metalicznych szczęknięć), które – po zaistnieniu w jednym miejscu populacji – szybko rozprzestrzeniają się na wszystkie samce w danym regionie.

### Rozmowa z jajem

Piosenka dzwonnika jest oczywiście jednym z milionów dźwięków, jakie wydają z siebie ptaki. Ptaki są – po człowieku – najbardziej wokalną grupą zwierząt. O niezwykłym bogactwie ich głosów najlepiej przekonać się, próbując opanować zdolność rozróżniania ptasich piosenek i rozpoznawania na ich podstawie poszczególnych gatunków. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że dane ptasie dźwięki zadomowiły się w mojej pamięci – przychodzi zima, a po niej wiosna, w czasie której wielu ptasich głosów muszę się uczyć na nowo.

Jak to się dzieje, że posługujący się skomplikowanym językiem człowiek nie potrafi nawet jednoznacznie „transliterować" wielu ptasich dźwięków, używając swoich ludzkich alfabetów – a same ptaki najwidoczniej automatycznie i bez wysiłku posługują się swoimi piosenkami, czasami opanowując repertuary złożone z kilkudziesięciu piosenek, różniących się liczbą zwrotek i sylab, złożonością oraz funkcją?

Zdolność do uczenia się i modyfikowania swojej piosenki kojarzymy przede wszystkim z ptakami należącymi do podrzędu *Passeri* (rząd wróblowe). To tę grupę ptaków mamy najczęściej na myśli, wyobrażając sobie „ptaka śpiewającego". Większość ptaków, które każdego ranka słyszymy za oknem – w tym doskonale znane ze swojego pięknego śpiewu pokrzewki, drozdy, sikory czy wróble – to właśnie przedstawiciele *Passeri*. Typową ich cechą jest to, że przychodzą na świat niemalże pozbawione zdolności wokalnych. Oczywiście pisklęta ptaków śpiewających nie są zupełnie nieme: posiadają repertuar typowych dla piskląt pisków, wykorzystywanych do komunikacji z rodzicami i rodzeństwem, zwłaszcza podczas żebrania o pokarm. Co ciekawe, istnieją mocne dowody na istnienie komunikacji rodzic–pisklę u ptaków śpiewających już na etapie jaja: młode nawet kilka dni przed wykluciem produkują ledwo słyszalne piski, głównie w zakresie ultradźwięków, które odbierane przez inkubującą jaja samicę stymulują jej zachowania rodzicielskie i przygotowują ją do opieki nad świeżo wyklutym potomstwem. Wszystko to jednak jest bardzo prymitywną wokalizacją, zupełnie nieprzypominającą złożonej piosenki ptaków dorosłych.

Ta ostateczna wersja piosenki powstaje poprzez ściśle skoordynowany proces uczenia się, w którym ptaki śpiewające potrzebują odpowiedniego wzorca.

### Faza gaworzenia

Nauka ptasiej piosenki rozpoczyna się już kilka dni po wykluciu się z jaja. Podobnie jak ludzkie dzieci, ptasie pisklęta nie zaczynają używać w pełni wykształconej piosenki od razu, ale przechodzą przez fazę „gaworzenia", w czasie której posługują się coraz bardziej zaawansowanym „podśpiewywaniem" (ang. *subsong*). Bardzo często praktyka wokalna piskląt umyka naszej uwadze – u wielu gatunków polega ona na niemalże bezgłośnym poruszaniu dziobem i mięśniami krtani, bez produkowania głośnych dźwięków (często zresztą odbywa się to w nocy lub w czasie, kiedy młody ptak odpoczywa).

Mimo swojej niepozorności, faza podśpiewywania jest kluczowa, ponieważ nakłada się na tzw. okres wrażliwy w rozwoju wokalnym ptaka. Jest to etap życia pisklęcia, kiedy formują się mechanizmy neurologiczne odpowiedzialne za późniejsze kontrolowanie śpiewu, i w czasie kiedy młody ptak musi być wystawiony na działanie piosenki właściwej dorosłych osobników. W wielu eksperymentach, polegających najczęściej na izolowaniu rosnących piskląt od dźwięków dorosłych osobników, wykazano, że bez ekspozycji na normalną, dojrzałą piosenkę w „okresie wrażliwym" ptaki nie są w stanie wykształcić poprawnej, w pełni ukształtowanej piosenki.

Oczywiście w przyrodzie zawsze znajdą się wyjątki od ogólnie obowiązujących reguł. W przypadku ptaków śpiewających są nimi gatunki, które nie potrzebują „modelowych" piosenek, by rozwinąć swoje dorosłe repertuary. Należą do nich przede wszystkim ptaki znane ze swoich zdolności imitacyjnych. ↦

↦ Badania prowadzone na jednym z takich gatunków – przedrzeźniaczu ciemnym (*Dumetella carolinensis*) – pokazały, że nawet całkowicie odizolowane od dorosłych dźwięków młode tego gatunku wytwarzają poprawny repertuar improwizowanych piosenek. Przedrzeźniacze są przykładami tzw. *open-learners* – ptaków, które przez całe życie zachowują zdolność uczenia się nowych piosenek i rozwijają złożoność swoich piosenek przede wszystkim metodą prób i błędów. W obydwu przypadkach – zarówno jeśli chodzi o *open-learners*, jak i *age-limited learners* (gatunki, u których piosenka wymaga odpowiedniego wzorca i może rozwinąć się tylko w ściśle określonym okresie wczesnego życia) – docelowa, dorosła piosenka nie pojawia się „nagle", jako w pełni ukształtowana umiejętność. Miłośnicy ptaków o wyczulonym słuchu bez trudu zauważą takie prawie dorosłe wprawki. Jeśli mieszkamy w miejscu, w którym przez cały rok usłyszeć można konkretny gatunek ptaka – przy odrobinie wprawy zauważymy, że ptaki śpiewające wiosną brzmią czyściej, bardziej wyrafinowanie i bardziej konsekwentnie niż ptaki odzywające się latem. Wynika to z tego, że wiosną słyszymy dorosłe samce, o wykształconym i wytrenowanym śpiewie, latem natomiast słyszymy również mniej wprawione podloty, które dopiero ćwiczą się w wykonaniu określonej piosenki.

### Wyższy ośrodek wokalny

Elastyczność ptaków wróblowatych w nauce śpiewu – oraz fakt, że niektóre gatunki przez całe życie zachowują plastyczność pozwalającą rozwijać zdolności wokalne (np. szpaki przez całe życie potrafią dynamicznie wplatać w swój śpiew naśladownictwo innych gatunków) – wynikają m.in. z neurologicznej organizacji układów odpowiedzialnych za śpiew w ptasim mózgu. Centralną rolę odgrywa tutaj region mózgu zwany *hyperstriatum ventrale* (albo wyższym ośrodkiem wokalnym). Obszar ten kontroluje dwie ścieżki nerwowe w mózgu ptaka – tzw. ścieżkę tylną (odpowiedzialną za uczenie się śpiewu w okresie wrażliwym) oraz przednią ścieżkę zstępującą (odpowiedzialną za produkcję śpiewu wyuczonego). Co ciekawe, szlaki nerwowe ptaków śpiewających, odpowiedzialne za rozwój ich zdolności wokalnych, angażują szczególny rodzaj neuronów, które działają analogicznie do odkrytych po raz pierwszy u naczelnych neuronów lustrzanych. Aktywność tych neuronów może być jednym z czynników odpowiedzialnych za gatunkową specyficzność wyuczonej piosenki. Jeśli dany gatunek w jego okresie wrażliwym wystawimy na działanie piosenek gatunku własnego oraz spokrewnionego, ale jednak wokalnie odmiennego drugiego gatunku, wyuczona piosenka odpowiadać będzie tej gatunkowo właściwej.

Eksperymenty takie wykonywano m.in. na blisko spokrewnionych gatunkach sikor, a także na szarobrewce śpiewnej (*Melospiza melodia*) i pasówce białobrewej (*Zonotrichia leucophrys*). Mimo podobnej piosenki młode osobniki tych dwóch gatunków poprawnie uczyły się charakterystycznej dla własnego taksonu piosenki, nawet jeśli odtwarzano im w okresie wrażliwym mieszankę dwóch śpiewów. Mózg uczących się ptaków jest więc selektywny w stosunku do tego, co „przyjmuje" – a neurony lustrzane odgrywają w tej selektywności kluczową rolę. Ich działanie bardzo przypomina tutaj ich funkcję u naczelnych: neurony lustrzane ptaków przewodzą impulsy nerwowe wtedy, gdy ptak wykonuje specyficzną dla swojego gatunku piosenkę, oraz wtedy, gdy tylko ją słyszy. Odtwarzanie innej, nawet zbliżonej akustycznie, piosenki nie wywołuje reakcji neuronów lustrzanych, co odgrywa ogromną rolę w dalszym życiu ptaka. Wyobraźmy sobie chociażby koszty, jakie musiałby ponieść osobnik nauczony „złej" piosenki, niesprawdzającej się w czasie przyszłych zalotów.

ARTERRA / GETTY IMAGES

Kląskawka zwyczajna, gatunek ptaka śpiewającego

Wiosną za oknem słyszymy dorosłe samce, **o wykształconym i wytrenowanym śpiewie**, latem natomiast również mniej wprawione podloty.

### Wrodzone sylaby

Neurofizjologia śpiewu u gatunków nienależących do podrzędu „ptaków śpiewających", czyli wspomnianych tyrankowatych (m.in. dzwonnika z kostarykańskiej dżungli), jest podobna. Tyrankowate mają jednak całkowicie inne podejście do uczenia się piosenki. Jest to grupa znacznie słabiej pod tym kątem zbadana niż wróblowe śpiewające – dlatego też atrakcyjna dla wielu badaczy. Jedną z najbardziej intrygujących cech tyrankowatych jest wrodzony charakter ich śpiewu (choć – jak już wiemy dzięki przykładowi dzwonnika – nie można tu mówić o stuprocentowo sprawdzającej się regule). Eksperymenty, które przeprowadzono na tych gatunkach, wskazują, że typowy dla tyrankowatych jest brak konieczności wzorowania się na modelowym śpiewie we wczesnym etapie ich życia. Jeśli osobniki młodociane dwóch spokrewnionych gatunków tyrankowatych – epidonki wierzbowej (*Epidonax traillii*) i epidonki olchowej (*Epidonax alnorum*) usuniemy z ich macierzystych gniazd i umieścimy w gniazdach gatunku przeciwnego – mimo wszystko rozwiną one w pełni poprawną piosenkę swojego gatunku.

Z tego typu eksperymentami naukowcy posunęli się nawet dalej. Wykorzystując inny gatunek tyrankowatych, fibika oliwkowego (*Sayornis phoebe*), którego osobniki młodociane zostały chirurgicznie ogłuszone w wieku ok. 10 dni, badacze wykazali, że ptaki te zupełnie nie potrzebują zmysłu słuchu do wykształcenia pełnowymiarowej piosenki charakterystycznej dla swojego gatunku.

Wiemy już zatem całkiem sporo o mechanizmach uczenia się śpiewu i procesach gwarantujących wykształcenie się repertuaru dźwięków charakterystycznych dla danego gatunku. Wciąż jednak jedną z największych tajemnic jest faktyczna zawartość informacyjna ptasich piosenek. Ich niezwykłe bogactwo oraz stabilność w czasie i przestrzeni wskazują, że sygnał taki musi nieść konkretną informację. Sam kontekst wykonywania piosenki – w ogromnej większości związany z okresem rozrodczym, konkurencją o partnera oraz walkami między osobnikami o zasoby konieczne do rozmnażania – wskazuje, że piosenka ptaków sygnalizuje w pewien sposób „jakość" osobnika, reklamuje potencjalnym partnerom jego dobre zdrowie i korzystne kombinacje posiadanych genów. Prawdziwym wyzwaniem jest tutaj wykazanie, czym tak naprawdę przekazywana informacja jest – i jakie parametry piosenek ptaków ją sygnalizują. Badań, które próbują zbliżyć się do odpowiedzi na to pytanie, jest wiele. Potrafimy już u wielu gatunków wskazać te cechy piosenki – np. jej szybkość, stałość w czasie, długość śpiewu, liczbę wykorzystywanych sylab i fraz – które mają związek z liczbą płodzonego potomstwa, jakością zajmowanego terytorium czy siłą układu immunologicznego danego osobnika. Mówimy jednak o rozszyfrowywaniu potencjalnie bardzo odległego nam języka, wszystkie te dane w dalszym ciągu są więc jedynie przybliżeniami tego, co mamy nadzieję odkryć w złożonych ptasich śpiewach.

### Ukryte znaczenie

Całość komplikuje również sposób, w jaki do tej pory traktowaliśmy ptasie piosenki. Dotychczasowe badania w dużej mierze skupiały się na czysto fizycznych cechach śpiewu, takich jak liczba sylab czy częstotliwość albo głośność emitowanego dźwięku. Jest jednak całkiem możliwe, że zawartość informacyjna ptasiego śpiewu jest znacznie bardziej złożona. Stosunkowo niedawne badania przeprowadzone na bogatce wschodniej (*Parus minor*), bardzo bliskiej krewnej sikory bogatki doskonale znanej w Polsce z zimowych karmników dla ptaków, wykazały, że ptaki mogą w swojej komunikacji wykorzystywać prymitywną gramatykę.

Istotą gramatyki (składni) jest modyfikacja znaczenia słów w zależności od tego, gdzie w zdaniu się one znajdują i jak połączone są z innymi słowami. Manipulując frazami występującymi w śpiewie bogatki wschodniej i odtwarzając odpowiednie frazy w zmienionej kolejności, badacze wykazali, że ptaki te nie tylko reagują na odtwarzane w pojedynkę frazy oznaczające odpowiednio „rozpoznaj zagrożenie" (np. fraza XYZ) oraz „podleć bliżej" (np. fraza R), ale poprawnie interpretują również złożenie tych fraz (XYZ-R wywołuje reakcję rozpoznania i zbliżenia się do źródła dźwięku).

Zmanipulowane „zdanie" R-XYZ nie wywołuje oczekiwanej reakcji (ani nie zwiększa częstotliwości lotów „rozpoznawczych", ani nie pobudza ptaków do podfrunięcia). Jest to oczywiście prosta składnia – wskazuje jednak na istnienie dodatkowej warstwy znaczeniowej w ptasim śpiewie, której do tej pory nie rozważano.

Czy będziemy kiedyś w stanie „poćwierkać" z ptakami – tak jak potrafimy obecnie komunikować się z wieloma gatunkami naczelnych za pomocą prostych języków opartych na znakach? Być może nigdy w pełni nie zrozumiemy złożoności i informacyjnej zawartości ptasiego śpiewu. Wszystko wskazuje jednak na to, że ptaki, pozornie tak odległe komunikacyjnie od człowieka, mogą w sobie kryć klucz do zrozumienia ewolucji tak złożonych koncepcji jak składnia czy gramatyka. Być może to właśnie ptasia gramatyka stoi za tajemniczością piosenki dzwonnika trójsoplowego z kostarykańskiej dżungli? © SZYMON DROBNIAK

Autor jest ewolucjonistą i genetykiem. Pracuje w Instytucie Nauk o Środowisku Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz na Uniwersytecie Nowej Południowej Walii w Sydney.

CEPHAS / CC BY-SA 3.0

## Natura czy kultura?

**NIE JEST ŁATWO ROZSTRZYGAĆ,** czy jakieś zachowanie – np. używanie narzędzi lub komponowanie piosenki – można nazwać tradycją kulturową. Musimy najpierw ocenić, czy zachowanie to jest wrodzone lub czy zwierzę uczy się go samodzielnie, bez potrzeby kontaktów społecznych. Gdy wykluczymy wpływ genów zwierzęcia, jego fizjologii albo presji środowiska, które zmusza osobniki do wynajdywania czegoś „na własną rękę", a dane zjawisko spotykamy w całej populacji, możemy podejrzewać, że mamy do czynienia z tradycją kulturową, która rozwinęła się, ponieważ członkowie stada zaczęli naśladować innych osobników.

U pewnych gatunków ptaków piosenki mogą być formą takiej tradycji kulturowej. U szarobrewki bagiennej (na zdjęciu) nauka sylab, z których ptak będzie komponował swoje pieśni, następuje w ciągu kilku pierwszych tygodni życia. Ptaki uczą się dźwięków wydawanych przez inne osobniki, ale nie wszystkich: przyswajają wyłącznie te sylaby, które pojawiają się najczęściej, a większość „nowinek" ignorują. Dlatego rzadko pojawiają się nowe warianty melodii – większość osobników nabywa ten sam repertuar dźwięków, i może się to dziać od bardzo dawna. Robert Lachlan i współpracownicy oszacowali, że pieśni szarobrewki nie zmieniły się znacząco od ponad 500 lat. Koncerty szarobrewki są formą kultury ściśle powiązaną z jej biologiczną naturą. Choć lubimy przeciwstawiać kulturę naturze, ten przykład dowodzi, że nasze pojęciowe klasyfikacje nie zawsze odpowiadają bogactwu zjawisk przyrodniczych. A kultura – także u człowieka – nigdy nie jest zupełnie oderwana od natury. ©℗ ŁK

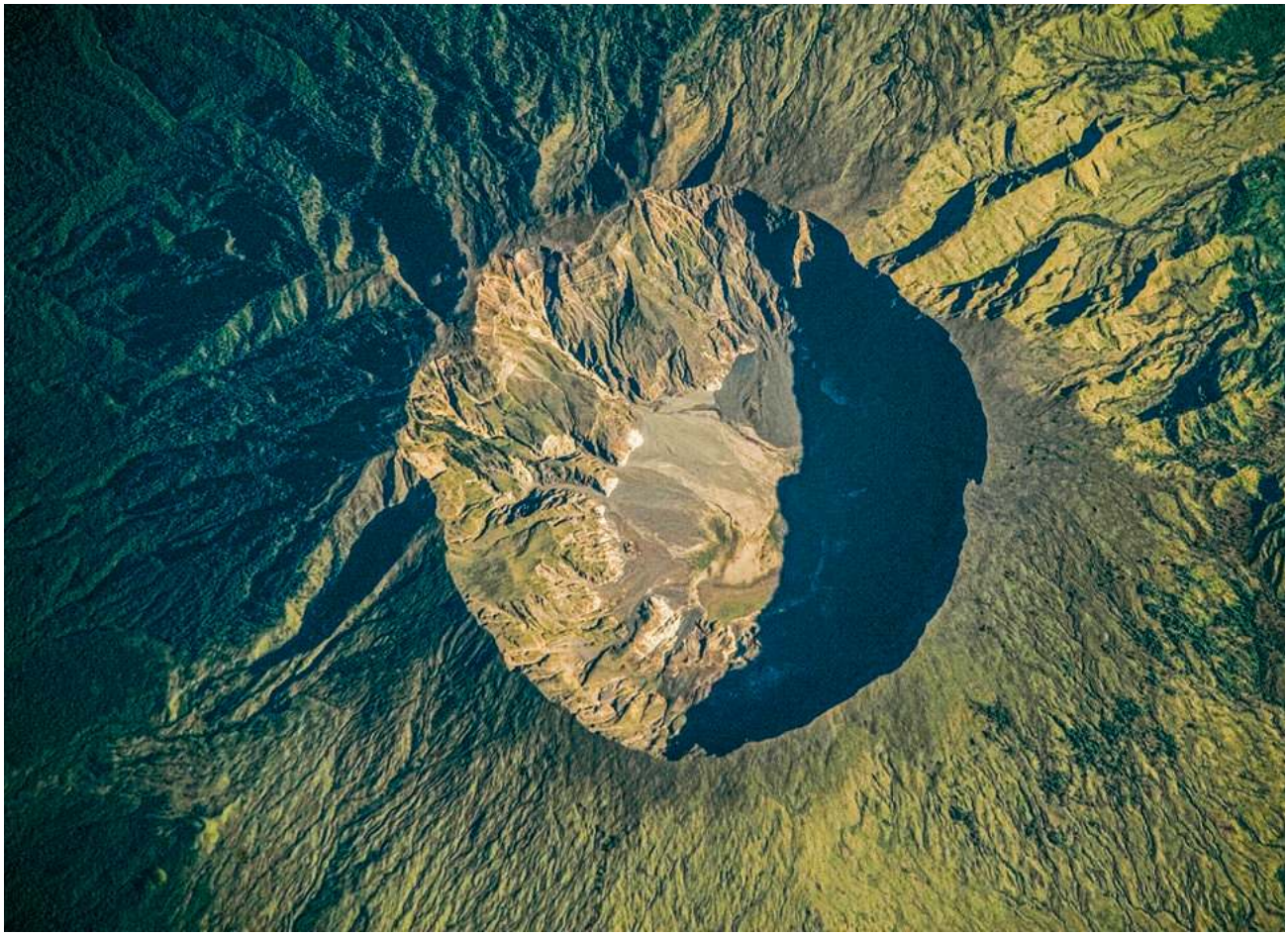

NASA

Wulkan Tambora na wyspie Sumbawa, Indonezja

# Fundament

ANNA ŁOSIAK

**Kim jesteśmy i dokąd zmierzamy? W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie nie trzeba wpatrywać się w niebiosa. Wystarczy spojrzeć pod nogi.**

Mimo że zwykle nie myślimy o kamieniach zbyt wiele, to skały pod naszymi nogami i procesy, dzięki którym powstały, decydują o niemal całym naszym życiu. Mówiąc o związkach między geologią a historią naszego gatunku, można zacząć od prawd najbardziej fundamentalnych. My, ludzie, mogliśmy wyewoluować tylko na planecie, która spełniła szereg warunków geologicznych: odpowiednia wielkość, skład chemiczny, odległość od gwiazdy, ale też aktywna tektonika płyt. Procesy geologiczne wpływają jednak na nas również w mniejszej skali: są odpowiedzialne za wielość i rozmieszczenie kultur, a nawet ich postać.

## Wędrówki i izolacje

Układ lądów na globie ziemskim to jeden z najbardziej widocznych skutków geologii w działaniu – nieustannego przesuwania się względem siebie płyt tektonicznych. Wystarczy zastanowić się, jak wyglądałby nasz świat, gdyby *Homo sapiens* powstał i rozwijał się na jednym wielkim superkontynencie, zamiast być porozrzucanym po mniejszych i większych fragmentach lądu. Gdy nasi dalecy przodkowie wychodzili z Afryki w poszukiwaniu nowych terenów, musieli udać się na północ, gdzie istnieją dogodne przejścia do Europy i Azji – z kontynentami tymi Afryka jest jednak połączona wyłącznie wąskimi przesmykami, co zapewniło europejskim neandertalczykom i archaicznym *Homo sapiens* izolację od Afrykańczyków (zob. artykuł Wioletty Nowaczewskiej na str. 99). Zasiedlanie obu Ameryk odbyło się z kolei znacznie później, i to w odwrotnym kierunku: z północy na południe.

Poważnym ograniczeniem dla wędrówki ludów i wymiany kulturowej są góry. Najlepszym przykładem jest wpływ Himalajów na wzajemne stosunki Indii i Chin. Te dwie starożytne, bardzo silne

cywilizacje przez milenia rozwijały się właściwie obok siebie. Na przykład, mimo tysięcy lat sąsiadowania, prawie nie toczyły ze sobą wojen, a te konflikty, w których uczestniczyli przedstawiciele obu tych krajów – jak XIX-wieczne wojny opiumowe – zwykle nie wynikały z ich wzajemnych sporów. Rozprzestrzenianie się buddyzmu w Azji również pokazuje relatywne odseparowanie tych dwóch cywilizacji geologiczną barierą Himalajów. Droga buddyzmu z miejsca swoich narodzin w północno-wschodnich Indiach do Chin wiodła przez dzisiejszy Pakistan i Afganistan – dokładnie dookoła gór – i zajęła ponad 700 lat.

Himalaje to tylko jeden przypadek ogólniejszego zjawiska geologicznego – powstawania gór nad granicą pomiędzy nachodzącymi na siebie płytami tektonicznymi. Innym przykładem są Andy, które dzielą Amerykę Południową południkowo na dwie strefy: cieniutki pas lądu przyległy od zachodu do Oceanu Spokojnego i szeroką nizinę ciągnącą się aż do Atlantyku. Powstałe w owym wąskim zachodnim pasie wielkie cywilizacje prekolumbijskie, jak Norte Chico, Moche czy państwo Inków, nie miały praktycznie kontaktu z ludami „zza gór", których potomkami są dzisiejsze rdzenne plemiona doliny Amazonki. Do pewnego stopnia można by więc przewidzieć historię ludzkich kontaktów kulturowych – i „mapę izolacjonizmu" – wyłącznie w oparciu o budowę tektoniczną naszego globu.

### Geologia i styl

Wykwitła na danym obszarze cywilizacja rozwija się następnie w stopniu i w stylu, na jakie pozwala jej na to środowisko. Spójrzmy choćby na to, w jaki sposób podłoże skalne wpływa na ewolucję architektury. Pewne prawidłowości są dość oczywiste, jak choćby to, że kultury rozwijające się w otoczeniu gigantycznych masywów skalnych często drążą swoje domostwa czy świątynie właśnie w skale (zob. artykuł Piotra Kołodziejczyka na str. 116), a na terenach lesistych rozwija się budownictwo drewniane – co świetnie ilustruje choćby nasz Biskupin, ale też cała historia architektury japońskiej.

Tego typu wpływy mogą być jednak znacznie bardziej subtelne. Gotyk rozwinął się w krajach, w których było pod dostatkiem kamienia budowlanego: katedry w Wielkiej Brytanii czy Francji są zwykle zbudowane z piaskowca czy wapienia, a francuscy budowniczy katedr mieli już do wyboru wiele odmian wapienia pochodzących z różnych kamieniołomów. Stąd, przykładowo, w katedrze w Chartres dobrze wyeksponowane portale starannie wyrzeźbiono w importowanym wapieniu paryskim, a ukryte w środku budowli kapitele kolumn już z lokalnego wapienia z Berchères – tańszego, ale bardziej kruchego i trudniejszego w precyzyjnej obróbce.

> Przepływ ludzi i kultur ograniczany jest przez liniowe łańcuchy górskie, leżące nad granicami płyt tektonicznych. **To dlatego buddyzm wędrował z Indii do Chin** tak okrężną drogą, aż przez 700 lat.

Na terenie Polski, położonej przecież na glinach i piaskach zrzuconych tu przez lądolód, dostęp do dużych ilości takiego materiału był praktycznie niemożliwy. Dlatego też w naszym kraju, ale też w innych krajach Niżu Europejskiego, jak Niemcy czy Estonia, powstała swoista wersja tego stylu, wykorzystująca lokalnie występujące zasoby: gotyk ceglany. Inny materiał budowlany wymusił wiele modyfikacji. Najbardziej widoczną jest mniejsza ilość zdobień na zewnętrznych ścianach kościołów; w cegłach po prostu ciężko się rzeźbi. Z drugiej strony, do celów ornamentacyjnych może zostać wykorzystany różny stopień wypalenia cegły lub jej okopcenia, skutkujący różnym kolorem – od niedostatecznie wypalonej „niedopałki", przez „wiśniówkę", aż po niemal zeszkloną „zendrówkę" i okopconą „kopciałkę".

### Podstawy rewolucji przemysłowej

Czasem geologia wpływa jedynie na detale architektoniczne, a czasem odmienia całą historię ludzkości. Największą zmianą cywilizacyjną, jakiej kiedykolwiek doświadczyła ludzkość, była bez wątpienia rewolucja przemysłowa. Rozpoczęła się w XVIII wieku w Wielkiej Brytanii i w ciągu zaledwie kilku pokoleń ludzie porzucili tryb życia, jaki przez tysiące lat wiedli ich przodkowie, i masowo przenieśli się do miast, by pracować w fabrykach. Większość wykorzystywanej przez nich energii nie pochodziła już z pracy mięśni, lecz ze spalanego węgla, co skokowo podniosło produktywność.

Tym, co umożliwiło wybuch rewolucji przemysłowej właśnie w centralnej Anglii, była specyficzna budowa geologiczna tego obszaru: występowanie tuż obok siebie dużych i łatwo dostępnych pokładów węgla i rud żelaza. Tylko dzięki temu możliwa stała się wielkoskalowa produkcja maszyn parowych. Do ich wyprodukowania potrzebne są obfite zasoby dobrej jakości żelaza, a do funkcjonowania – olbrzymie ilości węgla. Dostępność „czarnego złota" jest tym ważniejsza, że produkcja żelaza sama w sobie również wymaga węgla, którego spalanie pozwala na „odczepienie" atomów tlenu od żelaza, co prowadzi do przemiany rdzawej rudy w lśniący metal. Przed rewolucją przemysłową w procesie tym wykorzystywano głównie węgiel drzewny, jego produkcja wymaga jednak ogromnych ilości drewna, czasu i nakładu pracy. Dostęp do węgla kamiennego okazał się więc prawdziwym zbawieniem. Nigdzie poza Anglią zasoby te nie występowały tuż obok siebie, a co najważniejsze – były zlokalizowane zaraz przy powierzchni. Dzięki temu zamiast wozić rudę do węgla (lub odwrotnie), wszystko produkowano na miejscu i przemieszczano już tylko gotowy produkt. W XVIII i XIX wieku, przed epoką masowego transportu kolejowego, miało to kolosalne znaczenie.

Produkcja dużej ilości żelaza w XVIII-wiecznej Anglii była możliwa tylko dzięki temu, że ponad 400 mln lat wcześniej płyta kontynentalna Europy zderzyła się z Grenlandią i Ameryką Północną. Powstały góry większe od dzisiejszych Himalajów, ciągnące się od Półwyspu Skandynawskiego i Grenlandii na północy, przez Wyspy Brytyjskie, aż do środkowych Stanów Zjednoczonych. W tym czasie wypiętrzyły się także po raz pierwszy nasze Góry Świętokrzyskie. W niektórych miejscach w obrębie tych wyniesień tworzyły się głębokie rowy tektoniczne. Ponieważ kosmicznym zbiegiem okoliczności wszystkie te wydarzenia miały miejsce w okolicach równikowych, a rośliny zaledwie kilkanaście milionów lat ↦

wcześniej wyewoluowały pnie i spore liście, w zagłębieniach tych powstały rozległe, gęsto zalesione bagna. Ponieważ bagniste wody odcinały dostęp tlenu, martwe rośliny zostały z czasem zamienione w kamień. Co istotne, w następnych milionach lat obszar ten nie był ośrodkiem żadnych dramatycznych procesów geologicznych, dzięki czemu pokłady węgla przetrwały do naszych czasów.

Węgiel wykorzystywano na Wyspach Brytyjskich już ponad 2 tys. lat przed naszą erą – wiemy, że stosowano go wówczas do ceremonialnego palenia zwłok. W epoce rzymskiej był używany do ogrzewania domów, ale też wzbudzania podziwu wśród pielgrzymów z kontynentu przybywających przed ołtarz z wiecznie płonącymi kamieniami przy świątyni Minerwy w Aquae Sulis (dzisiejszym Bath). Średniowieczna Anglia była jedynym krajem w Europie, gdzie wykorzystywano to źródło energii. Skałę tę nazywano wówczas węglem morskim, bo znajdowano ją głównie pod klifami, z których osypywała się po sztormach.

Same warunki geologiczne oczywiście nie wystarczą, aby doszło do tak ogromnego przełomu cywilizacyjnego, jakim była rewolucja przemysłowa. Konieczne były również rządy prawa oraz sprawne i sprawiedliwe sądy, jednak bez odpowiedniej budowy geologicznej nawet najlepszy system prawny na nic by się nie zdał. Gdyby pierwotnie niewiele znaczące wydarzenie – powstanie pierwszych uskoków zaznaczających rów tektoniczny, w którym powstały angielskie złoża węgla – wydarzyło się 150 kilometrów dalej na wschód, pokłady węgla znalazłyby się dziś głęboko pod wodami Morza Północnego, a historia ludzkości wyglądałaby zupełnie inaczej.

### Kulturotwórcze katastrofy

Santorini to senna grecka wysepka zamieszkana dziś przez zaledwie 15 tys. ludzi. 3600 lat temu była jednak miejscem jednej z największych eksplozji wulkanicznych, jakie widział człowiek. Wyspa była wówczas dużo większa, a żyli na niej przedstawiciele zaawansowanej cywilizacji minojskiej. Wykopaliska w miejscowości Akrotiri dowodzą, że funkcjonowało tam duże miasto, z budynkami wysokimi na co najmniej trzy piętra, wyposażonymi w kanalizację z zimną i ogrzewaną geotermalnie wodą płynącą oddzielnymi systemami rur. Domy ozdabiano wymyślnymi freskami. Mieszkańcy tego miasta zajmowali się między innymi przetwarzaniem miedzi z pobliskiego Cypru oraz produkcją tekstyliów, a notatki handlowe zapisywali nieodczytanym dotychczas pismem linearnym A. Wszystko to skończyło się w ciągu jednego dnia, gdy obudził się wulkan, na którym mieszkali. Być może niektórym ludziom udało się uciec – erupcję tego typu często poprzedza duże trzęsienie Ziemi – pozostali zginęli na miejscu. Sto kilometrów sześciennych skał znalazło się w powietrzu, aby następnie spaść na ziemię, otulając ją gorącym płaszczem – tak jak w Pompejach, ale na dużo większą skalę. Znaczna część wyspy znalazła się pod wodą.

> Na terenie Niżu Europejskiego, na glinach i piaskach zrzuconych tu przez lądolód, kamienny gotyk Anglików i Francuzów przerodził się **w nowy styl architektoniczny: gotyk ceglany.**

Czy ta historia nie brzmi znajomo? Dumna, potężna cywilizacja wyspiarska, zatopiona w jednej chwili przez niewyobrażalną katastrofę, i nieliczni uciekinierzy, którzy dali radę przekazać informacje o tym, co miało miejsce, i podzielić się wiedzą, jaką zgromadzili, mieszkając w tym raju. Tak, katastrofa Santorini dała początek legendzie o Atlantydzie.

W 1815 r. w Indonezji wybuchł wulkan Tambora. Eksplozję słychać było z odległości ponad 2 tysięcy kilometrów. Od samego wybuchu zginęło co najmniej kilkanaście tysięcy ludzi, a wywołany przez niego głód pochłonął dalszych kilkadziesiąt tysięcy ofiar. W stratosferę wstrzyknięte zostały kilometry sześcienne pyłu i tlenku siarki, co wywołało krótkotrwałe, ale bardzo gwałtowne globalne zmiany klimatyczne: 1816 rok został nazwany „rokiem bez lata". Zima była długa, a wiosna zimna i deszczowa. Niemal każdej majowej nocy występowały przymrozki, a obfite opady śniegu zdarzały się nawet pod koniec lipca. Większość roślin przemarzła, zbiory były fatalne. Duża część zwierząt nie przeżyła – zdychając z przechłodzenia lub głodu. Ocenia się, że w samej Europie zginęło wskutek tych zmian 100 tys. osób.

Nie wszystkie skutki erupcji Tambory były jednak tragiczne. Utrzymująca się po wybuchu w powietrzu mgiełka z pyłu wulkanicznego i związków siarki nadała niebu nietypowy żółto-pomarańczowo-różowy kolor. Staranna analiza palet barwnych stosowanych przez malarzy w latach przed wielkimi erupcjami i po nich pokazuje, że owe nietypowe zjawiska atmosferyczne inspirują do stosowania nowych rozwiązań malarskich. Przykładowo, z badań takich wynika, że wybuch Tambory, a następnie filipińskiego wulkanu Babuyan w 1831 r. miał wpływ na charakterystyczny styl malowania nieba przez angielskiego prekursora impresjonizmu J.M.W. Turnera oraz innych współczesnych mu malarzy, na przykład niemieckiego romantyka Caspara Davida Friedricha, na obrazach którego wielką rolę również odgrywa dramatyczne oświetlenie.

Najbardziej niespodziewany wpływ na kulturę miały jednak nieudane wakacje, jakie w owo pełne śniegu lato spędzali nad Jeziorem Genewskim w Szwajcarii Mary Shelley, George Byron, John Polidori i ich przyjaciele. Z powodu fatalnej pogody towarzystwo siedziało większość czasu w domu. Któregoś razu uwięzieni w chatce goście wpadli na pomysł urządzenia nieformalnego konkursu na najstraszniejsze opowiadanie. Wtedy właśnie Mary Shelley stworzyła swoje debiutanckie dzieło „Frankenstein, czyli nowy Prometeusz", które dało początek literaturze fantastyczno-naukowej, zaś John Polidori napisał opowiadanie „Wampir", które wprowadziło tego potwora do europejskiej literatury.

### Siedziba bogów

Nietypowe obiekty geologiczne inspirowały uczucia religijne od najdawniejszych czasów. Wulkany często uważano za siedziby bogów: Hefajstos, zwany też po prostu Wulkanem, mieszkał w Etnie. Uluru, ogromny australijski ostaniec piaskowcowy wystający ponad otaczający, płaski jak stół teren, jest uważany za święte miejsce. Mieszkają tam nie tylko liczne bóstwa, ale, co ważniejsze dla Abo-

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Gotycki zespół katedry i zamku kapituły pomezańskiej, Kwidzyń

rygenów, tam gromadzą się duchy przodków. Tradycyjnie prawo do wdrapania się na jego czubek przysługiwało tylko osobom, które przeszły długotrwałe szamańskie szkolenie i zdały specjalny test. Dlatego też rdzenni mieszkańcy Australii apelują do turystów, żeby ci powstrzymali się od wchodzenia na Uluru, i po prostu podziwiali jego piękno z dołu.

Nagłe pojawienie się nowych struktur geologicznych, szczególnie tych związanych z tajemniczymi gośćmi z nieba, często inicjowało powstanie nowych legend i miejsc kultu. Gdy nawet stosunkowo niewielka, kilkudziesięciometrowa asteroida uderza w Ziemię, to wydarzenie może być obserwowane z odległości co najmniej kilkudziesięciu kilometrów. W ten sposób miejsce upadku zostaje w widoczny sposób naznaczone przez niebiosa. Krater Kaali w Estonii ma zaledwie 100 metrów średnicy, ale od dawna stanowi ważne miejsce dla okolicznej ludności. Archeolodzy znaleźli w nim ślady działalności religijnej w postaci zabudowań świątynnych i wotów wrzucanych do środka. Jedna z najwcześniej zapisanych estońskich legend również dotyczy tego miejsca. W „Kronice" Henryka Łotysza z XII wieku, najstarszym znanym źródle pisanym dotyczącym historii tych ziem, napisano, że bóg Tharapita, który jest estońską inkarnacją skandynawskiego Thora, narodził się we wzgórzach Ebavere w północno-wschodniej Estonii, a następnie przeleciał na wyspę Saaremaa, gdzie dokonał „twardego lądowania". Kaali figuruje również w innych legendach, większość z nich zawiera wzmiankę o jasnym obiekcie spadającym z nieba.

Nie wiemy co prawda, czy te historie rzeczywiście przekazują zniekształcone relacje naocznych świadków, czy też zostały wymyślone później, żeby wyjaśnić tę dziwną strukturę pośród płaskiego estońskiego krajobrazu. Jedyne, czego możemy być pewni, to że w czasie, gdy 3,5 tys. lat temu niewielka żelazna asteroida uderzała w południowo-zachodnią Estonię, region ten był już zamieszkany przez ludzi, o czym świadczą nie tylko liczne znalezione tam artefakty, takie jak zagubione toporki, ale także pyłki roślin uprawnych, jasno dowodzące, że prowadzono tu już działalność rolniczą. Taka kosmiczna kolizja musiała wywrzeć gigantyczne wrażenie na mieszkańcach tych okolic.

Skały pod naszymi stopami kształtują również przyszłość. Prawdopodobnie najbardziej dramatyczna przemiana kulturowa w najbliższych czasach będzie związana z tą samą skałą, która stała się podstawą poprzedniej wielkiej zmiany: węglem. Uwolniony do atmosfery dwutlenek węgla już teraz powoduje znaczące zmiany klimatu, wywołując zwiększenie intensywności ekstremalnych wydarzeń pogodowych oraz pustynnienie gościnnych dotychczas obszarów, a także podnosząc poziom oceanu. Ich konsekwencją będą bez wątpienia duże zmiany kulturowe na całym świecie. Najważniejsze z nich będą wynikiem czekających nas ogromnych migracji klimatycznych – a więc zjawiska, które zdążyło już wielokrotnie odbić swoje piętno na historii ludzkości, na dobre i na złe.

© ANNA ŁOSIAK

Autorka jest geolożką planetarną, pracuje na Uniwersytecie Exeter w Wielkiej Brytanii, zajmuje się badaniami powierzchni Marsa oraz kraterów uderzeniowych na Ziemi.

# Szeroki umysł

MATEUSZ HOHOL

**Potrzeba było kilku rewolucji w kognitywistyce, by zaczęto doceniać rolę, jaką w myśleniu odgrywa środowisko fizyczne i kulturowe.**

Kognitywistyka narodziła się w USA w drugiej połowie lat 50. XX w. w kontrze do behawioryzmu: paradygmatu psychologii, który skupiając się na mierzalnych zachowaniach, traktował umysł jako „czarną skrzynkę", do której nie da się zajrzeć metodami naukowymi.

Umowną datą powstania nowej nauki – i pierwszej rewolucji poznawczej – jest 11 września 1956 r., kiedy na Massachusetts Institute of Technology (MIT) odbyło się sympozjum na temat przetwarzania informacji, podczas którego późniejszy noblista Herbert Simon opowiadał wraz z Allenem Newellem o ich programie komputerowym, potrafiącym dowodzić wyrafinowane twierdzenia matematyczne, Noam Chomsky przedstawił swoją wpływową teorię gramatyki, a George Miller wyniki badań nad granicami pamięci krótkotrwałej. Ten ostatni po wielu latach napisał, że wyszedł z sympozjum „z przekonaniem, bardziej intuicyjnym niż racjonalnym, że psychologia eksperymentalna, lingwistyka teoretyczna oraz komputerowa symulacja procesów poznawczych są częściami większej całości". Dyscyplinom tym od początku towarzyszyła filozofia umysłu, a później, dzięki rozwojowi metod badawczych, dołączyła do nich neuronauka.

„Ojców założycieli" kognitywistyki połączyła wizja umysłu jako narzędzia do rozwiązywania problemów poprzez manipulowanie wewnętrznymi, jakby-językowymi, pozazmysłowymi i abstrakcyjnymi symbolami, tak jak robi to komputer. Porównywanie umysłu do komputera miało zresztą na celu nie tylko wyjaśnienie natury tego pierwszego, ale również tworzenie coraz doskonalszych programów komputerowych naśladujących, a nawet przewyższających, możliwości poznawcze człowieka. Wcześni kognitywiści metodycznie pomijali przy tym zarówno neurobiologiczne podstawy umysłu (Jerry Fodor mawiał, że dobry psycholog nie musi przejmować się tym, z czego zrobiony jest mózg, podobnie jak ekonomista nie musi znać chemicznego składu pieniędzy), jak też wpływ środowiska – zarówno fizycznego, jak i społecznego – w którym przebiegają procesy poznawcze.

## Rewolucja ciała

W latach 80. XX w. doszło do poważnej zmiany w pojmowaniu umysłu. Dawny uczeń Chomsky'ego, językoznawca George Lakoff wraz z filozofem Markiem Johnsonem odkryli na nowo, że nasze poznanie jest ucieleśnione. Na nowo, ponieważ idea ucieleśnienia została opracowana i dojrzewała wśród filozofów francuskich i niemieckich jeszcze przed II wojną światową. Badacze stwierdzili, że nasze myślenie nie przypomina przetwarzania symboli przez komputerowy program, który może działać podobnie, nawet jeśli zainstalujemy go w różnych komputerach. Jest raczej tak, że pojęcia – będące „cegiełkami myślenia" – zarówno te odnoszące się do konkretnych obiektów („pies", „stół", „samochód"), jak i abstrakcyjnych konstruktów kulturowych („zaufanie", „państwo opiekuńcze", „praworządność"), tworzone są przez nasze mózgi w wyniku interakcji naszych ciał ze środowiskiem.

Typ interakcji, w jakie ze światem wchodzi osobnik, zależy od struktury jego ciała. Jesteśmy istotami chodzącymi pionowo na dwóch kończynach dolnych, posiadamy chwytne kończyny górne, którymi możemy z łatwością manipulować przedmiotami, a nasze oczy i uszy znajdują się w stałym rozstawie, przez co postrzegamy świat zazwyczaj podobnie. Inna struktura ciała oznaczałaby innego typu interakcje ze środowiskiem, a co za tym idzie posiadanie przez nas innych umysłów. Chociaż ucieleśnienie umysłu nie jest jednolitą teorią, a raczej paradygmatem nauk o poznaniu, większość jego zwolenników zgadza się, że ciało – to o konkretnej budowie – umożliwia, a zarazem ogranicza nasze myślenie.

Ucieleśnienie zmieniło postrzeganie umysłu, ale zmianie nie uległa jedna ważna rzecz. Zarówno klasyczna, jak i ucieleśniona kognitywistyka skupiały się na umyśle pojedynczej osoby. Z czasem zmieniać zaczęło się jednak również to.

## Osadzony i rozszerzony

W drugiej połowie lat 80. zaczęto zwracać większą uwagę także na pozacielesne czynniki modulujące procesy poznawcze. Zauważono, że środowisko wywiera presję na organizm, a umysł musi rozwiązywać problemy w ograniczonym czasie. Poznanie jest więc nie tylko ucieleśnione, ale także osadzone czy usytuowane w konkretnym środowisku. Na te cechy poznania szczególną uwagę zwróciła robotyka. Rodney Brooks, profesor MIT i współzałożyciel firmy iRobot, budującej m.in. popularne roboty sprzątające, pokazał, że złożone zachowania nie muszą iść w parze z posiadaniem złożonych struktur wiedzy. Do optymalnego działania wystarczy, by robot w odpowiednim czasie reagował na podstawowe przeszkody, jakie napotyka w swoim środowisku. Roboty budowane przez Brooksa pozwoliły również teoretykom zwrócić większą uwagę na wzajemny związek motoryki i procesów poznawczych.

Dekadę później w kognitywistyce do głosu doszła kolejna nośna idea: poznanie rozszerzone. Niemal każdy współczesny komputer podatny jest na rozszerzenie swoich możliwości – wystarczy, że podepniemy do niego drukarkę, skaner albo dysk powiększający dostępną pamięć. Zdaniem Andy'ego Clarka i Davida Chalmersa granice umysłu nie pokrywają się z granicami czaszki, ponieważ mózg może inkorporować – za pomocą cielesnych manipulacji – zewnętrzne zasoby. Elementy środowiska można wręcz uważać za część umysłu.

HOLDE SCHNEIDER / VISUM / FORUM

Noam Chomsky, maj 2004 r.

Najprostszym przykładem rozszerzonego poznania jest wykorzystanie liczydła, które pozwala nam przekroczyć wrodzone kilkuelementowe ograniczenia pamięci krótkotrwałej, dokładnie te, na które w 1956 r. zwrócił uwagę George Miller. Podobnie dzieje się, gdy korzystamy z notesu. Rozszerzenie naszego poznania odbywa się nie tylko poprzez wykorzystanie protez pamięci – krótkoterminowej i długotrwałej. Wielu badaczy sądzi współcześnie, że język – czy to naturalny język codziennej komunikacji, czy to sztuczne notacje symboliczne, z jakich korzystamy np. w matematyce – jest kluczowym narzędziem kulturowym rozszerzającym możliwości mózgu *Homo sapiens*.

### Protezy i artefakty

Zwolennicy osadzenia (usytuowania) umysłu w środowisku oraz jego rozszerzenia zwracają uwagę na artefakty poznawcze. Są to, jak pisze Don Norman z Uniwersytetu Kalifornijskiego San Diego, „takie wytwory kulturowe, które umożliwiają przechowywanie informacji i operowanie nimi, wpływając na nasze osiągnięcia poznawcze". Choć artefakt kojarzy się nam raczej z rękodziełem albo inną namacalną rzeczą, język, którym się posługujemy, jest również wytworem kultury – co nie znaczy oczywiście, że powstał w biologicznej próżni. Artefakt ten umożliwia nam obiektywizowanie naszych prywatnych myśli, przekazywanie ich innym oraz ich modyfikowanie poprzez internalizację komunikatów napływających z otoczenia.

Zdaniem filozofa Daniela Dennetta z Tufts University, „język tworzy ścieżkę, po której mogą podróżować nasze myśli". Uważa on również, że o unikalności ludzkiego umysłu decyduje nie tylko struktura naszych ciał, ale również to, że jako gatunek wynaleźliśmy język, którego plastyczność i systematyczność przewyższa systemy komunikacyjne wykorzystywane przez naszych zwierzęcych kuzynów. Język jest narzędziem umożliwiającym współpracę. Jest też, jak twierdzi Michael Tomasello z Instytutu Antropologii Ewolucyjnej Maksa Plancka w Lipsku, podstawowym nośnikiem zwyczajów i tradycji, na gruncie których wyłania się poczucie głębokiej wspólnoty. We wspólnocie możemy zrobić więcej niż w pojedynkę – nasze zobiektywizowane przy pomocy języka myśli mogą służyć innym za inspirację, ale również oni mogą rozwiązać problemy, z którymi sami mierzyliśmy się bezskutecznie. Język jest więc publicznie dostępną „cegiełką" nisz poznawczych. „Kolaboracyjna" funkcja języka nie wyczerpuje jednak jego charakterystyki jako artefaktu poznawczego.

Każdy ludzki język scharakteryzować można poprzez prawidłowości strukturalne, które nazywamy gramatyką. Wielu kognitywistów twierdzi dziś, że gramatyka języka wprowadza systematyczność nie tylko do naszej komunikacji, ale również do myślenia. Edmund Rolls z Uniwersytetu w Warwick uważa, że gramatyka języka umożliwia planowanie różnorodnych działań i sprawdzanie ich rezultatów bez konieczności rzeczywistego wykonania tych działań. Sprzyja więc „wybieganiu" myślami poza konkretne doświadczenie. Zwolennicy rozszerzonego poznania – jak znany nam już Andy Clark – nie zgadzają się z przytoczoną wcześniej tezą Lakoffa i Johnsona, że abstrakcyjne myślenie rodzi się po prostu w wyniku interakcji naszych ciał ze środowiskiem. Do powstania abstrakcyjnych pojęć (przypomnijmy: „zaufanie", „państwo opiekuńcze", „praworządność") konieczny jest zdaniem Clarka język. Badacz ten twierdzi wręcz, że artefakt ten jest podstawowym budulcem „nisz poznawczych", czyli intersubiektywnych struktur, w których łatwiej jest rozwiązywać problemy i które niekiedy umożliwiają nam zupełnie nowe formy myślenia i rozumowania. Choć poznanie rozszerzone jest całkiem nową ideą na gruncie kognitywistyki, podobnie jak w przypadku umysłu ucieleśnionego ma ona swoich „przedkognitywistycznych" prekursorów. Na kartach książki „Myślenie i mowa" rosyjski psycholog rozwojowy Lew Wygotski twierdził, że język służy naszym umysłom za coś w rodzaju „poznawczego rusztowania".

### Poznanie rozproszone

Na ewolucję pojmowania umysłu można patrzeć jak na stopniowe odchodzenie od idei indywidualizmu metodologicznego, wedle której procesy poznawcze traktować należy jako powstające w mózgach pojedynczych osób i nieprzekraczające granic czaszki. Poznanie rozszerzone przyjmuje, że przepływ informacji pomiędzy jednostką a zewnętrznymi zasobami może być tak „gęsty", że zasoby te pełnić mogą funkcje poznawcze; zakłada ono także, że to jednak podmiot, albo jego mózg, stanowi „centrum dowodzenia", które koordynuje rozszerzone procesy poznawcze. Konieczności istnienia takiego „centrum" sprzeciwiają się teoretycy bardziej radykalnej – a zarazem chronologicznie najnowszej – koncepcji kognitywistycznej, określanej jako rozproszone poznanie. Według badaczy takich jak Edwin Hutchins z Uniwersytetu Kalifornijskiego San Diego i Robert ↦

↦ Goldstone z Uniwersytetu Indiany procesy poznawcze mogą być nie tylko własnością jednostek, ale mogą angażować wiele osób (grupy) oraz elementy ich otoczenia (artefakty).

Odrzucenie idei centrum poznawczego prowadzi zwolenników rozproszonego umysłu do przedefiniowania procesów poznawczych. Klasyczni kognitywiści myśleli o umyśle w kategoriach przetwarzania wewnętrznych symboli, reprezentujących np. obiekty ze świata zewnętrznego. Teoretycy poznania rozproszonego twierdzą natomiast, że reprezentacje, które możemy – pełnoprawnie – nazwać poznawczymi, nie muszą mieć charakteru wewnętrznego. Ich zdaniem takimi zewnętrznymi reprezentacjami – bo niosącymi jakieś znaczenie – są gesty, wypowiadane słowa, narysowane na kartce lub komputerze diagramy itd. Przyczyniają się one bowiem do koordynacji wielu jednostek, naprowadzając je na rozwiązanie konkretnego problemu. Zarysowane wyżej perspektywy można by próbować pogodzić, mówiąc, że czasami myślimy samodzielnie, a czasem stajemy się elementami szerokich systemów poznawczych.

Edwin Hutchins twierdzi jednak, że „możemy rozważać wszystkie przypadki poznania, jako wyłaniające się z rozproszonych procesów". Rzecz w tym, że nawet gdy siedzimy w fotelu i rozmyślamy z zamkniętymi oczyma – nie wchodzimy więc w interakcje z innymi obiektami i elementami środowiska (pomińmy fotel) – myśli nie są „czystymi produktami" naszej neurobiologii, ale efektami splotu tego, w jakie mózgi wyposażyła nas ewolucja, z tym, jak kultura – poprzez interakcje z innymi osobami oraz artefaktami – ukształtowała nasze indywidualne ścieżki neuronalne. Być może nie jest więc tak, że szerokie systemy poznawcze powstają przez „skumulowanie" pojedynczych umysłów, ale raczej że szeroka nisza poznawcza umożliwia nam niekiedy indywidualne myślenie.

© MATEUSZ HOHOL

Autor jest kognitywistą, badaczem poznania matematycznego, pracuje w Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

# Potęga mobilnego imperium

PIOTR KOŁODZIEJCZYK

**Nabatejczycy stworzyli jedną z najbardziej tajemniczych antycznych kultur na Bliskim Wschodzie, czerpiąc z dorobku plemion koczowniczych i sąsiednich państw. Dowodem ich rozwoju jest wykuta w skale Petra.**

Rozrastające się państwo starożytnych Rzymian zajmowało stopniowo coraz większe terytoria Europy, Afryki i Azji. Niosąc „kaganek oświaty" (najczęściej na ostrzu miecza) w dalekie zakątki znanego sobie świata, Rzymianie poznawali jednocześnie kulturę duchową i materialną innych ludów, często adaptując ją do własnych potrzeb. Nie mogli zatem nie dostrzec potencjału drzemiącego w orientalnych żywicach i przyprawach, które do dzisiaj wabią zapachami i smakami odwiedzających Bliski lub Daleki Wschód.

Ich uwagę musiał przykuć Szlak Kadzidlany, czyli drugi po Szlaku Jedwabnym pomost handlowy i kulturowy łączący w starożytności Orient z Okcydentem. Przemierzały go karawany transportujące z głębi Półwyspu Arabskiego drogocenne w tamtym czasie towary: kadzidło, balsam arabski, mirrę czy szafran. Przez kilkaset lat szlak ten kontrolowany był przez tajemniczy lud Nabatejczyków, czerpiący z tego niemałe korzyści. Widać to w niezwykłym przepychu stolicy ich pustynnego państwa, którą zwiedzają dziś miliony turystów rocznie.

Petra – nabatejska stolica, zwana też Czerwonym Miastem – zlokalizowana była na skrzyżowaniu starożytnych szlaków handlowych, w górskich dolinach Pustyni Południowej na wysokości od 900 do 1500 m n.p.m. Czerwonawe piaskowcowe i wapienne skały tych gór dały jej nazwę. W języku greckim πέτρα (*petra*) oznacza skałę i pod takim przydomkiem miasto to znane jest dziś, choć sami jego starożytni mieszkańcy nazywali je Raqmu. Dziś to jedno z największych na świecie stanowisk archeologicznych, zajmujące kilkaset hektarów, i jedna z największych atrakcji Jordanii.

Dla człowieka patrzącego w głąb historii to jednak przede wszystkim niepodważalny dowód na gospodarność i pragmatyczność tego ludu. Nabatejczykom udało się bowiem nie tylko zmonopolizować na długi czas handel pachnidłami i przyprawami, ale także stworzyć rzadko spotykany kulturowy patchwork. Najlepiej widać to w ich politeistycznej religii, gdzie lokalnie czczone duchy i bóstwa sprawują władzę nad światem obok tych „zaimportowanych" z mitów egipskich, mezopotamskich czy grecko-rzymskich.

Nabatejczycy nie pozostawili zbyt wielu źródeł pisanych. Znajdujemy je dziś przede wszystkim w Petrze i jej okolicach, w formie inskrypcji nagrobnych lub napisów na monetach czy lampkach oliwnych. Trudno zatem dziś powiedzieć, czy ta światopoglądowa konstrukcja miała pomagać w kontaktach z sąsiadami i kontrahentami, czy raczej była ich skutkiem. Jedno wiemy jednak na pewno: ten pierwotnie wędrowny semicki lud, uważany za poprzedników arabskich plemion mieszkających tam do dziś, podjął próbę stworzenia na północno-zachodnich terenach Półwyspu Arabskiego osiadłego państwa, które przetrwało cztery stulecia i zniknęło w równie tajemniczych okolicznościach, w jakich się pojawiło.

## Między Biblią i archeologią

W górskich rejonach południowej Jordanii, czyli tam, gdzie znajduje się Petra, archeolodzy znajdują dziś na szczytach wzniesień wycięte w skałach ołtarze, schody i półki, jeszcze dawniejsze od tego skalnego miasta. To ślady rytuałów i misteriów sprawowanych w tych miejscach przez poprzedników Nabatejczyków – Edomitów. Lud ten wymieniany w Biblii (np. w Księdze Królewskiej czy

GRAŻYNA MAKARA x2

Skalny korytarz prowadzący do ruin Petry, dawnej stolicy państwa Nabatejczyków, położonej na terenie dzisiejszej Jordanii. Tuż za nim znajduje się grobowiec El-Khazneh, najsłynniejszy zabytek miasta.

Księdze Kronik) i zajadle atakowany przez biblijnych proroków (np. w Księdze Amosa czy Księdze Ezechiela) budował swoją kulturę na tym obszarze w epoce żelaza, między XII a VIII w. p.n.e. Choć historyczna wartość tekstów biblijnych jest bardzo wątpliwa, to trudno polemizować z odkryciami archeologicznymi dokonywanymi tu od dziesięcioleci.

Edomici – krewniacy Izraelitów, zwani też czasem Idumejczykami, tradycyjnie uważani za potomków biblijnego Ezawa – stworzyli na tym obszarze państwo oparte na nowym, półkoczowniczym schemacie, kultywujące po raz pierwszy zwyczaje religijne i społeczne, których część przejmą później stopniowo Nabatejczycy. Stolicę edomickiego państwa zlokalizowano w Bosrze (dzisiejsza Buseira) w południowej Jordanii. Zbudowane z kamienia miasto położone na trudnej do zdobycia skalnej ostrodze zamieszkiwało, jak się uważa, kilka tysięcy ludzi. Znamy dziś już co najmniej kilkadziesiąt innych osad pochodzących z tamtego okresu, w których znajdowana jest ceramika, figurki, pieczęcie i inne zabytki łączone z Edomitami.

Jednymi z najciekawszych są skalne refugia Sela i Umm el-Bijara. Na szczyty tych kilkusetmetrowych wzniesień prowadzą wąskie, łatwe do zatarasowania ścieżki. Na górze znajdują się spore wypłaszczenia, na których setki osób mogły znaleźć schronienie. Przygotowano tam nawet wykute w skale zbiorniki na wodę deszczową. Technologia gromadzenia wody sięga zresztą na tym obszarze okresu neolitu.

Nie wiemy, czy miejsca te wykorzystano kiedykolwiek do ratowania się przed najazdem wrogich plemion. Choć Biblia wspomina o wielkiej bitwie w rejonie Seli i śmierci tysięcy Edomitów, to archeolodzy nie znaleźli w tym miejscu żadnego śladu po takim wydarzeniu.

Między VIII a V w. p.n.e. następuje płynne przejście tradycji i kultury edomickiej w nowy, nabatejski wzorzec. Przybysze z głębi Półwyspu Arabskiego osiedlali się tam zapewne już od jakiegoś czasu, a gdy na znajdowanych przez archeologów pieczęciach pojawiają się ↦

↦ północnoarabskie imiona, jest jasne, że rozpoczyna się nowy rozdział w dziejach Transjordanii.

### Kara za utracony majątek

Gdy już skatalogujemy pozostałości po danej kulturze, zawsze pojawiają się te same pytania: skąd wzięły się jej rysy charakterystycznie i kiedy się wyłoniły. Odpowiedź na nie nigdy nie jest prosta. Ogromną rolę w kształtowaniu się tożsamości materialnej i duchowej odgrywają choćby uwarunkowania środowiskowe: w jaki sposób pozyskiwano pożywienie czy skąd pochodziły materiały do produkcji przedmiotów codziennego użytku. O kształcie kultury decydują też przybywające z ościennych terenów nowinki i mody.

Nabatejczycy przejęli po edomickich poprzednikach tradycje religijne związane z misteriami sprawowanymi na szczytach gór i lokowali wiele ze swoich eklektycznych świątyń na miejscu zniszczonych edomickich przybytków.

Zamiłowanie Nabatejczyków do handlu było zapewne z kolei elementem kultury przyniesionej z południa. Od pokoleń koczownicze i wojownicze grupy zajmowały się tam grabieżą oraz handlem towarami zrabowanymi i zakupionymi od miejscowych rolników czy innych handlarzy, przybywających głównie ze wschodu. Karawany przemierzające pustkowia Półwyspu Arabskiego oddawały się pod opiekę Szai al-Kaunowi, czyli wojowniczemu bóstwu, broniącemu pustynnych wędrowców. Z tej nomadycznej tradycji semickich plemion pochodził także bez wątpienia szacunek do przodków i więzów rodzinnych, mistrzostwo w radzeniu sobie z surowymi warunkami przyrodniczymi oraz dbałość nie tylko o zachowanie, ale i pomnażanie swojego majątku, stanowiącego o pozycji i przetrwaniu rodziny.

Ślady tej gospodarczej aktywności Nabatejczyków, w postaci pieczęci, nabatejskiej ceramiki i inskrypcji, znajdujemy dziś nad Morzem Czerwonym, Morzem Śródziemnym, nad Zatoką Perską i Morzem Arabskim. To dlatego, że kupcy handlujący na wybrzeżach woleli nie zapuszczać się w głąb lądu, na trudne i niebezpieczne szlaki. Łatwiej i bezpieczniej było wynająć nabatejskich „spedytorów" – fachowców od wędrowania przez pustynie, znających szlaki i niewahających się w obronie towaru zabijać.

Petra, Jordania 2018 r.

Żyjący na przełomie er grecki geograf, historyk i podróżnik Strabon przekazał nam frapujący obraz nabatejskiej społeczności. Nie jest on spójny i w wielu miejscach wydaje się co najmniej dyskusyjny, bo jego autor dokonał zapewne kompilacji różnych zasłyszanych opowieści. Za wiarygodne można jednak uznać te fragmenty, które wskazują na nacisk kładziony przez Nabatejczyków na pomnażanie majątku do tego stopnia, że na tych, którzy na skutek błędnych decyzji lub zaniedbań tracili rodzinne zasoby, nakładano urzędowe kary. Można było zostać wygnanym lub stracić resztę majątku.

Dość prawdopodobny wydaje się także obraz ówczesnego państwa jako struktury mocno egalitarnej. Bo choć Nabatejczycy mieli królów (wielu z nich znamy z imienia), to ich panowanie było jednak w pewien sposób uzależnione od decyzji plemiennej rady i musieli jej raportować o stanie państwa i podejmowanych decyzjach.

Być może w tym kontekście bardziej naturalnie mogą dla nas brzmieć Strabonowe opowieści o ucztach wydawanych przez władców nabatejskich. Strabon opisuje je jako wielkie pijatyki z udziałem muzyków, podczas których ze złotych naczyń wypijano znaczne ilości wina, jednak nie należało wypić więcej niż 11 kielichów. W Petrze i w jej okolicach Nabatejczycy wykuli w skałach dziesiątki trikliniów – specjalnych sal do ucztowania. Nazwa tego pomieszczenia pochodzi od greckiego słowa *kline* – oznaczającego sofę lub łoże. W triklinium sofy były trzy, ustawione w rodzaj podkowy. Każdy z gości miał tu swoje, półleżące miejsce, wybrane przez gospodarzy zgodnie z hierarchią zaproszonych biesiadników.

W klasycznym wydaniu na środku triklinium powinien stać kwadratowy lub okrągły stół (*mensa*), wykonany z marmuru lub kości słoniowej. W I w. p.n.e. pojawił się na nim obrus (*mantele*). Na nim ustawiano odpowiednio potrawy, wino czy pojemniki z przyprawami. Potrawy podawane w formie płynnej spożywano czymś w rodzaju łyżki (*cochlear*), natomiast niemal wszystkie pozostałe jedzono rękami. W użyciu były talerze: *patina* (płytki) oraz *castinus* (głęboki), a także *pocula*, czyli puchary do wina. Triklinia nabatejskie umieszczano często w okolicach grobowców – być może zatem miały znaczenie niemal religijne i odgrywały rolę w zwyczajach pogrzebowych.

Rozrywki musiały także dostarczać luksusowe łaźnie – wynalazek podpatrzony w świecie grecko-rzymskim – których pozostałości odkryto na wysokiej skale górującej nad Petrą. Siedząc w basenie, z podgrzewaną specjalnym systemem palenisk wodą, ze złotym kielichem w dłoni, bogaci mieszkańcy stolicy podziwiali z góry krajobraz swojego skalnego miasta. Być może tam także odbywały się uczty, podczas których król sam obsługiwał swoich gości i rozdawał drogocenne prezenty. Dla Rzymian, rozmiłowanych

w niewolnictwie i luksusie zapewnianym przez zastępy sług, takie zwyczaje musiały zdawać się niezrozumiałe i barbarzyńskie. Dla mieszkańców Petry mogły być jednak oczywiste i naturalne.

I choć przez kolejne stulecia zmieniło się tak wiele, to dla współczesnych mieszkańców regionu – potomków Nabatejczyków – gościnność, więzy rodzinne i tradycje handlowe to także elementy oczywistego kodu kulturowego. Podobnie jak język arabski, którego korzeni szuka się dziś właśnie w języku, którym posługiwali się Nabatejczycy.

### Zatrzymać każdą kroplę

W apogeum swojego istnienia, pomiędzy III w. p.n.e. a I w. n.e., wpływy nabatejskiego królestwa obejmowały obszar Transjordanii, palestyńskiego Negewu, Półwyspu Synaj, południowej Syrii oraz obecnej północno-zachodniej Arabii Saudyjskiej. Nabatejscy władcy i poszczególne klany kontrolowali szlaki handlowe na tym obszarze. Budowano obozowiska pozwalające karawanom na odpoczynek i komory celne do poboru należnych opłat za przemieszczanie się po terenie nabatejskiego państwa.

Na przełomie er powstały także największe dzieła nabatejskiego budownictwa i wykształcił się niepowtarzalny styl architektoniczny. Inspiracją i źródłem były kontakty z sąsiednimi państwami: diadochów (Ptolemeuszy i Seleucydów), Partów, Rzymian, Izraelitów, a także rodzima kultura koczowniczych, pustynnych plemion. Struktury architektoniczne pozostawione przez Nabatejczyków to przede wszystkim grobowce fasadowe i triklinia, wykuwane w skałach, zlokalizowane w dwóch rejonach – na obszarze Petry i jej najbliższych okolic, a także w rejonie Hegry (Madain Saleh) na terenie Półwyspu Arabskiego (dzisiejsza Arabia Saudyjska).

Górski i pustynny charakter geograficzny tego regionu zmusił Nabatejczyków do inwestowania w budowle i urządzenia o charakterze hydrotechnicznym. Ich niezwykłe, znane rzymskim dziejopisom umiejętności zatrzymywania każdej kropli wody i kierowania jej tam, gdzie była potrzebna, widoczne są dziś doskonale w pozostałościach kanałów i podziemnych zbiorników. W ostatnich latach coraz więcej odkryć archeologicznych potwierdza inżynieryjny geniusz tego ludu, czego koronnym dowodem są wspomniane termy zbudowane nad Petrą, wyposażone w zbiorniki na deszczówkę, uzupełniane wodą doprowadzaną z pobliskiego źródła specjalnym kanałem. Turystom przemierzającym niemal marsjański krajobraz Petry trudno wyobrazić sobie, że pałace i świątynie, których ruiny zwiedzają, otaczały niegdyś bujne ogrody i sadzawki, do których wodę doprowadzał długi na kilka kilometrów wodociąg.

**Kres trwałemu osadnictwu przyniosły katastrofy naturalne** – seria trzęsień ziemi między IV a VIII w. Czerwone Miasto zamieniło się w sarkofag zaginionej cywilizacji.

Gdy obładowana karawana jucznych wielbłądów docierała do Petry, była zatrzymywana na jej obrzeżach. Tu można było zabezpieczyć towar w chronionych magazynach, nakarmić i napoić zwierzęta, by potem udać się w spokoju do miasta.

Mijały stulecia i zmieniał się świat wokół Petry. Włączenie przez cesarza Trajana państwa nabatejskiego do Cesarstwa Rzymskiego w 106 r. n.e. trudno jednak nazwać jego klęską. Kolejny raz ta niezwykła kultura dostosowała się do realiów. Petrę przebudowywano w stylu rzymskim. Bizantyjczycy budowali tu kościoły i umieścili siedzibę biskupstwa. Miasto wciąż istniało i tętniło życiem, codziennymi sprawami i troskami. Kres trwałemu osadnictwu przyniosły dopiero katastrofy naturalne – seria trzęsień ziemi między IV a VIII w. Czerwone Miasto zamieniło się w sarkofag zaginionej cywilizacji.

### Zgubione-znalezione

Europejczycy uwielbiają „odkrywać" dla siebie inne kultury. Uważają, że dopóki europejska stopa nie dotknie jakiegoś miejsca, pozostaje ono nieodkryte, choćby przez stulecia żyły tam i budowały swoją kulturę inne ludy. Nabatea musiała zatem zostać przez nas „odkryta".

Nastąpiło to w 1812 r., kiedy szwajcarski badacz Johann Burckhardt, mówiący płynnie po arabsku i przebrany w strój muzułmanina, przekonał miejscowego przewodnika, żeby ten pokazał mu grobowiec, w pobliżu którego, jak głosiła legenda, leży zapomniane miasto. Beduini poprowadzili go przez skalny korytarz (Siq), którym obecnie zwiedzający wędrują do serca Petry.

Na jego końcu znajduje się najsłynniejszy zabytek skalnego miasta – wykuty w skale budynek z fasadą 27-metrowej szerokości i 40-metrowej wysokości, czyli El-Khazneh (Skarbiec). To grobowiec największego władcy Nabatejczyków, Aretasa IV. Dekorowany mitycznymi rzeźbami wykonanymi przez aleksandryjskich artystów, stanowi monumentalny dowód na bogactwo i determinację swoich twórców. Znajdziemy tu także elementy tradycyjnej nabatejskiej estetyki w postaci charakterystycznych, geometrycznych kapiteli kolumn z rogowymi wypustkami. Dla ludzi pustyni roślinne ornamenty klasycznych mistrzów były mniej atrakcyjne niż surowe i proste symbole. Nabatejski bóg-stwórca Duszara czczony był przez nich pod postacią kamiennego bloku zwanego betylem.

Ich umiłowanie wolności – Nabatejczycy nigdy nie popadli w fizyczną niewolę! – i pragmatyzm doprowadził ich na technologiczny i gospodarczy szczyt pozwalający na ujarzmienie niegościnnej pustyni i pozostawienie w jej dolinach i wąwozach wiecznego, budzącego nasz podziw śladu. Oto kultura zbudowana na własnych warunkach, twórczo i pragmatycznie czerpiąca pełnymi garściami z dorobku ościennych społeczności, a także wykorzystująca dostępne zasoby do rozwoju i utrwalania swojej pozycji, rozmiłowana w handlu i nigdy nieprowokująca ryzykownych dla swojego przetrwania konfliktów. To dzięki tym unikalnym cechom ich państwo trwało kilkaset lat, a antyczne miasta mogły bez przeszkód sprowadzać pachnidła i przyprawy, dodające życiu ich mieszkańców aromatu, kolorytu i smaku.

© PIOTR KOŁODZIEJCZYK

Autor jest archeologiem, pracownikiem Instytutu Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się badaniami cywilizacji Bliskiego Wschodu oraz Starożytnego Egiptu.

# Poszerzona rodzina Homo sapiens

TEKST **ŁUKASZ LAMŻA** | INFOGRAFIKA **LECH MAZURCZYK**

Każdy kolejny gatunek dołączający do ludzkiej rodziny to nowe obyczaje, zjawiska językowe, skojarzenia, idee, motywy artystyczne...

## Złota rybka

Karpie hoduje się w Chinach od tysięcy lat. Pierwsze wzmianki o złotych i pomarańczowych karpiach pochodzą z czasów dynastii Jin (lata 265–420 n.e.), a w następnych wiekach modne stało się ich hodowanie wyłącznie w celach ozdobnych. W XII wieku władcy z dynastii Song zabronili osobom spoza dworu cesarskiego hodowli odmiany złotej – kolor ten był zarezerwowany dla cesarza. Do dziś odmiana pomarańczowa jest popularniejsza od żółtej, choć to ta druga jest ponoć łatwiejsza w hodowli.

## Lama

W różnych częściach Ameryki Południowej znajduje się świadectwa wspólnego pochówku ludzi i lam. W państwie Inków do grobów wkładano też realistyczne figurki przedstawiające te zwierzęta. Inkascy pasterze mieli dla nich ponadto szczególne miejsce w swym imponującym panteonie. Urcuchillay był bóstwem opiekuńczym, przedstawianym jako dwubarwna lama, odpowiedzialnym za dbanie o bezpieczeństwo pozostałych zwierząt i podtrzymywanie ich w dobrym zdrowiu.

## Perliczka

Aby prowadzić hodowlę jakiegoś zwierzęcia, dobrze jest umieć rozpoznać samicę od samca. Czasem jest to proste, a czasem – jak w przypadku perliczki – dość kłopotliwe. Szczęśliwie, już pierwsi afrykańscy hodowcy perliczek zauważyli, że choć różnice płciowe u tego ptaka trudno zauważyć, względnie łatwo jest je usłyszeć. Otóż samce wydają prosty, głośny „jednosylabowy" krzyk, podczas gdy zawołanie samic jest cichsze, ale wyraźnie dwusylabowe, zapisywane czasem jako „y-a!".

## Pszczoła

Pszczoła należy do zwierząt, które bardzo dawno „oswoiliśmy", jednak znacznie więcej czasu zajęło ich rzeczywiste udomowienie, to jest – w tym przypadku – opanowanie sztuki hodowania pszczół. Znacznie dłuższą historię ma korzystanie z produktów pszczelich, jak miód, wosk, kit czy mleczko. W hiszpańskiej jaskini Cueva de la Araña znajduje się piękny, pełen życia obraz sprzed ponad 15 000 lat, przedstawiający mężczyznę wspinającego się z koszykiem na drzewo w kierunku gniazda dzikich pszczół.

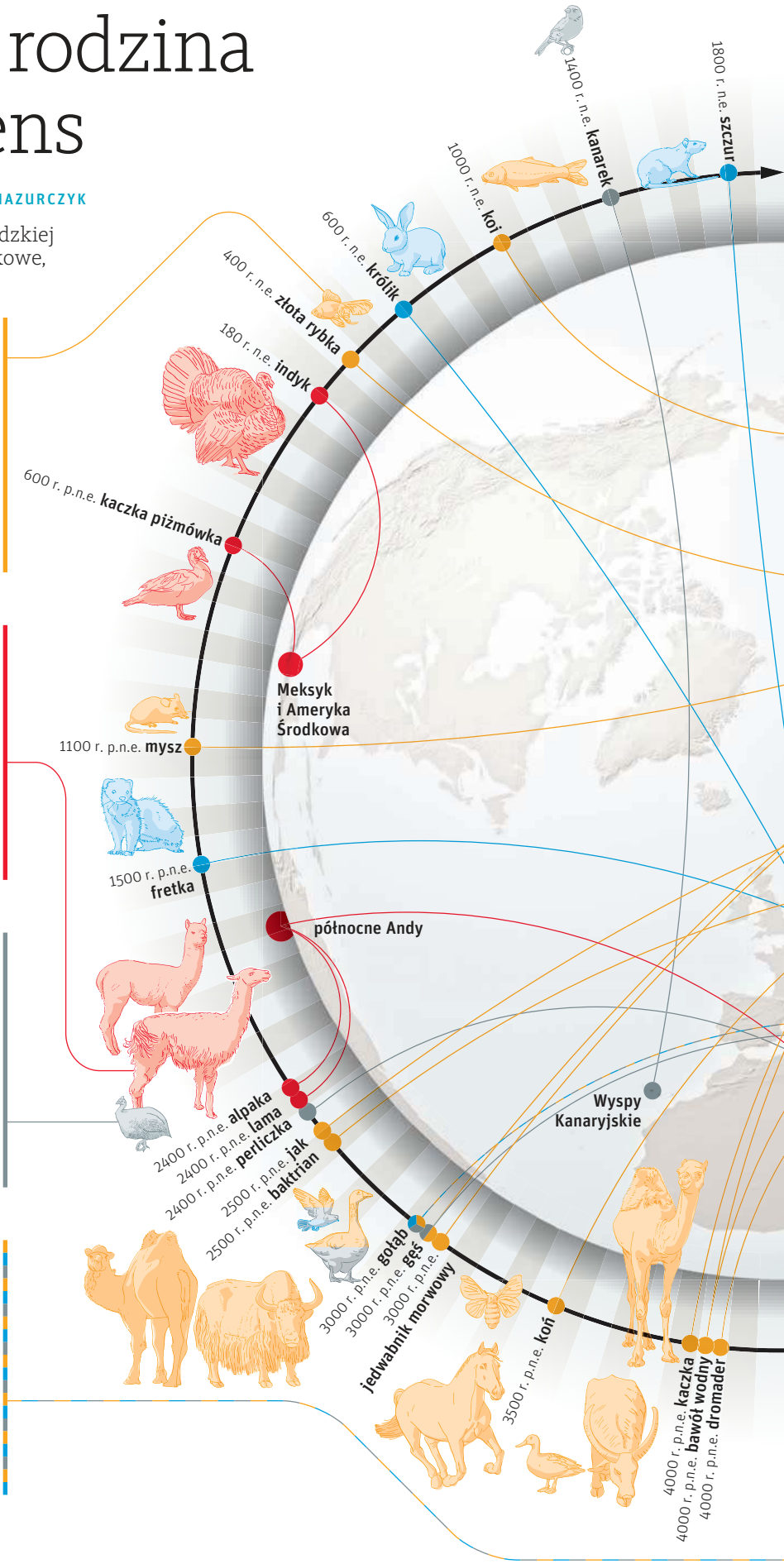

# CZAS I MIEJSCE UDOMOWIENIA POSZCZEGÓLNYCH GATUNKÓW PRZEZ CZŁOWIEKA

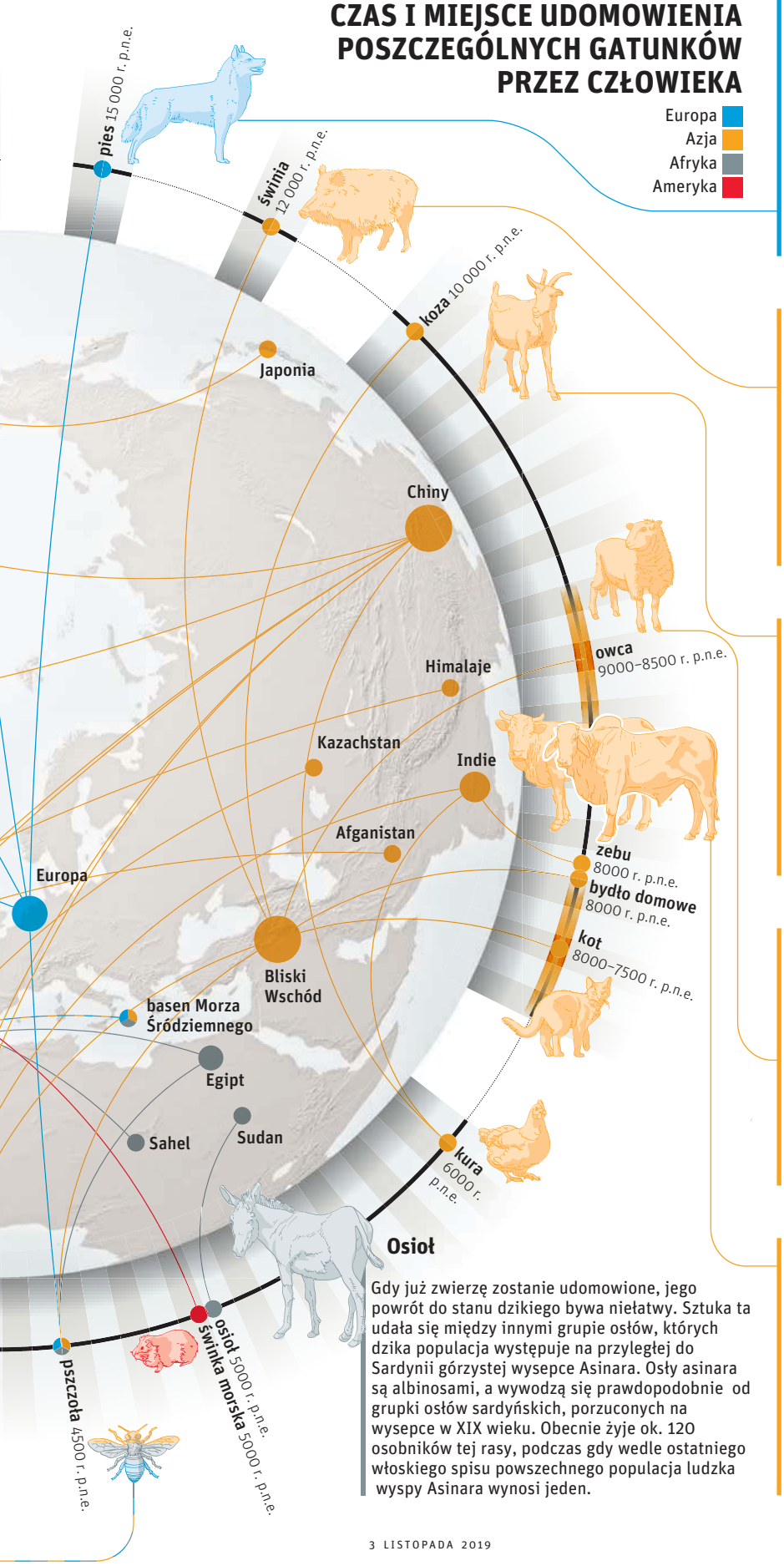


## Pies

Pies z Oberkassel to najstarszy znany osobnik psa udomowionego, odmiennego już genetycznie od wilka. Jego szczątki sprzed 14 000 lat, pochowano wraz z dwoma szkieletami ludzkimi. Badania wskazują, że pies z Oberkassel zmarł po zarażeniu wirusem nosówki, a dwóch ludzi opiekowało się nim w trakcie choroby. Jest to więc również najstarsze znane świadectwo kopalne dowodzące opieki medycznej człowieka sprawowanej nad przedstawicielem innego gatunku niż on sam.

## Świnia

„Świnia to więcej niż zwierzę; to symbol *extraordinaire*. Na całym świecie zwierzę to reprezentuje ekstrema człowieczeństwa, jak radość, lęk, ekstazę, absurd i obrzydzenie. (...) To nie przypadek, że w przypowieści z Ewangelii Łukasza syn marnotrawny doznał olśnienia właśnie wtedy, gdy pasł świnię. Człowiek ogląda siebie w swojej reprezentacji jako świnię, jego uprzedzenie do świni jest więc zarówno samooskarżeniem, jak i pożądaniem, aby wznieść się ponad swą naturę" (R. Horwitz, „Hog Ties").

## Koza

Koza jest jednym z najwcześniej udomowionych zwierząt. Wspólna ewolucja ludzi i kóz, trwająca tysiące lat, doprowadziła do trwałych zmian w zachowaniu tych zwierząt. W 2016 roku naukowcy z Queen Mary University wykazali, że jeśli kozie pokaże się pudełko z pożywieniem, którego ta nie będzie w stanie wydobyć, po pierwszej nieudanej próbie zwróci się w stronę stojącego obok człowieka. Zachowania takiego nie wykazują dzikie kozy. Jest to więc ewolucyjnie utrwalona relacja partnerska.

## Owca

Przeliczenie stada owiec jest zarazem tak trudne i tak istotne, że w wielu częściach świata powstały rymowanki stosowane właśnie przy liczeniu owiec oraz odrębne nazwy liczb stosowane wyłącznie w tym kontekście. Staroangielska wyliczanka tego typu, „Yan Tan Tethera", wywodzi się z języka celtyckiego i bywa również stosowana przy zliczaniu ściegów. Tak brzmi pierwszych dziesięć liczebników w jednej z wersji tego prastarego systemu: yan, tan, tether, mether, pip, azer, sezar, akker, conter, dick.

## Zebu

Zebu jest potomkiem tura indyjskiego, który został udomowiony w dolinie Indusu – jeszcze zanim ok. 3000 lat p.n.e. powstała tam jedna z największych cywilizacji epoki brązu – i niedługo później przestał występować w stanie dzikim. W mieście Harappa, potężnym ośrodku tej cywilizacji, znaleziono terakotową zabawkę datowaną na 2500 rok p.n.e. w postaci dwóch bliźniaczych figurek zebu, posiadających symetryczne otwory na szyi, przez które prawdopodobnie przekładało się jarzmo i doczepiało wóz.

## Osioł

Gdy już zwierzę zostanie udomowione, jego powrót do stanu dzikiego bywa niełatwy. Sztuka ta udała się między innymi grupie osłów, których dzika populacja występuje na przyległej do Sardynii górzystej wysepce Asinara. Osły asinara są albinosami, a wywodzą się prawdopodobnie od grupki osłów sardyńskich, porzuconych na wysepce w XIX wieku. Obecnie żyje ok. 120 osobników tej rasy, podczas gdy wedle ostatniego włoskiego spisu powszechnego populacja ludzka wyspy Asinara wynosi jeden.

REKLAMA

TEATR ŚLĄSKI
im. St. Wyspiańskiego

# WILQ
## SUPERBOHATER

BARTOSZ MINKIEWICZ TOMASZ MINKIEWICZ
REŻYSERIA REMIGIUSZ BRZYK
TEKST MICHAŁ KMIECIK

PRAPREMIERA 12 LISTOPADA 2019
DUŻA SCENA

Śląskie. Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego

Bilety dostępne w kasie **32 259 93 60** oraz online **www.teatrslaski.art.pl**

# weź, czytaj!

## zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.

**Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!**

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego w tej ofercie – 15 zł.

## i w prenumeracie:

### ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

**Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

### CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

| PRENUMERATA | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna (52 numery) | 349 zł | 419 zł |
| Półroczna (26 numerów) | 215 zł | 249 zł |
| Kwartalna (13 numerów) | 115 zł | 129 zł |
| Pokolenia** | 300 zł | |
| Karta Dużej Rodziny*** | 300 zł | |

PREZENT!

### „TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

| | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna + 4 wydania specjalne | 399 zł | 469 zł |
| Pokolenia** + 4 wydania specjalne | 360 zł | |
| Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne | 360 zł | |
| 4 wydania specjalne | 69 zł | |

PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny do 30.11.2019
** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

**Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

TU HONORUJEMY KARTĘ DUŻEJ RODZINY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**W marcu 2020 r. świętujemy 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”**

# Zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj jubileuszowy prezent

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat *Tygodnika Powszechnego*” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów pierwszego redaktora naczelnego pisma.

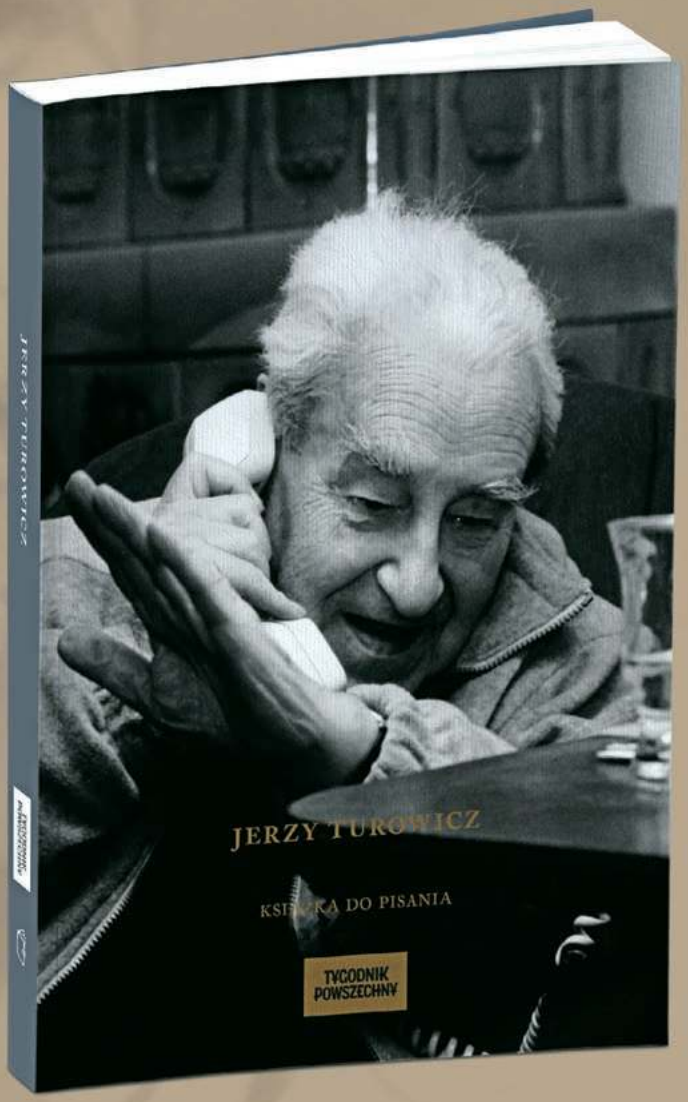


1. **JUŻ TERAZ** zamów lub przedłuż dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” – roczną, półroczną lub kwartalną.
2. Możesz to zrobić przez stronę **powszech.net/prenumeruj** lub poprzez wpłatę na konto czy opłacenie w Dziale Prenumeraty „TP” – cennik i zasady szczegółowe opisane są na poprzedniej stronie.
3. Na przełomie stycznia i lutego 2020 r. otrzymasz „Książkę do pisania” – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książka jest dostępna wyłącznie w dystrybucji „Tygodnika Powszechnego” – jest to limitowana oferta tylko dla obecnych i nowych Prenumeratorek i Prenumeratorów.

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

PARTNERZY WYDANIA:

FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA

Pasaż

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIA W TLE KRZYSZTOF MALKIEWICZ / ARCHIWUM JERZEGO TUROWICZA